

BOOK 3

ORCS

FIRST BLOOD

Warriors of the Tempest

'A feast for the most jaded
fantasy-lover's palate.

Enjoy'

TOM HOLT

STAN NICHOLLS

WIELKIE SERIE FANTASY

WOJOWNICY
BURZY

Alteja, tempo, brawura. David Gemmell

ORKOWIE

TOM 3



STAN NICHOLLS







Spis treści

WOJOWNICY BURZY

ORKOWIE

Mapka

Karta tytułowa

Dedykacja

Krew orków

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

Porwanie

STAN NICHOLLS

WOJOWNICY BURZY

(WARRIORS OF THE TEMPEST)

WIELKIE SERIE FANTASY

Trylogia ORKOWIE

TOM 3

Przełożył: Wojciech Szypuła



Wydawca światowych
bestsellerów

Wydawnictwo AMBER: 2005

Pamięci Eileen Costelloe (1951–2001)
z miłością i czułością

KREW ORKÓW



Struktura społeczna Maras–Dantii, kolebki starszych ras, chyliła się ku upadkowi. Jej delikatna równowaga została naruszona przez napływ żarłocznej nowej rasy zwanej ludźmi. Ludzie marnotrawili zasoby naturalne, niszczyli dawne kultury, prowokowali konflikty. Wielu spośród nich skupiło się w dwóch wrogich odłamach religijnych, Mnogów i Jedów; oba te odłamy wiodły ze sobą krwawą wojnę.

Na dodatek ludzie pochłaniali magię ziemi.

Ich rabunkowy tryb życia zakłócił przepływ energii ziemi i magicznej mocy, z której korzystali przedstawiciele innych ras. Magiczna wiosna dobiegła końca. Klimat stał się surowszy, pory roku się przemieszały, a nad Maras–Dantią zawisła perspektywa wiecznej zimy i epoki lodowej. Pierwsze lodowce zaczęły pełznąć na południe.

Orkowie nie mieli żadnych magicznych talentów, które mogliby stracić. Dysponowali za to niezrównanym talentem do wojny i nienasyconą żądzą krwi.

Kapitan Stryk dowodził Rosomakami, oddziałem trzydziestu orków w służbie królowej Jennesty – sadystycznej despotki i zwolenniczki Mnogów. Oficerami Rosomaków byli sierżanci Haskeer i Jup (ten drugi to jedyny krasnolud w oddziale) oraz kaprale Alfray i Coilla, jedyna samica. Poza nimi w skład oddziału wchodziło początkowo dwudziestu pięciu

szeregowców. Na rozkaz Jennesty Rosomaki przechwyciły tajemniczy przedmiot, zamknięty w cylindrze, którego nie pozwoliła im otwierać. Stały się również posiadaczami bystalinu, silnego środka halucynogennego, zwanego też czasem kryształem.

Kiedy koboldy ukradły im cylinder, decyzja Stryka o pościgu za nimi i odzyskaniu zdobyczy stała się pierwszym krokiem na drodze do dezercji Rosomaków. Dzięki pomocy gremliańskiego uczonego Mobbsa orkowie otworzyli cylinder i znaleźli w środku instrumentarium – przedmiot magiczny obdarzony podobno wielką mocą. Uznali, że wygląda jak stylizowana gwiazda, i tak też zaczęli go nazywać. Dowiedziawszy się, że gwiazd jest łącznie pięć, a po połączeniu mogą w niewyjaśniony na razie sposób przyczynić się do uwolnienia starszych ras, orkowie wypowiedzieli posłuszeństwo Jenneście. Podczas gdy Maras–Dantia pogrążała się w anarchii, Rosomaki wyruszyły na poszukiwanie brakujących elementów układanki.

Droga okazała się najeżona niebezpieczeństwami. Jennesta wysłała za nimi w pościg następny oddział żołnierzy. Polowały na nich armie Jedów i Mnogów, wspomagane przez orków i oportunistyczne krasnoludy. Groziły im ludzkie choroby, na które starsze rasy nie są uodpornione. W dodatku zniecierpliwiona brakiem postępów w poszukiwaniach Jennesta wynajęła trzech bezlitosnych łowców nagród, którzy specjalizowali się w tropieniu zbiegłych orków.

Stryka prześladowały tymczasem tajemnicze sny, w których widywał sielską ojczyznę orków, nieskazoną przybyciem ludzi i zmianą klimatu. Wizje były tak realistyczne, że zaczął powątpiewać w swoją poczytalność.

Drugą gwiazdę wykradli fanatykowi Jedów, Kimballowi Hobrowowi, którego ludzie od tej pory niezmordowanie deptali im po piętach. Trzecie instrumentarium znajdowało się w Rysie, podziemnym królestwie trolli. Rosomakom udało się uciec tylko dzięki temu, że wzięli trollowego króla

Tannara jako zakładnika.

Haskeer, odzyskawszy siły po wysokiej gorączce, postradał rozum i uciekł z dwiema gwiazdami. Jadąca za nim Coilla wpadła w ręce łowców nagród. Okłamała ich jednak, twierdząc, że Rosomaki udały się do portu Hecklowe. Łowcy nagród postanowili zdradzić Jennestę, sami wykorzystać sytuację i schwytać orkowych zbiegów. Coilla była im niezbędnie potrzebna, bo tylko ona potrafiłaby rozpoznać kompanów. Ruszyli więc do Hecklowe we czworo, z Coilla w charakterze więźnia.

Stryk na czele Rosomaków rozpoczął poszukiwania Haskeera i Coilli. Licząc na odzyskanie wolności, król trolli poinformował ich, że centaur imieniem Keppatawn ma czwartą gwiazdę. Stryk nie zgodził się go wypuścić i Tannar zginął podczas próby ucieczki. Do listy przestępstw Rosomaków należało od tej pory doliczyć tyranobójstwo.

Na wpół obłąkany Haskeer doszedł do wniosku, że gwiazdy próbują się z nim porozumieć i że powinien oddać je Jenneście, chociaż oznaczałoby to dla niego pewną śmierć. Zanim jednak zdążył wprowadzić swój plan w czyn, pojmali go nadzorcy, fanatyczni żołnierze Hohrowa, i gwiazdy wpadły w ręce Jedów.

Rosomaki również miały krwawą przeprawę z Jedami. Przy okazji dowiedziały się, że Jennesta wyjęła cały oddział spod prawa i wyznaczyła cenę za ich głowy. Stryk postanowił podzielić grupę, chociaż uprzednio był temu przeciwny. Z połową orków kontynuował poszukiwania oficerów, Alfraya zaś odesłał na czele pozostałych do Drogan, aby tam zorientowali się w możliwościach zdobycia czwartej gwiazdy.

Tymczasem Jennesta nie rezygnowała. W pościg za orkami ruszyły liczne smocze patrole pod dowództwem wiernej jej pani smoków, Glozellan. Królowa utrzymywała również kontakt telepatyczny z siostrami Adpar i Sanarą, które władały własnymi królestwami w innych rejonach Maras-Dantii. Adpar, królowa kraju najad, prowadziła wojnę z sąsiednim

królestwem trytonów. Jennesta zaproponowała jej zawarcie sojuszu i wspólne poszukiwanie gwiazd, obiecując, że razem będą dysponować ich połączoną mocą. Nieufna wobec siostry Adpar odmówiła, a wtedy rozwścieczona Jennesta rzuciła na nią niebezpieczny urok.

Podróżująca z łowcami nagród Coilla spotkała przypadkowo tajemniczego człowieka imieniem Serafim, podającego się za wędrownego gawędziarza. Spotkanie zakończyło się jednak, zanim dowiedziała się o nim czegoś więcej, bo musieli ruszyć dalej do Hecklowe, wolnego miasta nad morzem, neutralnego miejsca spotkań przedstawicieli wszystkich ras. W Hecklowe porządku – z zabójczą skutecznością – pilnowali Strażnicy, homunkulusy stworzone w magiczny sposób. W jednej z podlegszych dzielnic miasta łowcy niewolników zgodzili się sprzedać Coillę handlarzowi niewolników, goblinowi imieniem Razatt–Kheage.

Oddział Stryka odnalazł Haskeera i ocalił go od linczu z rąk nadzorców. Orkowie odzyskali również gwiazdy. Sierżant nie potrafił wytłumaczyć swojego wybryku, ale Stryk złożył go na karb choroby i pozwolił IHaskeerowi wrócić do oddziału, chociaż zapowiedział, że będzie go miał na oku. Nieco później, podczas niespodziewanej burzy śnieżnej, Stryk spotkał Serafima, od którego usłyszał, że Coilla wpadła w ręce łowców nagród. Dowiedział się również, że zabrano ją do Hecklowe. Po tej rozmowie Serafim w niewyjaśniony sposób zniknął.

Stryk posłał Alfrayowi wiadomość, że spóźni się na umówione spotkanie do Drogan, i z uszczuplonym oddziałkiem podążył do Hecklowe. Tam ponownie natknęli się na Serafima i śledząc go, dotarli do kryjówki, w której Razatt–Kheage przetrzymywał swoich niewolników. Wywiązała się walka, Coillę uwolniono, ale handlarz i łowcy nagród zbiegli. Opędzając się od Strażników, Rosomaki wymknęły się wreszcie z Hecklowe.

Spotkały się z oddziałem Alfraya nad Zatoką Całyparr, nieopodal lasu Drogan. Niedługo potem, podczas polowania, Stryk został napadnięty przez

mściwego Razatt–Kheage’a i bandę jego goblinów i sług. Pokonał ich jednak i zabił handlarza niewolników.

W Drogan orkowie szybko nawiązali znajomość z dowodzonym przez Keppatawna klanem centaurów. Okazało się, że Keppatawn – słynny zbrojmistrz, teraz okaleczony i niezdolny do walki – rzeczywiście ma jedną z gwiazd. W młodości ukradł ją Adpar, czego o mały włos nie przypłacił życiem. Adpar przeklęła go, zmieniając w kalekę; teraz tylko jej łza mogła mu przywrócić zdrowie. Centaur obiecał, że jeśli Rosomaki przywiozą mu tak niezwykły dar, odda im w zamian gwiazdę. Stryk przyjął jego ofertę.

Orkowie udali się do królestwa najad na granicy bagien Scarrock i Mallowtoru. Państwo było pogrążone w chaosie, najady walczyły z trytonami, sama Adpar zaś po magicznym ataku Jennesty pogrążyła się w zagrażającej jej życiu śpiączce. A że wcześniej wyeliminowała wszystkich potencjalnych konkurentów do tronu, jej śmierć groziła wybuchem walki o wpływy i całkowitym upadkiem królestwa. Rosomaki przedarły się do królewskich komnat, gdzie zastały królową na łożu śmierci, opuszczoną przez dworzan. Użalając się nad swoim losem, Adpar uroniła łzę, którą Coilla chwyciła do ceramicznej buteleczki.

Śmierć Adpar rozeszła się w telepatycznej sieci łączącej ją z Jennestą i Sanarą. W ten sposób Jennestą dowiedziała się o obecności Rosomaków w królestwie najad i wyruszyła do Scarrock na czele liczącej dziesięć tysięcy żołnierzy armii Mnogów. Zamierzała raz na zawsze unicestwić krnąbrnych orków. Przodem posłała Glozellan na czele szwadronu smoków.

Na wieść, że orków widziano w okolicy Dragan, Kimball Hobrow stanął na czele armii Jedów i pomaszerował w tamte okolice.

Orkowie wywalczyli sobie prawo opuszczenia krainy najad – udało im się to wyłącznie dzięki pomocy trytonich wojowników. Stracili jednego z szeregowców, Kestiksa, ale podążyli do Drogan, wioząc łzę i gwiazdy.

Po drodze zostali zaatakowani przez ludzi Hobrowa. Nadzorcy mieli

przygniatającą przewagę liczebną, toteż Rosomaki postanowiły przed nimi uciec. Niestety, koń Stryka potknął się i zrzucił go z siodła. Zanim jednak wpadł w łapy nadzorców, ocaliła go Glozellan, zabierając na grzbiet swojego smoka. Przewiozła go na odległy górski szczyt i zostawiła bez słowa wyjaśnienia. I chociaż na wierzchołek nie sposób było się wspiąć, pojawił się na nim tajemniczy Serafim ze słowami otuchy dla Stryka. Kazał mu nie tracić nadziei – i zniknął. Stryk prawie nie zauważył jego odejścia.

Gwiazdy zaczęły do niego śpiewać.

ROZDZIAŁ I



Gnali jak harpie z piekła rodem. Jup odwrócił się w siodle i spojrzał na prześladowców. Była ich chyba z setka; liczebnością przewyższali Rosomaki cztero-, może nawet pięciokrotnie. Ludzie mieli czarne mundury, byli uzbrojeni po zęby i mimo że pościg trwał już dosyć długo, nie stracili ani odrobiny pierwotnego zapału. Ci jadący na czele znajdowali się od orków nie dalej niż na odległość splunięcia.

Zerknął na Coillę, która jechała równo z nim w tylnej straży – nachylona w siodle, ze spuszczoną głową i zaciśniętymi zębami. Spięte w koński ogon włosy powiewały za nią jak obłok rdzawego dymu. Ostre kontury kaprałskich tatuaży na policzkach podkreślały surowe rysy twarzy.

Przed nią galopowali sierżanci Haskeer i Alfray. Kopyta spienionych koni wybijały twardy rytm na zmrożonym gruncie, spod kopyt strzelały grudy darni. Rozciągnięci w szeroki szyk orkowie pędzili jak opętani, kuląc się nad końskimi karkami dla osłony przed bezlitosnym wiatrem.

Wszyscy mieli wzrok utkwiony w odległy, obiecujący schronienie Las Drogan.

– Doganiają nas! – ryknął Jup.

Jeżeli nawet ktoś poza Coillą go usłyszał, nie dał tego po sobie poznać.

– No to oszczędzaj oddech! – odkrzyknęła, zerkając na niego spode łba.
– I jedź!

Oczami wyobraźni wciąż widziała niedawną scenę: Stryka, jak spada z konia i zostaje schwytyany przez smoka. Smok z pewnością służył Jenneście. Stryk był stracony.

Kolejny okrzyk Jupa wyrwał ją z zamyślenia. Krasnolud wyciągniętą ręką wskazywał na jej lewy, odsłonięty bok. Coilla obejrzała się w tę stronę: jeden z ludzi zrównał się z nią i wzniósł miecz do ciosu. Jego koń miał lada chwila zderzyć się z jej wierzchowcem.

– Cholera! – warknęła przez zęby.

Ściągnęła mocno wodze i odwróciła się w siodle w bok, zyskując chwilę na wyciągnięcie miecza. Człowiek napierał coraz mocniej; zakręcił klingą młynka i coś krzyknął, ale tętent kopyt zagłuszył jego słowa. Pierwszy cios chybił minimalnie; ostrze świsnęło w powietrzu tuż przy łydce Coilli. Drugie cięcie, błyskawiczne, było wymierzone wyżej – i celniejsze: miecz przeciąłby Coillę w talii, gdyby się nie uchylila.

To ją rozwścieczyło.

Zawinęła mieczem nad głową i sama cięła z rozmachem. Mężczyzna zrobił unik. Ostrze przemknęło kilkanaście centymetrów od jego głowy. Odpowiedział pchnięciem w pierś, ale Coilla je sparowała. Zaatakował jeszcze raz, i jeszcze. Odbiła oba cięcia. Klingi zgrzytnęły metalicznie.

Zwierzyna i myśliwi pędzili na złamanie karku. Wpadli w wylot małego wąwozu, szerokiego na dziesięć, może dwanaście koni. Skały po bokach rozmazywały się w smugi brązu i zieleni. Kątem oka Coilla widziała gęstniejącą ludzką cizbę. Prześladowców przybywało.

Wyciągniętą ręką cięła na odlew. Chybiła, straciła równowagę i omal nie spadła z konia. Człowiek zaatakował. Miecze szczęknięły donośnie, ostrze trafiło na ostrze. Żadne nie znalazło luki w obronie przeciwnika.

Potem przyszła krótka chwila wytchnienia, zanim znów się zrównali. Coilla zdążyła zerknąć do przodu. Dobrze się stało: jadący przed nią żołnierze rozdzielali się właśnie, by z dwóch stron objechać uschnięte

drzewo znajdujące się dokładnie na ich drodze; przypominali morską falę rozstępującą się przed dziobem olbrzymiego statku. Szarpnęła wodze w prawo i wychyliła się w siodle, przenosząc ciężar ciała na tę samą stronę. Jej wierzchowiec pośliznął się i zarzucił, ale wyminął drzewo. W przelocie mignęła jej szorstka powierzchnia kruszącej się kory, sucha gałąź niczym ręka kościotrupa przejechała jej po barku. A potem drzewo zostało z tyłu.

Człowiek, z którym walczyła, wyminął ją z lewej strony, ale jego towarzysze mieli z tym kłopot. Byli znacznie liczniejsi i nie bardzo mogli zmieścić się w przewężeniu. Na chwilę przeciwnik Coilla został sam. Zdecydowana pozbyć się go raz na zawsze, skierowała konia w jego kierunku. Pościg, przycisnąwszy się przez wąskie gardło, znów zaczynał nabierać szybkości. Coilla wykonała odważny manewr: puściła wodze i złapała miecz oburącz. Mogła spaść z konia, ale postanowiła zaryzykować.

Opłaciło się.

Wyciągnięta jak struna, w następny cios włożyła całą siłę. Klinga trafiła na ciało, wcięła się głęboko w prawy staw łokciowy przeciwnika. Trysnęła krew. Mężczyzna krzyknął, puścił broń i wolną ręką chwycił się za ranę. Drugie cięcie trafiło go w pierś, strzaskało żebra i wyzwoliło obfitą fontannę szkarłatu. Żołnierz zachwiał się w siodle, głowa opadła mu na bok. Coilla złożyła się do trzeciego uderzenia.

Niepotrzebnie. Ranny wypuścił wodze z ręki. Jeszcze przez chwilę utrzymywał się na grzbiecie wierzchowca, dając mu się nieść i kiwając się jak szmaciana lalka, ale wreszcie spadł i uderzył o ziemię, niczym bezwładna masa dziwacznie wygiętych kończyn i poplątanych szat.

Zanim ostatecznie znieruchomiał, stratował}’ go kopyta koni czołówki pościgu. Część z jadących w niej żołnierzy podzieliła jego los. Krzyczący ludzie i kwiczące konie zbili się w drgającą masę.

Coilla chwyciła powiewające swobodnie wodze i spięła konia. Za nią pędziło kilka wierzchowców z pustymi siodłami.

Dopędziła tyły oddziału orków. Jup przyhamował konia i poczekał na nią. Przeciwnicy przegrupowywali się za ich plecami.

– Nie odpuszczą – stwierdził Jup.

– Widziałeś kiedyś, żeby odpuścili? – Coilla spojrzała przed siebie. Teren robił się coraz bardziej podmokły. – A w takiej okolicy kiepsko się ucieka.

– No to myśl!

– O czym?

– Nie możemy ich zaprowadzić do Drogan.

Coilla zmarszczyła brwi i zerknęła w stronę lasu.

– Nie – zgodziła się z krasnoludem. – Nie powinniśmy ich ściągać Keppatawnowi na głowę.

– No właśnie.

– Co nam zostaje?

– Nie wiesz?

– Szlag by to trafił!

– A masz lepszy pomysł?

Obejrzała się na ludzką dzicz. Doganiali ich.

– Nie mam – westchnęła. – Zrobimy, jak mówisz.

Ponagliła konia. Jup również. Przejechali pomiędzy szeregowcami na czoło, do Alfraya i Haskeera. Miękki grunt spowalniał konie, ale i tak utrzymywali niewiarygodne tempo.

– Nie do lasu! – krzyknęła Coilla. – Nie do lasu!

Alfray w lot pojął jej słowa.

– Walczymy? – odkrzyknął, powiewając proporcem.

– A mamy inne wyjście? – odpowiedział pytaniem Jup.

– Walczymy! – zawtórował im Haskeer. – Orkowie nie uciekają! Do boju!

Coilla nie potrzebowała dalszej zachęty. Ściągnęła wodze, reszta orków

poszła w jej ślady. Ludzie byli coraz bliżej.

Zawróciła konia i ryknęła:

– Równać szyk! Tu ich przyjmujemy!

Nie powinna właściwie dowodzić – Jup i Haskeer byli od niej wyżsi stopniem – ale w takiej chwili nikt nie miał głowy do formalności.

– Rozstawić się! – zagrział Jup. – W tyralierę!

Mając wroga tuż przed sobą, orkowie pospiesznie wykonali rozkaz. Sięgnęli po proce, noże do rzucania, oszczepy i łuki, chociaż w te ostatnie byli wyjątkowo nędznie zaopatrzeni. Oszczepów i łuków mieli najwyżej po cztery sztuki; noży i pocisków do proc było zdecydowanie więcej.

Ludzka fala zbliżała się z ogłuszającym skowytym. Dało się już w niej wyróżnić poszczególne twarze, wykrzywione żądzą mordy. Z końskich chrap buchały kłęby pary. Ziemia drżała od łoskotu kopyt.

– Cel... – zakomenderował Alfray.

Oddziały dzielił dosłownie rzut kamieniem.

– Pal! – zawołał Jup.

Orkowie użyli skromnych zasobów broni strzeleckiej i miotanej: strzały śmignęły w powietrzu, oszczepy poszybowały, zafurkotały kamienie z proc.

W szeregach ludzkich na chwilę zapanował zamęt: kilkunastu trafionych jeźdźców osunęło się z sodeł, część spadła, gdy ich wierzchowce zaryły kopytami w ziemię. Niektórzy zasłonili się tarczami. Ich odpowiedź była tyleż błyskawiczna, co mizerna: na orków poleciało trochę strzał i garść włóczni – wyglądało na to, że ludzie są uzbrojeni równie skąpo jak Rosomaki. Ci z orków, którzy mieli tarcze, osłonili się nimi. Groty zaklekotały po nich nieszkodliwie.

Zapasy pocisków szybko się wyczerpały; teraz przeciwnicy zaczęli się obrzucać wyzwiskami. Sięgnęli po broń do walki wręcz.

– Góra dwie minuty – zawyrokowała Coilla.

Mylili się: impas trwał o połowę krócej.

Pewni swojej przewagi liczebnej ludzie runęli na orków jak czarny, zjeżony stałą przypływ.

– Zaczyna się – mruknął Jup. Z pochwy przy siodle wyjął obosieczny topór.

Haskeer dobył miecza. Podwinawszy rękaw, Coilla sięgnęła po tkwiący w pochwie na przedramieniu nóż do rzucania. Alfray nastawił na sztorc zaopatrzone w metalowy grot drzewce proporca.

– Trzymać szyk! I pilnować skrzydeł!

Dalsze rozkazy rozplynęły się w bitewnym tumultcie.

Liczniejsi – i mniej zdyscyplinowani – ludzie zbijali się w grupki, zbliżając się do orków, przez co wchodzili sobie nawzajem w drogę. Nie zmieniło to wprawdzie faktu, że Rosomaki były praktycznie bez szans, ale dało im kilka sekund na reakcję.

Coilla postanowiła wykorzystać ten czas na pozbycie się chociaż paru przeciwników, zanim wszyscy ją dopadną. Rzuciła nożem w najbliższego. Ugodzony w tchawicę spadł z konia. Błyskawicznie wyciągnęła drugi nóż i rzuciła nim od dołu, trafiając następnego w oko. Trzecie – i ostatnie – ostrze mocno chybiło celu. Ludzie zbliżyli się już na tyle, że Coilli nie pozostało nic innego, jak wejść w zwarcie. Z bojowym okrzykiem zamachnęła się mieczem.

Pierwszy żołnierz, który doskoczył do Jupa, drogo zapłacił za swój pośpiech. Masywny krasnoludzki topór rozłupał mu czaszkę. Krew i odłamki kości obryzgały wszystkich w pobliżu. Do Jupa dojrnęło tymczasem dwóch następnych. Uniknął ich ostrzy i wyprowadził zamaszyste, poziome cięcie, które jednego pozbawiło ręki, a drugiemu rozorało pierś. Nie miał chwili wytchnienia, kolejni wrogowie natychmiast zastępowali poległych i rannych. Skrzywił się z wysiłku, ale zaatakował bez namysłu.

Haskeer wściekłym gradem ciosów powalił obu swoich przeciwników,

ale jego broń utkwiała w ciele drugiego z nich. Stanął naprzeciw następnego napastnika z gołymi rękami. Nieprzyjaciel był uzbrojony we włócznię. Obaj zacisnęli dłonie na drzewcu, aż im knykcie zbielały; opatrzone zadziorami grot chwiał się to w jedną, to w drugą stronę. Haskeer zebrał wszystkie siły, uderzył tępym końcem drzewca w pierś człowieka i wyrwał mu broń z rąk, po czym zręcznie ją obrócił i zatopił mu ostrze w brzuchu. Włócznia przydała się w następnym starciu, ale wijąca się na jej czubku nowa ofiara złamała drzewce i orkowi został w rękach bezużyteczny ułomek.

I wtedy jednocześnie zdarzyły się dwie rzeczy. Kolejny człowiek rzucił się na niego z obnażonym mieczem, a z ciżby wyprysnęła zbłąkana strzała i trafiła Haskeera w przedramię. Zawył – bardziej ze złości niż z bólu – i wyrwał z rany zakrwawiony grot. Trzymając strzałę jak sztylet, pchnął nią w twarz żołnierza z mieczem. Kiedy ten zaskomlał z bólu, Haskeer wyrwał mu broń z ręki i go wypatroszył. Miejsce zabitego błyskawicznie zajął następny przeciwnik. Haskeer walczył nieustępliwie.

Alfray, który w zwarciu najchętniej posługiwał się toporkiem, używał go teraz z zabójczą precyzją, ale niewiele mógł zdziałać w obliczu nieprzyjacielskiej nawały. Pałał wprawdzie – jak każdy ork – żądzą krwi, lecz najlepsze lata miał już za sobą. Tymczasem nawet mimo słabszej kondycji nikomu nie ustępował pola. Przynajmniej na razie.

Rozejrzawszy się po polu bitwy, stwierdził, że nie on jeden jest osaczony. Niewiele brakowało, żeby cały szyk złamał się w obliczu przewagi wroga. Szczególnie zacięty bój trwał na flankach, gdzie ludzie próbowali ich oskrzydlić. Rosomaki chyba rzeczywiście nie miały wyboru i musiały przyjąć nierówną walkę, ale wyglądało na to, że przeliczyły się z siłami. Rannych przybywało, chociaż na razie nikt jeszcze nie zginął. Takie szczęście nie mogło jednak długo trwać.

Alfray miał wprawdzie tylko stopień kaprała, ale kusiło go, żeby złamać regulamin i samemu wydać rozkaz; uprzedził go Jup, wykrzykując słowa,

które orkowi nie chciały przejść przez gardło:

– Wycofać się! Odwrót! Odwrót!

Rozkaz poniósł się wzdłuż szyku, szeregowcy pospiesznie odskoczyli od przeciwnika i regularna bitwa przerodziła się w potyczkę tylnej straży orków z awangardą ludzkiej armii – tym bardziej że ludzie, obawiając się podstępny, nie kwapili się do pościgu. Lecz orkowie nie mieli wątpliwości, że ich wahanie jest tylko chwilowe.

Coilla wycofywała się razem z resztą. Ręce bolały ją od wysiłku. Kiedy Rosomaki zbiły się w grupę, podeszła do Jupa.

– Co teraz? Znów próbujemy uciec?

– Nie damy rady – wysapał krasnolud.

Coilla starła krew ściekającą jej po policzku.

– Też mi się tak wydaje.

Ludzie zbierali się na odwagę, żeby przypuścić decydujący atak.

– Paru dostaliśmy – zauważył Alfray.

– Ale nie dość – mruknął Haskeer.

Niektórzy szeregowcy półgłosem wzywali orkowych bogów, aby ci prowadzili ich ostrza; inni prosili o bohaterską i szybką śmierć. Coilla przypuszczała, że ludzie modlą się o podobne łaski.

Ruszyli.

W powietrzu rozległ się przenikliwy dźwięk, a nad Rosomakami przemknął szybko poruszający się cień. Orkowie podnieśli głowy i zobaczyli chmurę wydłużonych obiektów, która właśnie osiągnęła najwyższy punkt trajektorii i opadała łukiem w stronę żołnierzy wroga.

Spadła na nich jak rój wściekłych os. Mordercze strzały urządziły prawdziwą rzeź pierwszym szeregom: wbijały się w zadarte głowy, w piersi, ręce i uda. Z impetem przebijały kruche hełmy i zasłony na twarzach; przeszywały tarcze jak papier. Podziurawieni grotami ludzie i konie runęli na ziemię bezładną, skrwawioną masą.

Od strony lasu pędził spory oddział zbrojnych. W chwili gdy orkowie ich wypatrzyli, ludzie oddali salwę. Strzały szybowały łukiem wysoko nad głowami Rosomaków, ale orkowie i tak odruchowo kulili się i chowali głowy w ramiona. I znów śmierć zebrała okrutne żniwo wśród ludzi, potęgując zamęt w ich szeregach.

Sprzymierzeńcy znajdowali się coraz bliżej, aż w końcu orkowie zdołali ich rozpoznać.

– To klan Keppatawna! – wykrzyknął Alfray, mrużąc oczy i osłaniając je dłonią przed słońcem.

Jup pokiwał głową.

– W samą porę.

Armia centaurów była co najmniej równie liczna jak oddział ludzi. Wkrótce mieli włączyć się do walki.

– Ciekawe, kto dowodzi – zastanowił się Alfray.

Nie spodziewali się, żeby kulejący Keppatawn osobiście prowadził szarżę.

– Chyba Gelorak – stwierdził.

Muskularna sylwetka i powiewająca na wietrze kasztanowa grzywa młodego centaury nie pozostawiała wątpliwości co do jego tożsamości.

Haskeer opatrzył ranę kawałkiem szmaty.

– Po co ta gadka? – burknął. – Mamy jeszcze paru do zabicia.

– To prawda – przyznała Coilla i wyłamała się z szyku. – Na nich!

Orkom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Ludzie nie pozbiali się jeszcze po ostrzale. Ciała zabitych i okaleczonych gęsto usłały podmokłą równinę. Błąkające się bez celu konie i ranni powiększali ogólny chaos, ci zaś z żołnierzy, którzy trzymali się jeszcze w siodłach, stłoczyli się w bezładną gromadę. Stanowili łatwy cel dla żądnych krwi orków.

Do Rosomaków prawie natychmiast przyłączyły się centaury –

uzbrojone w pałki, włócznie, łuki i zakrzywione noże, walnie przyczyniły się do odparcia ataku. Niedobitki ludzkich sił podały tyły. Rączy centaury deptały im po piętach.

Wyczerpana i umorusana Coilla rozejrzała się po polu bitwy. Dowódca armii klanu Drogan podkłusował do niej i schował miecz do pochwy. Grzebnął kopytem w ziemi.

– Dzięki, Geloraku – powiedziała Coilla.

– Cała przyjemność po naszej stronie. Nie potrzeba nam nieproszonych gości. – Centaur machnął zaplecionym w warkocz ogonem. – Kto to właściwie był?

– Banda ludzi w służbie boga miłości.

Gelorak uśmiechnął się kwaśno.

– A jak udała się wyprawa do Scarrock?

– Nie najgorzej... Ale i nie za dobrze.

Centaur obrzucił spojrzeniem resztę oddziału.

– Nie widzę Stryka.

– Nie ma go z nami.

Patrząc w ciemniejące niebo, Coilla walczyła z ogarniającym ją uczuciem rozpacz.

ROZDZIAŁ 2



Stał w wąskim tunelu, który ciągnął się w nieskończoność w obu kierunkach. Głową niemal dotykał sufitu, a gdyby rozłożył ręce, mógłby się oprzeć dłońmi o ściany, zimne i lekko wilgotne. Strop, ściany i posadzka były kamienne, a cały tunel wyglądał raczej na wykuty w skale niż wybudowany: nigdzie nie było widać śladów łączenia poszczególnych bloków. Wewnątrz panowała ciemność, lecz mimo to widział wszystko doskonale. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, było jego własne sapanie.

Nie miał pojęcia, gdzie jest ani jak się tu znalazł.

Przez chwilę stał całkiem nieruchomo, próbując zorientować się w sytuacji. Nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Nagle daleko przed nim pojawiło się białe światło. Z drugiej strony niczego podobnego nie było widać, domyślił się więc, że ma przed sobą odsłonięty wylot tunelu. Ruszył w jego kierunku. W odróżnieniu od oślizłych ścian i sufitu podłoga była szorstka i nie musiał się bać, że się pośliznie.

Nie miał jak dokładnie odmierzać czasu, ale upłynęło mniej więcej dziesięć minut marszu, a światełko nie przybliżyło się ani odrobinę. Tunel nadal był całkowicie gładki, a ciszę mącił tylko odgłos jego kroków. Przyspieszył kroku – przynajmniej na tyle, na ile umożliwiała mu to ograniczona przestrzeń.

Do reszty stracił poczucie czasu; mijające minuty lub godziny przestały

mieć jakiegokolwiek znaczenie. Została tylko wieczna terażniejszość. Pogoń za nieosiągalnym światłem wypełniła mu cały wszechświat. Jego ciało zmieniło się w poruszający się z mozołem mechanizm.

W jakimś niemożliwym do określenia momencie ożywił się nieco, bo wydało mu się, że światło pojaśniało, chociaż chyba wcale się nie przybliżyło. Wkrótce stało się wprost oślepiające – nie mógł się w nie wpatrywać dłużej niż przez kilka sekund.

Teraz już z każdym krokiem stawało się coraz jaśniejsze i coraz bielsze, aż w końcu wszystko się w nim rozpląnęło: ściany, posadzka, sufit. Zamknął powieki, ale nadal widział blask. Nie przestawał iść w jego stronę. Zasłonił oczy dłońmi, lecz nie przyniosło mu to ulgi.

Światło zaczęło pulsować. Czuł jego uderzenia w piersi, gdy usiłowało wedrzeć się w głąb jego istoty.

Sprawiało mu ból.

Miał ochotę odwrócić się i uciec, ale nie mógł tego zrobić. Nie szedł już o własnych siłach; był wciągany w głąb oślepiającego, okrutnego, przeraźliwie lodowatego serca.

Krzyknął.

Światło zgasło.

Powoli opuścił ręce i otworzył oczy.

Przed nim rozciągało się bezkresne pustkowie. Nie było tu drzew, śladów zieleni, w ogóle żadnych znajomych elementów przypominających krajobrazy, jakie w życiu widywał. Przywodziło na myśl pustynię, tyle że piasek miał barwę cyny i był miękki jak wulkaniczny popiół. Monotonie przełamывwały tylko czarne kamienie o ostrych krawędziach, małe i większe, rozrzucone po całej równinie i częściowo zagrzebane w piasku.

W tropikalnym upale macki żółtozielonkawej mgły snuły się leniwie przy gruncie. Powietrze miało nieprzyjemny zapach, przywodzący na myśl odór siarki i gnijących ryb. W oddali majaczyły czarne, niewiarygodnie

wysokie góry.

Ale najbardziej niesamowite było niebo: czerwone, bezchmurne i pozbawione gwiazd. Za to nisko nad horyzontem wisiał olbrzymi księżyc. Był tak ogromny, że miało się wrażenie, iż dosięgłaby go celna strzała.

Widział każdy, nawet najdrobniejszy szczegół jego dziobatej, rdzawej tarczy. Zastanawiał się, dlaczego olbrzymi glob nie spadnie i nie zmiążdży tej przeklętej krainy.

Oderwał od niego wzrok i odwrócił się. Powitał go widok podobny jak z przodu: srebrzystoszary piasek, ostre kamienie, odległe góry, szkarłatne niebo. Nie widział niczego, co przypominałoby wylot tunelu.

Było gorąco i wilgotno, ale i tak zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Czy to możliwe, żeby umarł i znalazł się w Xentagii, orkowym piekle? Okolica z całą pewnością nadawałaby się co najmniej na czyściec. Czy Aik, Zeenoth, Neaphetar i Wystendel, tworzący świętą Tetradę orków, sfruną zaraz po niego w ognistych rydwanach i skażą jego ducha na wieczne potępienie?

Przyszło mu do głowy, że jak na Xentagię pustynia jest nieprawdopodobnie bezludna. Czyżby był jedynym orkiem w dziejach całej rasy, który zasłużył na takie zesłanie? Czyżby tylko on jeden popełnił – choć nieświadomie – taką zbrodnię przeciw bogom, że został przeklęty na wieki? Gdzie zatem podziały się okrutne demony, Sluaghy, które miały ponoć zamieszkiwać piekielne czeluście i których jedyną rozrywką było dręczenie błądzących dusz?

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch na pustkowiu. Wyteżył wzrok, ale w pierwszej chwili nic nowego nie zobaczył. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że ma przed sobą obłok żółtozielonej, wciskającej się we wszystkie zakamarki mgły, tyle że bardziej gęstej niż ta snująca się przy ziemi. Obłok poruszał się zdecydowanie w jego kierunku.

Czyżby jednak miał rację? Czy za chwilę zostanie osądzony przez

bogów i odepchnięty? Skazany na potworne tortury?

Instynkt nakazywał mu walczyć, ale po chwili namysłu zdał sobie sprawę, że opór byłby daremny, jeżeli rzeczywiście miał stanąć naprzeciw bogów. Myśl o ucieczce wydała mu się równie niedorzeczna. Postanowił stawić czoło niebezpieczeństwu – cokolwiek spotka, demona czy boga, nie sprzeniewierzy się wszystkiemu, w co wierzył, i nie stchórzy.

Spiął się i przygotował na spotkanie z nieznanym.

Nie musiał długo czekać. Chmura kłębiła się wściekle, choć w jakiś sposób zachowywała swój kształt, i płynęła prosto na niego. Z pewnością nie niósł jej wiatr, poruszała się stanowczo zbyt precyzyjnie. Poza tym nie było żadnego wiatru.

Zatrzymała się przed nim na odległość wyciągniętej włóczni. Kłębiła się i burzyła; spodziewał się wyczuć na skórze jakiś ruch powietrza, ale nic podobnego nie nastąpiło. Z bliska dostrzegł, że falująca mgła jest gęsto poprządkana złotymi punkcikami, lecz nadal nie wiedział, co kryje się w jej głębi. Niewątpliwie jednak wyłaniał się z niej jakiś kształt.

Nagle znieruchomiała, zaczęła się rozwarstwiać i rozplýwać w powietrzu. Otulona pasmami mgły ciemna sylwetka stawała się coraz wyraźniejsza.

Czekał w napięciu.

Kiedy zniknęły ostatnie smugi mgły, stanęła przed nim mroczna istota.

Czegoś podobnego się nie spodziewał.

Stwór był niski i krępy, z zielonkawą pomarszczoną skórą, dużą okrągłą głową i odstającymi, spiczastymi uszami. Przyćmione, lekko wyłupiaste oczy miały czarne jak atrament źrenice, żółto żyłkowane białka i mięsiste powieki. Głowa istoty była bezwłosa, twarz zaś pozbawiona zarostu poza krzaczastymi, rudymi bokobrodami, które zaczynały siwieć. Stwór miał mały, dość płaski nos, a jego wargi przypominały pręgę zakrzepłej żywicy, którą ktoś poharatał pilnikiem. Nosił przewiazaną sznurkiem skromną szatę

nieokreślonej barwy.

Był bardzo stary.

– Mobbs? – wyszeptał Stryk.

– Witaj, kapitanie orków – odparł gremlin cicho. Leciutki uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Tysiące pytań jednocześnie przyszyły Strykowi do głowy. Wybrał jedno:

– Co ty tu robisz?

– Nie mam wyboru.

– A ja mam? Co to za miejsce, Mobbs? Piekło?

– Nie. – Gremlin pokręcił głową. – W każdym razie nie takie, jak myślisz.

– No to gdzie jesteśmy?

– To kraina... pomiędzy. Nie należy ani do twojego świata, ani do mojego.

– Co ty wygadujesz? Przecież obaj pochodzimy z Maras–Dantii!

– Twoje pytania są znacznie mniej istotne niż to, co mam ci do powiedzenia. – Mobbs niedbałym gestem ogarnął okolicę. – Pogódź się z tym, co widzisz. Powiedzmy, że to miejsce, w którym możemy się spotkać.

– Dalsze zagadki zamiast odpowiedzi... Prawdziwy z ciebie mędrzec, Mobbsie.

– Dawniej też tak myślałem, ale kiedy się tu znalazłem, zdałem sobie sprawę, że nic nie wiem.

– Ale gdzie...

– Mamy mało czasu – uciął Mobbs i od razu zapytał: – Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

– Naturalnie. Ono wszystko zmieniło.

– Tylko przyspieszyło zmianę, która rozpoczęła się już wcześniej. Można by powiedzieć, że pomogło w jej narodzinach. Chociaż żaden z nas nie zdawał sobie sprawy z wielu aspektów konsekwencji twojej decyzji i

wyboru nowej drogi.

– Nie znam się na aspektach – odparł Stryk z niechętnym szacunkiem należnym słowu, które słyszał pierwszy raz w życiu. – Wiem tylko, że przyniosły mnie i mojemu oddziałowi same kłopoty.

– Przyniesie ich więcej, zanim zatriumfujecie – odparł gremlin. – Jeżeli zatriumfujecie – poprawił się.

– Oddział i tak ledwie się trzyma. Kręcimy się w kółko, szukając elementów łamigłówki, której nie rozumiemy. Po co nam nowe kłopoty, skoro już teraz nie wiemy, co się dzieje?

– Ale wiecie, dlaczego to robicie. Wolność, prawda, odkrycie tajemnicy... To wielkie nagrody, Stryku. I mają swoją cenę. Kiedy będzie po wszystkim, sam ocenisz, czy było warto.

– Już mam wątpliwości. Straciłem towarzyszy, na moich oczach ład zmienił się w chaos, nasz świat legł w gruzach...

– A myślałeś, że uda ci się go ocalić? Cała Maras–Dantia zsuwa się w otchłań. Za sprawą tych przybyszów. Wy możecie jeszcze coś zmienić, przynajmniej dla części z nas. Jeżeli teraz się wycofacie, niewątpliwie poniesiecie klęskę; jeśli jednak wytrwacie, zachowacie maleńką szansę na zwycięstwo. Nie będę cię oszukiwał: maleńka szansa to wszystko, na co możecie liczyć.

– W takim razie powiedz mi, co mamy zrobić.

– Chciałbyś zapytać, gdzie znaleźć ostatnie instrumentarium? I co zrobić ze wszystkimi, kiedy już zbierzecie komplet?

Stryk pokiwał głową.

– Nie mogę ci odpowiedzieć na te pytania. Wiem o tej sprawie nie więcej od ciebie. Ale czy przyszło ci do głowy, że przedmioty, których szukacie, chcą zostać znalezione?

– Bzdura. Przecież to tylko... przedmioty.

– Może tak. A może nie.

– To wszystko, co dla mnie masz? Ostrzeżenia?

– I słowa zachęty. Jesteście bardzo blisko. Nie wątpię, że będziecie mieli okazję ukończyć wyznaczone zadanie, choć po drodze czeka was jeszcze krew, śmierć i cierpienie. Mimo to nie wolno wam rezygnować.

– Skąd to wszystko wiesz? Mówisz z takim przekonaniem...

– W moim obecnym... stanie mam pewien ograniczony wgląd w to, co ma się wydarzyć. Nie znam konkretów, ale dostrzegam pewien ogólny nurt kształtujący przyszłość. – Gremlin spochmurniał. – I widzę w niej pożogę.

Strykowi znów ciarki przeszły po plecach.

– Mówiłeś, że nie masz wyboru – powiedział półgłosem. – Że musisz tu zostać.

Mobbs milczał. Ork powtórzył swoje wcześniejsze pytanie, tym razem bardziej natarczywie:

– Gdzie właściwie jesteśmy?

Wiekowy nauczyciel westchnął.

– Powiedzmy, że w krainie umarłych. W królestwie cieni.

– Od dawna tu jesteś?

– Odkąd się rozstaliśmy. Trafiłem tu za sprawą innego orka, niejakiego kapitana Delorrana.

Gremlin rozchylił poły szaty, odsłaniając pierś, w której ziała potworna rana – nie krwawiła już, lecz jej wielkość i głębokość nie pozostawiały złudzeń co do skutków. Stryk zbladł. Jego podejrzenia się potwierdziły.

– Jesteś...

– Martwy. I niemartwy jednocześnie. Zawieszony pomiędzy światami. Nie zaznam spokoju, dopóki pewne sprawy w waszym świecie nie zostaną doprowadzone do końca.

– Tak mi... tak mi przykro, Mobbs. – Te słowa wydały się Strykowi dziwnie miałkie.

– Niepotrzebnie – odparł łagodnie gremlin i z powrotem przewiązał

szatę sznurem.

– Delorran ścigał nas. Gdybyśmy cię w to nie wplątali...

– Mniejsza z tym. Nie mam do ciebie pretensji. Delorran już za to zapłacił. Rozumiesz już teraz? Uwolnij się, a i ja będę wolny.

– Ale...

– Czy ci się to podoba, czy nie, Stryku, gra się rozpoczęła, a ty bierzesz w niej udział. – Mobbs wyciągniętą ręką wskazał coś za plecami orka. – Spójrz.

Zaintrygowany Stryk odwrócił się – i rozdziawił usta. Widok był niewiarygodny.

Olbrzymi księżyc, który właśnie zachodził za szczytami gór, zmienił się w twarz o kobiecych, aż nadto znajomych rysach. Kobieta miała ciemne włosy, oczy bez dna i skórę o srebrzysto szmaragdowym połysku. Wyglądała, jakby w jej ciało wrosły rybie łuski.

Jennesta, królowa hybryda, otworzyła szerokie, uzbrojone w kły usta i zaśmiała się bezgłośnie.

Zza gór wynurzyła się dłoń, równie wielka jak księżycowa twarz. Nienaturalnie wydłużone i smukłe palce, opatrzone równie długimi paznokciami, zaciskały się na jakimś ogromnym przedmiocie; teraz nagłym, niedbałym ruchem cisnęły go na równinę.

Stryk stał jak skamieniały, patrząc, jak podłużny przedmiot koziółkuje w locie i uderza o ziemię. W powietrze wzbił się wysoki pióropusz pyłu. Ziemia zadrżała. Przedmiot odbił się, przekoziółkował i znów się odbił.

Po paru takich koziółkach Stryk doznał podwójnego olśnienia.

Po pierwsze – rozpoznał ten przedmiot: Mobbs mówił o nim „instrumentarium”, Rosomaki nazwały go „gwiazdą”. To była pierwsza gwiazda, ta, którą znaleźli w osadzie Jedów. Tyle że wtedy mieściła się Strykowi w dłoni, teraz zaś miała prawdziwie gigantyczne rozmiary. Sama tkwiąca pośrodku kula piaskowej barwy wymagałaby wielokonnego

zaprzęgu, gdyby ktoś chciał ją ruszyć z miejsca; sterczące z niej promienie były masywne jak stare dęby.

Po drugie – kula zmierzała prosto w jego stronę.

Odwrócił się do Mobbsa. Gremlin zniknął.

Gwiazda była coraz bliżej. Każde jej odbicie od gruntu wywoływało małe trzęsienie ziemi. Wyglądało na to, że wcale nie traci rozpędu.

Stryk rzucił się do ucieczki.

Pędził przez dziwne pustkowia, kluczył wśród głazów; ramiona pracowały mu jak tłoki. Gwiazda go doganiała, łomocząc o pokrytą popiołem równinę; miażdżyła po drodze kamienie i wzbijała chmury kurzu, które majestatycznie wirowały w powietrzu. Każdy wstrząs odzywał się drżeniem w kościach Stryka.

Słyszał ją prawie czuć, tuż za swoimi plecami. Starając się nie zwalniać kroku, zaryzykował spojrzenie przez ramię. Dwa potężne promienie wbiły się w grunt jak nogi olbrzyma, wzbijały w powietrze tuman pyłu, wyrwały się z popiołu i znów znalazły w powietrzu. Kurz na chwilę go oślepił. Rozległ się następny ogłuszający łoskot, ziemia się zatrzęsała i gwiazda znalazła się na wyciągnięcie ręki.

Wykrzesał z siebie resztkę sił, jaka została mu po biegu, i rzucił się w bok. Przeturlał się w oblepiającym go pyłe, pełen obaw, że gwiazda skręci i ruszy za nim. Zatrzymał się i ostrożnie wstał, gotów do dalszej ucieczki.

Gwiazda nie zboczyła ze swojej ścieżki. Toczyła się dalej po równinie, miażdżąc wszystkie przeszkody i wybijając grzmiący rytm. Stryk odprowadził ją wzrokiem. Dopiero kiedy stała się maleńkim punkcikiem na horyzoncie, wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze.

Odwrócił się z nadzieją, że ujrzy normalny księżyc – ale nadzieja okazała się płonna. Powitała go gigantyczna twarz Jennesty, unosząca się na krwawym oceanie i łypiąca na niego spode łba. Znów podniosła rękę. Tym razem w jej zaciśniętej pięści tkwiło coś jeszcze większego. Rozwarła palce

i na ziemię runęły kaskadą trzy gwiazdy. W powietrze uniosły się trzy słupy popiołu. Gwiazdy potoczyły się prosto w kierunku Stryka.

Rozpoznał je. Pierwsza była zielona, z pięcioma promieniami, druga niebieska, o czterech odnogach, trzecia, szara, miała tylko dwa kolce. Tak właśnie wyglądały pozostałe gwiazdy zebrane przez jego oddział.

Kiedy skierowały się ku niemu, miał wrażenie, że kieruje nimi jakaś inteligencja, że czyjaś wola naprowadza je na cel znacznie sprytniej niż tę pierwszą, piaskową. Jedna pędziła ku niemu po idealnie prostym torze, dwie pozostałe rozeszły się na boki i poruszały zygzakami, to bliżej, to dalej od najkrótszej trajektorii. Utworzyły klasyczną formację kleszczy i nie ulegało wątpliwości, że pędzą znacznie szybciej niż pierwsza.

Znów puścił się biegiem. Zygzakował, kluczył, starając się utrudnić gwiazdom zadanie, ale za każdym razem, gdy się na nie oglądał, widział, że utrzymuj aszyk, niczym sieć gotowa do zgarnięcia ofiary. Biegł najszybciej, jak mógł; ręce i nogi pulsowały mu bólem, przy każdym oddechu miał wrażenie, że wciąga do płuc płynny ogień.

I wtedy jedna z olbrzymich gwiazd uderzyła o ziemię po jego prawej ręce, wznecając pióropusz popiołu. Skręcił w lewo. Następna spadła przed nim, blokując mu drogę, trzecia zaś przekoziołkowała mu nad głową. Potknął się, runął na ziemię i przetoczył się na plecy. Ogarnął go cień. Bezradnie wpatrywał się w spadającą gwiazdę, wiedząc, że za chwilę zostanie zmiażdżony.

Był jak robak schwytyany w pułapkę, który może tylko czekać, aż podeszwa buta rozetrze go na miazgę.

Wydało mu się, że słyszy jakąś dziwną, rytmiczną piosenkę. Dobiegała gdzieś z bardzo daleka.

Krzyczał.

Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że nie śpi. I żyje. Jeszcze więcej czasu upłynęło, zanim się zorientował, gdzie jest. Usiadł. Rękawem

otarł twarz z potu, który perlił się na niej mimo przenikliwego zimna. Dyszał ciężko w rzadkim, chłodnym powietrzu.

Ten koszmar nie przypominał zwykłych snów, ale był równie wiarygodny i rzeczywisty jak one. Stryk próbował go przywołać, coś z niego zrozumieć... Przypomnił sobie Mobbsa.

Znowu miał krew na rękach.

Otrząsnął się. To głupota mieć wyrzuty sumienia z powodu snu!

O ile wiedział, Mobbs był cały i zdrowy. Tylko jakoś nie mógł w to uwierzyć.

Wciąż miał mętlik w głowie. Musiał wziąć się w garść. Wstał z wysiłkiem i podszedł do skraju swojego więzienia.

Płaski szczyt góry, na którym wysadziła go Glozellan, podlegająca Jenneście pani smoków, był niewielki: mierzył jakieś sto kroków długości i sześćdziesiąt szerokości. Na całej jego powierzchni sterczało zaledwie kilka skalnych ostańców, które dawały osłonę przed wiatrem. Stryk nie miał pojęcia, po co Glozellan go tu przywiozła, ale domyślał się, że zrobiła to na polecenie swojej władczyni, której gniew wkrótce przyjdzie mu poznać.

Rozejrzył się. Wiedział tylko tyle, że znajduje się gdzieś na północ od Drogan. Może na jednym ze szczytów Bandar Bizatt? Albo w masywie GofF? Tłumaczyłoby to obecność majaczącej na zachodnim horyzoncie smugi oceanu i wyraźnie widocznego lodowca na północy. Chociaż i tak nie miało to wielkiego znaczenia.

Było zimno, wiał przenikliwy wiatr. Stryk cieszył się, że ma futrzany kaftan: otulił się nim ciaśniej i wrócił myślami do ostatnich wydarzeń. Glozellan odleciała bez słowa wyjaśnienia. Wkrótce potem zjawił się tajemniczy człowiek, nazywający się Serafimem, ale skąd się wziął w tak niedostępnym miejscu i jak zniknął, Stryk nie miał pojęcia. No i były jeszcze instrumentaria. Gwiazdy.

Gwiazdy.

Przypomniał sobie, jak śpiewały. Tuż przed zaśnięciem usłyszał wydawany przez nie dźwięk, choć wiedział, że rozlega się tylko w jego głowie. Nie był to wprawdzie śpiew, ale nie znał słowa, które lepiej by go opisywało. Tak jak Haskeer.

Zamyślił się.

Zmarzniętą dłonią sięgnął do sakiewki i wyjął gwiazdy. Obejrzał je dokładnie: znaleziona w Domostwie, piaskowa, z siedmioma promieniami różnej długości; gwiazda z Trójcy, zielona, pięciopromienna; ta z Rysu, ciemnoniebieska, z czterema szpikulcami. Nie śpiewały.

Zmarszczył brwi. Cokolwiek o nich myślał, nie miało to sensu.

Nagle zobaczył, że coś się zbliża: olbrzymia czarna sylwetka leniwie machała skrzydłami o ostrych, zębatych jak piła krawędziach. Dzielilo go od niej jeszcze ładne parę kilometrów, ale wiedział, co to jest.

I Stał w gotowości, z dłonią na rękojeści miecza.

ROZDZIAŁ 3



Oddział wprowadzono pod eskortą do Lasu Drogan. Na wypadek powrotu ludzi strażę podwojono. Centaury weszły na ścieżkę wojenną.

Alfray zabrał Haskeera na bok, opatrzył mu porządnie ranę, po czym zajął się rannymi szeregowcami. Pozostałe Rosomaki rozproszyły się po osadzie w poszukiwaniu jedzenia i picia. Coilla i Jup w asyście Geloraka udali się do wodza klanu.

Znaleźli Keppatawna przy wejściu do kuźni, skąd wydawał rozkazy i rozsyłał gońców. Zachował jeszcze resztki dawnej muskulatury, ale przeżyte lata posrebrzyły mu brodę i pobruździły twarz zmarszczkami. Był też kulawy: powłóczył bezużyteczną prawą przednią nogą.

Przywitał się z Gelorakiem i zwrócił ku dwójce Rosomaków.

– Witajcie, sierżancie i kapralu.

Jup skinął mu głową.

– Przepraszamy za kłopot – powiedziała Coilla.

– Nie ma sprawy. Mała potyczka od czasu do czasu pomaga nam zachować sprawność bojową. – Centaur uśmiechnął się drapieżnie. – Jak tam wasza misja?

– Mamy to, o co prosiłeś.

– Naprawdę?! – Keppatawn się rozpromienił. – To cudowna wiadomość!

Wszystko, co mówi się o was, orkach... – Dopiero teraz zauważył ich miny.

– Co się stało?

Nie odpowiedzieli.

Centaur rozejrzył się po polanie.

– Gdzie Stryk?

– Nie wiemy – odparł ponuro Jup.

– Jak to?

– Jego koń przewrócił się, kiedy uciekaliśmy przed ludźmi – wyjaśniła Coilla. – A potem nie wiadomo skąd pojawił się smok bojowy i zabrał Stryka.

– Czyli trafił do niewoli?

– Trudno powiedzieć. Nie widzieliśmy dokładnie. Byliśmy za bardzo zajęci uciekaniem. Ale w dzisiejszych czasach Jennesta jest jedną z nielicznych osób, które mają władzę nad smokami.

– Widziałem jeźdźca – dodał Jup. – Jestem prawie pewien, że to była Glozellan.

– To pani smoków w służbie Jennesty – westchnęła Coilla. – A więc wszystko jasne.

– Może niekoniecznie – sprzeciwił się krasnolud. – Wyobrażasz sobie, żeby jakiś chochlik zmusił Stryka do czegoś?

– Czyja wiem... W każdym razie Stryka nie ma. Razem z nim straciliśmy gwiazdy i łzę. – Coilla zwróciła się do Keppatawna: – Przepraszam, powinnam była od razu ci to powiedzieć.

Centaur nie okazał rozczarowania, ale oboje zauważyli, jak odruchowo potarł okaleczoną kończyną.

– Nie mogę żałować straty czegoś, czego nigdy nie miałem – stwierdził spokojnie. – A wracając do waszego kapitana... Przeszukamy teren.

– Sami powinniśmy się tym zająć – zaprotestował Jup. – To jeden z naszych.

– Musicie odpocząć. Poza tym my lepiej znamy okolicę. – Keppatawn spojrział na swojego zastępcę. – Geloraku, zorganizuj zespoły poszukiwawcze. I wystaw posterunki na wzgórzach. – Młody centaur skinął głową i oddalił się galopem, a wódz ponownie zwrócił się do orków: – Chodźcie ze mną. Na razie nic więcej nie da się zrobić.

Zaprowadził ich do stołu opartego na dębowych kozłach. Znużeni orkowie osunęli się na ławę. Keppatawn wyciągnął rękę i z przejeżdżającego obok wózka z jedzeniem, ciągniętego przez innego centaura, zdjął kamienny dzban z wąską szyjką.

– Piwo dobrze wam robi – zawyrokował. Zębami wyjął korek z szyjki, wypluł go i z rozmachem postawił dzban na stole.

– A niech tam, raz kozie śmierć... – mruknął Jup.

Chwycił naczynie oburącz i pociągnął solidny łyk, po czym spojrział pytająco na Coillę. Pokręciła głową. Keppatawn bez wysiłku uniósł dzban jedną ręką napił się i otarł usta przedramieniem.

– A teraz mówcie. Co się stało?

– Straciliśmy więcej ludzi – zaczęła Coilla. – Nie tylko Stryka. W drodze powrotnej jeden z szeregowców, Kestix, padł z rąk najad na mokradłach Scarrock.

Nagle zrobiło się jej żal Kestiksa. Zginął, ratując jej życie.

– Przykro mi to słyszeć – zmartwił się centaur. – Tym bardziej że to z mojego powodu wyruszyliście na tę wyprawę.

– Zrobiliśmy to i dla ciebie, i dla siebie. Nie jesteś niczemu winny.

– Prawdę mówiąc, zdziwiłem się, że nie ponieśliśmy cięższych strat – wtrącił Jup. – W tym chaosie...

– Co masz na myśli?

– Adpar nie żyje.

– Co takiego?! Jesteście pewni?

– Byliśmy przy jej śmierci – odparła Coilla. – Od razu wyjaśnię: to nie

myją zabiliśmy.

– Widzę, że wasza podróż obfitowała w niezwykle zdarzenia. Jak umarła Adpar?

– To robota Jennesty.

– Ona też tam była?

– No... nie.

– Więc skąd wiecie, że to jej sprawka?

To było dobre pytanie. Coilla nie miała czasu, żeby przemyśleć tę sprawę, a teraz nagle zdała sobie sprawę, że nie wszystko jest takie oczywiste.

– Stryk tak powiedział – odparła z rezerwą. – I to z pełnym przekonaniem.

Jup chyba też nie zastanawiał się dotąd nad słowami dowódcy.

– Skąd miał tę pewność?

– Na pewno wiedział więcej od nas – stwierdziła Coilla, chociaż nie wyobrażała sobie, jak to możliwe. – W każdym razie w królestwie najad zapanowała anarchia – dodała zwięźle. – Wydostaliśmy się stamtąd tylko dzięki pomocy trytonów.

Keppatawn pogрузzył się w zadumie, gładząc brodę kciukiem i palcem wskazującym.

– Teraz musimy zachować jeszcze większą czujność – stwierdził. – Śmierć Adpar zmienia układ sił w naszym regionie. Niekoniecznie na lepsze.

– Przecież była tyranem.

– To prawda. Ale przynajmniej wiedzieliśmy, czego się po niej spodziewać. Teraz jej miejsce zajmą inni, o których nic nie wiemy. To może oznaczać tylko jedno: dalszą destabilizację. A chaosu ostatnio w Maras-Dantii nie brakuje.

Rozmowę przerwało bezczelne wtargnięcie Haskeera. Jedną rękę miał na

temblaku. W drugiej trzymał kawał pieczonego mięsa; tłuszcz ściekał mu po wargach i policzkach.

– Gdzie Alfray? – spytała Coilla.

– Opatłuje łany – odparł Haskeer z pełnymi ustami.

– A jak twoja ręka?

Haskeer przełknął, wyrzucił ogryzioną do czysta kość i beknął głośno.

– W porządku.

Bez pytania sięgnął po dzban i zaczął pić. Odchylił głowę do tyłu, aż piwo pociekło mu po twarzy. Znów beknął.

– Twoje dworskie maniery jak zwykle nas zawstydzają – zauważył Jup.

Haskeer spojrzał na niego zdumiony.

– Że co?

– Nieważne.

Dawniej po takiej odzywce krasnoluda rzuciliby się sobie do gardeł. Ale nie teraz. Może Haskeer złagodniał. A może po prostu nie zrozumiał żartu. W każdym razie wzruszył tylko ramionami i zapytał:

– Co robimy?

– Szukamy Stryka – odparł Jup. – A co poza tym... Nie mam pojęcia.

Haskeer wytarł tłuste palce w kaftan.

– A jak go nie znajdziemy?

– Nawet o tym nie myśl – warknęła złowrogo Coilla.

Ale, prawdę mówiąc, sama nie wiedziała, co dalej.

Stryk patrzył, jak potwór opada coraz niżej i ląduje na rozległym wierzchołku.

Smok z chrzęstem złożył błoniaste skrzydła, powoli odwrócił głowę i skierował na orka niewzruszone żółte ślepia o pionowych źrenicach. Z jego ogromnych nozdrzy unosiła się smużka dymu. Dyszał jak pies, spomiędzy masywnych szczęk zwiślał mu wilgotny język, wielki jak końska derka. Zaleciało surową rybą, nieświeżym oddechem i odchodami.

Stryk cofnął się o parę kroków.

Dosiadająca smoka kobieta wyplątała się z siodła i zsunęła z łuskowatego grzbietu. Cały jej strój był utrzymany w różnych odcieniach brązu – od kurtki i spodni, po wysokie buty i kapelusz z wąskim rondem. Jedynymi odstępstwami od tej reguły były biało–czarne pióro w kapeluszu, proste złote bransolety i równie dyskretna złota ozdoba na szyi.

Pozostawało zagadką, dlaczego chochliki, hybrydy powstałe z połączenia elfów z goblinami, są tak szczupłe i wysokie, skoro żadna z macierzystych ras nie wyróżniała się wzrostem. Ta kobieta była nawet wyższa niż przeciętny chochlik, a w dodatku nosiła się sztywno wyprostowana. Miała szczupłą, zwodniczo delikatną sylwetkę i jak wszystkie chochliki dumną minę, którą łatwo było wziąć za oznakę zarozumiałstwa.

– Glozellan! Co się dzieje, do licha?!

– Przepraszam, że zostawiłam cię na tak długo – odparła niewzruszona Glozellan. – Nie miałam innego wyjścia.

Stryk nadal ścisnął w dłoni miecz.

– Jestem tu więźniem?

Glozellan uniosła cieniutkie brązowe brwi, ale poza tym jej twarz pozostała nieprzenikniona.

– W żadnym wypadku. I tak nie zdołałabym zatrzymać cię w niewoli. Nie wiem, czy o to ci chodzi, ale zapewniam cię, że nie zmierzają tu szwadrony smoków niosące zastępy żołnierzy Jennesty – odparła jeszcze bardziej oschłym tonem niż przed chwilą. – Najwyraźniej nie zrozumiałeś, że starałam się ci pomóc. Może powinnam była postawić tę sprawę jaśniej.

– Nie ją jedną.

– Wydawało mi się, że ocalenie cię z rąk ludzi wystarczy za wyjaśnienie.

– No tak... Powinno było. Dziękuję.

Glozellan niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

– Schowaj miecz – powiedziała, a widząc wahanie Stryka, dodała kpiąco: – Jesteś bezpieczny.

Potulnie schował broń.

– Nie dziwisz mi się chyba? Jesteś panią smoków i...

– Już nie.

Z twarzy kobiety nie dało się niczego wyczytać.

– To znaczy?

– Zbyt wiele obelg, zbyt wiele ciosów. Miałam tego dość, Stryku. Odeszłam. Nie było to dla mnie łatwe, należę przecież do rasy, która chlubi się swoją lojalnością. Ale nie mogłam dłużej znosić okrucieństwa i niegodziwości Jennesty. Jestem więc dezercerem. Tak jak ty.

– Dziwnych czasów dożyliśmy.

– Razem ze mną odeszło jeszcze dwóch jeźdźców ze smokami. Zostawiłam cię tutaj, a sama wróciłam, żeby im pomóc.

– To bolesny cios dla Jennesty.

– Tym bardziej że to nie koniec dezercji. Żołnierze uciekają od niej, wprawdzie nie masowo, ale za to systematycznie, Stryku. – Glozellan zawiesiła głos. – Wielu chętnie wstąpiłoby pod twój sztandar.

– Nic o mnie nie wiedzą. Żaden ze mnie wybawca. Nawet nie chciałem zdezercerować!

– Ale jesteś dobrym przywódcą. Udowodniłeś to, dowodząc Rosomakami.

– Dowodzenie oddziałem to co innego niż kierowanie całą armią czy rządzenie królestwem. Królowie są najczęściej źli i fałszywi. Jennesta, Adpar, Kimball Hobrow... Nie chcę być taki jak oni.

– Wcale byś nie musiał. Pomógłbyś usunąć ze świata takich jak oni.

– Starsze rasy nie powinny walczyć pomiędzy sobą. Musimy oprzeć się naporowi ludzi. A przynajmniej Jedów.

– Zgadzam się. W tym celu starsze rasy muszą się zjednoczyć.

– Niech ktoś inny się tym zajmie. Ja jestem tylko prostym żołnierzem.

Popatrzył na czoło napierającego lodowca i niezwykle blask ponurego nieba ponad lodem. Jakby na dany sygnał, z nieba sypnęło śniegiem. Smok prychnął, aż ziemia zadrżała.

– Ludzie są obłąkani. Mają irracjonalną, destrukcyjną naturę. Pożerają magię. Ale nie oni jedni niszczą Maras–Dantię. Inne rasy...

– Wiem. Nie zmienię zdania, Glozellan, więc się nie wysilaj.

– Jak chcesz. Może się jeszcze okazać, że nie będziesz miał wyboru.

Stryk zmienił temat.

– Mówiliśmy o ludziach... Znasz człowieka imieniem Serafim?

Na twarzy Glozellan nie pojawił się najmniejszy nawet błysk rozpoznania.

– W ogóle znam niewielu ludzi, a z pewnością nikogo o takim imieniu.

– Nie przywiozłaś tu wczoraj nikogo więcej? Przede mną albo po mnie?

– Nie, po co? Masz na myśli jakiegoś człowieka?

Stryk i tak podejrzewał, że spotkanie z bazarzem było wytworem jego wyobraźni, wolał więc nie naciskać.

– Chyba mi się... coś przyśniło. Mniejsza z tym.

Glozellan przyglądała mu się ciekawie. Śnieg gęstniał.

– Podobno masz coś, czego Jennesta pożąda – stwierdziła po chwili.

Długo ważył w myślach odpowiedź, wahając się, czy zaufać chochlikowi. Ale przecież Glozellan uratowała mu życie. Sięgnął do sakiewki.

– Więcej niż jedną rzecz.

W jego stulonej dłoni leżały trzy gwiazdy. Glozellan przyjrzała im się z zaciekawieniem.

– Nie wiem, czym są ani do czego służą – ciągnął ork. – Nazywa sieje instrumentariumi. A my, w oddziale, mówimy o nich „gwiazdy”.

– Instrumentaria... Mówisz poważnie?

Pokiwał głową. Na twarzy Glozellan odmalował się podziw. Biorąc pod uwagę, że była chochlikiem, Stryk mógł sobie pogratulować.

– Słyszałaś o nich?

Pani smoków otrząsnęła się z zachwyty.

– Legenda o instrumentariach jest znana mojemu ludowi.

– Co możesz mi o nich powiedzieć?

– Prawdę mówiąc, niewiele. Wiem, że powinno ich być pięć i że są bardzo stare. Pewne podanie łączy je z moją rasą, z naszym słynnym przodkiem Prillendą. Niestety, o nim samym też niewiele wiadomo. Był kimś w rodzaju filozofa i wieszczka. Podobno jedna z tych... gwiazd natchnęła go do głoszenia przepowiedni.

– Przepowiedni? Na jaki temat?

– Ich treść dawno przepadła w mrokach dziejów. Ale miały mieć coś wspólnego z Końcem Dni, kiedy to bogowie zwiną ten świat i zaczną grę od nowa.

– My, orkowie, też znamy podobny mit.

– Nie wiadomo, jak instrumentarium trafiło do rąk Prillendy ani co się z nim później stało. Niektórzy powiadają, że przyczyniło się do jego śmierci, ale ja zawsze uważałam, że to bajka upojonych kwiatowym pyłkiem wrózek. – Glozellan patrzyła na gwiazdy jak urzeczona. – Ale ty masz aż trzy! Jesteś pewien, że są prawdziwe?

– Tak.

Stryk schował gwiazdy do sakiewki.

– Wiem o ich przeznaczeniu nie więcej od ciebie, Stryku, ale jedno jest pewne: ktokolwiek je posiada, ma ogromną moc. To jedno było w legendach oczywiste.

Po ostatnim śnie – jeżeli był to sen – Stryk domyślał się, że moc, o której mówi Glozellan, przerasta jego najśmielsze oczekiwania. Ale postanowił jej o tym nie wspominać. Tak jak nie powiedział, że gwiazdy do niego

„śpiewały”.

– Rozumiem już, dlaczego Jennesta tak je sobie ceni – ciągnęła tymczasem pani smoków. – Nawet jeśli nie są magiczne, byłyby dla niej bezcenne jako totemy. Podbudowałyby jej słabnący autorytet, wzmocniły jej władzę. Gdybyś zaś ty użył ich do zjednoczenia jej przeciwników...

– Dość tego – przerwał jej ork tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Co teraz zrobisz?

– Nie jestem pewna... Chciałabym wrócić do swojej gromady i pomedytować. Ale my, chochliki, pochodzimy z południa, a jak ci wiadomo, na południu jest najwięcej ludzi. Mój lud zaś się rozproszył. Może zamiast tego udam się do smoczej twierdzy, pomieszkam trochę w górach... – Z czułością poklepała wierzchowca, który zdążył zapaść w drzemkę. – Chochliki zawsze dobrze żyły ze smokami. To jedyna rasa, której naprawdę ufamy. One zresztą chyba traktują nas podobnie. Może widzimy w sobie nawzajem sojuszników na trudne czasy.

Stryk zdał sobie sprawę, że Glozellan stała się takim samym wyrzutkiem jak on i jego orkowie. Nagle zrobiło mu się jej żal.

– Czy nadal będziesz występował przeciw królowej? – zapytała.

– Zawsze, kiedy będzie to konieczne. Tak jak zamierzam walczyć z ludźmi i innymi istotami, które staną mi na drodze. Ale dajmy temu spokój. Chodzi mi przede wszystkim o dobro mojego oddziału.

– Bogowie mogą mieć inne plany.

Stryk roześmiał się, chociaż nie było mu do śmiechu.

– Niech sobie mają. Wszystko po kolei: najpierw muszę wrócić do Rosomaków.

– W takim razie powinniśmy wyruszyć, zanim pogoda całkiem się popsuje. Chodź, zabiorę cię.

ROZDZIAŁ 4



Jechała czarnym rydwanem, ozdobionym złotymi i srebrnymi tajemnymi znakami. Zaprzężona do niego para czarnych koni nosiła ćwiekowane maski i wysadzane żelaznymi guzami pancerze na nogach. Z piast kół rydwanu sterczały na zewnątrz wypolerowane, podobne do kos ostrza.

Za plecami Jennesty maszerowała armia licząca z górą dziesięć tysięcy żołnierzy, złożona z orków, krasnoludów i całkiem sporej liczby ludzi oddanych sprawie Mnogów. Horda mieniła się barwami sztandarów i grotami włóczni. Kryte białym płótnem wozy, ciągnięte przez woły, chygotały się miarowo na boki. Oddziały kawalerii strzegły obu skrzydeł pochodu.

Żołnierze obeszlili Taklakameer, olbrzymie śródlądowe morze, i przecięli prawie całe Wielkie Równiny, zostawiwszy Drogan daleko na południu, a Bevis na północy. Wkrótce Jennesta poprowadzi ich ku brzegom Norantelii, na półwysep Scarrock. W bagnistym królestwie najad, do niedawna rządzonym przez Adpar, którą zgładziła za pomocą magii, dopadnie Rosomaki i odbierze swoją nagrodę.

Wiedziała, że tam są. A w każdym razie były. Wyłowiła tę informację z przedśmiertnego wybuchu mocy psychicznej Adpar.

Posłała swoją panią smoków, Glozellan, na zwiady na czele liczącego trzy smoki oddziałku. Wezwała posiłki, które niebawem miały wzmocnić

jej armię. Elitarne oddziały ciągnęły ku niej z Cairnbarrow, jej stolicy. Panowała nad sytuacją. Wszystko przewidziała. Nigdy do tej pory nie była tak bliska zemsty i pełni władzy. Armia, na czele której stanęła, stanowiła najlepsze potwierdzenie jej mocy.

Mimo to Jennesta była rozczarowana.

Przyczyna jej niezadowolenia jechała obok rydwanu. Generał Mersadion, dowódca hordy, był młodym orkiem, ale służba u tak wymagającej pani odebrała mu radość życia. Oczy miał zapadnięte, więcej niż przystało na wiek zmarszczek położyło mu czoło. Gdyby samce orków miały włosy na głowie, już by siwiał.

Jennesta nie przestawała go dręczyć.

– Należy to zdławić w zarodku. Nielojalność jest jak wrzód: jeśli się go w porę nie wytnie, zropieje.

– Z całym szacunkiem, pani, ale wydaje mi się, że przeceniasz ten problem – odważył się zasugerować Mersadion. I dodał pospiesznie: – Większość żołnierzy jest ci wierna.

– To ty tak twierdzisz. Tymczasem niezadowolenie w szeregach rośnie, a dezertarów przybywa. Każdy cień nieposłuszeństwa i każda plotka o buncie ma być karana śmiercią. Bez względu na rangę winnego.

– Już teraz stosujemy taką karę, pani.

Gdyby generał miał ochotę popełnić samobójstwo, mógłby dodać, że Jennesta doskonale o tym wie.

– W takim razie stosujecie ją zbyt rzadko. – Określenie „mrożące krew w żyłach” byłoby za słabe dla opisu spojrzenia, jakie mu posłała. – Ryba psuje się od głowy, generale.

Miała na myśli jego, rzecz jasna, ale niezamierzona ironia tych słów nie uszła jego uwagi. Ograniczył się do rozsądnego:

– Tak, pani.

– Ci, którzy mi wiernie służą, zostaną wynagrodzeni. Ale źli słudzy

muszą ponieść karę.

Mersadionowi nie przyszło do głowy, że może liczyć na jakąś nagrodę. Na razie dostał tylko awans, o który nie prosił, i niewykonalne zadanie.

– Naprawdę muszę ci przypomnieć twojego poprzednika Kysthana i jego protegowanego kapitana Delorrana? – zapytała nie pierwszy raz.

– Nie, Wasza Wysokość. Nie musisz.

– W takim razie sam wspomnij ich los.

Wspominał. I to często. Takie rozważania stanowiły nieodłączny element życia na krawędzi wulkanu. Przyszło mu do głowy, że trudno mieć pretensje do dezertarów, kiedy wzmagające się okrucieństwo Jennesty tylko pogarsza sytuację. Natychmiast zbeształ się w duchu za takie pomysły. Wiedział, że to irracjonalne, ale nie mógł się wyzbyć lęku, że Jennesta umie czytać w jego myślach.

Kiedy przemówiła, omal nie spadł z konia. Na szczęście mówiła bardziej do siebie niż do niego.

– Kiedy dostanę to, czego pragnę, nikt z was nie będzie miał wyboru w kwestii lojalności – mruknęła. – Ani w żadnej innej. – Podniosła rozkazująco głos: – Popędź ich! Nie życzę sobie dalszej zwłoki.

Bicz chlasnął grzbiety koni i rydwan przyspieszył; Mersadion musiał odsunąć się na bok, żeby uniknąć ostrzy. Spiał konia ostrogami i obrzucił wzrokiem urządzone przez Jennestę widowisko.

Czternastu „niepokornych”, teraz już martwych, wisiało w klatkach nad olbrzymimi ogniskami. Przygnębieni żołnierze musieli przechodzić obok tych szubienic, aby ich widok pozwolił im docenić sprawiedliwość władczyni. Niektórzy odwracali wzrok, wielu osłaniało szmatami usta i nosy wystawione na ohydny sąd.

Wiatr unosił płatki popiołu. Wijące się snopy pomarańczowych iskier strzelały aż pod niebo.

Żywołem orków była ziemia.

Stryk przekonał się o tym po raz drugi, kiedy Glozellan zabrała go do Drogan. Wiatr smagał go bezlitośnie, a podmuch powietrza od smoczych skrzydeł sprawiał, że cały czas się zastanawiał, kiedy spadnie. Tyłek zdrętwiał mu od kontaktu z kościstym smoczym grzbietem, od niesionego wichurą śniegu łzawiły oczy, a z zimna stracił czucie w rękach. Próbował porozmawiać z panią smoków, ale wiatr zagłuszał jego słowa, tak że sam siebie nie słyszał.

Skoncentrował się więc na podziwianiu widoków. Lodowiec na północy wyglądał jak rozlewająca się po ziemi plama mleka. Stryk był wstrząśnięty, że lód pokrywa aż tak wielką powierzchnię. Smok skręcił i w zasięgu wzroku znalazły się niższe grzbiety górskie o pobielonych śniegiem wierzchołkach, które niedługo ustąpiły miejsca urwiskom, te zaś przeszły w nierówną wyżynę porośniętą niskimi krzewami.

Mijali kolejne pasma wzgórz i doliny przypominające podłużne, zębrowane liście. Lustrzana toń jezior tonęła w kłębach mgły. Lasy kołysały się na wietrze. W końcu znaleźli się nad pofalowaną Wielką Równiną. Nieco później Stryk dostrzegł srebrną taflę Zatoki Calyparr i zieloną plamę Lasu Drogan.

Ryk smoka ogłuszył orka i wprowadził w drżenie jego kości. Glozellan coś krzyknęła, ale jej nie zrozumiał. Miał wrażenie, że spadają na łeb, na szyję; smok zanurkował, pęd powietrza zapał Strykowi dech w piersi, a potem bestia wyrównała lot i zaczęła szybować. Ziemia ściągała ich coraz niżej; korony drzew rosły w oczach – nie przypominały już podłużnych kropli, lecz dna ogromnych beczek. Płoszyli stada jazgotliwych ptaków.

Lecieli równolegle do powierzchni gruntu, który prześlizgiwał się pod nimi szybciej niż podczas konnej szarży. Oddalali się od lasu, zataczając łuk, który miał ich zaprowadzić na drugą stronę Drogan. Stryk domyślił się, że Glozellan wypatruje maruderów ludzkich armii lub innych wrogich sił. On też wyteżył wzrok.

Oblatując Drogan, przemknęli nad skrawkiem oceanu. Strykowi mignęły fale walące o poszczerbione skały, żwirowe plaże, potem rozległy łąd, trawa, drzewa. Błysnęły wody zatoki, prostej w tej okolicy i błyszczącej jak boży miecz. I znów równina. Koło się zamknęło.

Zanim zdążyli wylądować, z lasu wynurzył się tłum istot: centaury i orkowie – piesi i konni – pędzili im na spotkanie.

Smok usiadł. Strykiem leciutko zatrzęsło. Zesztywniała zlązł z grzbietu pomrukującego basowo zwierzęcia. Pani smoków została w siodle. Spojrzał na nią.

– Dziękuję ci, Glozellan. I życzę powodzenia we wszystkim, co robisz.

– Nawzajem, kapitanie. Muszę ci jednak jeszcze coś powiedzieć. Jennesta idzie do Scarrock. Prowadzi armię. Jest dosłownie kilka dni za nami, może łatwo podjąć wasz trop. Nie jesteście tu bezpieczni.

Zanim Stryk zdążył odpowiedzieć, Glozellan szepnęła coś do olbrzymiego smoczego ucha. Smok zerwał się do lotu; silne skrzydła złapały właściwy rytm, masywne łapy podkurczyły się, podmuch powietrza pchnął orka kilka kroków w tył. Stryk osłonił dłonią oczy.

Z niedowierzaniem patrzył, jak olbrzym wznosi się w powietrze, a jego cielsko nabiera niezwykłej gracji. Smok zakręcił, potem zatoczył koło. Glozellan podniosła rękę i pomachała nią. Kiedy Stryk odwzajemnił pożegnalny gest, skierowała się na wschód i zaczęła oddalać.

Nadal odprowadzał ją wzrokiem, kiedy zbliżyli się pozostali.

Alfray, Haskeer, Jup i paru szeregowych dosiadało koni. Coilla przyjechała na grzbiecie Geloraka. Towarzyszyły im dziesiątki innych centaurów, po chwili dołączyli pierwsi biegnący bez tchu orkowie. Otoczyli Stryka. Najwyraźniej witali go z ulgą. Zgiełk narastał.

Stryk uciszył wszystkich gestem.

– Nic mi się nie stało! Jestem cały i zdrowy!

Coilla ześliznęła się z grzbietu centaury.

- Co się z tobą działo? Gdzie byłeś?
- Dowiedziałem się, że nasz wróg stał się przyjacielem.
- Jak to...
- Wszystko wyjaśnię. Ale przy jedzeniu. I piciu.

Ktoś przyprowadził Strykowi konia i wszyscy ruszyli w stronę lasu.

Podczas krótkiej przejażdżki rozważał słowa Glozellan. Wyglądało na to, że w najbliższym czasie nie zazna spokoju.

Nieopodal Drogan ciągnęła się nierówna linia pagórków porośniętych zagajnikami. Z jednego wierzchołka trzy postacie, schowane wśród drzew, a teraz wyciągnięte jak struny, śledziły rozwój wypadków. Spętane konie ukryły w głębi zagajnika. I uważały na patrole.

Obserwatorzy byli ludźmi.

- Dranie... – mruknął jeden.

Wyglądał nie mniej paskudnie od swoich kompanów, był od nich jednak niższy, chudszy, bardziej ruchliwy i podenerwowany. Miał ohydne żółtawe włosy, równie rzadkie jak półprzezroczysta kozia bródka, którą sobie wyhodował, i kompletnie zepsute zęby. Do wątpliwych darów natury i skutków niechlujstwa swoje dołożyli także wrogowie: czarna skórzana przepaska zasłaniała mu prawe oko, z lewego ucha został zaledwie strzęp, a mały palec prawej ręki był owinięty brudnym bandażem.

– Rzygać mi się chce, jak ich widzę – mówił dalej żółtowłosy. Patrzył na wycofujące się do lasu centaury i towarzyszących im orków. – Przeklęte, wstrętne brudasy...

– Może byś tak zamknął ryj, Greever? – zasyczał drugi, leżący obok niego. – Kiedy tak skamlesz i skamlesz, nie mogę zebrać myśli.

W normalnej sytuacji Greever nie puściłby takiej odzywki płazem, ale samozwańczy przywódca grupy należał do ludzi, którym lepiej się nie sprzeciwiać. Był masywnie zbudowany i trochę zaniedbany. Jego dziobatą twarz przecinała blizna ciągnąca się od środka policzka do kącika ust. Miał

tluste czarne włosy, niechlujne wąsy i ciemne, okrutne oczy.

– Nie straciłeś tyle, co ja, Micah – odparował Greever chrapliwym szeptem. Pokazał na oko, ucho i palec. – Wszystko przez tę orkową dziwkę.

– Oko chyba nie – wtrącił trzeci człowiek.

– Co?

– Oka ci chyba nie wyłupiła.

– Nie, Jabeez, nie wyłupiła – odparł Greever takim tonem, jakby tłumaczył coś nierozgarniętemu dziecku. – Zrobił... to... inny... ork. Co za różnica?

Jabeez zmarszczył brwi i przez kilka długich sekund przetrawiał jego słowa, zanim burknął:

– No tak...

Z całej trójki to on najbardziej zwracał na siebie uwagę. Nawet gdyby dwaj pozostali złączyli się w jedną istotę, i tak przewyższałby ich wagą, w dodatku jego ciało składało się z samych mięśni. Głowę i twarz miał kompletnie bezwłose, nos co najmniej raz złamany (i krzywo zrosnięty), a ślepią jak prosiak. Pozbawione wyrazu usta przypominały nacięcie zrobione nożem w grudzie ciasta.

– Tylko uważaj – dodał. – Bo ta nowa rana...

Mimo że był duży i tępy, widząc wyraz twarzy Greevera, wolał zamilknąć.

Greever Aulay i Micah Lekmann znów skupili się na obserwacji wroga: ostami orkowie i centaury znikali właśnie w lesie. Jabeez Blaan wiercił się niespokojnie. Wyglądał jak żywe kretowisko, które za wszelką cenę próbuje rozpląszczyć się na ziemi.

– Co robimy, Micah? – spytał Aulay. – Atakujemy?

– Czyś ty na głowę upadł? Życie ci zbrzydło? O żadnym ataku nie ma mowy!

– Przecież to tylko orkowie, do ciężkiej cholery!

– Tylko? Tylko najlepsi wojownicy w Centrazji, nie licząc ludzi? Tylko ci, którzy cię oszpecili? – Micah zaśmiał się pogardliwie. – Zwykle orki, tak?

Aulay spiorunował go wzrokiem.

– Dawniej zabijaliśmy ich dziesiątkami.

– Zgoda, ale nie w otwartym starciu z tak liczną bandą. I nie w uczciwej walce. Dobrze o tym wiesz.

– No to co robimy? – odezwał się Blaan.

– Musimy ruszyć głową. – Micah spojrzał na pytającego. – Przynajmniej ci, którzy mogą. Greever, na przykład. Na razie jest tak podjarany, że nie myśli. – Lekmann skinieniem głowy wskazał las. – Użyjemy starych, sprawdzonych metod. Będziemy ich wykańczać spokojnie, bez pośpiechu, pojedynczo albo w małych grupkach. Jeśli dobrze to rozegramy, możemy na tym nieźle zarobić.

– Tu już nie chodzi o pieniądze – mruknął Aulay. – Mamy inne rachunki do wyrównania.

– Mowa... Ja też chcę dorwać te dziwolągi, nie mniej niż ty. Ale może przy okazji trochę się obłowimy. Zwłaszcza ta relikwia, którą ukradli, musi być sporo warta. Zemsta jest słodka i tak dalej, ale nie pogardzę jadłem, piciem i innymi luksusami.

– A kto nam zapłaci albo odkupi od nas tę relikwię, jeśli nie Jennesta? A ona pewnie nie przepada za nami, odkąd ją okpiliśmy.

– Wolę określenie „odeszliśmy z jej służby”.

– Jak chcesz. Ja tam uważam, że to był zły pomysł.

– Uważaj sobie, co chcesz, Greever. Zaczynasz myśleć, a od myślenia to ja tu jestem. Poradzę sobie z Jennestą.

Towarzysze Micaha spojrzeli po sobie z powątpiewaniem.

– Może tak, a może nie – odparł Aulay. – To mnie teraz nie interesuje. Chcę dopaść tę orkową sukę, Coillę.

– Ale jeśli trafią się jakieś łupy, to ich nie wyrzucisz, prawda? – W głosie Micaha zabrzmiała ostrzejsza nuta. – Nie spieprz sprawy. Musimy działać razem. Inaczej będzie po nas.

– O mnie się nie martw, Micah. – Aulay podniósł lewą rękę. Zamiast dłoni z nadgarstka wyrastał mu metalowy cylinder zakończony zakrzywionym ostrzem. Światło zabłysło ponuro na jego wypolerowanej powierzchni. – Wystarczy, że do nich podejmiemy. Zapracuję na siebie.

ROZDZIAŁ 5



Grzebiąc w sakiewce, Stryk przestraszył się nagle, że buteleczka mogła się stłuc – ale mały ceramiczny flakonik był nienaruszony i mocno zakorkowany.

Położył go Keppatawnowi na dłoni. Centaur przez chwilę wpatrywał się w buteleczkę, jakby wzruszenie odebrało mu głos.

– Dziękuję – wykrztusił w końcu półgłosem.

– Staramy się dotrzymać słowa – odparł Stryk.

– Nigdy w to nie wątpiłem. Przykro mi tylko, że straciliście jednego z waszych.

– Kestix znał stawkę gry. Jak każdy ork. A wypełnienie misji miało pomóc w realizacji także naszych planów, nie tylko twoich.

Coilla ruchem głowy wskazała buteleczkę.

– Co z nią zrobisz?

– To dobre pytanie – zauważył centaur. – Będę musiał porozmawiać z naszym szamanem. Zresztą i tak będzie nam potrzebny, aby dokonać wymiany. Geloraku, idź po Hedgestusa.

Zastępca Keppatawna ruszył przez obóz w stronę siedziby wieszczka.

Stryk z ulgą przyjął fakt, że przestał być obiektem powszechnego zainteresowania. Wcześniej nakarmiono go, napojono, zaopiekowano się nim; potem przed całkiem liczną publicznością opowiedział, co się

wydarzyło. Przemilczał tylko pojawienie się Serafima na szczycie góry i swój niezwykły sen. Nie wspomniał też o tym, że gwiazdy do niego „śpiewały”, chociaż na wspomnienie tamtej chwili z niejakim współczuciem zerkał na Haskeera.

Wysłuchawszy go, większość słuchaczy rozeszła się do swoich zajęć. Zostali przy nim tylko oficerowie Rosomaków, Keppatawn i Gelorak. To mu odpowiadało. Nie wiedział, jak centaury przyjmą nowiny na temat Jennesty.

Gelorak wrócił do nich w towarzystwie wiekowego wieszca. Hedgestus poruszał się powoli, niepewnie, nogi mu drżały. Gelorak jedną ręką go podtrzymał, a pod pachą drugiej niósł małą, ozdobną skrzyneczkę.

Hedgestus przywitał się z orkami, a Keppatawn odebrał skrzynkę od Geloraka, otworzył ją i pokazał im gwiazdę. Wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętali: szara kula z nieznanego materiału, zakończona dwoma nierównej długości promieniami. Keppatawn podał skrzyneczkę Strykowi.

- My też dotrzymujemy słowa.
- Nigdy w to nie wątpiliśmy – zapewnił go oschle ork.
- Zanim ją weźmiesz... Jesteście pewni, że tego chcecie?
- Jak to? – zdziwił się Jup. – Oczywiście, że chcemy! A jak myślisz, po co brnęliśmy przez ten cały gnój?
- Stryk wie, co mam na myśli.
- Taaak? – zdziwił się Stryk.
- Tak mi się wydaje. – Keppatawn pokiwał głową. – To może być zdradliwy dar, który przyniesie wam więcej złego niż dobrego. Wskazuje na to zarówno reputacja tych przedmiotów, jak i nasze doświadczenia.
- My też już to zauważyliśmy – stwierdziła sarkastycznie Coilla.
- I wybraliśmy taką ścieżkę – dodał Alfray. – Nie możemy z niej teraz zbroczyć.

O dziwo, Haskeer milczał. Stryk nie mógł się oprzeć wrażeniu, że

dobrze go rozumie.

Wyjął gwiazdę z pudełka.

– Moi oficerowie mają rację: nie po to dotarliśmy tak daleko, żeby teraz się wycofać. Poza tym nie mamy innego wyjścia. Nie wymyśliliśmy planu awaryjnego.

– Przeciwnie – wtrącił nagle Haskeer. – Moglibyśmy je wyrzucić w cholere, odjechać i zapomnieć o kłopotach.

– A gdzie niby bylibyśmy wolni od kłopotów? – spytała Coilla. – Chyba tylko we śnie.

Stryk zeszywniał, ale doszedł do wniosku, że jej słowa nie miały żadnego podtekstu. Spojrzał na Haskeera.

– Coilla ma rację. Nie mamy dokąd pójść. Nie teraz, kiedy Maras-Dantia tak się zmienia. Jennesta i pozostali zawsze będą nas ścigać. Tylko gwiazdy dają nam przewagę.

– Taką przynajmniej mamy nadzieję – mruknął Jup.

– Byliśmy zgodni – przypomniał mu Stryk. – Cały oddział. Postanowiliśmy zebrać wszystkie gwiazdy.

– Ten pomysł od początku mi się nie podobał – warknął Haskeer.

– Mogłeś się wycofać. Nie raz i nie dwa.

– Nie chodzi o oddział, tylko o te draństwa. Z nimi jest coś nie tak.

– Nie z nimi, tylko z tobą – wymamrotał Jup.

– Coś ty powiedział?!

– Wiecznie tylko biadolisz.

– Wcale nie.

– Daj że spokój! A kto gadał od rzeczy? Kto raczył nas bredniami o śpiewających gwiazdach?

– Kto niby gada od rzeczy?

Porywczą naturą Haskeera znów dawała znać o sobie. Strykowi to nie przeszkadzało, ale nie chciał, żeby pyskówka się nasiliła. Nie potrzebował

dodatkowych komplikacji.

– Dość tego! – uciał. – Jesteśmy tu gośćmi. – Odwrócił się do Keppatawna, Geloraka i Hedgestusa, którzy obserwowali orków z rosnącym zdumieniem. – Wszyscy jesteśmy trochę spięci – wyjaśnił.

– To zrozumiałe – uspokoił go Keppatawn.

Stryk otworzył sakiewkę u pasa i włożył do niej kolejną gwiazdę. Czuł na sobie wzrok pozostałych, zwłaszcza Haskeera, który śledził jego ruchy z wyrazem niesmaku na twarzy.

Kiedy zamknął sakiewkę, Keppatawn odetchnął z ulgą.

– Cieszę się, że się jej pozbyliśmy.

Jup uniósł podejrzliwie brew. Orkowie spojrzeli po sobie, ale żaden się nie odezwał.

– Proszę. – Wódz centaurów podał flakonik Hedgestusowi. – Oto łąza uroniona przez Adpar.

Wieszcz ostrożnie wziął od niego buteleczkę.

– Przyznam, że wydawało mi się to niemożliwe. Nie sądziłem, że Adpar jest zdolna do tak ludzkiego odruchu jak płacz.

– Uzaliła się nad sobą – wyjaśniła krótko Coilla.

– Ach tak...

– Ale co ja mam z nią zrobić? – spytał Keppatawn.

– Znane są pewne precedensy, które będą dla nas wskazówką. Domyślam się, że ten ekstrakt ma ogromną moc, tak jak krew czarnoksiężnika albo zmielone kości wiedźmy. Powinno się go rozcieńczyć czystą wodą w proporcji jeden do dziesięciu tysięcy.

– I ja mam to wypić, tak?

– Nie, jeśli ci życie miłe.

– I pęcherz – wymknęło się Jupowi.

Stryk posłał mu mordercze spojrzenie, ale Keppatawn potraktował jego uwagę życzliwiej i tylko się uśmiechnął.

Hedgestus odchrząknął.

– Elixirem należy przemyć uszkodzoną kończynę, ale nie zużyć całego naraz, lecz powtarzać zabieg przez trzy kolejne dni. Najlepiej po zmroku.

– I to wszystko? – zdziwił się Keppatawn.

– Dochodzą do tego, naturalnie, pewne rytuały i inkantacje, które...

– Które napełniają las kocią muzyką.

– ..pełnią niezwykle istotną rolę – ciągnął urażony Hedgestus. – I są...

Wódz uśmiechnął się i uciszył go gestem.

– Dobrze już, dobrze. Wiesz przecież, że uwielbiam z ciebie kpić, stary rumaku. Jeżeli twoja mikstura ma zadziałać, możesz sobie zawodzić nad nią nawet przez cały miesiąc.

– Dziękuję – odparł nieprzekonany wieszcz.

– Kiedy zaczynamy?

– Przygotowanie roztworu powinno zająć jakieś... cztery do pięciu godzin. Pierwszy zabieg mógłby się odbyć już tej nocy.

– Doskonale! – Keppatawn klepnął Hedgestusa w plecy, jowialnie, choć może trochę za mocno: wieszcz zachwiał się na nogach i Gelorak znów musiał mu służyć ramieniem. – Uczcijmy to! Będziemy jeść, pić i przerzucać się kłamstewkami! – Powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

– Jakoś nie rwiesz się do uczyty, Stryku. Wiem, że straciłeś żołnierza, ale z mojej strony to nie jest żaden brak szacunku. Po prostu tacy jesteśmy.

– Nie o to chodzi.

– A o co? – zainteresowała się Coilla.

– Przynosimy ci coś więcej. Nie tylko łąkę.

Haskeer wytrzeszczył oczy.

– Jak to?

Keppatawn również się zdziwił.

– Mówisz poważnie?

– Powinienem był wam powiedzieć o tym od razu – przyznał Stryk. –

Jennesta zmierza w tę stronę na czele wojska.

– O, w mordę... – mruknął Jup.

– Skąd o tym wiesz? – spytał Alfray.

– Glozellan mi powiedziała. Nie miała powodu kłamać.

– Kiedy tu będzie? – wtrącił Keppatawn.

– Za dwa, może trzy dni. Przykro mi. Ściga nas... – Stryk poklepał sakiewkę. – Chodzi jej o gwiazdy.

– Do nas nic nie ma. My do niej też nie.

– To jej nie powstrzyma.

– Przywykliśmy do tego, że musimy się bronić. Nie mamy się czego obawiać. Ale skoro chodzi jej o was, po co miałyby marnować życie poddanych? Dlaczego się rozprasza?

– Szuka nas. Pewnie dowiedziała się skądś, że jesteśmy w Scarrock. Kiedy tam nas nie znajdzie, zapuka do waszych drzwi.

– Wtedy wytłumaczymy jej, że tu was też nie ma. A jeśli zechce z nami dyskutować, drogo za to zapłaci.

– Staniemy u waszego boku – zapewnił Haskeer.

– To prawda – przytaknął Stryk. – Powinniśmy zostać i walczyć. Hobrow też ma żołnierzy, którzy mogą wrócić.

Keppatawn zamyślił się nad jego słowami.

– Miło, że to proponujecie, ale... nie. Zdaję sobie sprawę, że gwiazdy są najważniejsze. Sami stoczmy tę bitwę. Wy musicie uciekać.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, przerwał dopiero Jup:

– Dokąd?

Stryk westchnął.

– To kolejny problem.

– Którym na razie nie musicie się martwić – dodał Keppatawn. – Przyłączcie się do nas, jedzcie i pijcie z nami. Na te kilka godzin porzucicie troski. Obojętne, czy nazwiecie to świętowaniem, czy stypą.

– Teraz, kiedy wróg napiera?

– A czy rezygnując z uczy, powstrzymamy Jennestę? Wątpię. Równie dobrze moglibyśmy zjeść kleik na kolację.

– Podoba mi się ten punkt widzenia – zauważył Alfray. – Chłopcom dobrze zrobi chwila rozluźnienia.

Stryk zwrócił się do Keppatawna:

– My, orkowie, także świętujemy zwycięstwa i czcimy pamięć poległych. Byle bez przesady. – Przypomniał sobie Domostwo. To wtedy zaczęły się ich późniejsze kłopoty. Zanim wódz centaurów zdążył zaprotestować, Stryk dodał: – Wasze zaproszenie jest dla nas zaszczytem.

Z upływem czasu nastrój wyraźnie się poprawił.

Na stołach walały się kości ptactwa, dziczyzny i resztki ryb obok skorupki orzechów, łupin owoców i okruchów chleba. Zaprawione miodem, ale płynęło – i rozlewało się – strumieniami.

Służący lawirowali między stolikami z kufkami grzanego wina. Ogniska pomagały odegnać wieczorny chłód. Stryk przystał na propozycję Alfraya i polecił wydać część zapasów krystalinu. Zapalone fajki przechodziły z rąk do rąk.

Gdzieś z boku muzykanci przygrywali cicho na fletniach i harfie, inni owiniętymi materiałem pałkami wybijali stłumiony rytm na bębnach sporządzonych z wydrążonych pni drzew. Kiedy obfitość trunków, jadła i krystalinu zaczęła ciążyć atmosferze uczy, Keppatawn zastukał kufkiem w stół. Rozmowy i muzyka ucichły.

– Nie nawykliśmy do długich przemów – zagrzmiął. – Wznieśmy więc po prostu toast za naszych sprzymierzeńców, Rosomaki. – Goście podnieśli naczynia, rozległy się chrapliwe wiwaty. Keppatawn spojrzał na Stryka. – I za poległych spośród nich.

Stryk chwiejnie wstał od stołu.

– Za Slettala, Wrelbyda, Mekluna, Dariga i Kestiksa – wyliczył.

– Niech uczują w pałacach bogów – dodał Alfray.

Ten toast spełniono z powagą.

Ktoś postawił przed Strykiem napełniony kufel. Służący dorzucił przypraw, a potem włożył do naczynia rozpalone do czerwoności żelazo, żeby podgrzać napój. Buchnął kłęb aromatycznej pary.

Stryk podniósł kufel.

– Za ciebie, Keppatawnie, i za twój klan. A także za pamięć twojego czcigodnego ojca...

– Mylcastera – odpowiedział szeptem centaur.

– Mylcastera.

Wielu centaurów z szacunkiem powtórzyło to imię przed spełnieniem toastu.

– I za naszych wrogów! – zawołał Keppatawn, ściągając na siebie zdumione spojrzenia orków. – Niech bogowie pomieszają im zmysły, stępią ich ostrza i pozatykają im tyłki! – Taki toast został przyjęty wybuchem rubasznego śmiechu, zwłaszcza ze strony szeregowych. – A teraz bawcie się. Niech przyszłość sama się o siebie martwi.

Znów zagrała muzyka. Goście wrócili do przerwanych rozmów, ale Keppatawn z marsem na czole odwrócił się do Stryka.

– Mój ojciec... – westchnął. – Tylko bogowie wiedzą, co by powiedział na zmiany, których jesteśmy świadkami. Pewnie nie poznałby tej krainy. Pomieszanie pór roku, wszechobecne wojny i niesnaski, śmierć magii...

– Nadejście ludzi.

– O, tak. Ta piekielna rasa jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.

– Tutaj, w lesie, nie jest chyba jeszcze tak źle – zauważył Alfray.

– Radzimy sobie. Puszcza nas żywi i chroni, jest naszą kołyską i naszym grobem. Ale nie jesteśmy sami. Musimy utrzymywać kontakty ze światem zewnętrznym, a ten świat schodzi na psy. Nie uda nam się w nieskończoność odpierać naporu chaosu.

- Jednym wyjściem byłoby wygnanie ludzi.
- Co i tak pewnie niewiele by nam pomogło. Być może sprawy zaszły już za daleko.
- Kiedy proponowaliśmy, że zostaniemy i będziemy walczyć u waszego boku, mówiliśmy serio – odezwał się Stryk. – Wystarczy jedno twoje słowo.
- Nie. Musicie dokończyć swoją misję.
- Stryk wolał się nie przyznawać, że nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać.
- W takim razie pozwólcie chociaż, żebyśmy pomogli wam wzmocnić fortyfikacje. Na wypadek szturmów Jennesty. Mamy kilka dni przewagi.
- Na to mogę przystać. Wasze umiejętności z pewnością nam się przydadzą. Ale i dla nas, i dla was lepiej będzie, jeśli za długo tu nie zabawicie.
- Zgoda.
- Tymczasem wykujemy dla was nową broń. Zwłaszcza po tym, jak lekkomyślnie obeszlście się z naszą poprzednią dostawą – dodał znacząco, lecz dobrodusznie Keppatawn.
- Broń szybko się zużywa – wtrącił Jup. – Taki już nasz zawód.
- Dziękuję, Keppatawnie – dodał Stryk. – Cieszę się, że będziemy mogli się wam jakoś odwdzięczyć. Na razie wygląda na to, że dostaliśmy od was bardzo dużo, a w zamian daliśmy niewiele.
- Centaur zbył jego słowa machnięciem ręki.
- Broń to nic wielkiego. I tak musimy jej sporo wyprodukować. Co zaś się tyczy dawania... Jeżeli za waszą sprawą wyleczę tę uschniętą nogę... – Tu Keppatawn oparł dłoń na okaleczonym udzie. – Będzie to dla mnie najwspanialszy dar.
- Niedaleko od nich zrobiło się jakieś poruszenie i ich oczom ukazała się grupka śpiewających miarowo centaurów. Na jej czele szedł Hedgestus,

podtrzymywany przez Geloraka. Towarzyszyło im czterech lub pięciu akolitów. Powoli, dostojnie sunęli przez polanę.

– No, chwila prawdy – mruknął Keppatawn i dał znak muzykantom, żeby umilkli.

Odprowadzana wzrokiem wszystkich gości procesja zatrzymała się przy jego stole. Śpiew przycichł i przeszedł w ciche mamrotanie. Dwóch akolitów przyniosło masywną drewnianą balię z żelaznymi uchwytami, którą, po uprzątnięciu naczyń ze stołu, postawili na blacie. Była w dwóch trzecich napełniona płynem, który na pierwszy rzut oka niczym się nie różnił od zwykłej czystej wody.

– Wygląda niepozornie, co? – mruknął Haskeer.

Stryk spiorunował go wzrokiem i przyłożył palec do ust.

– No, dalej – ponaglił szamana Keppatawn. – Miejmy to za sobą.

Przyniesiono stołek. Wódz postawił na nim nogę. Hedgestus wyciągnął rękę, a jeden z pomocników włożył mu w dłoń żółtą gąbkę morską. Szaman zanurzył ją w balii, odcisnął nadmiar płynu, schylił się z wysiłkiem i zaczął obmywać nogę Keppatawna. Śpiew przybrał na sile.

Jeżeli widzowie spodziewali się natychmiastowego efektu, musieli się poczuć rozczarowani.

Po dwóch, trzech ruchach gąbki Hedgestus zauważył zaciekawione spojrzenie Keppatawna.

– Cierpliwości – zalecił. – Magia potrzebuje czasu.

Keppatawn starał się przybrać stoicki wyraz twarzy, kiedy szaman kontynuował zabieg. Śpiew nie milkł ani na chwilę.

W końcu gapie zaczęli się rozchodzić. Alfray wymknął się w towarzystwie kilku szeregowców, Haskeer ziewnął rozdzierająco i poszedł poszukać czegoś do picia, Jup oklapł, podparł brodę dłonią i zapatrzył się w dal.

Coilla, której oczy mimo alkoholu i krystalinu nadal rzucały czujne

błyśki, spojrzała znacząco na Stryka. Razem odeszli od stołu.

– Zaczynałam się o ciebie martwić – przyznała. – Zniknąłeś tak nagle...

– Prawdę mówiąc, ja też się martwiłem. – Pierwszy raz od powrotu Stryk miał okazję porozmawiać z kimś z oddziału w cztery oczy. Wreszcie mógł się trochę rozluźnić.

– Myślałam, że tym razem naprawdę już po tobie. Nie wiedzieliśmy nawet, czy cię porwano, czy odszedłeś z własnej woli. No i zabrałeś gwiazdy.

– Teraz mamy już cztery. – Stryk pogładził sakiewkę. – Nie sądziłem, że zajdziemy tak daleko.

Coilla uśmiechnęła się i wskazała resztę oddziału.

– Tylko im się do tego nie przyznawaj.

Ale Stryk nie dał się rozbawić.

– Dalej nie wiemy, co robić.

– Ani dokąd iść.

Pokiwał głową.

– Na szczycie tamtej góry stało się coś dziwnego – podjął po chwili. – Pojawił się ten człowiek, Serafim.

– Jego też Glozellan tam zawiozła?

– Chodzi o to, że wcale nie. On po prostu się tam... zjawił. Znikąd. A potem zniknął. A mogę cię zapewnić, że bez smoka nie było stamtąd ucieczki.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tak, tylko że mówił jakoś mętnie... Niby rozumiałem, do czego zmierza, ale... – Stryk zawiesił głos. Zabrakło mu słów. – Kazał mi kontynuować poszukiwania gwiazd.

– Ale po co? Kim on jest?

Stryk wzruszył ramionami. Coilla spojrzała mu w oczy.

– Źle wyglądasz. Co cię dręczy? Oczywiście pomijając całe to bagno, w

które się wpakowaliśmy...

– Nic mi nie jest. Tylko...

Chciał jej powiedzieć o snach i o tym, jak się bał, że traci zmysły.

– No?

– Chodzi oto, że ja...

Podbiegł do nich szeregowiec.

– Panie kapitanie! Kapral Alfray prosi o rozpiskę zadań na jutro.

– Dobrze, Orbonie. Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

– Tak jest.

Szeregowiec zniknął.

– Co chciałeś mi powiedzieć? – spytała Coilla.

Tamta chwila minęła.

– Nic – odparł Stryk i gestem uciszył niewypowiedziany na głos protest Coilli. – To może poczekać. Na razie mamy robotę. A potem musimy stąd wiać. Jennesta jest coraz bliżej.

ROZDZIAŁ 6



Kimball Hobrow patrzył, jak niedobitki jego armii schodzą się do obozu. Wiedział, co się stało. Konni jadący na czele regimentu jazdy, pokrwawieni i zniechęceni, opowiedzieli mu o klęsce pod Drogan. Porażka z rąk podludzi uwłaczała jego godności i budziła wściekłość. Popadł w ponurą zadumę i zabrał się do planowania następnego ruchu. Trzeba się zemścić. W końcu odwrócił się plecami do obozu i powłókł do namiotu pełniącego rolę tymczasowej siedziby sztabu.

Zgarbił się pod ciężarem misji, którą wziął na swoje barki, a poniesiona klęska przyćmiła stalowy błysk jego oczu, ale mimo to zwracał powszechną uwagę. Był bardzo wysoki i potwornie chudy, co podkreślał jeszcze czarny płaszcz i takiż cylinder. Twarz miał niegdyś czerstwą i ogorzałą jak pracujący na roli wieśniak, dopiero po ostatnich wydarzeniach cera niezdrowo mu zżółkła. Siwiejący zarost zdobił wąskie wargi i ostry podbródek. Oblicza Kimballa Hobrowa nie rozjaśniał uśmiech ani inne oznaki przyjaznych uczuć.

Jednak w jego wypadku wygląd i strój miały drugorzędne znaczenie. Hobrow należał do tych ludzi, których lodowaty żar serca wyróżnia z tłumu, nawet gdy są nadzy i uśmiechnięci od ucha do ucha.

– Ojczy! Ojczy!

Na widok córki stojącej w wejściu do namiotu nieco zmiękł. Podszedł i

położył jej dłoń na ramieniu.

– Co się dzieje, ojczy? Dzikusy nadciągają?

– Nie – uspokoił ją. – Pogan nie ma w pobliżu. Nie bój się. Jestem przy tobie.

Weszli razem do namiotu. Litość usiadła.

Była bardziej podobna do matki, o której nigdy nie rozmawiali, niż do Kimballa. Z pewnością nie była chuda jak szkielet. Nie osiągnęła jeszcze pełni wieku młodzieńczego i nie pozbyła się dziecięcego tłuszczu. Z miodowoblond włosami, cerą białą jak porcelana i kryształowo błękitnymi oczami przypominała trochę lalkę, ale ogólne wrażenie psuły srogo zaciśnięte usta i cień okrucieństwa w rysach.

W porównaniu z innymi ludźmi z otoczenia Kimballa ubiór Litości wydawał się wręcz ekstrawagancki. Zamiast czerni wolała stonowane, lecz wzorzyste stroje, czasem przyozdobione nawet dyskretną biżuterią. Zdradzało to pobłażliwość ojca wobec dziecka, pobłażliwość, której skąpił otaczającemu go światu.

– Pokonali nas, ojczy? – zapytała z szeroko otwartymi oczami. – Czy potwory nas pobiły?

– Nie, kochanie, nie pobiły nas. To Pan nas ukarał, nie podludzie. Użył ich, by zesłać nam ostrzeżenie.

– Dlaczego Bóg nas ostrzega? Jesteśmy źli?

– Nie, córeczko, nie jesteśmy źli. Po prostu jesteśmy nie dość dobrzy. Teraz już rozumiem, że Jego zdaniem za mało gorliwie wypełniamy Jego wolę. Musimy się bardziej starać.

– Ale jak, tatusiu?

– Chce, żebyśmy rozbili orków w proch i wdeptali ich w ziemię na zawsze, razem ze zdegenerowanymi ludźmi, którzy się z nimi sprzymierzyli. Wezwałem już posiłki z Trójcy; rozesłałem gońców do Hexton, Hartu, Fali, Clipstone, Wędzarni i innych porządnym,

bogobojnych osiedli w całej Centrazji. Kiedy odpowiedzą na wezwanie Pana, to będzie coś więcej niż wojna. To będzie krucjata.

Na wzmiankę o orkach twarz Litości okryła się cieniem.

– Nienawidzę tych Rosomaków – wysyczała.

– Słusznie, moje dziecko. Te potwory w szczególny sposób ściągnęły na siebie Boży gniew. Pokrzyżowały mój plan oczyszczenia ziemi w imię Pana i ukradły relikwię.

– A ten dziwoląg, krasnolud, przyłożył mi nóż do gardła!

– Wiem. – Kimball przytulił córkę gestem zarazem czułym i pełnym rezerwy. – Zapłacą za wszystko.

– Muszą umrzeć, tatusiu. – W głosie Litości zabrzmiała okrutna nuta.

– Ich dusze spłoną w ogniu – obiecał Kimball.

– Na razie nie wiemy, gdzie są.

– Ale wiemy, gdzie niedawno byli: widziano ich przecież na skraju Drogan, w towarzystwie tych ohydnych, zdiczałych pół koni, pół ludzi. Tam znajdziemy ich trop.

– Skoro Bóg tak bardzo nienawidzi gorszych ras, po co je stworzył?

– Może po to, żeby wystawić nas na próbę? A może w ogóle nie są dziełem Jego rąk, tylko wytworem Rogatego... – Kimball zniżył głos do szeptu. – Pomiotem szatana, zesłanym na ziemię, aby dręczyć ludzi czystych duchem.

Litość zadygotała.

– Chron nas, Panie – wyszeptała.

– Tak, Pan nas ochroni. I sprawi, że będziemy żyć bezpiecznie i dostatnio. Musimy tylko szerzyć Jego nowinę, ogniem i mieczem, jeśli zajdzie taka potrzeba. Taki dał nam rozkaz. – W oczach Kimballa zapłonęły jasne ogniki. Podniósł głowę i utkwiał wzrok w dali. – Słyszysz mnie, Panie? Prowadź nas, abyśmy z dumą nieśli brzemień rasowej czystości, które złożyłeś na naszych barkach! Uzbrój mnie w swój miecz zemsty i daj mi

tarczę prawości, a ja sprowadzę na dzikusów ogień Twego gniewu!

Litość również spojrzała do góry. Na jej twarzy malowała się nabożna cześć.

– Amen – wyszeptała.

– Ty nędzny tłusciochu!

– Ty zasrańcu jeden!

Jup i Haskeer z zaciśniętymi pięściami zbliżali się ku sobie, gotowi w jednej chwili przejść od obelg do rękoczynów.

– Spokój mi tu! – warknął Stryk.

Sierzanci spojrzeli na siebie spode łba. Stryk wepchnął się między nich, oparł im dłonie na piersiach i odsunął ich na boki.

– Co to ma znaczyć?! Jeśli chcecie nadal być sierżantami w moim oddziale, zachowujcie się jak sierżanci!

Jup i Haskeer skrzywili się, ale ustąpili.

– Nie życzę sobie bójek – ciągnął Stryk. – Zachowajcie siłę na wrogów. A jeśli was energia roznosi, to znajdę wam robotę. – Jednym spojrzeniem uciszył ich dalsze skargi. – Haskeer, uprzątnij gnój ze stajni. A ty, Jup... – Odwrócił się do uśmiechniętego złośliwie krasnoluda. – Widzicie to drzewo, sierżancie? – Wskazał jedno z najwyższych drzew w okolicy. – Migiem na górę. Będziecie na czujce.

Niedoszli bokserzy rozeszli się jak niepyszni.

– Zawieszenie broni nie trwało długo – zauważył Alfray.

Coilla skinęła głową.

– Jak za dawnych czasów.

– Oni chyba to lubią – stwierdził Stryk. – Przynajmniej mogą się wyładować. Zwłaszcza teraz, kiedy niewiele się dzieje.

– Szeregowcy też zaczynają się burzyć – ostrzegł Alfray. – Na razie to nic poważnego: kłócą się, biadolą... Drobiazgi.

– Na bogów, przecież jesteśmy tu dopiero od trzydziestu sześciu godzin!

– Dobrze się stało, że mogliśmy pomóc przy fortyfikacjach, inaczej dawno już by się pożarli. Ale teraz robota się skończyła...

– Nie zamierzam tolerować rozprzężenia tylko dlatego, że chłopaki mają rozpalone łby.

– Tu nie chodzi o to, że się nudzą – wtrąciła Coilla. – Są sfrustrowani. Nie wiedzą, co będzie dalej. Ty wiesz?

Stryk westchnął.

– Nie. Nie mam pojęcia, co zrobimy. I nie wiem, gdzie szukać ostatniej gwiazdy.

– Na pewno nie możemy nadużywać gościny i dumać o tym tutaj. Musimy gdzieś się ruszyć. Chyba że chcesz zaczekać i paktować z Jennestą.

– Wyruszamy jeszcze dzisiaj. Nawet jeśli będę musiał rzutem monety określić kierunek marszu.

– Do czego nas to doprowadzi? – zaprotestował Alfray. – Taka bezcelowa włość... Masz zamiar spędzić resztę życia, uciekając przed Jennestą i innymi, którzy chcą nam zabrać to, co zdobyliśmy?

Stryk był wściekły.

– Jeśli masz lepszy pomysł, to słucham!

– Patrzcie! – przerwała im Coilla.

Spojrzeli we wskazanym przez nią kierunku. Podszedł do nich Keppatawn, którego bezwładna noga już pokrywała się świeżą skórą i zaczynała odzyskiwać dawną sprawność. Centaur mniej kulał i był wyraźnie ożywiony. Stryk powiedział mu o tym.

– Z godziny na godzinę czuję się coraz lepiej – przyznał Keppatawn. – Chociaż noga nie jest jeszcze całkiem zdrowa. Hedgestus mówi, że dzisiejszy zabieg będzie ostatni i zakończy leczenie.

– Świetnie.

– A wszystko dzięki wam. – Centaur uśmiechnął się do całej trójki. – Za

ten cud jestem waszym dłużnikiem.

– Nic nam nie jesteś winien.

– Jak idą przygotowania? Wiecie już, co dalej? – zapytał Keppatawn i dodał pospiesznie: – Nie myślcie tylko, że nie chcemy was dłużej gościć...

– Nie myślimy. Prawdę mówiąc, nie zdecydowaliśmy jeszcze, dokąd się udamy, ale na pewno wyruszymy jeszcze dziś. Gdybyśmy tu zostali, nasi wrogowie staliby się waszymi wrogami.

– Cieszę się, że to rozumiecie. Broń, którą dla was wykuwaliśmy, jest gotowa. Poza tym...

Przerwał mu donośny okrzyk: Jup pędził w ich stronę co sił w nogach. Stryk spojrział na niego spode łba.

– Kazałem ci chyba...

– Sam zobacz! – wydyszał krasnolud.

Pod eskortą centaurów na polanę weszła mała grupka gości. Rysy twarzy i sposób poruszania się tych czterech czy pięciu istot zdradzały ich przynależność do rasy skrzatów. Prowadziły sznur koni i mułów objuczonych belami materiału, workami, sakwami i skrzyniami pełnymi towarów.

Szeregowcy porzucili wykonywane zajęcia i przyszli popatrzeć. Zjawił się również Haskeer. Stryk nie skomentował ich niesubordynacji.

– Widzicie? – Jup wskazał zamykający karawanę oddział, liczący około tuzina żołnierzy.

Żołnierze byli orkami.

Zaalarmowani podwładni Stryka sięgnęli po broń.

– Zdrada! – warknął Haskeer.

Keppatawn chwycił Stryka za przegub ręki trzymającej miecz.

– Nie, przyjacielu. Nic wam nie grozi. To kupcy. Regularnie nas odwiedzają.

– A ci? – Stryk ruchem głowy wskazał orków.

– Dobrze wiesz, że nie wszyscy wasi pobratymcy tworzą hordy. Niektórzy wiodą bardziej niezależny żywot. Ci tutaj wynajmują się jako strażnicy. Kupcy naprawdę nie mogą liczyć na lepszą ochronę. Zaufaj mi.

Stryk powoli schował broń i rozkazał swoim ludziom zrobić to samo. Posłuchali go, choć bez specjalnego entuzjazmu. Zwłaszcza Haskeer był niepokieszony.

Strażnicy obserwowali ich w napięciu.

– Jakże nisko upadli orkowie – mruknął Alfray. – Żeby się najmować jako piastunki dla handlarzy...

Skrzaty i centaury zaczęły wspólnie wyładowywać towary: rozwijali jedwabie i dywany, otwierali skrzynki, wywracali worki na nice. Jeden ze strażników odłączył się od reszty i ruszył w stronę Stryka.

– Nie zapominajcie, że oni też są naszymi gośćmi – przypomniał Keppatawn.

– Naturalnie – zapewnił go Stryk. – Nie rwiemy się do bitki z naszymi braćmi.

– Chyba że sami się o to proszą – zaznaczyła Coilla.

Keppatawn nie był chyba zachwycony jej słowami, ale nic nie powiedział.

Ork podszedł bliżej. Starał się trzymać ręce z dala od broni. Zachowywał – jak na orka – sporą rezerwę.

– Witajcie – zaryzykował.

Stryk odpowiedział podobnym pozdrowieniem, reszta ograniczyła się do ostrożnego skinienia głową.

– Nazywam się Melox i jestem dowódcą tego oddziału. Zdziwił mnie wasz widok... tutaj.

– My również się zdziwiliśmy. Jestem Stryk.

– Tak myślałem. Stryk i Rosomaki, prawda?

– A co?

- My też odeszliśmy z hordy Jennesty. Jesteśmy zwykłymi żołnierzami.
 - Jak to się stało, że tak skończyliście? – W głosie Alfraya zabrzmiała nutka pogardy.
 - A co innego pozostaje orkowi, który zdezerteruje z hordy? Coś przecież trzeba jeść. Zresztą o to samo mógłbym zapytać was. Bez urazy.
 - Bez urazy – zgodził się Stryk. – Nikt was nie ocenia. Nastaly ciężkie czasy.
 - Dlaczego wymówiliście służbę Jenneście? – spytała Coilla.
 - Chyba z tych samych powodów, co i wy. Nie mogliśmy jej dłużej znieść.
 - Z nami było trochę inaczej. Ale koniec końców wyszło na to samo.
 - Naszym zdaniem postąpiliście słusznie. Dawno powinniśmy byli to zrobić. – Melox skinieniem głowy wskazał karawanę. – Jeśli nas przyjmiesz do siebie, kapitanie, w jednej chwili rzucimy tę robotę.
 - Nie prowadzimy werbunku – odparł oschle Stryk.
 - Ale przecież chyba po to odeszliście ze służby, żeby przeciwstawić się Jenneście, prawda? I żeby wszystko znów było po staremu?
 - Nie.
 - Wszyscy tak sądzą.
 - Wszyscy się mylą.
- Zapadło niezręczne milczenie. Przerwał je Jup:
- Wołają cię.
- Towarzysze strażnika przywoływali go do siebie.
- Może porozmawiamy później – zasugerował Melox.
 - Dziś wyjeżdżamy – odparł Stryk.
 - Aha. Rozumiem. Gdybyś zmienił zdanie na nasz temat, kapitanie...
- Melox odwrócił się i odszedł.
- Powodzenia! – krzyknęła za nim Coilla i zniżyła głos: – Nie za ostro go potraktowałeś, Stryku?

– Nie prowadzę krucjaty. Już ci to powiedziałem.

– Chyba nie wszyscy się z tobą zgadzają.

– Znów mamy gościa – zadudnił basem Haskeer.

Tym razem w ich stronę szedł jeden z kupców. Keppatawn się uśmiechnął.

– Koniecznie powinniście go poznać.

Skrzat był niski i krzepki, ale wydawał się przy tym dziwnie kruchy i delikatny. Miał odrobinę kobiece rysy, wydatne usta, rozmarzone, nieco skośne oczy, gładką bladą cerę i drobny, trochę zadarty nos. I spiczaste uszy. Zielony filcowy kapelusz nie mógł ukryć szopy czarnych włosów. Spodnie i kurtka skrzata też były zielone, do tego nosił pasek z brązowej skóry z błyszczącą klamrą, a na wierzch narzucił czarny płaszcz z zieloną lamówką. Uszyte z miękkiej skóry buty, które na wysokości kostki rozchylały się jak płatki kwiatu, powszechnie nazywano „skrzacimi trzewikami”.

Trudno było ocenić wiek kupca, ponieważ wszystkie skrzaty miały dziecinne twarzyczki. Głos również go nie zdradzał – mógłby od biedy należeć do dziecka, ale dziecka, które niejedno w życiu widziało.

– Keppatawn! – ucieszył się skrzat. – Tak się cieszę, że znów cię widzę, ty stary łotrze, oj, ty, ty! Twoja noga! – zapiszczał. – Co za poprawa! Cudownie! – Mrugnął teatralnie. – Do twarzy ci z nią.

Centaur roześmiał się i ucisnął wyciągnięte na powitanie drobne dłonie, które w jego rękach wydawały się jeszcze mniejsze.

– Witaj. Ja też się cieszę, że cię widzę. – Okręcił gościa wokół osi. – Poznaj moich przyjaciół, Rosomaki.

– Słyszałem o was! – wykrzyknął skrzat. – Jesteście wyjęci spod prawa, prawda?

– To jest Stryk, kapitan i dowódca Rosomaków – ciągnął Keppatawn. – Stryku, to Katz, sławny kupiec.

– Jestem zaszczycony, kapitanie.

Katz podał Strykowi rękę. Stryk przyjął ją i uścisnął ostrożnie, starając się nie zrobić maluchowi krzywdy.

– Eee... Ja również.

Keppatawn przedstawił pozostałych oficerów z imienia i jednym gestem wskazał wszystkich szeregowców. Tym razem Katz ograniczył się do skinienia głową; nie próbował już nikomu podawać ręki – co, biorąc pod uwagę, że musiałyby się przywitać także z Haskeerem, było chyba całkiem rozsądnym posunięciem. Haskeer patrzył na Katza takim wzrokiem, jakby chciał mu odgryźć ramię.

– Wiecie co, orkowie? – trąkotał Katz. – Jak na gości, którzy cieszą się tak fatalną reputacją nie jesteście wcale tacy najgorsi. Przekonałem się o tym na przykładzie mojego orszaku. To kapitalni goście, jeden w drugiego. Zawsze skorzy do pomocy, gorliwi, no i najlepsi strażnicy, jakich można mieć za pieniądze. My, skrzaty, nie mamy wojowniczej natury, o czym z pewnością wiecie, więc...

– Czy tobie się nigdy gęba nie zamyka? – wymamrotał Haskeer.

– Naturalnie! Ależ ze mnie gapa. Zabawiam was pustą gadką, zamiast pokazać towary, których pewnie z utęsknieniem wypatrujecie.

– My nie...

– Wiem, co sobie myślicie. Zadajecie sobie pytanie, jakim cudem ma być was stać na cuda, które za chwilę wam zaprezentuję. Nie martwcie się na zapas. Moje ceny są tak przystępne, że można by pomyśleć, że okradam sam siebie, co zresztą jest zgodne z prawdą. A gdyby jednak i one okazały się zbyt wygórowane, jestem gotowy do negocjacji.

– Ale ja wcale...

– Czego ci trzeba? – ciągnął niezmordowany Katz. – Garnków? Butów? Siodła? Miękkiej derki? – Cieniutkim palcem szturchnął Haskeera w pierś.
– A może kupon doskonałej bawełny z pięknym kwiatowym wzorem?

– A na co mi to?!

– No... Mógłbyś na przykład zmienić ten niemodny mundur.

Przez twarz Haskeera przemykały kolejno różne emocje, gdy próbował odgadnąć, czy właśnie został obrażony. Jup zatkał sobie dłonią usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Coilla z nagłym zainteresowaniem zaczęła podziwiać czubki swoich butów.

– A jak... Jak idą interesy? – wtrącił Alfray.

Katz wzruszył ramionami i przybrał filozoficzną minę.

– Gdybym sprzedawał kapelusze, klienci rodziliby się bez głów.

– To normalne, że kupiec skarży się na interesy – zauważył Keppatawn.

– Żyjemy w ciężkich czasach – zaprotestował Katz. – Bogowie powinni nam, uczciwym handlarzom, trochę odpuścić. – Westchnął ciężko. – Ale takie już nasze przeznaczenie.

Coilla – zadowolona, że udało się wyłączyć z rozmowy Haskeera, który teraz burczał coś pod nosem – złapała haczyk.

– Nie wierzysz w wolną wolę?

– Czasem wierzę. Ale podejrzewam, że większość naszych działań jest z góry wyznaczona przez bogów i gwiazdy.

– Znaki słoneczne? – mruknął Haskeer. – Skrzatowe pieprzenie!

Katz nie dał się sprowokować.

– O, proszę, odezwał się prawdziwy Koziół Morski.

– Wcale nie – odburknął Haskeer.

– W takim razie... Żmija.

– Nie.

– Pieśniarz? Kotwica? Skarabeusz?

– Nie, nie i nie.

Katz potarł skronie.

– Nie mów, nie mów... Niedźwiedź?

– Też nie.

– Orzeł? A może Woźnica?

Haskeer skrzyżował ramiona na piersi i zakołysał się na piętach.

– Bazyliszek? Długoróg? Tak jest! Trafiłem! Długoróg, oczywiście, że Długoróg. Zawsze zgadną. Taki mam dar.

Haskeer mruknął coś groźnie i gardłowo.

– A zatem jako wybredny Długoróg z pewnością docenisz zalety szykownych materii, które wyceniam na zaledwie...

Haskeer nie wytrzymał: z rykiem doskoczył do skrzata, złapał go za gardło i podniósł z ziemi.

– Sierzancie! – zawołał Keppatawn. – Na bogów! Proszę nie zapominać, że skrzaty...

Rozległ się głośny dźwięk przypominający rozdieranie materiału i z tylnej części ciała kupca buchnął jęzor żółtego płomienia. Stojący trzy metry dalej szeregowcy odskoczyli i zaczęli zdeptywać tłącą się trawę.

– ...mają zdolności pirokinetyczne.

Haskeer puścił skrzata i pospiesznie się od niego odsunął.

Katz uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Przepraszam najmocniej. Nerwowy rozstrój żołądka.

– Chyba będzie najlepiej Jeśli przejdziemy do interesów – stwierdził dyplomatycznie Keppatawn i oddalił się, zabierając ze sobą Katza.

Orkowie z Haskeerem na czele rozdziawili usta i odprowadzili wzrokiem skrzata, który miał osmolone spodnie i lekko utykał.

– Zadki to muszą mieć chyba z kwarcu – stwierdził z niekłamanym podziwem Jup.

Gelorak przytknął palec do ust, dając znać Coilli, żeby była cicho.

Zmrużyła oczy, ale z początku i tak niczego nie widziała w gęstwinie. Dopiero kiedy zauważyła jakiś ruch, dostrzegła też obiekt ich poszukiwań.

A właściwie dwa obiekty. Dwie postacie, wysokie jak centaury i muskularne, o mocnych kończynach. Nogi miały okryte skołtunionym,

ciemnym futrem i zakończone rozdwojonymi racicami. Pierś, szeroka i normalnie owłosiona, upodabniała je do centaurów albo kudłatych ludzi. Kozie brody i krzaczaste brwi pasowały do smoliście czarnych włosów, schodzących nisko na czoło. Kanciaste rysy twarzy i przenikliwe oczy o przebiegłym spojrzeniu dopełniały wizerunku. Jeden ze stworów trzymał w ręku fletnię.

– Pierwszy raz je widzę – szepnęła Coilla.

– Są bardzo ostrożni – wyjaśnił Gelorak. – Nawet my rzadko spotykamy satyrów, chociaż często słyszymy ich muzykę.

– Jesteście wrogami?

– Nie. Satyrowie tak jak my żyją w lesie i mają takie samo prawo tu mieszkać. Nie wchodzimy sobie nawzajem w drogę.

Coilla pochyliła się, żeby lepiej widzieć, i postawiła nogę na leżącej na ziemi gałązce, która pękła z trzaskiem. Satyrowie zamarli. Błysnęły dwie pary żółtych, nieco kocich oczu, a potem obaj zniknęli – błyskawicznie i bezszelestnie.

– Psiakrew... Przepraszam.

– Nic się nie stało. I tak mieliśmy szczęście, że udało nam się ich podejść. – Gelorak podniósł wzrok. Niebo prześwitywało pomiędzy liśćmi.

– Minęła ponad godzina. Twój oddział na pewno szykuje się do wymarszu. Wracamy?

Coilla uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Dziękuję, Geloraku.

Ciekawa była, czy Stryk wymyślił wreszcie, dokąd pójda.

Przedarli się przez gąszcz i odnaleźli polanę. Rosomaki pakowały juki. Większość szeregowców była zajęta przy koniach, Stryk, Alfray i Jup rozmawiali z Katzem. Haskeer trzymał się z boku, zerkając podejrzliwie na skrzata.

Gelorak zajął się swoimi sprawami, a Coilla dołączyła do oddziału.

Stryk właśnie upychał bagaż w jukach przy siodle.

– Co postanowiłeś? Dokąd się udajemy?

– Może na północ?

– Dlaczego?

– A dlaczego by nie?

– Dla mnie może być.

Podeszła do Alfraya i Jupa.

Stryk przykucnął i wyłożył gwiazdy z sakiewki na trawę. Katza zamurowało. Dopiero po chwili odzyskał głos.

– Widziałem już coś takiego – stwierdził jakby od niechcienia. – Parę miesięcy temu.

Nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Hm? – mruknął tylko Stryk, zajęty pakowaniem.

– Widziałem takie coś. – Katz wskazał palcem. – No, podobne. U ludzi.

Stryk podniósł wzrok.

– Gdzie?

– Wyglądało inaczej... ale podobnie.

– Podobnie do tych gwiazd?!

– A tak je nazywacie? – Na widok wyrazu twarzy Stryka Katz stężał i spojrzał na pozostałych. – Co się stało?

Na polance zawrzało.

ROZDZIAŁ 7



Cały oddział stłoczył się wokół skrzata i zarzucił go pytaniami. Oszołomiony Katz rozdziawił usta. Zaniemówił.

Haskeer przepchnął się przez tłum, złapał skrzata za kark i potrząsnął nim.

- Gdzie?! – ryknął. – Kto?!
- Uważaj! – przypomniał mu Alfray.
- I nie celuj nim w moją stronę! – ostrzegł Jup.
- Spokój, do cholery! – warknął Stryk.

Haskeer oprzytomniał i delikatnie postawił kupca na ziemi. Wrzawa przycichła. Stryk odepchnął orków, robiąc skrzatowi więcej miejsca.

– Przepraszam, Katz.

Katz przełknął ślinę i odetchnął z ulgą. Roztarł kark. Jego strażnicy już pędzili w stronę zbiegowiska. Stryk podniósł ręce w uspokajającym geście.

- Wszystko w porządku! – zawołał. – Nic się nie stało.
- Zgadza się – wyskrzecztał Katz i odprawił ochroniarzy. – Nic mi nie jest.

Orkowie stanęli w pół kroku i niechętnie, bo niechętnie, ale jednak się cofnęli.

Stryk skrzywił się i położył rękę na ramieniu skrzata.

- Źle się zachowaliśmy, ale to bardzo ważne, co powiedziałaś.

Moglibyśmy wrócić do tej rozmowy?

Katz skinął głową. Ork gestem wskazał leżące na trawie gwiazdy.

– Mówiłeś, że widziałeś coś takiego już wcześniej.

– To było podobne. Miało inny kolor i inną liczbę szpikulców, ale poza tym wyglądało tak samo.

– Jesteś pewien?

– Minęło już trochę czasu, ale... Tak, jestem pewien.

– Gdzie to było?

– Na Cyplu Ruffeta. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem, na południu. Jest tam osada Mnogów.

– Zgadza się, na samym czubku cypla. Cały czas coś się tam buduje, ale handel kwitnie.

– Co się buduje?

– Nie słyszeliście?

– O czym?

– Mają tam wyciek. Potężny. Energia ucieka z ziemi. Próbowali go jakoś zatamować, zatrzymać upływ magii.

– I co, udało im się?

– Nie wiem. Kiedy odjeżdżaliśmy, nie byli jeszcze gotowi, ale na mój gust nie mają szans. Nikt by nie miał. W każdym razie budowali jakąś świątynię i tam właśnie widziałem gwiazdę. Powiem wam tylko jedno: Mnogowie nie byli zachwyceni, że ją zobaczyłem. Zaraz mnie stamtąd przepędzili. – Katz zapatrzył się na gwiazdy. – Czym one właściwie są?

– Niektórzy nazywają je instrumentariumi.

– Instru... To są instrumentaria?!

– Słyszałeś o nich?

– Kto nie słyszał! Ale zawsze uważałem, że to bajka. Nie mogą być prawdziwe.

– Chyba jednak są.

– W Maras–Dantii widziałem już całą masę tak zwanych „prawdziwych” relikwii. Mało która jest autentyczna.

– Te są inne.

W oczach skrzata zapaliły się pożądliwe ogniki.

– Jeżeli to prawdziwe instrumentaria, dla odpowiedniego kupca byłyby warte fortunę. Gdybyście się zgodzili, żebym pośredniczył...

– Mowy nie ma – stwierdził stanowczo Stryk. – Nie są na sprzedaż.

Ten pomysł najwyraźniej nie mieścił się Katzowi w głowie.

– To po co je zbieracie, jeśli nie chcecie ich spieniężyć?

– Wartość przedmiotów wyraża się w różnej walucie – odparła Coilla. – Niekoniecznie w pieniądzech.

– Ale powiedziałem wam, gdzie macie szukać następnej. To chyba jest coś warte?

– No jasne – przytaknął Haskeer. – Ujdiesz z życiem.

Keppatawn zjawił się w samą porę, by zapobiec eskalacji nieuprzejmości.

– O co chodzi? – zapytał.

– Katz skierował nas na trop następnej gwiazdy – wyjaśnił Stryk.

– Tak? Gdzie macie jej szukać?

– Na Cyplu Ruffeta.

– Słyszałeś o tym wycieku magii, Keppatawnie? – zainteresował się Alfray.

– Owszem. Trwa to już od jakiegoś czasu.

– Czemu nic nam nie powiedziałeś?

– A po co? Nie sądziłem, że to was zainteresuje. Przykro mi to mówić, ale podobne wycieki zdarzają się coraz częściej, odkąd ludzie zaczęli grzebać w magii. – Centaur odwrócił się do Katza. – Czy twoje informacje są pewne?

– Widziałem coś, co wyglądało tak jak te rzeczy. – Skrzat wskazał

gwiazdy. – To wszystko.

– Dlaczego miałyby lepiej trafić w tym wypadku niż przy zgadywaniu znaków solarnych? – zapytał Haskeer.

– Może masz rację – przyznał Stryk. – Ale to nasz jedyny trop. Mamy wybór: albo będziemy się włóczyć bez celu, albo pojedziemy na Cypel Ruffeta. Ja stawiam na Cypel.

Nie musiał nic dodawać, większość orków odpowiedziała mu pomrukiem aprobaty.

– Instrumentaria wynurzają się z niebytu... – Keppatawn się zamyślił. – To nie przypadek.

– Chociaż trudno w to uwierzyć – zauważył Alfray.

– Wy, orkowie, macie wiele cech godnych pozazdrosczenia. Jednakże, jeśli mogę tak się wyrazić, miewacie również nazbyt praktyczne podejście do życia. My, centaury, też jesteśmy pragmatykami, ale zdajemy sobie sprawę, że rzeczywistość to coś więcej niż to, z czym się na co dzień stykamy. To, że nie widzimy dłoni bogów, nie znaczy jeszcze, że nie kierują naszymi sprawami.

– Moglibyśmy już przestać kłapać dziobami i podjąć jakąś decyzję? – zniecierpliwił się Jup.

Stryk zaczął zbierać gwiazdy do sakiewki.

– Ruszamy na Cypel Ruffeta.

Dwie godziny później zostawili Las Drogan daleko za sobą.

Mieli nową broń, świeże konie i zapas żywności, a przede wszystkim nowy cel wędrówki.

Jechali na południowy zachód, w głąb półwyspu, mając po lewej stronie Zatokę Calyparr. Po prawej ląd niezbyt wysokim urwiskiem opadał do Norantelii. Gdyby utrzymali dotychczasowe szybkie tempo, w dwa dni powinni dotrzeć na Cypel.

Stryk ciągle bił się z myślami, czy powiedzieć kompanom o swoich

snach; nikomu też nie wspomniał o tym, że gwiazdy do niego śpiewały. Jeszcze raz porozmawiał z Haskeerem o jego przygodzie ze śpiewającymi gwiazdami, ale sierżant też nic z niej nie rozumiał, a w dodatku był dziwnie – jak na niego – małomówny. Jakby chciał zapomnieć o tamtym wydarzeniu. Stryk pocieszał się, że to mało prawdopodobne, by obaj z Haskeerem mieli dokładnie te same objawy obłądu. Mając to na uwadze i wiedząc wreszcie, dokąd jechać, wziął się trochę w garść. Tylko sprawa snów nie dawała mu spokoju.

Wszystkie te myśli ciążyły mu tak bardzo, że nie od razu usłyszał, jak ktoś go woła.

– Stryku? Stryku!

– Hę?

Odwrócił się. Coilla przyglądała mu się z zaciekawieniem, podobnie jak jadący obok niej Jup, Alfray i Haskeer.

– Myśłami błędzisz pół kontynentu stąd – przycięła mu delikatnie. – Co się dzieje?

– Nic.

Widząc, że kapitan nie ma ochoty o tym rozmawiać, Coilla zmieniła temat.

– Mówiliśmy właśnie o tym, że szkoda Meloksa i pozostałych. Że też musieli się nająć do takiej pracy...

– Czyli powinienem był pozwolić im do nas przystać, tak?

– No wiesz...

– Nie możemy przygarniać wszystkich bezdomnych.

– Nie mów tak o nich. Może trzeba się było zastanowić...

– Nie, Coillo.

– Pomyśl, co z nimi dalej będzie...

– A z nami? O nas nie zapytasz? Poza tym nie jestem ich mamką.

– To nasi bracia.

- Wiem. Jak myślisz, jak by się to skończyło?
- Może byś stanął na czele prawdziwego powstania. Przeciw Jenneście, ludziom i wszystkim, którzy ograniczają naszą wolność.
- Piękny sen.
- Nawet gdybyśmy mieli przegrać, czy nie lepiej zginąć w walce? Próbując coś zmienić?
- Może i lepiej, ale nie wiem, czy zauważyłaś, że jestem tylko kapitanem, nie generałem. To nie moja rola.
- Ty naprawdę nie widzisz, co się dzieje? – Coilla cała się zjeżyła. – Nie patrzysz dalej niż czubek własnego nosa!
- Dowodzenie tym oddziałem kosztuje mnie wystarczająco dużo wysiłku. Niech ktoś inny walczy z całym światem.
- Rozwścieczona jego uporem Coilla umilkła, za to Alfray podjął przerwany wątek:
 - Jeżeli faktycznie tak dużo zniechęconych orków wypowiada posłuszeństwo Jenneście, może udałoby się stworzyć prawdziwą armię. Kiedy tak patrzę, co się dookoła dzieje, to muszę przyznać, że w masie siła. Im nas więcej, tym jesteśmy bezpieczniejsi.
 - I tym bardziej zwracamy na siebie uwagę – zauważył Stryk. – W tej chwili jesteśmy małym, mobilnym oddziałem, możemy zaatakować i odskoczyć. Wolę to niż dowodzenie armią.
 - Co nie zmienia faktu, że orkowie zawsze i wszędzie są poszkodowani. To by się mogło wreszcie zmienić.
 - No właśnie – zawtórował Alfrayowi Haskeer. – Dla wszystkich jesteśmy chłopcami do bicia. Ludzie straszą nami dzieci. Ich zdaniem wyglądamy jak ceglane sracze z zębami.
 - Chcesz walczyć o dobre imię orkowej rasy, wolna droga – odparł Stryk. – My tymczasem znajdziemy ostatnią gwiazdę. Albo zginiemy, próbując ją znaleźć.

– Czyli wszystko zostaje po staremu? – wtrącił Jup.

Dobiegający z oddali dźwięk przerwał im rozmowę: wysoki, przenikliwy, żalony. Nieziemski. Włoski na karkach stanęły im dęba, na rękach pojawiła się gęsia skórka. Konie się spłoszyły.

– Co to znowu... – szepnęła Coilla.

Alfray przekrzywił głowę. Nasłuchiwał.

– Banshee – stwierdził bez wahania. – Dawniej można było przeżyć całe życie i nigdy żadnej nie usłyszeć.

– Dla mnie to pierwszy raz – przyznał Jup, z trudem powstrzymując się od wzdrygnięcia. – Ale już rozumiem, dlaczego płacz banshee ma zwiastować nieszczęście.

– Ja już raz go słyszałem. Dawno temu. W przeddzień jednej z wielkich bitew z ludźmi, przy trakcie na Carascrag. Wtedy przepowiednia się sprawdziła. Tysiące poległych... Tego się nie zapomina.

– Dziś nie są już taką rzadkością – dodał Stryk. – Podobno wszędzie można je usłyszeć.

Po niewiarygodnie długim czasie lament przycichł, aż wreszcie zgasł zupełnie. Wszyscy byli przygnębieni. A na dodatek zaczął padać deszcz. Krople wielkie jak perły miały barwę rdzy i odrażający zapach.

– Niech to szlag! – mruknął Jup. Postawił kołnierz i otulił się kurtką.

– Jeszcze jeden prezent od tych zawszonych ludzi – burknął Haskeer, idąc w jego ślady.

Kilku orków spojrzało w stronę lodowca, który mieli za plecami – nie było go widać, ale nie dawało się o nim zapomnieć. W niewesołych nastrojach ruszyli dalej.

Minęła godzina w strugach deszczu. Kiedy znów rozległy się rozmowy, ktoś wspomniał o Adpar i innych tyranach.

– Chciałam cię o coś zapytać, Stryku – odezwała się Coilla. – Na śmierć o tym zapomniałam, ale kiedy byliśmy w królestwie Adpar, a ona leżała na

łożu śmierci, powiedziałaś, że umiera z winy Jennesty. Skąd wiedziałaś?

– Dobrze pytanie – zawtórował jej Alfray. – Przecież nie wiemy, co ją zabiło.

Stryka замуrowało. Do tej pory w ogóle nie wracał pamięcią do tamtej sceny.

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałem... Chyba chciałem sprowokować ją do jakiejś reakcji.

– No i udało ci się. Oprzytomniała na chwilę.

– Co jeszcze nie znaczy, że miałem rację. Może samo imię Jennesty tak ją poruszyło.

– Może i tak...

– A może ujawniają się twoje zdolności prorocze, kapitanie – zasugerował pół żartem, pół serio Jup. – Oby były lepsze od moich.

Stryk wcale nie był rozbawiony.

– Orkowie nie...

Strzała świsnęła mu koło ucha. Koń spróbował stanąć pod nim dęba i Stryk musiał mocno ściągnąć wodze.

– W tył zwrot! – zakomenderował Jup.

Orkowie zaczęli się odwracać. Dobyli broni.

Dwukrotnie liczniejszy oddział galopował w ich stronę na złamanie karku. Jeźdźcy dosiadali kudłatych, złośliwie łypiących ślepiami karłowatych jaków, sami zaś byli o jedną trzecią niżsi od orków i dość krępi. Mieli okrągłe, nieproporcjonalnie duże głowy, odstające uszy i wyłupiaste oczy z obwisłymi powiekami. Z włosów na czaszce mogli pochwalić się tylko gęstymi bokobrodami. Ich pomarszczona skóra miała zielonkawy odcień.

– Gremliny? – zdziwił się Haskeer. – Co myśmy im zrobili, do licha?

– Chcesz zapytać? – spytał kpiąco Stryk.

– Równać szyk! – ryknął Alfray.

Część napastników w pierwszym szeregu była uzbrojona w malutkie, mocno wygięte łuki. Gremliny strzeliły w biegu. Strzały przeleciały nad głowami Rosomaków, jedna utkwiała w siodle Haskeera, inna zraniła szeregowca w rękę. Kilku Rosomaków strzeliło w odpowiedzi.

– Dość tej zabawy! – zawołał Stryk. – Do zwarcia!

Spiął konia i ruszył na czele oddziału. Zbryzgani błotem orkowie w strugach ulewnego deszczu runęli na wroga. Rozległy się krzyki, szcęknięto żelazo, zawirowały miecze, błysnęły groty włóczni, zderzyły się tarcze.

Stryk szybko uporał się z pierwszym gremlinem. Uniknął źle wymierzonego ciosu, rozchlastał przeciwnikowi pierś i strącił go na ziemię. Następny, z którym skrzyżował ostrze, natarł ze zdumiewającą wręcz zaciętością. Cięli i rąbali na odlew, stal uderzała o stal w prymitywnej, przenikliwej melodii, aż w końcu większa siła pozwoliła Strykowi przełamać obronę gremlina. Celnym pchnięciem przebił mu płuco i natychmiast wdał się w następny pojedynek.

Alfray zaszarżował między dwóch przeciwników, w biegu obracając drzewce do poziomu. Uderzył oba gremliny jednocześnie, na tyle silnie i na tyle wysoko, żeby ich wysadzić z siodła. Natychmiast odwrócił drzewce do pozycji obronnej i sparował cios następnego. Uchylił się przed jego cięciem, pchnął lancą i wypatroszonego zepchnął z grzbietu jaka.

Coilla wzięła krótki zamach i rzuciła jednym z noży, trafiając gremlina w oko. Zawył z bólu i stoczył się w sam środek zwierzęcej ciżby. Namierzyła już następny cel i przygotowała się do rzutu, kiedy inny gremlin zamierzył się na nią w przelocie i ciął z boku.

Jego ostrze omal nie odcięło jej nosa. Chwyciła go za przegub dłoni z mieczem, zacisnęła palce jak mały niedźwiadek zęby i wolną ręką zaczęła dźgać nożem. Trzy szybkie, głębokie pchnięcia załatwiły sprawę. Trup zwałił się na ziemię.

Jeden z jego towarzyszy natarł na nią ze wzniesioną tarczą. Szabla ze świstem cięła powietrze. Coilla położyła się na grzbiecie rumaka, zaparła nogą o tarczę gremlina i, stęknąwszy z wysiłku, zrzuciła go z siodła. Spadł pod nogi tańczących w miejscu koni i jaków. Ledwie zdążyła się wyprostować, gdy doskoczył do niej następny żądny sławy gremlin. Wyszarpnęła miecz z pochwy.

Haskeer stracił swój miecz już przy jednym z pierwszych przeciwników: ostrze utkwilo we wnętrzościach gremlina i zniknęło razem z nim. W podobny sposób rozstał się ze sztyletem. Teraz zwijał się jak w ukropie, robiąc uniki i szukając jakiejś broni.

Dostrzegł swoją szansę, zrównawszy się z szeregowcem, który wdał się w wymianę ciosów z przeciwnikiem. Skoncentrowany na pojedynku gremlin był łatwym łupem dla żadnego krwi orka: Haskeer wyciągnął ręce, zdjął go z grzbietu jaka i nabił go z impetem na łęk własnego siodła, łamiąc mu kręgosłup. Wyłuskał miecz z drgających palców i zepchnął ciało na ziemię.

Inny gremlin ruszył na niego z włócznią gotową do ciosu. Haskeer obrócił konia w miejscu, uniknął pchnięcia i uderzył mieczem w drzewce, rozcinając je na dwoje. Zdążył się jeszcze zamachnąć i ciąć po raz drugi, tym razem w chudy kark gremlina. Miejsce powalonego zaraz zajęło dwóch następnych. Z bojowym okrzykiem na ustach Haskeer runął na nich jak burza.

Korzystając z chwili względnego spokoju, Stryk ogarnął spojrzeniem pole bitwy. Powalili około połowy przeciwników. Szeregowcy spisywali się na medal, nikt chyba nie odniósł poważniejszych obrażeń. Wyglądało na to, że jeden zryw powinien przesądzić o zwycięstwie. Stryk wjechał w młyn walczących i zaczął ciąć na prawo i lewo.

Po kolejnych dziesięciu minutach wścieklej rąbaniny walka była skończona. Te gremliny, które jeszcze mogły się ruszać, podały tyły,

porzuciwszy na placu boju zwłoki kompanów i nieliczne martwe jaki, rozwleczone na błotnistej ziemi.

Coilla załatwiła jeszcze jednego: rzuciła nożem i trafiła gremlina między łopatkami. Stryk podjechał do niej.

– Gonimy ich? – spytała.

Deszcz siekł go w oczy. Zmrużył powieki.

– Nie. Nie ma czasu na zabawę. – Przyłożył stulone dłonie do ust. – Wstrzymać pościg! Do mnie!

Nieliczni szeregowcy, którzy rzucili się w pogoń za gremlinami, posłusznie osadzili konie w miejscu. Bryznęło błoto. Inni zaczęli sprawdzać, czy któryś z leżących jeszcze żyje.

Jup, Alfray, a w końcu także i Haskeer dołączyli do Stryka i Coilli.

– Co to miało znaczyć?! – Alfray nie posiadał się ze zdumienia.

Stryk wzruszył ramionami.

– To wiedzą tylko bogowie. Jakie mamy straty?

– Chyba nic poważnego. Zaraz opatrzę chłopakom rany.

– Może to zwykli łowcy nagród – zasugerowała Coilla.

– Albo kolejni najemnicy Jennesty – podsunął Jup.

– Nikt nie wynająłby gremlinów do takiej roboty. Ale z tą nagrodą możesz mieć rację.

Zawołał ich jeden z szeregowców.

– O co chodzi, Hystykk? – odkrzyknął Stryk.

– Jeden jeszcze dycha, kapitanie!

Zsiedli z koni i brodząc w błocie, podeszli bliżej. Alfray pierwszy uklęknął w lepkiej mazi przy gremlinie, który wyglądał całkiem młodo – w każdym razie dla orków. Miał paskudną ranę w piersi; krew ciekła z niej strumyczkami, mieszała się z deszczem, krzepła na ubraniu.

Gremlin dyszał ciężko. Miał otwarte oczy i cały czas oblizywał wargi.

Jup od razu przeszedł do rzeczy.

– Czego chcieliście? Chodzi o nagrodę?

Gremlin próbował się skoncentrować, ale nie zrozumiał pytania.

– Dlaczego nas zaatakowaliście? Dla nagrody?

Alfray zaczął oglądać ranę. Gremlin zakaszłał, z kącika ust pociekła mu czerwona strużka – ale przemówił.

– Zemsta – wyszeptał.

Stryk zbaraniał.

– Jaka zemsta?

– Wendeta... Odwet...

– Ale za co? Co wam zrobiliśmy?

– Mord... Brata.

– Twierdzisz, że zabiliśmy jednego z was?

– Zabiliśmy ostatnio jakiegoś gremlina? – zdziwił się Haskeer. Coilla dała mu znak, żeby siedział cicho.

– Kogo niby mieliśmy zabić? – spytał stanowczym tonem Stryk.

– Z mojego klanu... wuja... – wystękał gremlin. Zaczynał rzeźzić.–
Stary... niegroźny... mędrzec... Nie... zasłużył...

Coś ścisnęło Stryka w żołądku.

– Jak się nazywał?

Gremlin przez chwilę patrzył na niego bez słowa, zbierając siły.

– Mobbs – wykrztusił w końcu.

Strykowi natychmiast przypomniał się sen i przeczucie, że znalazł się w zaświatach. Wspomnienie zmroziło mu krew w żyłach.

– Ten mól książkowy? – upewnił się Haskeer.

Coilla pochyliła się nad rannym.

– Mylisz się. Spotkaliśmy Mobbsa po drodze i to wszystko. Kiedy się rozstawaliśmy, był cały i zdrów.

Nie była pewna, czy jej słowa docierają do gremlina.

Alfray nie ustawał w swoich staraniach, ale krew wciąż sączyła się z

rany. Kawałkiem bandaża otarł deszcz ściekający po twarzy gremlina.

– Przykro nam z powodu śmierci Mobbsa – odparł Stryk. – Nie był naszym wrogiem. Nawet w pewnym sensie powinniśmy mu być wdzięczni.

Haskeer prychnął pogardliwie.

– Ale dlaczego myślisz, że to my go zabiliśmy? – naciskał kapitan.

Gremlin oddychał teraz szybko, płytko, z wysiłkiem.

– Znaleźliśmy... go... W okolicy była... banda... orków. Czarna... Skała... – Mimo cierpienia na jego twarzy odmalowała się pogarda. – Dobrze... wiesz...

– Wcale nie! – krzyknęła Coilla. – My go uratowaliśmy, na bogów!

– I od tamtej pory cały czas nas tropicie? No, no... – mruknął Stryk. – Muszę cię zmartwić, przyjacielu. Wasze starania poszły na marne.

– Delorran – domyśliła się Coilla.

– Oczywiście. – Stryk westchnął. – Któżby inny? Założę się, że Jennesta szerzy tę nowinę, gdzie może, żeby jeszcze bardziej zhańbić nasze imię. – Spojrzał na gremlina. – To nie byliśmy my. Możesz mi wierzyć.

Ranny jakby go nie słuchał.

– Macie wielu... wrogów. Długo... nie pociągniecie.

– Niepotrzebnie daliście się zabić. Nie dość jest śmierci na świecie?

– Niezła gadka... jak... na... orka...

– Nie jesteśmy zwierzętami. Ale kiedy ktoś rzuca się na orków, powinien wiedzieć, że się odgryziemy. Taka już nasza natura. A wracając do Mobbsa, zapewniam cię, że...

Alfray położył Strykowi dłoń na ramieniu i pokręcił głową, a potem nachylił się i zamknął gremlinowi powieki.

Stryk wstał.

– Cholera! Wszędzie przynosimy tylko cierpienie i śmierć.

– A na dodatek wszyscy mają do nas pretensje – zauważył Jup.

– Biedny Mobbs – mruknęła Coilla.

– Zginął przez nas – stwierdził Stryk. – Nie my go zabiliśmy, ale jesteśmy winni jego śmierci.

– Nieprawda.

– Tak uważasz?

Coilla nie odpowiedziała. Nikt się nie odezwał.

Nagle Stryk przypomniał sobie, że przynajmniej Delorran zapłacił za to morderstwo. Tylko skąd to wiedział? Ze snu, prawda? Deszcz się nasilał.

ROZDZIAŁ 8



Krople bębniły o płótno.

Jennesta spacerowała niespokojnie po namiocie. Nie grzeszyła nadmiarem cierpliwości, a w dodatku nigdy nie rozumiała płynących z niej rzekomych korzyści. Wyznawała zasadę, że tłuszcz może sobie czekać, a przywódcy po prostu biorą, co im się należy. Tak należało załatwiać sprawy – sięgać jak po swoje. Ale tym razem to, czego pragnęła, znajdowało się poza jej zasięgiem.

Martwiło ją też wyczerpywanie się zasobów energii ziemi. Jej magia coraz częściej zawodziła, a odbudowywanie zapasów mocy wymagało coraz więcej zachodu.

Frustracja i niepewność przyszłości czyniły ją bardziej niebezpieczną niż zwykle – a to w przypadku Jennesty znaczyło naprawdę dużo.

Miała ochotę wydać jakiś bezsensowny rozkaz, taki, którego jedynym efektem byłoby parę niepotrzebnych trupów. Przynajmniej zapach krwi sprawiłby jej odrobinę przyjemności. Nagle jednak poły namiotu rozchyliły się i do środka wszedł Mersadion. Ukłonił się z szacunkiem, ale Jennesta nie dała mu dojść do słowa.

- Gotowi do drogi? – spytała bez ogródek.
- Prawie, Wasza Wysokość.
- Nie cierpię niepotrzebnie tracić czasu.

– Żołnierze potrzebują odpoczynku, pani, a konie strawy. Jennesta, choć doskonale zdawała sobie sprawę z przyczyn postojów, zbyła te wyjaśnienia machnięciem ręki.

– Skoro nie przyszedłeś mi powiedzieć, że wszystko przygotowane do wymarszu, to o co chodzi?

– Przynoszę wieści, pani – odparł z wahaniem.

– Sądząc po twojej minie, niezbyt dobre.

– Chodzi o twoją panią smoków... Glozellan.

– Wiem, jak ma na imię moja pani smoków, generale. Co z nią?

Mersadion starał się być delikatny.

– Razem z dwoma innymi jeźdźcami... i ich smokami... porzucili służbę u Waszej Wysokości.

Kiedy treść wiadomości dotarła do Jennesty, w jej niezwykłych oczach zapłonęły maleńkie gwiazdki. Mroczne supernowe.

– Porzucili służbę – powtórzyła, cedząc słowa. – Czyli zdezerterowali. Mam rację?

Mersadionowi do złudzenia przypominała w tej chwili gotową do ataku zmiję. Pokiwał głową. Słowa mogły okazać się niebezpieczne.

– Jesteś pewien? – spytała i zaraz się zreflektowała. – Oczywiście, że tak. Inaczej nie odważyłbyś mi się o tym powiedzieć.

Trafiła w sedno.

– Nie mamy powodów wątpić w lojalność pozostałych smoczycich jeźdźców – podsunął usłużnie.

– Tak jak nie mieliśmy w wypadku Glozellan.

Jennesta kipiała gniewem. Tragedia wisiała na włosku.

Mersadion starał się jej za wszelką cenę nie prowokować.

– Jeżeli masz do nich zastrzeżenia, pani, znajdziemy nowych. A smoków mamy dość, nawet po stracie tamtych trzech. Co do nowej pani smoków, mamy kilka kandydatek...

– Same chochliki. Jak mam im zaufać? Zrobię czystkę w smoczych szwadronach.

– Wasza wysokość...

– Najpierw Rosomaki, potem łowcy nagród, których za nimi posłałam, a teraz pani smoków, która odchodzi z mojej służby. – Jennesta posłała generałowi lodowate spojrzenie. – Nawet bez tego moja armia cały czas pomalutku się kurczy. Dlaczego otacza mnie tylu tchórzy i zdrajców?

Na to pytanie Mersadion nie odważyłby się udzielić głośnej odpowiedzi. Wolał przedstawić tę sprawę z innego punktu widzenia.

– Można powiedzieć, że szeregi twojej armii się oczyszczają, pani. Ci, którzy zostają, są ci całkowicie oddani.

Roześmiała się. Odrzuciła głowę do tyłu, kruczoczarne włosy spłynęły jej falą na plecy. Zabłyśły białe, ostre zęby, w oczach zapłonęły wesołe ogniki.

Mersadion uśmiechnął się niepewnie.

Jennesta spoważniała.

– Nie myśl, że coś mnie bawi, generale. To śmiech pogardy.

Twarz Mersadiona przybrała swój zwykły, ostrożnie obojętny wyraz.

– Masz dar wymowy – ciągnęła Jennesta. – Jak dyplomata. Chcesz mi pokazać, że dzban jest w połowie pełny. – Pochyliła się nad nim. Jej wesołość była już tylko wspomnieniem. – Ale jesteś tylko orkiem. Nie nadajesz się do myślenia, więc pozwól, że powiem ci, dlaczego zdrada szerzy się w naszych szeregach. Otóż dlatego, że oficerowie nie są dostatecznie surowi. Brakuje dyscypliny. A to ty jesteś dowódcą armii.

Tylko kiedy sprawy nie układają się po twojej myśli, skomentował w duchu Mersadion.

Jennesta się cofnęła.

– Nie będę tego dłużej tolerować. Daję ci ostatnie ostrzeżenie.

Różnych rzeczy mógł się po niej spodziewać, ale nie tego, co teraz

zrobiła.

Opluła go.

Ślina zbryzgała mu cały prawy policzek, od oka prawie po samo ucho. Był tak zdumiony i wstrząśnięty, że zupełnie nie wiedział, jak zareagować.

Poczuł ciepłe mrowienie na skórze. Rozlewało się coraz szerzej, po całym policzku. Skrzywił się i potarł twarz dłonią, ale tylko pogorszył sytuację. Pieczenie było coraz dokuczliwsze, jakby tysiące rozpalonych do czerwoności igiełek przebijało mu skórę.

Jennesta obserwowała go z zainteresowaniem – i lekkim rozbawieniem.

Policzek palił go żywym ogniem, jak polany kwasem. Mersadion zapomniał o protokole i krzyknął z bólu. Na twarzy wyskoczyły mu pierwsze pęcherze. Poczuł smród przypalanej skóry. Ból stał się nieznośną torturą, a potem jeszcze się wzmógł. Generał zaskowyczał.

– Ostatnie ostrzeżenie – powtórzyła Jennesta, cedząc słowa. – Nie zapomnij.

Odprawiła go leniwym gestem.

Mersadion – zgięty w pół, z twarzą rozognioną żrącym oparem – po omacku trafił do wyjścia. Zanim poły namiotu opadły, Jennesta dostrzegła jeszcze, jak zataczając się, biegł do beczki z wodą. Wył z bólu.

To, co mu zrobiła, było zaledwie drobnym przejawem gniewu, jaki wywołała jego wiadomość. Miała dość kłód rzucanych jej pod nogi. Przy następnej Mersadion straci życie. Ale na razie wystarczyło jej, że nazaczyła go jako nieudacznika.

Trudno powiedzieć, ile czasu minęło jej na rozmyślaniach o sytuacji, w której się znalazła. Z zadumy wytrącili ją dopiero orkowie z jej straży przybocznej, którzy niezdarnie starali się okazać jej uległość. Przyprawdzili jeńca – ofiarę, która pozwoli jej choć na krótko odzyskać moc. Mimo podłego nastroju widok nowego naczynia pobudził jej ciekawość.

Tak wiele ras, taki ogromny apetyt, tak mało czasu.

Nigdy wcześniej nie miała okazji rozkoszować się wdziękami rusałki. Zamieszkujące łąki i lasy rusałki były nieliczne i z natury nieśmiałe, toteż rzadko je widywano. A ta była wyjątkowo piękna, wysoka jak na rusałkę (miała około metra wzrostu), smukła i delikatna, z połyskującą, świetlistą skórą.

Mówiło się, że rusałki mają dwa serca. Sprawdzenie tej plotki powinno na jakiś czas oderwać Jennestę od ponurych rozmyślań.

Wreszcie deszcz przestał padać.

Stryk zarządził krótki odpoczynek i oddział zatrzymał się na biwak w miejscu, gdzie wody Norentelli mocniej zerodowały brzegi półwyspu. Zmierzchało, mrok gęstniał na niebie, nad czarnym, wzburzonym oceanem przewalały się groźne chmury.

Po kolacji Coilla i Stryk odeszli na stronę. Siedząc na derkach, popijali z manierki wino otrzymane w prezencie od centaurów i rozmawiali o ataku gremlinów. Ale wreszcie zmęczenie, rozgrzewający wpływ alkoholu, a nade wszystko chęć podzielenia się brzemieniem wzięły w Stryku górę. Tak pokierował rozmową, że zeszła na jego dziwaczne sny, i wkrótce Coilla wiedziała już wszystko.

– Jesteś pewien, że miejsce, które ci się śni, nie jest skądś znajome? Że nie istnieje gdzieś... w świecie rzeczywistym?

– Jestem pewien. Nawet klimat jest tam całkiem inny. Czy widzieliśmy kiedyś Maras–Dantię taką, jaka była w przeszłości? I jaka być powinna?

– Może to tylko twoje fantazje – zaryzykowała Coilla. – Twój umysł tworzy sobie obrazy miejsc, w których chciałbyś się znaleźć.

– Czyli, mówiąc inaczej, zwariowałem.

– Nie to miałam na myśli. Nie jesteś obłąkany, Stryku. Ale kiedy świat zmierza prostą drogą do piekła, naturalna jest potrzeba...

– Wątpię, żeby o to chodziło. Te sny, czy co to tam jest, są prawdziwe

jak jawa. No, prawie.

– I za każdym razem widzisz w nich tę samą samicę?

– Tak. Nie tylko widzę. Spotykamy się, rozmawiamy... Tak jakbym ją spotkał na jawie. Tylko że chwilami nie rozumiem, co mówi.

Coilla zmarszczyła brwi.

– To dziwne, jak na sen. Na pewno jej nie znasz?

– Uwierz mi, zapamiętałbym ją.

– Mówisz, jakby istniała naprawdę. To tylko sen, Stryku.

– Czyżby? Nazywam te wizje snami tylko dlatego, że nie znam lepszego słowa.

– Nachodzą cię we śnie, prawda? Czym mogłyby być, jeśli nie sennymi marzeniami?

– Chodzi o emocje, jakie wywołują... – Stryk pokręcił głową. Zabrakło mu słów. – Nie umiem tego wyrazić. Musiałabyś sama to przeżyć.

– Zaraz, wyjaśnijmy coś sobie. Jeśli to nie sny, to co się z tobą dzieje?

– Może... kiedy śpię, przestaję się bronić, a wtedy... coś przychodzi.

– Posłuchaj sam siebie. Gadasz od rzeczy.

– Wiem o tym. Ale skończy się tak, że będę się bał zasnąć.

– Te... sny... Śnią ci się za każdym razem?

– Nie. I to jest najgorsze. Mam wrażenie, że kładąc się spać, za każdym razem rzucam kośćmi. Przyjdą nie przyjdą...

– Jeśli to nie sny, to pozostaje jeszcze jedna możliwość – stwierdziła Coilla, starannie dobierając słowa. – Atak magiczny.

– Jennesta?

Coilla pokiwała głową.

– Też mi to przyszło do głowy. Myślisz, że potrafiłaby to zrobić?

– Kto wie...

– Ale po co? Jaki miałyby w tym cel?

– Może chce, żebyś myślał, że zwariowałeś. Próbuje zasiać ziarno

zwątpienia i przypuścić szturm do twojego umysłu.

– Myślałem o tym, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Bo wiesz, te sny pod wieloma względami są... no, miłe. Raz czy dwa zdarzyło się nawet, że podtrzymały mnie na duchu. Czy to też miałyby jakoś służyć realizacji planów Jennesty?

– Nie twierdzę, że to jej sprawka. Podsuwam ci tylko taką możliwość. Kto może wiedzieć, jak funkcjonuje jej pokręcony umysł?

– Tu masz rację. Jednak mimo wszystko sędzę, że użyłaby bardziej bezpośrednich środków. – Stryk spojrział Coilli w oczy. To, co w nich zobaczył, utwierdziło go w przekonaniu, że może jej powiedzieć wszystko.

– To jeszcze nie koniec.

– Słucham?

– Sny to nie jedyne niezwykle wydarzenie. Jest coś jeszcze.

Na twarzy Coilli odmalowało się zdumienie i odrobina lęku.

– Jak to?

Stryk odetchnął głęboko.

– Chodzi o Haskeera i gwiazdy. Mówił, że... że do niego śpiewają.

– Majaczył w gorączce.

– Ja nie gorączkowałem.

Chwilę trwało, zanim znaczenie jego słów do niej dotarło.

– Ty też? – spytała w końcu z niedowierzaniem.

– Ja też.

– Na bogów! Sporo tego przed nami ukrywasz, co?

– Nadal uważasz, że jestem zdrów na umyśle?

– Jeśli postradałeś rozum, to mamy dwóch świrów: ciebie i Haskeera...

Oboje uśmiechnęli się z powątpiewaniem.

– Co masz na myśli, mówiąc, że gwiazdy śpiewają? – ciągnęła Coilla. – Umiałbyś to lepiej ubrać w słowa niż Haskeer?

– Raczej nie. Trudno to wyjaśnić, tak jak te sny. „Śpiew” to chyba

najlepsze słowo.

Stryk sięgnął do sakiewki przy pasie. Ten gest zdarzało mu się już wykonywać nieświadomie, jakby nerwowo bawił się fetyszem. Gdyby go zapytać, dlaczego tak się zachowuje, odparłby, że boi się stracić gwiazdy.

– Jestem winna Haskeerowi przeprosiny. Nie wierzyłam mu. Nikt mu nie wierzył.

– Ja też teraz widzę go w innym świetle – przyznał Stryk. – Ale nie mów mu. Nikomu nie mów o tym, co ci powiedziałem.

– Dlaczego?

– Chyba nie byłby to najlepszy doping dla oddziału, nie uważasz? Gdyby się dowiedzieli, że ich dowódca ma wizje i słyszy śpiew gwiazd...

– Ale mnie powiedziałaś. Czemu?

– Bo uznałem, że mnie wysłuchasz. I wydaje mi się, że jeśli uznasz mnie za wariata, to mi o tym powiesz.

– No to powtórzę jeszcze raz: nie uważam cię za wariata. Coś się z tobą dzieje, bez dwóch zdań, ale według mnie nie wygląda to jak obłąd.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – westchnął Stryk. – Więc zachowasz to dla siebie? Przez wzgląd na dyscyplinę w oddziale?

– Jeśli tego właśnie chcesz... Tak. Ale myślę, że zrozumieliby. Przynajmniej oficerowie. Może nawet Haskeer. Kurczę, Haskeer przede wszystkim. I tak nie uda ci się tego w nieskończoność trzymać w tajemnicy.

– Jeżeli zaczniesz mi to przeszkadzać w dowodzeniu Rosomakami, powiem im.

– A potem co?

– Zobaczymy.

Coilla nie nalegała na dłuższe wyjaśnienia.

– Gdybyś jeszcze chciał pogadać, wiesz, gdzie mnie szukać.

– Dzięki.

Ulżyło mu, że komuś się zwierzył, ale było mu trochę wstyd, że przyznał

się do czegoś, co postrzegał jako słabość. Dobrze przynajmniej, że Coilla nie podzielała jego zdania.

Orkowie pakowali już sprzęt i zwijali koce. Paru zerkało pytająco na Stryka, oczekując nowych rozkazów. Oddał manierkę Coilli.

– Rozgrzej się. Musimy jechać dalej.

Pociągnęła łyk wina i oddała mu manierkę.

– Jak sądzisz, co nas czeka na Cyplu Ruffeta? – zapytała, kiedy wstali.

– Będzie dobrze. Mam takie przeczucie.

– Cóż, większość twoich przeczuc się sprawdza. Nawet w beznadziejnych sytuacjach wychodzisz na swoje. Może Jup ma rację? Może faktycznie masz dar widzenia przyszłości?

Coilla żartowała. Oboje wiedzieli, że orkowie nigdy nie mieli żadnych magicznych zdolności. Jednak tym razem jej słowa sięgały drugiego dna, jakiejś większej tajemnicy. I wcale nie było im do śmiechu.

– Zbierajmy się – powiedział Stryk.

Zmierzchało, kiedy ruszyli w drogę, czujni i gotowi na dalsze kłopoty.

Coilla wylądowała na tyłach oddziału, tuż przed żołnierzami tylnej straży. Podjechała do Alfaya. Z początku rozmawiali o błahostkach; trochę później, rozejrzawszy się czujnie na boki, Alfray zagadnął:

– Martwię się o Stryka.

Mając świeżo w pamięci niedawną rozmowę z kapitanem, Coilla była kompletnie zaskoczona. Nie dała jednak nic po sobie poznać.

– Dlaczego? – zapytała tylko.

– Na pewno zauważyłaś, że ostatnio chodzi jakiś zamyślony...

– Czasem mu się zdarza, że błądzi myślami gdzieś daleko – przyznała ostrożnie Coilla.

– Tym razem to coś więcej – zauważył sceptycznie Alfray.

– Wiesz przecież, w jakim napięciu żyje. Poza tym nie masz mu chyba nic do zarzucenia jako dowódcy?

– Niektórzy mogliby się z tobą nie zgodzić. – Alfray zerknął na samicę.
– Wiesz, że do nich nie należę. Widziałem wielu dowódców, paru sam przeżyłem. On jest najlepszy.

Coilla pokiwała głową, chociaż stażem bardzo ustępowała Alfray owi. Nagle uderzyło ją, jak stary jest jej rozmówca – w każdym razie w porównaniu z resztą oddziału. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała i teraz zdziwiła się zarówno swoją niespodziewaną refleksją, jak i nikłością swojego doświadczenia. Niebezpieczeństwo bardzo ich do siebie zbliżyło. Dopiero teraz zaczęli się naprawdę poznawać.

– Musimy go wspierać – dodał Alfray.

– To oczywiste. Jesteśmy jednym oddziałem. Najlepszym oddziałem. Nawet ci nieliczni malkontenci, o których wspomniałeś, staną murem za Strykiem.

Coilla mówiła z takim przekonaniem, że Alfray uśmiechnął się z zadowoleniem.

Jechali dalej, pogrążeni we własnych myślach, przysypiając w siodle. Zaczynali odczuwać brak snu. Coilla przerwała milczenie.

– Ta bitwa, o której wspomniałeś, pod Carascrag...

– No? O co chodzi?

– Uświadomiłam sobie wtedy, jak słabo znamy własną historię. Ona ginie, tak jak wszystko. Ale ty widziałeś tak wiele...

Coilla zawiesiła głos, nie chcąc, by Alfray odebrał jej słowa jako przytyk do swojego podeszłego wieku. Ostatnio zrobił się na tym punkcie nieco drażliwy. Ale teraz chyba go nie uraziła.

– Owszem – przytaknął. – Widziałem Maras–Dantię w szczęśliwszych czasach, najpierw jako pisklę, potem jako młody ork. Nie była wtedy taka, jak w czasach naszych praprzodków, ale i tak lepsza niż teraz. Ludzi było mniej, a magia dopiero zaczynała słabnąć.

– Ale starsze rasy już próbowały się opierać napływowi przybyszów?

– Nie od razu. Sęk w tym, że to, co czyni Maras–Dantię tak wspaniałą, jest także jej największą słabością. Jesteśmy zbyt różni. Zadawnione urazy i wzajemna podejrzliwość opóźniły zjednoczenie starych ras; niektórzy nie dostrzegali zagrożenia ze strony ludzi, dopóki nie było za późno.

– A potem było już tylko coraz gorzej.

– Właśnie dlatego należy dbać o zachowanie starych zwyczajów. – Alfray położył dłoń na sercu. – Przynajmniej tutaj, jeśli nigdzie indziej się nie da. Tradycję należy przede wszystkim kultywować w sobie.

– Mało kto dziś tak na to patrzy.

– Być może. Ale pomyśl o towarzyszach, których straciliśmy. Slettal, Wrelbyd, Meklun, Darig i ostatnio Kestix. Żadnemu nie zapewniłszy przyzwoitego pożegnania. To umniejsza znaczenie ich życia.

– Nie mogliśmy ich należycie pochować. Wiesz przecież, że na polu bitwy nie zawsze się to udaje.

– Kiedyś się udawało. W czasach, kiedy szanowaliśmy tradycję.

Coille zaskoczyła gorycz Alfraya.

– Nie wiedziałam, że aż tak cię to boli.

– Tradycja nas jednoczy, a my ją odrzucamy na własną zgubę. To jedyne, co odróżnia nas od innych, co sprawia, że jesteśmy... sobą. Sama zobacz, młodzi kompletnie odrzucili święty Kwadrat. Niektórzy wręcz nim gardzą.

– Przyznam, że sama miewam wątpliwości, czy religia aby na pewno dobrze nam służy.

– Nie zrozum mnie źle, Coillo, ale był czas, kiedy takie słowa porządemu orkowi nie przeszłyby przez gardło.

– Czczę bogów. Ale powiedz mi, co ostatnio zrobili, żeby ustrzec nas przed nieszczęściem? A Jedowie i ich jeden bóg? Z ich pojawienia się też nie wynikło nic dobrego.

– A czego się spodziewałaś po fałszywym bóstwie? Jeśli zaś chodzi o naszych bogów... Może nas lekceważą, ponieważ my ich lekceważymy?

Coilla nie wiedziała, co powiedzieć.

Zresztą rozmowę i tak przerwały im okrzyki, niosące się wzdłuż szyku. Szeregowcy wyciągniętymi rękami wskazywali na zachód.

Nad oceanem majaczył ledwie widoczny kształt, czarny na czarnym jak smoła niebie. Przesuwał się na północ. Lecąc, przesłaniał gwiazdy. Poruszał olbrzymimi, postrzępionymi skrzydłami. Pomarańczowy pióropusz ognia, który buchnął z głowy stwora, rozwiął ostatnie wątpliwości.

– Myślisz, że nas widać? – spytał Alfray.

– Jesteśmy daleko i jest noc, więc niełatwo nas zauważyć. Bardziej ciekawi mnie, czy to jeden ze smoków Jennesty, czy któryś z wiernych Glozellan?

– Jeśli jest naszym wrogiem, to chyba wkrótce się o tym dowiemy.

Odprawdzali smoka wzrokiem, dopóki nie rozplynał się w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 9



Blaan siedział po turecku, z językiem wystawionym w kąciku ust, i skrobał się po lśniącej czaszce ostrzem noża.

Lekmann patykiem zamieszał zawartość poczerniałego kociołka, zawieszzonego nad trzaskającym rażno ogniskiem. Aulay leżał wyciągnięty na kocu, z głową opartą na siodle, i jedynym okiem zerkał na rozjaśniające się niebo.

Rosa nadal bielila się na trawie. Niedaleko obozu fale zatoki pluskały leniwie, znad wody unosiła się mgła. Las Drogan był jeszcze w zasięgu wzroku, dość jednak daleko, by nie musieli się bać wytopienia przez centaurzych zwiadowców.

– Kiedy ruszamy, do cholery? – zniecierpliwił się Aulay. Para z jego oddechu skropliła się natychmiast w lodowatym powietrzu. Potarł miejsce, gdzie kikut ręki łączył się z protezą zastępującą dłoń.

– Kiedy będę gotowy – odparł Lekmann. – Jesteśmy blisko, ale nie możemy bezmyślnie szarżować. Z orkami trzeba uważać.

– Wiem, Micah. Pytałem tylko: kiedy?

– Niedługo. Zamiast tyle gadać, lepiej podmuchaj sobie na strawę.

Lekmann szturchnął breję w garze, aż zabulgotała. Rozszedł się nieprzyjemny zapach. Blaan zerknął łapczywie na kociołek.

– Jemy, Micah?

– Czujny jesteś, kapuściany głąbie – mruknął kąśliwie Aulay. Lekmann udał, że go nie słyszy.

– Tak, Jabeez. Przynieś miskę.

I zaczął rozdzielać porcje. Aulay dostał swój talerz, usiadł, położył go sobie na kolanach i zaczął dziobać jedzenie nożem.

– Pomyje – poskarżył się jak zwykle.

Blaan żarł łapczywie, rękami, mlaszcząc i oblizując palce między jednym kęsem a drugim. Aulay się skrzywił.

– Ohyda.

– Ale w walce się przydaje – przypomniał mu Lekmann.

– To nie znaczy, że muszę patrzeć, jak je.

Aulay odwrócił się w stronę lasu, plecami do Blaana, który dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to o nim mowa.

– Hej! – zaprotestował z pełnymi ustami. Tłuszcz ściekał mu po brodzie.

– Mamy towarzystwo! – ostrzegł Greever. Odrzucił talerz.

Dwaj pozostali zrobili to samo i zerwali się na równe nogi, z bronią w pogotowiu.

Traktem od strony Drogan zbliżała się grupka konnych: siedmiu ludzi.

– Co to za jedni?

– Na pewno nie nadzorcy od Hobrowa, Greever. Chyba że oddali mundury do prania.

Jeźdźcy przypominali samych łowców nagród: wyglądali niechlujnie, nosili skórzane spodnie i grube wełniane kurtki. Dla ochrony przed zimnem dodatkowo okryli się skórą. Na głowach mieli misiurki i hełmy. Byli wychudzeni, brodaci, ogorzali i uzbrojeni w najróżniejszy oręż.

– Może to zbójce od Jennesty – stwierdził Lekmann, kiedy jeźdźcy się zbliżyli. – Ale nie słyszałem, żeby kręcili się po okolicy.

Aulay splunął ze złością.

– Tego nam było trzeba, słowo daję! Cholerni bandyci.

– Co robimy? – zainteresował się Blaan.

– Spokojnie – odparł Lekmann. – Pamiętajcie, więcej wskóramy dobrym słowem niż podrzynaniem gardeł. Poza tym mają przewagi.

– Tak uważasz? – spytał z powątpiewaniem Aulay.

– Uspokój się, Greever. Ja będę mówił. Jeśli dojdzie do bójki, róbcie to co ja. Ale na razie nie pokazujcie broni. Jasne?

Blaan i Aulay przytaknęli, choć ten drugi bez specjalnego entuzjazmu.

Jeźdźcy dostrzegli ich już i zwolnili. Zbliżali się ostrożnie, ale nie próbowali się kryć. Kiedy znaleźli się w zasięgu głosu, Lekmann uśmiechnął się i pozdrowił ich.

– Witajcie!

Dwóch czy trzech odpowiedziało mu skinieniem głowy. Czwarty, mocno zbudowany, brodaty i długowłosy, przemówił:

– Witajcie.

Głos miał niski i chrapliwy.

– Czemu zawdzięczamy przyjemność spotkania z wami?

– Niczemu. Mamy swoje sprawy na głowie.

– Jakież to sprawy, jeśli wolno spytać? – spytał Lekmann ze sztucznym uśmiechem.

– Tropimy zdrajców.

– Naprawdę?

Aulay nachmurzył się, ale nic nie powiedział. Blaan śledził wymianę zdań z typową dla niego na wpół nieobecną miną.

– Naprawdę. A wy?

– Jesteśmy rolnikami. Po drugiej stronie Drogan chcemy kupić trochę bydła.

Jeździec zmierzył ich wzrokiem, jego kompani zrobili to samo. Lekmann miał nadzieję, że nie znają się na uprawie roli.

– Nie należycie chyba do Jedów ani Mnogów, co?

– Pewnie, że nie, przyjacielu. Niech ich zaraza, jednych i drugich. Chcemy spokojnie żyć. Na naszej farmie – podsunął usłużnie Lekmann.

– To dobrze. – Dowódca spojrzał na Aulaya i Blaana. – Coś małomówni ci twoi kumple.

– To proste wiejskie chłopaki. – Lekmann przyłożył dłoń do twarzy, zasłaniając się przed wzrokiem Blaana, mrugnął porozumiewawczo i dodał konspiracyjnym szeptem: – Ten duży jest trochę przygłupi. Nie zwracajcie na niego uwagi.

– Wygląda na takiego, co łbem mógłby drzwi wyważyć.

– Gdzie tam, jest zupełnie nieszkodliwy. – Lekmann odchrząknął. – Więc ścigacie zdrajców, tak? Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli wam jakoś pomóc.

– Chyba że widzieliście gdzieś w okolicy orków.

Aulay i Blaan zamarli, ale Lekmann nie dał po sobie nic poznać.

– Orków? Nie. Ale jeśli to ich właśnie szukacie, morderców przeklętych, to jesteśmy z wami całym sercem. – Wskazał ognisko. – Właśnie jedliśmy. Jeśli chcecie, możecie się do nas przyłączyć. Mamy też wodę i wino.

Rozbójnicy spojrzeli po sobie. Dowódca, czując się pewnie przy takiej przewadze liczebnej, podjął decyzję.

– To miło. Przyłączymy się.

Zsiedli z koni. Lekmann podał im manierki i kazał się częstować strawą. Napitek przyjęli chętnie, ale do jedzenia specjalnie się nie rwali, zwłaszcza po tym, jak zajrzeli do garnka. Aulay i Blaan nie ruszyli się z miejsca. Rozbójnicy nie zwracali na nich uwagi.

– Powiedzcie coś więcej o tych orkach, co ich tropicie – zaczął niby od niechcenia Lekmann.

– To żadna krwi, niebezpieczna banda – odparł dowódca i napił się wina.
– Nazywają się Rosomaki.

Lekmann modlił się w duchu, żeby jego towarzysze nie puścili pary z

gęby. Miał szczęście.

– Ścigacie cały oddział?

– To tylko połowa naszych sił. Reszta szuka tam. – Dowódca ruchem głowy wskazał drugą stronę przesmyku. – Bez trudu damy sobie z nimi radę.

– Orkowie to podobno świetni wojownicy.

– Na mój gust chyba się ich przecenia.

– Widzieliście ich?

– Jeszcze nie. Wczoraj w nocy myśleliśmy, że już ich mamy, ale to była tylko banda gremlinów. Pędzili na jakach, aż im się z tyłków kurzyło.

– Ale jesteście pewni, że orkowie są w pobliżu, tak?

– Widziano ich w okolicy. Kilka razy.

– A nagroda duża?

– Spora. – Rozbójnik zerknął na Lekmanna podejrzliwie. – A co? Chcielibyście spróbować?

Lekmannowi udało się parsknąć śmiechem.

– My?! Myślisz, że moglibyśmy podskoczyć orkom?

Dowódca przeniósł wzrok na dwóch jego towarzyszy.

– Właściwie... Nie, raczej nie. – Roześmiał się. – Nie wyglądają na łowców nagród, prawda, chłopaki?

Jego ludzi tak rozbawił ten pomysł, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Wytykali „wieśniaków” palcami i zaśmiewali się do łez.

Lekmann też się śmiał. Aulay z wysiłkiem wykrzywił usta i odsłonił popsute zęby w fałszywym uśmiechu. Blaen zorientował się ostatni, ale śmiał się do rozpuku: trząśł się cały, a z oczu ciekły mu łzy.

Wschodzące słońce oświetliło twarze dziesięciu ryczących ze śmiechu mężczyzn.

Nagle coś wypadło Blaanowi z kieszeni, poturlało się po ziemi i znieruchomiało u stóp dowódcy rozbójników. Ten, nie przestając się śmiać,

spojrzał w dół.

Brunatny, pomarszczony przedmiot był zasuszoną głową orka. Dowódca spochmurniał.

Lekmann natychmiast dobył miecza.

– O co chodzi? – zdziwił się dowódca.

Ostrze gładko weszło mu między żebra. Stęknął, przewrócił oczami i osunął się na ziemię, krztusząc się krwią. Część jego ludzi, widząc, co się dzieje, przestała się śmiać.

Lekmann dopadł następnego i ciął na odlew. Blaan wparował w środek grupy, młóćąc pięściami. Aulay szybkim ruchem umocował na przegubie protezę z mieczem, a w drugą dłoń chwycił sztylet. Rozbójnicy niezdarnie próbowali sięgnąć po broń.

Lekmann powalił drugiego przeciwnika i stanął przed trzecim, który stawiał mu opór: zdążył wyciągnąć miecz i potencjalna rzeź zamieniła się w prawdziwy pojedynek. Wymieniali cios za cios, rozbójnik bronił się z furją ale było widać, że Lekmann jest lepszym szermierzem.

Blaan zgniótł pierwszego wroga w niedźwiedzim uścisku, zmiażdżył mu kręgosłup i odrzucił zwłoki. Drugi przeciwnik rzucił się na niego i uderzył go pięścią w bok głowy – co było równie skuteczne jak kapuśniaczek padający na granitową skałę. Rozbójnik cofnął się, masując obite knykcie, a Blaan uderzył go oburącz w pierś. Głośno chrupnęły kości i napastnik z twarzą wykrzywioną bólem zwałił się na ziemię jak marionetka, której ktoś poprzecinał sznurki. Blaan dla pewności go stratował.

Spłoszone zamieszanymi konie przez chwilę kręciły się niespokojnie w kółko, a potem rozbiegły po okolicy.

Aulay wyszarpnął sztylet z brzucha wroga i patrzył, jak ten pada na ziemię. Następny miał twarz wykrzywioną gniewem i topór w rękach. Broń wyglądała przerażająco, ale jej rozmiary dawały Aulayowi przewagę: uniknąwszy ciosu, zbliżył się i ciął rozbójnika w rękę. Ten z rykiem

zaatakował ponownie. Aulay cofnął się błyskawicznie, potknął się o kociołek, rozlewając jego zawartość – a potem znów doskoczył, wszedł pod gardą przeciwnika i przeszył mu serce.

Lekmann zablokował ostatni nieudolny atak przeciwnika, wytrącił mu miecz z ręki i rozorał gardło. Rozbójnik zalał się krwią, klęknął i runął na twarz.

Aulay i Lekmann obrzucili pobojowisko spokojnym wzrokiem. Ciała poległych przybrały groteskowe pozy, jakie tylko po śmierci były możliwe. Spojrzeli na Blaana, który uklęknął, chwycił ostatniego żyjącego rozbójnika za głowę i mocnym szarpnięciem skręcił mu kark. Potem wstał i powłócząc nogami, podszedł do nich.

Aulay posłał mu złowieszcze spojrzenie, ale się nie odezwał.

– Słyszeliście? – Lekmann nie posiadał się z wściekłości. – Słyszeliście, co ten sukinkot powiedział?! – Skrzywił się, spojrzawszy na martwego dowódcę rozbójników. – Trzeba mieć tupet, żeby polować na Rosomaki. Przecież to nasi orkowie!

Aulay wytarł krew z noża.

– Mówiłem, że zmitrężyliśmy tu za dużo czasu.

– Nie zaczynaj, Greever. Załatwmy tę sprawę do końca.

Ograbili zwłoki z pieniędzy, błyskotek i broni. Blaan znalazł w kieszeni jednego z trupów kawałek suchego chleba. Wepchnął go sobie do ust i żując, kontynuował rewizję. Aulayowi trafiły się pasujące na niego buty, w lepszym stanie niż te, które miał na nogach. Bez ceregieli ściągnął je trupowi z nóg.

Łupiąc zwłoki, Lekmann mamrotał pod nosem o upadku obyczajów.

– Patrzcie! – zawołał Blaan, plując okruchami na wszystkie strony. W ręku trzymał zwinięty pergamin.

– Co tam napisali? – spytał Lekmann, po czym, przypomniawszy sobie, że Blaan nie umie czytać, pstryknął palcami. – Daj mi to. – Rozwinął zwój.

Zmarszczył brwi i poruszając wargami, zaczął odcyfrowywać rękopis. Po dłuższej chwili przyswoił sobie jego główną myśl. – To jest obwieszczenie Jennesty o tym, że Rosomaki zostają wyjęte spod prawa, że jest nagroda za ich głowy i tak dalej.

Zmiał pergamin w garści i wyrzucił.

– Wieści szybko się rozchodzą, psia ich mać – mruknął Aulay.

– Na to wygląda. Pospieszcie się: oni mają przyjaciół, a my konkurencję. Nie ma czasu do stracenia.

Zepchnęli ciała do rzeki. Woda poniosła je leniwie, otulone powiększającymi się czerwonymi obłokami krwi.

Zajęci pracą nie zauważyli, że obserwuje ich nieruchoma postać, stojąca na trakcie wiodącym do Drogan. Mężczyzna był wysoki, trzymał się prosto, miał długie kasztanowe włosy i powiewający na wietrze błękitny płaszcz. Jego koń był śnieżnobiały.

Ale nawet gdyby na niego spojrzeli, nie zobaczyliby nic.

Wszędzie napotykała chaos.

Właściwie nie spodziewała się niczego innego, po tym jak mocą magii zamordowała siostrę i zasiała zamęt w jej królestwie. Miała jednak nadzieję, że zostanie tu jeszcze Rosomaki, tymczasem stawało się coraz bardziej oczywiste, że od dawna ich nie ma.

Zatrzymała rydwan na skraju Bagien Scarrock i śledziła powrót swojej piechoty ze zniszczonego królestwa najad. Nad bagnami wisiała gęsta, cuchnąca zgnilizną mgła. Odległe wierzchołki wysp w archipelagu Mallowtoru, ukryte w jeszcze gęstszym oparze, były prawie niewidoczne.

Nie spodziewała się usłyszeć od żołnierzy raportów innych niż te, które już знаła: niedobitki roju Adpar zastawiały na nich pułapki, a od czasu do czasu zdarzały się sporadyczne potyczki ze skrytymi trytonami.

Jeżeli jednak nie przyniosą jej szybko żadnych dobrych wieści, da upust swojej złości.

Obejrzała się na scenę rozgrywającą się za jej plecami, w obozowisku. Między stłoczonymi żołnierzami i jej rydwanem wylądował smok. Generał Mersadion, dosiadający konia, rozmawiał przez chwilę z jeźdźcem, po czym ruszył galopem w jej stronę.

Zasalutował pospiesznie i złożył meldunek:

– Chyba coś o nich wiemy, pani.

– Taaak? – Przyjrzała mu się bacznie. Prawą część twarzy zasłaniał mu umocowany szpagatem opatrunek, w którym wycięto otwór na oko. Spod bandaży wyzierały skrawki poparzonej skóry. – Słucham.

– Oddział, którego opis pasuje do Rosomaków, widziano nieopodal Drogan. Poruszał się na południe, wzdłuż zatoki.

W głosie generała pobrzmiwał wprawdzie całkiem zrozumiały chłód, ale było w nim też sporo należytego szacunku.

– Czy to pewna informacja?

– Widziano ich w nocy, Wasza Wysokość, więc obserwator mógł się mylić. Ale są spore szanse, że ma rację. Tym bardziej że potwierdzałoby to inne nasze raporty z tamtych okolic.

Jennesta przeniosła wzrok na smoka, który właśnie rozpościerał skrzydła, gotów ponownie wzbić się w powietrze.

– Można mu zaufać?

– Po moich groźbach chyba tak. Poza tym, gdyby chciał się zbuntować, po prostu by nie wrócił. Masz jeszcze wiernych podwładnych, pani.

– To wzruszające. – Jej głos ociekał nieskrywanym sarkazmem. – A jeśli to naprawdę oni, to dokąd idą?

– Na końcu półwyspu jest kilka ludzkich osad, pani, raczej niedużych. Największą jest Cypel Ruffeta. Mieszkają tam sami Mnogowie, więc będziesz, pani, mile widzianym gościem.

– Nie obchodzi mnie, jak mnie przyjmą. Jeśli chcą mogą się ze mną sprzymierzyć, ale jeśli okaże się, że dali schronienie Rosomakom, staną się

moimi wrogami. Sojusze zawieram po to, żeby je zrywać, jeśli tak ma być dla mnie lepiej.

– W naszych szeregach jest całkiem sporo Mnogo w, pani – przypomniał Mersadion.

– W takim razie czeka ich trudna próba. Zbierz tę hałastrę, generale. Idziemy na Cypel Ruffeta.

Daleko od tyłów armii, w maleńkim zagajniku, na wyrost nazywanym „lasem”, schronił się niewielki oddział, czujnie wypatrujący patroli, których jedynym zadaniem było wyłapywanie dezertersów. Oddział liczył około dwóch tuzinów żołnierzy i składał się z samych orków.

Najwyższy rangą żołnierz był kapralem, na co wskazywały tatuaże zdobiące mu policzki. Kapral miał plan.

– Jeśli obejdziemy armię łukiem, wyprzedzimy ich i pierwsi zejdziemy nad zatokę. Potem wystarczy się trzymać brzegu, żeby dojść do Cypla Ruffeta.

– Mamy pewność, że Rosomaki tam są? – spytał zatroskany szeregowiec.

– Oni tak uważają. Parę godzin temu smoczy jeździec złożył taki meldunek. Byłem przy tym. Słyszałem na własne uszy.

– Dezercja to poważna sprawa – zauważył inny wąpiący. – Wypowiedzenie posłuszeństwa Jenneście jest cholernie niebezpieczne.

– Bardziej niż pozostanie przy niej? – odparował kapral.

Odpowiedział mu pełen aprobaty pomruk.

– No właśnie! – zawołał ktoś. – Sami widzieliście, co zrobiła generałowi!

Pretensje posypały się ze wszystkich stron.

– Mamy dość egzekucji!

– Kretyńskie rozkazy i idiotyczne misje samobójcze!

– I chłosta!

– Dobrze już, dobrze! – Kapral gestem uciszył podwładnych. – Wszyscy wiemy, ile zła narobiła. Pytanie brzmi: co dalej? Czy lepiej zostać tutaj i zmarnować życie w jej służbie, czy przyłączyć się do Stryka?

– A co właściwie wiadomo o tym całym Stryku? – odparł pierwszy szeregowiec. – Skąd wiesz, że będzie lepszym dowódcą?

– Gadasz od rzeczy. Będzie lepszy, bo jest jednym z nas, a sługusom Jennesty wymyka się, jak chce. Wolisz zostać? Nie ma sprawy. Ale na mój gust taki żywot, jaki teraz prowadzimy, to nie jest życie dla orka. Wszystko mi jedno, gdzie zginę. – Większość żołnierzy kiwała potakująco głowami. – A tak przynajmniej będę miał szansę się jej odgryźć.

– Jej i ludziom!

– Właśnie! – przytaknął kapral. – Poza tym nie my jedni zgłosimy się pod sztandar Stryka. Sami wiecie, ilu orków przebąkuje o tym, żeby do niego odejść. Dość gadania! Czas działać!

– A myślicie, że to naprawdę bogowie go zesłali, żeby nas wyzwolił? – spytał ktoś.

Kapral powiódł wzrokiem po twarzach żołnierzy.

– Tego nie wiem. Ale coś mi się widzi, że tak czy inaczej Stryk jest dla nas darem niebios. Dołączmy do niego!

To przeważało szalę. Klamka zapadła.

– Do Stryka! – ryknął kapral.

– Do Stryka! – odpowiedzieli chórem.

ROZDZIAŁ 10



Kompletna ciemność. Nic nie słycać, nie ma czego dotknąć, żadnych zapachów. Całkowita pustka. Kropka światła pojawiła się i szybko rosła. Miał wrażenie, że leci w górę studni. Złudzenie pędu przyprawiało go o zawrót głowy. Fala wrażeń zaatakowała zmysły.

Jasność. Delikatny podmuch wiatru na skórze. Zapach trawy po deszczu. Chłupot wody. Zdał sobie sprawę, że ściska coś w rękach. Spojrzał w dół. Trzymał kostur. Stał na grubych, mocnych deskach. Nic z tego nie rozumiał. Podniósł wzrok.

Stał przy końcu drewnianego pomostu, wybiegającego daleko w rozległą taflę przejrzystej wody. Woda mieniła się w słońcu oślepiająco. Drugi brzeg jeziora porastały liściaste drzewa, za nimi wznosiły się łagodnie nachylone stoki wzgórz, a w oddali rysowały się sine góry, których wierzchołki ginęły w puchatych chmurach. Delikatny ptasi trel dopełniał doskonałości dnia.

– Wracaj, marzycielu.

Odwrócił się szybko.

Stała przed nim – wysoka, dumna, wspaniała, w nakryciu głowy zdobionym połyskliwymi czarnymi piórami. W rękach również trzymała kostur. Uśmiechała się, ale był to uśmiech jak odlany ze stali.

Chciał coś powiedzieć.

Natychmiast przyjęła bojową postawę. Teraz mierzyła kosturem prosto

w niego, trzymając go niczym włócznię na wysokości ramion. Rozsunęła szerzej ręce. Czekała, gotowa do skoku.

Zadała cios tak błyskawiczny, że prawie go nie zobaczył.

Instynktownie zasłonił się kosturem i przyjął nań impet potężnego uderzenia.

Był wstrząśnięty.

Cofnęła się, obróciła kostur w rękach i chwyciwszy go poziomo, zaatakowała ponownie. Znow sparował jej cios, chociaż poczuł go aż w napiętych mięśniach ramion. Zrobiła unik i przymierzyła się nisko, na wysokości pasa – ale i tym razem zdążył odbić uderzenie.

– Obudź się! – warknęła i tanecznym unikiem wymknęła się poza zasięg jego broni. Uśmiechała się szeroko, oczy jej błyszcząły.

Nagle olśniło go, że nie jest to bynajmniej niesprowokowany atak. Samica wyzwała go na udawany pojedynek, co wśród orków uchodziło za najwyższy komplement – mimo że przedstawiciel każdej innej rasy zdziwiłby się niepomiarowo, słysząc, że w tej walce jest coś udawanego. Albo że wyraża ona podziw dla wyzwanego. Tym bardziej, że w orkowych sparingach często zdarzały się połamane kości, a nawet ofiary śmiertelne.

– Przestań się bronić i walczyć! – zawołała samica, potwierdzając jego podejrzenia. – To nudne, kiedy tylko parujesz.

Ograniczając się do obrony, ryzykował, że ją urazi. Dopiero teraz przyjął wyzwanie.

Skoczył do przodu i uderzył, celując w nogi; gdyby trafił, samica runęłaby jak długa na deski – lecz ona odskoczyła zwinnie i natychmiast wyprowadziła kontrę. Chybiła, ale zawdzięczał to wyłącznie szczęściu.

Krążyli wokół siebie na ugiętych nogach, przygarbieni, żeby stanowić jak najmniejszy cel.

Zaatakowała wysoko, na głowę. Odbił uderzenie końcem kostura, ryzykując jego złamanie, i poszedł za ciosem, mierząc w jej brzuch. Zbiła

drzewce w bok; gdyby nie to, pozbawiłby ją tchu.

I przeszła do natarcia. Pod gradem mocnych uderzeń wywijał kosturem jak żongler maczugą, broniąc się, po czym wykorzystał moment jej dekoncentracji i sam przypuścił szturm. Uderzał raz za razem, z determinacją, ale zręcznie unikała trafienia.

Odskoczyli od siebie.

Podobało mu się to. Krew żywiej mu krążyła w żyłach; zaczynał jaśniej myśleć i szybciej się poruszać. A samica była znakomitym przeciwnikiem, wręcz wymarzonym sparingpartnerem dla orka.

Walka rozgorzała na nowo. Uderzył z zamachu. Uniknęła ciosu i zawirowała w miejscu. Kostury zatrzeszczały przy dwóch uderzeniach. Zrobił zwód, natarł i się cofnął. Wyśliznęła mu się, jakby miała płynne ciało, i odpowiedziała z furią. Pojedynkując się, przemierzali pomost tam i z powrotem, napierali i cofali się na przemian.

Uderzyła z góry, mierząc w jego bark. Odwrócił się bokiem. Jej kostur uderzył w poręcz pomostu i pękł na dwoje.

Złapał ją za przegub dłoni. Oboje się roześmiali.

Odrzuciła złamany kij, który zaklekotał na deskach.

– Remis?

Skinął głową i też odrzucił broń.

– Jesteś prawdziwym mistrzem żołnierskiego rzemiosła – wydyszała.

Odpowiedział podobnym komplementem:

– Ty również jesteś wspaniale wyszkolonym wojownikiem.

Spojrzeli po sobie z wyraźnym szacunkiem. Podobały mu się jej połyskujące od potu mięśnie.

Niezwykła chwila minęła.

– Osiągnąłeś już swój cel? – zapytała. – To zadanie, o którym wspominałeś, tak niezwykle ważne.

– Nie. Napotykam wiele przeszkód na mojej drodze. Chyba zbyt wiele.

– Możesz je ominąć.

Nie podzielał jej zdania.

– Ork powinien pokonywać przeszkody, nie omijać.

– Zgoda. Ale bywa, że piórko waży więcej od miecza.

Jego zdumienie było aż nadto widoczne.

Niedaleko rozległo się ciche pluśnięcie. Z wody wystawiła łeb pomarańczowozłota ryba z czarnymi wąsami. Szturchnęła nosem zielsko wyrastające spod pomostu.

Wskazała ją ruchem głowy.

– Oto istota, która nie zna granic swojego świata i jest w tej niewiedzy na swój sposób szczęśliwa. – Przyklękła i zanurzyła dłoń w wodzie. Ryba, spłoszona, uciekła. – Stań się rybą, a wszystkie przeszkody będą dla ciebie jak woda.

– Nie umiem pływać.

Roześmiała się głośno, ale był to śmiech dobroduszny, bez cienia pogardy.

– Chodzi mi tylko o to, abyś pomyślał, o ile lepszy jesteś od takiej ryby.

Zamyślił się nad jej słowami, ona zaś wstała, mówiąc dalej:

– Dlaczego zawsze, kiedy się spotykamy, wyczuwam w tobie jakąś... ulotność?

– Co masz na myśli?

– Jakbyś pochodził z innego świata. Jakbyś był tutaj, ale nie do końca. W moich wspomnieniach spotkania z tobą bardziej przypominają sny niż jawę.

Chciał zapytać, do czego zmierza, i wyjaśnić, że on też tak właśnie się czuje.

Ale spadł z powrotem w pustkę.

Ocknął się gwałtownie.

Trzymał w rękach wodze. Jechał ze swoim oddziałem szlakiem

prowadzącym na Cypel Ruffeta.

Dochodziło południe. Dzień był pochmurny i dżdżysty.

Pokręcił głową i potarł palcami nasadę nosa.

– Dobrze się czujesz, Stryku?

Jadąca obok Coilla spojrzała na niego z troską.

– Tak. Tylko...

– Znów ten sen?

Pokiwał głową.

– Przymknąłeś oczy na pół minuty, nie więcej.

Zdziwił się.

– Poważnie?

– Może nawet mniej. To były sekundy.

– Dla mnie to trwało... o wiele dłużej.

– Co ci się śniło? – spytała ostrożnie Coilla.

– Ta samica... – Wciąż jeszcze miał mętlik w głowie. – Rozmawialiśmy.

Rozumiałem, co do mnie mówi, ale... nie do końca. – Zauważył, że Coilla bacznie mu się przygląda. – Nie patrz tak na mnie.

Podniosła ręce w obronnym geście.

– Jestem po prostu zaciekawiona, nic więcej. Co jeszcze ci się śniło?

Stryk zmarszczył brwi. Nie wiedział, co myśleć o tym śnie.

– Powiedziała, że jestem dla niej taki... nierzeczywisty.

Z braku lepszego pomysłu, Coilla zapytała retorycznie:

– Czemu postać ze snu nie miałaby sama śnić?

To było dla Stryka zbyt skomplikowane.

– Walczyliśmy. Na niby.

Uniosła brew. W pewnych okolicznościach udawany pojedynek bywał orkowym odpowiednikiem flirtu.

– Wiem, co sobie myślisz – dodał Stryk. – Ale to postać ze snu!

– Być może. A może stworzyłeś sobie w głowie idealną samicę.

– No to pięknie. Faktycznie jestem zdrowy na umyśle jak rzadko – odparł sarkastycznym tonem.

– Nie, nie o to mi chodziło. Właściwie to zrozumiałe. Nigdy nie miałeś partnerki. Zresztą nie ty jeden; przy naszym trybie życia nie ma w tym nic dziwnego. Ale nie możesz w nieskończoność tłumić swoich naturalnych... popędów, więc ujawniają się w snach.

– Jak miałbym sprzymierzyć się z kimś, kto nie istnieje naprawdę? Chyba że naprawdę jestem o krok od obłądu.

– Nie jesteś, zaufaj mi. Może ta samica ze snów wyraża twoje pragnienia? Może nie jest obrazem tego, co możesz mieć, lecz tego, co chcesz?

– Nie miałem takiego wrażenia. Ale... – Nie umiał tego wytłumaczyć. – Powiem ci, co najbardziej mnie wkurza: nie wiem nawet, jak ma na imię.

Kilka następnych godzin upłynęło bez żadnych szczególnych wydarzeń.

Po południu Stryk zarządził kolejny postój. Musieli uzupełnić zapasy żywności i wody przed ostatnim etapem drogi do Cypla Ruffeta. Rozesłał kurierów na łowy, innych posłał po drewno, korzonki i jagody.

Coilli nie wyznaczył żadnego zadania. Wyciągnął ją na stronę i usiedli w zagajniku od strony oceanu.

– O co chodzi? – zapytała, zakładając, że Stryk chce wrócić do sprawy dręczących go snów.

– Zauważyłem to jakiś czas temu i nie bardzo wiem, co o tym myśleć. – Wyjął gwiazdy z sakiewki i rozłożył je na trawie. – Patrzyłem tak na nie i... Zobaczmy, czy znów mi się to uda.

Coilla obserwowała go uważnie, zdumiona i zaintrygowana.

Stryk wziął do ręki piaskową gwiazdę z siedmioma promieniami, którą znaleźli w Domostwie, potem granatową z czterema wypustkami, z Rysu. W skupieniu przytknął je do ciała i przez dłuższą chwilę obracał w rękach.

– Nie wiem, czy...

Rozległ się głuchy szcęk.

– No! Proszę bardzo.

Gwiazdy się połączyły. Promienie trzymały je mocno, chociaż trudno było powiedzieć, jak to jest w ogóle możliwe.

– Jak to zrobiłeś?

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

Stryk podał Coilli szeptane gwiazdy. Nawet mając je w rękach, nie potrafiła odgadnąć, jak działa łączący je mechanizm – a mimo to wyglądały tak naturalnie, jakby od początku stanowiły jedną całość.

– Coś niesamowitego... – mruknęła, obracając je w rękach.

– Wiem. Wydawałoby się, że to niemożliwe, prawda?

Pokiwała z roztargnieniem głową, bez reszty zauroczona tajemniczym zjawiskiem.

– Nie wiem, kto je wykonał, ale musiał mieć łeb na karku – stwierdziła bez przekonania. Nigdy przedtem nie widziała tak precyzyjnej roboty. Pociągnęła gwiazdy w przeciwne strony. – Da się je równie łatwo rozdzielić?

– Trzeba się trochę przyłożyć, ale może to dlatego, że nie wiem, jak się zabrać do rzeczy. – Stryk wyciągnął rękę. Coilla oddała mu gwiazdy. – Najdziwniejsze jest to, że tak do siebie pasują. Jakby stanowiły komplet. To nie jest jakiś prosty zaczep, haczyk ani nic, prawda?

– Nie sądzę. – Coilla nie mogła oderwać od nich oczu. – Odkryłeś to przez przypadek?

– Mniej więcej. Mówiłem ci: patrzyłem na nie i nagle... wiedziałem. Nagle wydało mi się to oczywiste.

– Masz ukryty dar. Ja bym na to nie wpadła. – Orczyca cały czas wpatrywała się w gwiazdy. Coś w ich połączeniu przeczyło logice. – Co to oznacza?

Stryk wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Ale na pewno pomyślałeś sobie, że jeśli dwie się łączą...

– To i reszta by mogła. Tak, wpadłem na to. Ale nie miałem czasu spróbować.

– Teraz masz.

Sięgnął po jedną z pozostałych gwiazd, ale znieruchomiał w pół gestu. Szelest w zaroślach zwrócił jego uwagę. Oboje wstali.

Krzewy rozchyliły się i jakieś dwa metry od nich z gąszczu wynurzyła się znajoma postać.

– To ty! – wykrzyknęła Coilla, sięgając po miecz.

– Jakim cudem?! – zagrzmiął Stryk.

– Obiecałem wam, że jeszcze się spotkamy – odparł Micah Lekmann.

– I dobrze! – warknęła Coilla. Odzyskała już zwykły spokój. – Przynajmniej dokończę zaczęłą robotę.

Łowca nagród udał, że nie słyszy groźby, i spojrzał na leżące na trawie gwiazdy.

– Bardzo to miło z waszej strony, że już je dla mnie przygotowaliście.

– Chcesz je? – odparł Stryk. – To chodź tu i sobie weź.

– Słyszałeś, Greever? – zawołał Lekmann.

Za plecami orków z zagajnika wyszedł drugi człowiek. Zamiast jednej dłoni miał ząbkowane ostrze, w drugiej ręce trzymał nóż.

– Co to ma być? – prychnęła Coilla. – Jakiś zjazd łajdaków?

Aulay spojrzał na nią spode łba. Wprost kipiał ze złości.

– Widzisz, Greever? – ciągnął Lekmann. – Dziel i rządź.

Aulay pogroził orczycy ostrzem.

– Teraz mi zapłacisz, suko.

– Jak sobie życzysz, jednooki. A może jednoręki? Albo jednouchy?

Twarz człowieka zmieniła się w maskę wściekłości.

– A gdzie głupol? – zainteresował się Stryk.

– Gdzie drugi głupol? – poprawiła go Coilla.

Rozstąpiła się trzecia kępa zielska i wyszedł z niej Blaan, otrząsając się z liści. W rękach trzymał solidnie wykonaną drewnianą pałkę, nabijaną kanciastymi guzami.

Innych Rosomaków nie było nigdzie widać.

– Zabierzemy tylko wasze głowy – wyjaśnił spokojnie Lekmann. – I to.
– Wskazał gwiazdy. – Więc nie róbmy z tego wielkiej sprawy, dobrze?

– Chciałbyś, ospowaty tłumoku – burknęła Coilla.

Ostrza wyśliznęły się z natłuszczonych pochew.

Stryk i Coilla stanęli plecami do siebie. Ona wybrała sobie Aulaya, on wziął na siebie Lekmanna i Blaana.

Napastnicy ruszyli.

Stryk ciął w miecz Lekmanna. Ostrza zderzyły się ze szczękiem – raz, drugi, trzeci. Człowiek cofnął się o krok, dzięki czemu Stryk zdołał odwrócić się i kopnąć Blaana w brzuch. Olbrzym zgiął się wpół i na chwilę zatrzymał. Ork podjął wymianę ciosów z przywódcą.

Po stronie Coilli rozszalała się stalowa burza na cztery ostrza, bo orczyca w odpowiedzi na zapędy przeciwnika również uzbroiła się w miecz i nóż. Wywiązała się gwałtowna wymiana ciosów. Brzeszczoty śmigały nad głowami i o milimetry chybiały brzuchów; oboje unikali sztychów i nawzajem zbijali swoje cięcia. Kiedy zwarli się w klinczu, Coilla kopnęła Aulaya w pieszczel, żeby się od niego oderwać. Odskoczył, kulejąc, i natarł z taką furją, że prawie sięgnął jej gardła. Sparowała jednak jego cięcie – i skontrolowała.

Blaan znowu zachodził Stryka z boku. Ork uskoczył przed ciosem Lekmanna i machnął mieczem w stronę olbrzyma. Nie trafił, ale był na tyle blisko, że znów udało mu się na chwilę powstrzymać zapędy Blaana. Wrócił do fechtunku z przywódcą.

Aulay, narażając się na ciosy Coilli, przedarł się przez jej zasłonę.

Chlasnąwszy na odlew nożem, minimalnie chybił jej twarzy, a po chwili tylko łut szczęścia sprawił, że uniknęła pchnięcia w pierś. Pozbierała się szybko, uporządkowała obronę i kombinacją szybkich ciosów zmusiła przeciwnika do cofnięcia się. Wykorzystując jego chwilową utratę równowagi, skoczyła naprzód i wymierzyła cięcie, które powinno było rozplatać mu pierś – ale tylko ześliznęło się po protezie, krzesząc błękitne iskry i podsycając jego gniew.

Stryk stanął przed trudnym wyborem. Obaj przeciwnicy podeszli na tyle blisko, że stanowili realne zagrożenie i musiał się zdecydować, z którym pierwszym się rozprawi. Blaen ułatwił mu decyzję: zamachnął się z góry pałą i byłby mu rozłupał czaszkę, gdyby ork w porę nie zrobił uniku. Miecz Stryka wyskoczył jak żmija i ukąsił Blaana w rękę. Człowiek ryknął z bólu, ale wściekłość przeważała.

Coilla i Aulay osiągnęli coś w rodzaju pata: szermierka przerodziła się w pozbawioną finezji siekaninę, w której każde z nich, ogarnięte ślełą furją, próbowało brutalną siłą przełamać obronę wroga.

Korzystając z faktu, że Stryk chwilowo zajął się Blaanem, Lekmann zaszarżował. Ostrza nie było widać w locie, tak błyskawiczne wyprowadził cięcie – ale Stryk się nie cofnął. Odbił i pierwszy cios, i następne, a potem sam przeszedł do natarcia, z impetem napierając na Lekmanna i krok po kroku spychając go do tyłu. Miał spore szanse, żeby raz na zawsze zakończyć sprawę, ale Blaen pokrzyżował mu plany. Krwawiąc obficie, zakręcił pałą młynka i wpakował się w sam środek walki. Stryk ciął w bok. Nie trafił, ale zepchnął olbrzyma w kępę krzewów.

Blaen już chciał ponownie włączyć się do walki, kiedy nagle przeszył go dreszcz. Na sztywnych nogach odsunął się od kępy, oczy mu się zaszklily – i po chwili wszystko stało się jasne.

Z pleców sterczała mu rękojeść topora.

Na ten widok walczący znieruchomieli. Coilla i Stryk odsunęli się od

Aulaya i Lekmanna i z rozdziawionymi ustami patrzyli, jak Blaana chwieje się na nogach. Nadal ściskał w rękach palkę.

Dopiero Haskeer, który wyskoczył z zarośli, wyrwał ich z odrętwienia. Jup w asyście dwóch szeregowców deptał mu po piętach.

Lekmann i Aulay rzucili się do ucieczki i wpadli w pobliski gąszcz. Jup z szeregowymi popędzili ich śladem. Coilla dołączyła do pościgu.

Stryk i Haskeer stali jak skamieniali, zahipnotyzowani widokiem Blaana. Ostrze topora wbiło mu się głęboko między łopatki, strugi krwi spływały po plecach, a on dalej parł naprzód. Cały swój gniew skoncentrował na Haskeerze. Jakimś cudem wzniosł palkę do ciosu, zatoczył się do przodu i uderzył, mierząc w czaszkę orka.

Haskeer i Stryk zareagowali równocześnie: pierwszy zatopił miecz w piersi człowieka, drugi pchnął z boku między żebra. Wyszarpnąwszy ostrza z ran, patrzyli, jak olbrzym chwieje się i pada bezwładnie na brzuch. Ziemia się zatrzęsała.

W zagajniku wybuchło małe zamieszanie. Aulay i Lekmann wypadli z zarośli na koniach, oganiając się mieczami od ścigających ich pieszo orków. Stryk i Haskeer uskoczyli im z drogi i jeźdźcy pognali przed siebie. Coilla przystanęła w biegu i rzuciła nożem, ale ten śmignął tylko ponad ramieniem Aulaya. A potem konni użyli ostróg i pognali na złamanie karku.

– Gonimy ich? – zapytała zdyszana orczyca.

– Nie ma sensu – odparł Stryk. – Zanim dobiegniemy do koni, oni już będą daleko. Niech jadą. Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Z pewnością.

Stryk zebrał z ziemi gwiazdy i spojrzał na Haskeera.

– Dobrze się spisaliście, sierżancie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. I tak byłem mu coś winien. – Oparł się stopą o zwłoki Blaana i wyszarpnął mu topór z pleców. Nachylił się, narwał trawy i zaczął wycierać ostrze z krwi.

Jup podszedł do niego i spojrział na cielsko powalonego olbrzyma.

– No, sępy będą dziś miały ucztę.

– Straszny tu ruch na tym półwyspie – zauważyła Coilla.

– To prawda – przytaknął Stryk. – Mamy całe mnóstwo niechcianych zalotników.

– A będzie coraz gorzej – ostrzegł Jup.

ROZDZIAŁ II



Kiedy dotarli do Cypla Ruffeta, był wczesny wieczór. Pierwsze oznaki bytności ludzi odkryli na stromo nachylonym zboczu wzgórza. W powierzchni kredowego gruntu ktoś wyrył stylizowane rysunki: smoka, orła z rozpostartymi skrzydłami, budynek z kolumnowym portykiem. Ryty były świeże i w zapadającym zmierzchu zdawały się niemal lśnić własnym blaskiem.

Osada leżała w małej dolince nad samym brzegiem oceanu. Obok płynął strumień, nad którym, po stronie osady, zbudowano drewnianą przystań. Cumowało przy niej kilkanaście kanoe i dłubanek.

Orkowie ostrożnie zakradli się do stóp wzgórza górującego nad osadą. Stryk wyznaczył dwóch szeregowców do pilnowania koni, a resztę poprowadził na wierzchołek.

Z biegiem lat Cypel Ruffeta rozrósł się tak bardzo, że zajmował teraz sporą część doliny. Był otoczony palisadą z grubych pni drzew. W paru miejscach ponad nią piętrzyły się wieże strażnicze, niczym domki myśliwskie niespodziewanie wyniesione do niezwykłej dla nich godności. W palisadzie znajdowało się kilka bram. Wszystkie stały otworem.

Coilla pierwsza zwróciła na to uwagę.

– Chyba nie czują się specjalnie zagrożeni.

– Ale przecież osada jest ufortyfikowana – odparł Stryk. – Nie są

idiotami.

– Dziwnie to wygląda – stwierdził Jup.

To, co zobaczyli w osadzie, potwierdzało jego opinię. Od wewnątrz wzdłuż palisady biegła wysypana tłuczniem droga. Dalej znajdował się gęszcz szałasów i skromnych domów, w większości drewnianych, chociaż niektóre miały ściany z kamienia, łupku, a nawet wiklinowej plecionki. Położone w głębi domy mieszkalne prezentowały się nieco okazalej.

Ale najdziwniejszy widok przedstawiał sam środek osady. Rozpościerały się tam trzy rozległe, połączone ze sobą place. Na lewym znajdowała się druga co do wysokości budowla w całym cyplu: kamienna piramida, której wierzchołek wznosił się ponad palisadą, nie był jednak spiczasty, lecz płaski; przypominał taras z niską balustradą. Błyszczał od wilgoci po niedawnym deszczu.

Na płaskim terenie po prawej stronie wznosił się nieukończony budynek. Spod rusztowań prześwitywała górna część drewnianej konstrukcji, dół zaś oblicowano materiałem, który z tej odległości przypominał białoszary marmur. Nie ulegało wątpliwości, że ryt w kredowym stoku, który widzieli na wzgórzu, jest nieudolną podobizną tej właśnie budowli. Orkowie uznali, że to ta świątynia, o której opowiadał im Katz.

Ale największe wrażenie zrobił na nich widok środkowego, zdecydowanie największego placu Cypla Ruffeta.

Otaczał go krąg olbrzymich kamiennych bloków o sinawym odcieniu. Stały przeważnie w parach, a szczyt każdej pary wieńczył trzeci monolit, ułożony poziomo. Całość wyglądała jak skupisko wąskich kamiennych łuków.

– Ile to ich musiało kosztować pracy... – zachwycił się Alfray.

– Ludzie są nienormalni – stwierdził Haskeer. – Co za marnotrawstwo.

Inne kamienie, niższe, lecz nie mniej masywne od tamtych, leżały w obrębie kręgu, porozrzucane bez ładu i składu. Coilla wpatrywała się w sam

środek koła.

– Coś niesamowitego... – szepnęła.

– Nie widziałaś tego nigdy wcześniej? – spytał Alfray.

Pokręciła głową.

– Ja też nie – zawtórował jej Jup.

– Ja widziałem... raz, może dwa. Ale nie takie wielkie.

W centrum kręgu znajdowało się następne skupisko głazów, tym razem ułożonych w kształt pięciokąta.

Z jego środka tryskał gejzer magicznej energii, cichy i świetlisty, jak pionowa tęcza, ale zarazem przywodzący na myśl strugę pary, tak chybotał się i tańczył w powietrzu. Rozedrgane krawędzie mieniły się podstawowymi barwami w nieco ciemniejszych odcieniach niż środek. Powietrze w pobliżu drżało jak w gorący dzień.

Niezwykłość widoku odebrała im mowę.

W końcu Jup przemógł się i powiedział:

– Magia musi tu być bardzo silna. Tyle jej wypływa i wsiąka w ziemię.

– Jej źródło musi się odnawiać – zauważył Alfray. – Magia należy do ziemi, karmi ją, nie wycieka z niej.

W osadzie roіło się od zaaferowanych ludzi: tłoczyli się pieszo na ulicach, prowadzili konie za uzdy, jechali na wozach, biegali na posyłki. Wokół świątyni tłum był jeszcze gęstszy – ciosali kamień i rąbali drewno; odgłosy ich pracy dolatywały aż na wzgórze.

Coilla spojrzała pytająco na Stryka.

– Co robimy?

Struga magii przykuwała jego wzrok, ale otrząsnął się z jej uroku.

– To Mnogowie – stwierdził. – Powinni być bardziej gościnni dla starszych ras.

– To ludzie – przypomniał mu Haskeer. – Nie można im ufać.

– Haskeer ma rację – poparł go Alfray. – Co zrobimy, jeśli okażą się

wrogo nastawieni?

– Są dwie możliwości. Albo potraktują nas przyjaźnie i uda nam się odkupić od nich gwiazdę, albo zostaniemy wrogami. Mają taką przewagę liczebną że nic wtedy nie wskóramy. Dlatego proponuję zagrać w otwarte karty i wejść do osady z białą flagą.

– Zgoda. – Coilla skinęła głową. – Wiemy przecież, że Katza wpuścili. Więc przynajmniej dla chochlików są życzliwi.

– Nie zapominaj, co Katz powiedział – wtrącił Jup. – Budują tę świątynię po to, żeby umieścić w niej gwiazdę. Jeśli zadają sobie dla niej tyle trudu, nie będą chcieli się z nią rozstać.

– To prawda – zawtórował mu Alfray. – Worek czy dwa krystalinu ich nie przekonają.

– Jest jeszcze coś – dodała Coilla. – Skoro tak bardzo cenią sobie tę jedną gwiazdę, może lepiej nie pchać się do nich z czterema następnymi?

– Nie będziemy ogłaszać na ulicach, że je mamy – zapewnił ją Stryk.

– Wiem o tym, ale przecież mogą nas zechcieć zrewidować.

– Ktoś mógłby tu zostać, Stryku – powiedział Alfray. – Z gwiazdami.

– Nie podoba mi się ten pomysł. Nie żebym nie ufał swoim ludziom, ale jeśli kogoś tu zostawimy, będzie narażony na atak przeważających sił wroga. Wolałbym nie dzielić oddziału.

Coilla pomyślała, że niechęć Stryka ma też inne przyczyny, ale nie powiedziała tego na głos.

– Chcesz zagrać ostro, co? Wszystko albo nic?

Stryk nie odpowiedział.

– Przypomina mi to sytuację z Trójcy – odezwał się Haskeer. – Może załatwimy sprawę podobnie jak tam?

– Tu jest inaczej. – Stryk pokręcił głową. – Tam Jup mógł dołączyć do krasnoludów. Widzicie tu jakichś? – Nie widzieli. – No właśnie. Nie ma ławicy, w której mogłaby się zgubić jedna mała rybka.

Jeśli nawet orków zdumiało to porównanie, nie dali tego po sobie poznać.

– No to jaki jest plan?

– Widzicie, że bramy są otwarte, a w okolicy nie ma patroli. Z tego wynika, że ci ludzie starają się chyba żyć w pokoju. Dlatego proponuję do nich zejść, rozejrzeć się, zobaczyć, jak żyją.

– I ukraść im gwiazdę – dokończył Jup.

– Jeśli będzie to konieczne, to tak. Jeśli nie zechcą nam jej sprzedać i nie posłuchają rozsądnych argumentów.

– To my mamy jakieś rozsądne argumenty? – zakpił krasnolud.

– Chciałbym to jeszcze przemyśleć. – Stryk popatrzył w niebo. – Albo wejdziemy teraz, zanim się ściemni, albo zaczekamy do rana. Ja bym zaczekał.

Widząc jego determinację, oficerowie nie protestowali. Tylko Alfray miał wątpliwości.

– Sam mówiłeś, że w okolicy sporo się dzieje. Nie powinniśmy za długo zwlekać, bo możemy się doczekać nieproszonych gości.

– Wiem. Dlatego podwoimy strażę i będziemy spać czujnie.

Na szczycie innego wzgórza, nie tak znowu daleko od orków, Kimball Hobrow przeżywał duchowe uniesienie.

– ...maszerując pod sztandarem naszego Pana, Boga Wszechmogącego!
– zagrzmiął.

Odpowiedział mu ryk setek dobywający się z setek gardeł.

Obok niego stała Litość, skąpana w niezmiernym, migotliwym blasku pochodni, które powtykano w stojaki po obu ich stronach. Przed nimi rozpościerała się olbrzymia armia, morze ludzkich twarzy, także z pochodniami. Na czele, na honorowym miejscu, stali służący Hobrowowi nadzorcy.

– Wybiła godzina naszego zbawienia! – obiecywał Hobrow. – Trzeba

nam wielkiej woli, bracia, aby zmiążyć pogan! Aby skruszyć kości wiarołomnych Mnogów i bezbożnych starszych ras! I ja mam tę wolę!

Tumult zagłuszył jego słowa niczym lawina. Groty pik i proporce wzniosły się w powietrze.

– Mam tę wolę i mam poparcie Boga, władcy całego Stworzenia!

Patrzył na wiwatujące tłumy. Odgrywał dla nich przedstawienie. Byli zbieraniną nadzorców, Jedów, którzy z daleka przybyli na jego wezwanie, i paru krasnoludzkich klanów, ale w tej chwili wypełniał ich Duch Święty – nie licząc krasnoludów, którzy poszli za nim dla pieniędzy.

– Mamy wielu wrogów, albowiem macki czarnej zarazy zła sięgają daleko. Jeden z nich, kobieta, jest przed nami, stoi nam na drodze do Cypla Ruffeta! Na drodze naszej krucjaty! Znaie ją! To Ladacznica, o której mówi Pismo, zmija w Królestwie Bożym na ziemi! Ale razem ją zniszczymy!

Okrzyki aprobaty brzmiały jak grzmot.

– Jesteśmy liczni, a będziemy jeszcze liczniejsi! Walczymy o przyszłość naszych ras! – Musiał choć przez chwilę uwzględnić w swoim wystąpieniu tych cholernych krasnoludów. – Naszych dzieci! – Dramatycznym gestem wskazał zatroskaną twarzyczkę Litości. – Naszych nieśmiertelnych dusz!

Jazgot, jaki podniosło jego wojsko, obudziłyby umarłego.

Trzysta do czterystu ludzkich ciał zalegało pobojowisko, dzieląc je z niezliczonymi trupami wierzchowców i jucnych zwierząt. Poprzewracane, dopalające się wozy tworzyły wyspy w morzu krwi.

Jennesta patrzyła obojętnie, jak jej żołnierze, przyświecając sobie pochodniami, łupią zabitych i dobijają rannych. Mersadion, z twarzą owiniętą bandażem, nalegał, żeby razem z wojskiem świętowała zwycięstwo.

Nie miała na to ochoty.

– Przeklinam je. Spotkanie z tymi durniami opóźni nasz pochód.

Najważniejszy jest oddział Stryka i instrumentaria.

Zapomniała się. Użyła w obecności generała słowa, którego starała się unikać. Mersadion miał pewne pojęcie o jego znaczeniu, ale starał się nie dać tego po sobie poznać.

– Jeden z rannych zeznał przed śmiercią, że udawali się na spotkanie z większą armią Jedów, pani.

– Gdzie?

– Tego nie udało nam się dowiedzieć, pani. Ale z pewnością niedaleko stąd.

– Wzmocnij posterunki. Rób, co do ciebie należy, tylko nie zwracaj mi tym głowy! – wybuchnęła gniewem Jennesta. – Bylebyśmy doszli wreszcie do Cypla Ruffeta!

Odprawiła go skinieniem ręki.

Wyszedł z namiotu w mrok, pielęgnując w sobie narastającą niechęć do władczyni.

W pobliżu płynął potok. Jennesta wyjęła pochodnię z uchwytu, wyszła z namiotu i usiadła na brzegu strumyka, żeby spokojnie pomyśleć.

Blask wbitej w ziemię pochodni kładł się rozmigotaną plamą na ciemnej wodzie. Po chwili zdała sobie sprawę, że odbicie przybrało inny kształt. Wzór na powierzchni odrobinę się zmienił, pojaśniał. Ogień i woda połączyły się i zawirowały.

Bardziej zrezygnowana niż zaskoczona patrzyła, jak w wodzie materializuje się twarz. Po śmierci Adpar Jennesta i jej ostatnia żyjąca siostra nie potrzebowały już żadnego wyrafinowanego medium, żeby się porozumieć – bez względu na to, która chciałaby do takiego kontaktu doprowadzić.

– Jeszcze mi ciebie tu brakowało, Sanaro.

– Nie możesz unikać konsekwencji swoich czynów.

– A co ty wiesz o moich czynach, wścibska jędzo?

– Wiem, jakiego zła dopuściłaś się przeciw swojej siostrze. Jenneście przyszło do głowy, że gdyby miała okazję, chętnie zrobiłaby to po raz drugi. I zrobi to.

– Powinnaś mi być wdzięczna. Jednego tyrana mniej. Nie cieszysz się?

– Twoja hipokryzja jest porażająca. Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że wielu właśnie ciebie uważa za największego tyrana?

Jennesta zrobiła taką minę, jakby usłyszała komplement.

– Doprawdy?

– Dobrze wiesz, że jesteś okrutną despotką.

– Gorszą niż to idiotyczne bóstwo Jedów? Niż oni sami, wyznawcy bezlitosnego boga?

– No proszę, teraz już porównujesz się do bogów.

– Wiesz, o co mi chodziło. Poza tym nie widziałam jeszcze żadnych dowodów istnienia tego boga Jedów.

– To samo można by powiedzieć o bóstwach starszych ras.

– A teraz kto próbuje się równać z bogami? – Jennesta prychnęła złośliwie. – Ale mniejsza z tym. Czy zjawiałaś się tylko po to, żeby mnie zbesztać? Czy może masz jednak coś ciekawego do powiedzenia? Bo wiesz, jestem zajęta...

– Odpychasz nawet tych, którzy próbują ci pomóc. Odsuwasz się od wszystkich.

– Jestem wystarczająco silna, żeby zrobić to, co muszę.

– Być może. A ja powinnam się chyba zadowolić przekonaniem, że poparcie dla ciebie z czasem osłabnie.

– Zanim to nastąpi, dopnę swego. Wtedy nie będą mi już potrzebni materialni wyznawcy.

– W tej grze są jeszcze inni potężni uczestnicy. Wśród nich także tacy, których powinnaś się bać.

– Kto? – warknęła Jennesta. – Kto by śmiał? Jedowie? Mnogowie? Jacys?

fanatycy? A może ci orkowie, których ścigam? Banda, która nie ma odwagi stawić mi czoła. Masz na myśli tych głupich dzikusów?

– Drwisz z nich, ale na razie osiągnęli więcej niż ty.

– Co masz na myśli?

– Dość już powiedziała.

– Czyżby mieli już więcej niż jedno instrumentarium? – spytała Jennesta z nieskrywaną ciekawością.

Sanara nie odpowiedziała.

– Jakże wymowne jest twoje milczenie, siostrze. Cóż, chyba powinnam ci być za nie wdzięczna. Wiem teraz, że schwywanie ich sprawi mi nadspodziewaną satysfakcję. Wykonali za mnie część pracy.

– Dopraszasz się o śmierć i potępienie.

– Tylko tyle? Jestem panią jednego i drugiego, Sanaro. Nie boję się ich.

– To się okaże. Ale po co topić świat w smutku? Masz jeszcze czas, żeby wrócić na ścieżkę dobra.

– Stara śpiewka. Spróbuj czegoś nowego. Na razie jesteś żalosna.

– Nie mów potem, że cię nie ostrzegałam.

– Wyjął mi to z ust – odparła złowrogo Jennesta i ręką przecięła taflę wody, zrywając połączenie.

Musiała przyznać, że z Sanarą nie pójdzie jej tak łatwo jak z Adpar. Sanara umiała się lepiej bronić. Ale Jennesta postanowiła poświęcić tej sprawie więcej uwagi.

Świt zastał Stryka i jego żołnierzy na tym samym wzgórzu.

Promienie słońca padły na zabudowania osady. Rozśpiewały się ptaki. Żołnierze, którzy o poranku nie pełnili akurat warty, zaczęli się budzić. Stryk prawie nie zmrużył oka. Podobnie jak Coilla.

– Czy oni w ogóle nie śpią? – spytała, skinieniem głowy wskazując ruch w Cyplu. Ludzie krzatali się jak mrówki, przewozili budulec do świątyni, dźwigali go na rusztowania.

– Pracowici są – przyznał Stryk. – Harowali przez całą noc. Ludzie pojawili się również za bramami miasteczka – piesi i konni okrążali palisadę.

Jup ziewnął przeciągle.

– Wygląda na to, że jednak czasem patrolują okolicę.

– Musieliby być głupi, żeby tego nie robić – mruknął Haskeer.

Alfray się przeciągnął.

– I jak, Stryku, co robimy?

– Chyba tam pójdziemy. Spokojnie i z otwartymi ramionami.

– Skoro tak mówisz...

– Widzę, że masz wątpliwości.

– Wszyscy mamy – przyznała Coilla. – Jeżeli coś pójdzie nie po naszej myśli, staniemy się zakładnikami losu.

– Mamy inne wyjście? Mówiłem przecież...

Stryk obejrzał się przez ramię. Patrzył w napięciu w dół zbocza, w przeciwną stronę niż leżała osada.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Coilla.

– Stryku? – zawtórował jej Alfray.

– Coś się zbliża.

Haskeer uniósł brwi.

– Że co?

I wtedy wszyscy ich zobaczyli: oddział jeźdźców zmierzał traktem w głąb doliny.

– Na bogów! – wykrzyknął Jup. – Będzie ich ze dwie setki!

Coilla przysłoniła oczy dłonią.

– Orkowie.

– Na Kwadrat, to naprawdę orkowie! – potwierdził Alfray. – Co oni tu robią?

– Może szczęście nas opuściło i właśnie widzimy następny oddział

chartów Jennesty.

– Zobaczyli nas – ostrzegł Haskeer.

Niektórzy jeźdźcy machali w powietrzu tarczami i włóczniami.

– Ale chyba nie chcą się bić – zauważył Jup.

– Może to pułapka – zasugerował Haskeer.

– Miałem rację, Stryku! – powiedział krasnolud. – Masz dar jasnowidzenia!

– Jak to? – spytał ostrożnie Stryk.

– Domyśliłeś się, że tu jadą, zanim ich zobaczyłeś. Nie było ich słychać. Skąd wiedziałeś?

– Miałem... przeczucie. – Stryk zdawał sobie sprawę, że oficerowie patrzą na niego podejrzliwie. – O co chodzi? Wy nigdy nie miewacie przeczuc?

– Nie czas na to. – Alfray wskazał na jeźdźców. – Co z nimi zrobimy?

– Zejdę do nich – westchnął Stryk. – Ty i Coilla pójdziecie ze mną. Weźmiemy jeszcze czterech szeregowców. – Odwrócił się do Jupa i Haskeera. – Wy dwaj przejmiecie dowodzenie do naszego powrotu.

Jeżeli nawet któryś z sierżantów nie był zachwycony tą nominacją, to i tak się nie odezwał.

Stryk, Coilla i Alfray ruszyli w dół stoku, zgarnawszy po drodze Orbona, Prooą, Vobe'a i Finje. Znaleźli się u podnóża pagórka w tym samym czasie, co jeźdźcy. Konni orkowie wyglądali przyjaźnie, wielu się uśmiechało; Stryk miał wrażenie, że rozpoznaje wśród nich dwóch strażników z obstawy Katza.

Jadący w pierwszym szeregu kapral wyglądał na dowódcę oddziału. Pozdrowił Stryka gestem.

– Witajcie. Nazywam się Krenad. A ty jesteś Stryk, prawda?

– Co z tego?

– Chcemy się do was przyłączyć.

– Nie prowadzę werbunku.

Entuzjazm malujący się na twarzy kaprała Krenada wyraźnie przygasł.

– Wysłuchaj go chociaż – syknęła Coilla.

Stryk odezwał się, tym razem łagodniejszym tonem:

– Skąd jesteście?

– Zewsząd, kapitanie. Większość z nas zdezerterowała od Jennesty, resztę zebraliśmy po drodze. Na pewno będzie nas jeszcze więcej.

– Ale dlaczego? Dlaczego z takim uporem podążacie za mną?

– Myślałem, że to oczywiste, kapitanie – odparł zaskoczony kapral.

– Skąd wiedzieliście, gdzie nas szukać? – zainteresował się Alfray.

– Od Jennesty. W pewnym sensie.

– To znaczy? – spytała Coilla.

– Ciągnie tu cała jej armia. I to duża. Nie wszyscy żołnierze mają dość służby u niej. Wprost przeciwnie. Jedziemy na lekko, więc ich wyprzedziliśmy. Jennesta od dawna was tropi, a ostatnio wypatrył was jeden z jej smoczych jeźdźców.

– No cóż, wiedzieliśmy, że zmierza do Drogan – przyznał Alfray.

– Kiedy dowiedziała się, że podążacie na południe półwyspu, ominęła las.

– Przynajmniej centaurom się nie oberwie – odetchnęła z ulgą Coilla.

– Jej chodzi o was. Tylko o was. Ale to nie wszystko.

– A co, może być jeszcze gorzej?

– Oprócz Jennesty maszeruje tu jeszcze jedna armia. Chyba Jedowie. Jedni i drudzy będą tu jutro. Najdalej pojutrze.

– Rzeczywiście, jest gorzej. Co za świństwo! – Coilla zwróciła się do Stryka: – Nie możesz ich odprawić. Nie teraz, kiedy po piętach depcze nam Jennesta i bogowie wiedzą kto jeszcze.

Stryk spojrział na nią z powątpiewaniem.

– Może nie zauważyłeś, ale doszliśmy do końca półwyspu – dodał

Alfray. – Jeżeli mamy wyrębać sobie stąd drogę do wolności, przyda nam się wsparcie.

Kapitan z namysłem pokiwał głową.

– No, dalej – nalegała Coilla. – Prosta żołnierska logika mówi, że to jedyne wyjście.

– Dobrze – powiedział Stryk. – Chwilowo się zgadzam. Ale do czasu wyplątania się z tej opresji jesteście pod moją komendą, kapralu. Czy to jasne?

– Tak jest, kapitanie! Niczego innego nie chcemy.

– Kiedy ruszymy do walki? – zawołał ktoś z tylnych szeregów.

– Nie zamierzam walczyć – odparł Stryk. Odwrócił się do czterech swoich szeregowców. – Zakwaterujcie nowych. – Znów spojrzał na kaprala. – Macie ich słuchać jak mnie. Zrozumiano?

Krenad skinął głową.

Stryk odwrócił się na pięcie i ruszył na szczyt wzgórza. Coilla i Alfray poszli za nim.

– Szlag by to... – mruknął. – Jeśli pojawimy się w takiej masie, Mnogowie pomyślą, że chcemy ich zaatakować.

– Niekoniecznie. – Coilla pokręciła głową. – Możemy podejść spokojnie i wszystko wyjaśnić. Zagrać w otwarte karty, jak sam powiedziałaś.

– Może przybycie tych orków to dobry znak – stwierdził filozoficznie Alfray.

Stryk spojrzał na niego spode łba. Coilla się uśmiechnęła.

– Wygląda na to, że jesteś wodzem. Czy ci się to podoba, czy nie.

Obejrzał się przez ramię na pełnych zapału żołnierzy.

– Wcale nie chcę.

– Trudno. Pogódź się z tym.

ROZDZIAŁ 12



Niosąc flagę pokoju, Stryk ruszył w stronę bramy. Towarzyszyli mu Coilla, Alfray i Jup; Haskeer dowodził resztą oddziału.

Na spotkanie wyszła im sześćosobowa grupa strażników w brązowych kurtkach, czarnych spodniach i wysokich skórzanych butach. Wszyscy mieli miecze, a dwóch lub trzech także przerzucone przez ramię łuki.

– Witajcie – odezwał się Stryk. – Przybywamy w pokoju.

– Zbliźcie się w pokoju, a w pokoju zostanieie przyjęci – odparł jeden z żołnierzy, jakby recytował zapis protokołu. Jedno ramię miał przewiązane zieloną szarfą, która musiała oznaczać wyższy stopień. – Co was sprowadza? – zapytał już mniej oficjalnie.

– Chcemy rozmawiać z waszym wodzem.

– Nie mamy wodza. Rządzi nami rada złożona ze starszyzny, kapłanów i dowódców wojskowych. Wszystkie decyzje podejmujemy wspólnie.

– Czy możemy w takim razie spotkać się z kimś z rady?

– Nie odmawiamy audiencji bez powodu, ale powiedzcie najpierw, o co chodzi.

– Chcemy schronić się w waszej osadzie, żeby bezpiecznie wypocząć przed dalszym marszem.

– Jest was wielu, i to samych orków. Czy naprawdę potrzebujecie naszej ochrony?

– Nastaly niebezpieczne czasy, a nawet orkowie muszą kiedyś spać. Ale nie jesteśmy dla was zagrożeniem. Masz na to moje słowo. Możemy nawet złożyć broń.

Te słowa najwidoczniej przeważyły szalę.

– Dla orka to chyba spore wyrzeczenie – stwierdził oficer. – Możecie zatrzymać broń, wiedzcie jednak, że na próbę podstępu odpowiemy siłą. – Wskazał najpierw jedną, potem drugą wieżyczkę przy bramie. W obu stało po kilku strzelców z napiętymi łukami. – Będą mieć was na oku. Mają rozkaz strzelać, jeżeli zaczniecie się źle zachowywać. – Uśmiechnął się lekko, niemal przepraszająco. – Z pewnością rozumiecie naszą ostrożność.

– Naturalnie. Tak jak powiedziałem, nastaly niebezpieczne czasy.

Oficer skinął głową i poprowadził ich za palisadę.

– Zaczyna się obiecująco – szepnęła Coilla.

Zanim Stryk zdążył odpowiedzieć, stanął przed nimi następny komitet powitalny: dwóch mężczyzn wyglądało na członków starszyny, a towarzyszący im trzeci był żołnierzem. Prężył się jak struna. Trzy zielone przepaski na ramieniu sugerowały znaczną rangę. Jeden z cywilów wystąpił naprzód.

– Jestem radny Traylor, a to radny Yandell. Witajcie. Kapitan Rellston dowodzi naszą armią.

Kapitan nie odezwał się ani nie uśmiechnął. Był człowiekiem w kwiecie wieku (przynajmniej tak to ocenili orkowie, niezbyt zorientowani w przypadku ludzi), miał gęstą jasną brodę i leciutko przyprószone siwizną włosy. Cała jego powierzchowność znamionowała wytrawnego żołnierza. Taksował gości beznamiętnym spojrzeniem.

Stryk otrząsnął się z zadumy.

– Witajcie – odparł. – Nazywam się Stryk. To moi oficerowie. Dziękujemy za gościnne przyjęcie.

– Rosomaki, tak? – prychnął Rellston. Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.

Nie było sensu zaprzeczać.

– Tak.

– Słyszałem, że nieźli z was awanturnicy.

– Nie szukamy kłopotów. A jeśli już komuś nabruździliśmy, to tylko Jedom.

Nie była to do końca prawda, ale całkowita szczerść byłaby błędem.

– Być może – odparł z powątpiewaniem Rellston. – Musicie wiedzieć, że my tutaj nie lubimy kłopotów. Staramy się żyć w pokoju i szanować sąsiadów, ale przede wszystkim chcemy, żeby nas zostawiono w spokoju. Jeżeli ktoś ściąga nam na głowę problemy, zwłaszcza przedstawiciel innej... rasy, rozprawiamy się z nim szybko i skutecznie.

Stryk cieszył się, że nie ma z nimi Haskeera – jedni bogowie wiedzieli, jak by zareagował na słowa nadętego oficera.

– Nie mamy złych zamiarów – zapewnił Rellstona. Pomyślawszy o gwieździe, musiał w duchu przyznać, że kłamie.

– Czego od nas chcecie?

– Nie chcemy waszej krzywdy.

– A konkretnie?

– Musimy odpocząć w jakimś bezpiecznym miejscu. Nie potrzebujemy ani jedzenia, ani wody.

– Nasza osada to nie przytułek.

– Walczymy po tej samej stronie.

– To kwestia dyskusyjna.

Stryk nie chwycił przynęty. Bądź co bądź, Rellston miał sporo racji.

Dołączyło do nich jeszcze dwoje ludzi – kobieta i mały chłopczyk.

Kobieta była wysoką i szczupłą brunetką. Długie, lśniące włosy przytrzymała jej na czole opaska wysadzana opalizującymi kamieniami.

Brzoskwiniowa cera i błękitne oczy jakoś pasowały do przewiązanej złotym sznurem szaty i deseni na miękkich, zamszowych butach. Jej twarz miała szczerzy, łagodny wyraz. Na ile orkowie lub krasnoludy mogły to ocenić, wśród przedstawicieli swojej rasy kobieta musiała uchodzić za piękność.

– Krista Galby – przedstawił ją Traylor. – Nasza najwyższa kapłanka.

Stryk też się przedstawił. Kapłanka podała mu rękę. Ten typowo ludzki gest prawie go przestraszył, ale przyjął wyciągniętą dłoń i uścisnął, starając się nie zgnieść smukłych, delikatnych palców. Dłoń kapłanki była ciepła i miękka, zupełnie inna w dotyku niż zdrowe, szorstkie, lekko wilgotne dłonie orków. Dyplomatycznie ukrył swoje zniesmaczenie.

– Oto słynne Rosomaki – dodał Traylor.

– Tak? Podobno narozbijaliście ostatnio trochę nosów.

– Tylko tych, które ktoś wtykał w nasze sprawy – odparła Coilla.

Krista wybuchnęła szczerym, niewymuszonym śmiechem.

– Dobrze powiedziane! Chociaż, rzecz jasna, nie pochwalam stosowania przemocy. Chyba że w uzasadnionych przypadkach.

Stryk przedstawił kapłance Coillę, Jupa i Alfraya. Rellston obserwował ich z dezaprobatą. Krista położyła rękę na główce chłopca i zmierzwiła mu włosy. Dzieciak uśmiechnął się nieśmiało.

– To mój syn, Aidan.

Nawet ork musiał dostrzec rodzinne podobieństwo. Aidan odziedziczył po matce regularne rysy. Zdaniem Stryka mógł mieć jakieś siedem, osiem lat.

Nie ulegało też wątpliwości, że Krista Galby cieszy się wśród mieszkańców ogromnym mirem. Pozostali – nawet wyniosły kapitan – traktowali ją z szacunkiem.

– Po co przybywacie? – zapytała.

Stryk nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ wyręczył go radny Yandell.

– Stryk i jego podwładni proszą nas o ochronę. – Kątem oka zerknął na

Rellstona. – Kapitan ma zastrzeżenia.

– I słusznie. To on odpowiada za nasze bezpieczeństwo – odparła taktownie kapłanka. – Jesteśmy mu jak zwykle ogromnie wdzięczni za nieustanną czujność.

Stryk domyślał się, że są świadkami rozgrywki między świeckimi a religijnymi władzami Cypla. Podobał mu się sposób, w jaki Krista prowadziła tę rozmowę.

– Nie widzę jednak podstaw do powątpiewania w dobre intencje naszych gości – ciągnęła. – A w naszej społeczności udzielamy gościny wszystkim przybyłym dobrej woli.

Radni pokiwali potakująco głowami.

– Zgodzisz się ich przyjąć, pani, na czas nieokreślony? – zapytał Rellston.

– Przyjmiemy ich zgodnie z naszym zwyczajem, kapitanie. Udzielimy im gościny na jeden dzień. Odpowiedzialność za ich zachowanie biorę na siebie. Czy to panu odpowiada, kapitanie?

– O nic więcej nie prosimy – zapewnił Stryk.

Członkowie starszyzny wymówili się od dalszej rozmowy nawałem obowiązków i odeszli. Rellston wciąż się wahał.

– Życzysz sobie eskortę, pani?

– Nie będzie potrzebna, kapitanie.

Ostatni raz spojrzął na orków spode łba i również wrócił do swoich zajęć.

– Musicie go zrozumieć – zwróciła się kapłanka do Rosomaków. – Jest dobrym żołnierzem, ale brak mu... ogłady w kontaktach z przedstawicielami innych ras. Nie wszyscy jesteśmy tacy jak on.

– Straszny tu u was ruch – zauważyła Coilla, zmieniając temat. – Można wiedzieć, co się tu właściwie dzieje?

Kapłanka wskazała magiczny gejzer, którego czubek był widoczny

ponad dachami.

– Wszystkie nasze zajęcia są z nim związane.

– Kiedy to się zaczęło? – zainteresował się Alfray.

– Kiedy przed laty zakładano tę osadę, wyciek już był, ale mały. Byłam wtedy w wieku Aidana. To właśnie ze względu na ten gejzer nasi ojcowie tu się osiedlili. Ale ostatnio pęknięcie się powiększyło i gejzer przybrał takie rozmiary, jak widzicie.

– Taki upływ energii z pewnością szkodzi ziemi – zauważył Jup.

– I to bardzo. Ale nie umiemy go zatamować. Postanowiliśmy więc spróbować załatwić sprawę w inny sposób.

– To znaczy?

Kapłanka powiodła wzrokiem po orkach, ważąc coś w myślach.

– Pokażę wam – stwierdziła w końcu. – A ty, Aidanie, wracaj do nauki.

Chłopiec z pewnością wolałby zostać przy matce, ale ugiął się pod jej promiennym spojrzeniem i posłuchał. Odprowadzali go wzrokiem, gdy zniknął w płataninie uliczek.

Krista poprowadziła orków w przeciwnym kierunku.

– Tylko jeden dzień... – mruknął półgłosem Jup, kiedy ruszyli. Stryk skinął dyskretnie głową. Zdawał sobie sprawę, że muszą związać się jak w ukropie, żeby w tak krótkim czasie osiągnąć swój cel.

Zmierzali za kapłanką wprost do centrum osady. Wszyscy się za nimi oglądali, ale nikt nie okazywał wrogości. Skręcili na ścieżkę prowadzącą do budowanej świątyni.

Mimo że jeszcze nieskończona, budowla prezentowała się imponująco. Rzeczywiście, tak jak orkowie przypuszczali, obkładano jej ściany marmurem. Stojące po obu stronach wejścia kolumny – było ich w sumie sześć – miały wysokość wyrosniętych dębów. Szerokie schody prowadziły do dwuskrzydłowych drzwi, przy których stali uzbrojeni w piki wartownicy. Wnętrze oświetlone było lampami i pochodniami, których

blask migotał na najcenniejszym z materiałów – witrażowym szkłe. Setki mężczyzn i kobiet krzątały się po budynku, wchodziły i wychodziły, wspinały się na drewniane rusztowania. Sznur wozów dostarczał materiały.

– Przykro mi, ale do środka wpuszczamy wyłącznie osoby zatrudnione przy budowie – wyjaśniła Krista. – Goście tylko by przeszkadzali.

Stryk podejrzewał, że kapłanka nie mówi im całej prawdy.

– Niewiarygodna budowla – zachwycił się Alfray i z zadartą głową spojrzał na niegotową jeszcze kopułę.

– Jesteśmy z niej bardzo dumni – przyznała Krista. – Co wiecie o naszej religii?

– Tylko tyle, że jesteście Mnogami – odparł w imieniu Rosomaków Jup. – I że tak jak my oddajecie cześć starszym bogom, a także naturze.

– Istotnie. Jednak tu, w Cyplu Ruffeta, kult zawiera też pewne inne elementy naszej tradycji. Wierzymy w trójdzielność całego Stworzenia. Na poziomie świeckim wcielamy tę zasadę w życie poprzez organizację władz: najważniejsze decyzje podejmuje rada złożona z przedstawicieli zwykłych mieszkańców, żołnierzy i kapłanów. Dogmat o trójcy kieruje również naszym życiem duchowym, w którym decydującą rolę odgrywają Harmonia, Wiedza i Moc. – Krista wskazała świątynię. – To jest Wiedza. Chodźcie, pokażę wam Harmonię i Moc.

Zaintrygowane Rosomaki poszły za nią.

Prowadzącą na południe ulicą doszli do środkowego placu i kręgu sinych głazów. Dopiero teraz, z bliska, uderzył ich prawdziwy ogrom monolitów.

Ale i tak to tryskający ze środka kręgu magiczny gejzer przyciągnął ich uwagę.

– Moc jest tu silna – stwierdził Jup. – Bardzo silna. Prawie czuję ją na języku.

Stryk miał podobne wrażenie – jakby trzymał w ustach kawałek metalu. Miał gęsią skórkę, w uszach mu dzwoniło... A przecież orkowie byli z

natury niewrażliwi na magię. Alfray i Coilla nie zdradzali się z żadnymi niezwykłymi doznaniem, więc i on postanowił siedzieć cicho.

– Oto Harmonia – wyjaśniła Krista. – Te głazy mają pewne... szczególne cechy. Muszę przyznać, że nie do końca rozumiemy ich naturę. Wiemy tylko, że mogą przyciągać energię ziemi i nią kierować. – Wskazała na piramidę. – Energia przepływa tam, do Mocy, gdzie jest magazynowana.

– Udało wam się tak nią pokierować? – spytał Jup.

Kapłanka posmutniała.

– Niestety jeszcze nie. Ale chyba jesteśmy blisko. Moc płynąca z ziemi to tajemnicza siła. Niewiele o niej wiemy.

– Może tym bardziej nie powinniście ingerować?

– Być może. Zwłaszcza że to nasze przybycie spowodowało te wszystkie problemy. Choć właściwie nie tyle nasze, co Jedów, którzy próbują wykorzystywać linie mocy.

– Nie chciałem cię urazić.

– Nie uraziłeś. Ale możesz mi wierzyć, że staramy się tu uleczyć ziemię i przywrócić jej moc. Czujemy się odpowiedzialni za szkody wyrządzone przez całą ludzkość.

– W takim razie należy wam się nasze bezwarunkowe poparcie – stwierdził Alfray.

– Wierzimy, że wszystkie rasy mogą żyć w pokoju i w zgodzie z naturą. Chociaż wiem, że w obecnej sytuacji nasze poglądy brzmią niedorzecznie.

– To prawda, pani – przytaknął krasnolud.

– Ale to nie znaczy, że należy zarzucić dalsze próby – wtrąciła Coilla. – Wszyscy mamy swoje marzenia.

– Mam nadzieję, że uda się wam zrealizować wasze – odparła z przekonaniem Krista.

Spotkanie z wyrozumiałą dla orków istotą ludzką było dla Rosomaków nowym doświadczeniem. Nie wiedzieli, jak się zachować.

– Czymże byłoby życie bez marzeń? – zapytała Coilla.

Krista uśmiechnęła się do niej.

– Właśnie. Czym?

Reszta oddziału zaczynała się niecierpliwić. Sytuacja trochę się uspokoiła, kiedy Mnogowie – strażnicy i mieszkańcy osady – wyszli do nich i poczęstowali wszystkich jedzeniem i piwem, ale bezczynność nadal drażniła orków.

Nie zdawali sobie sprawy, że ich udręka nie potrwa już długo.

Jeden z wartowników wystawionych na pobliskim pagórku zaczął nagle coś wykrzykiwać i gwałtownie machać rękami. Po chwili dołączyli do niego następni. Byli jednak odrobinę za daleko, a wiatr wiał trochę zbyt mocno, żeby dało się ich zrozumieć.

Haskeer odwrócił się do stojącego w pobliżu szeregowca.

– Co oni tam krzyczą Eldo?

Eldo wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, panie sierżancie.

Haskeer przyłożył dłoń do ucha, po czym, nadal nic nie rozumiejąc, odkrzyknął coś strażnikom. Ci natychmiast porzucili posterunki i rzucili się na złamanie karku w dół stoku. Pierwszy, który dotarł na dół, z trudem łapał oddech.

– Jeźdźcy... Mnóstwo... jeźdźców... Jadą... doliny...

– Kto? – warknął Haskeer.

– Czarne... mundury... Setki...

– Cholera! Ludzie Hobrowa. Krenad, do mnie!

Kapral dopadł do niego jednym skokiem.

– Mówiliście, że idą za Jennestą!

– Bo tak było, panie sierżancie.

– Jedowie nadciągają? – zainteresował się strażnik z osady.

– Tak. Nadzorcy z Trójcy.

– Niedobrze. Musimy zebrać wszystkich w osadzie i ogłosić alarm.
– W porządku. Eldo, Vobe, Orbon! Wszystkich za bramę, ale migiem!
Szeregowcy rozbiegli się, żeby przekazać rozkaz, ale strażnik powiedział zaniepokojony:

– Musicie wejść pieszo. Jeżeli wjedziecie na koniach, wybuchnie panika.
– Jak to?
– Nasi ludzie pomyślą, że atakujecie! – wyjaśnił zniecierpliwiony Mnóg.
– No... tak. – Haskeer przyłożył zwinięte w trąbkę dłonie do ust. – Z koni! Z koni! Prowadźcie konie za uzdy!

Orkowie w pośpiechu ruszyli ku bramie.

Stryk i Krista dyskutowali właśnie o tym, jak najlepiej wprowadzić do osady czekających za palisadą wojowników, kiedy rozmowę przerwał im narastający tumult. Ktoś uderzył w pierwszy dzwon, następne zaraz podchwyciły sygnał.

– Alarm! – krzyknęła kapłanka. – Ktoś nas zaatakował!
– Ale kto...
Coilla urwała w pół zdania, widząc nadjeżdżającego kapitana Rellstona.
– Co się dzieje, Rellstonie? – spytała Krista. – O co chodzi?
– Jedowie. Szybko jadą. – Z marsem na czole spojrzął na Rosomaki. – Śmierdzi mi to zdradą.

– Wcale nie! – zaprotestował Stryk. – Dlaczego mielibyśmy knuć z Jedami? Ich przybycie nie ma z nami nic wspólnego.

– To ty tak twierdzisz.
– Rusz głową, kapitanie! – wtrąciła się kapłanka. – Gdyby nasi goście mieli złe zamiary, nie oddaliby się w nasze ręce jako zakładnicy.

– Czy ci ludzie noszą czarne mundury? – zapytał Alfray.
– Tak.
– Nadzorcy. To armia Kimballa Hobrowa.
– Hobrowa? – powtórzyła Krista.

- Znasz go? – zdziwiła się Coilla.
- Naturalnie. To chyba najbardziej nieprzejednany z Jedów. Otacza się fanatykami.
- Nie musisz nam tłumaczyć – mruknął Jup.
- Biegiem! – zakomenderował Stryk. – Do bramy!
- Zaraz! – zagrzmiął Rellston. – To ja tu dowodzę!
- Jesteśmy zawodowymi żołnierzami. Przyda się wam nasza pomoc.
- Nie kłóćcie się! – spróbowała pogodzić ich Krista. – Przyjmij ofertę orków, kapitanie. Ja muszę zostać w świątyni.

Oddaliła się biegiem.

Zdegustowany Rellston zawrócił konia w miejscu i odjechał galopem. Orkowie i Jup rzucili się pędem ku bramie.

Znalazłszy się przy niej chwilę później, stwierdzili, że większość orków weszła już do miasta i poza obrębem palisady została jedynie garstka maruderów. Tłumnie zebrani strażnicy rozdawali Mnogom broń. Ludzie i orkowie stanęli murem za bramą. Haskeer znajdował się w samym środku zbrojnej fali, usiłując nad nią zapanować.

Prooq wynurzył się z tłumu i zasalutował Strykowi.

– Panie kapitanie, nadciąga armia Hobrowa. Czterystu do pięciuset żołnierzy. Depczą nam po piętach.

Wciąż jeszcze nie wszyscy orkowie dotarli do osady. Brama zaczynała się zamykać.

Krenad podbiegł do Stryka.

– Mówiłeś chyba, że Jennesta będzie tu pierwsza – przypomniał mu Stryk.

– Albo coś ją zatrzymało, albo to tylko szybki podjazd wysłany przez Jedów.

– Jakie to ma znaczenie? – zdziwiła się Coilla. – Kimkolwiek są, chcą nas zaatakować!

Stryk musiał jej przyznać rację. Wydawał rozkazy i jednocześnie tłumaczył Krenadowi, jak zamierza użyć oddziału dezertarów. Przez uchyloną bramę widzieli ostatnich uciekinierów, którym na plecach siedział duży oddział nadzorców. Kiedy orkowie wpadli do środka, tłum zapał się o skrzydła bramy i zaczął ją zamykać.

Nie udało się: dwudziestu lub trzydziestu nadzorców wdarło się do środka. Obrońcy się rozpierchli, a Jedowie wjechali w ciżbę, kłując włóczniami i tnąc mieczami.

– Na nich! – ryknął Stryk.

Wreszcie udało się zamknąć bramę, a tłum wchłonął Jedów, którzy znaleźli się w środku. Piesi obrońcy osady przystąpili do rozprawy z intruzami.

Haskeer – jak zwykle – zastosował najprostsze rozwiązanie: porwał z ziemi beczkę i cisnął nią w najbliższego jeźdźca. Trafił go prosto w pierś i obalił na ziemię. Beczka się roztrzaskała, sypiąc na wszystkie strony kawałkami drewna i okuciami. Czerwone wino zbryzgało tych, co znaleźli się w pobliżu.

– Co za marnotrawstwo... – uśmiechnął się Jup.

Z nożem w zębach wdrapał się na drugą beczkę, odczekał, aż jeden z nadzorców się zbliży, a wtedy skoczył na niego i razem spadli na ziemię. Dobił przeciwnika nożem i zaczął wypatrywać następnego.

Coilla chwyciła wodze wierzchowca, który stracił jeźdźca, i wskoczyła na siodło. Dobyła broni i pchnęła konia w stronę Jeda, który napierał z mieczem na dwóch pikinierów. Odwrócił się do niej i wymienili trzy lub cztery ciosy, zanim udało się jej go zranić. Kiedy padł, pikinierzy dokończyli dzieła. Coilla przytrzymała konia i podała go Strykowi, który błyskawicznie wdrapał się na siodło. Dalej polowali już osobno.

Pierwszego Jeda zabił łatwo, tnąc od tyłu w lędźwie. Następny stawiał poważniejszy opór: okładali się mieczami, balansując na drepczących w

miejscu koniach, aż w końcu Stryk zatopił ostrze w piersi przeciwnika. Spłoszony rumak poniosł trupa wprost w cizbę Mnogów, którzy bezceremonialnie ściągnęli zwłoki z siodła. Jeden z nich dosiadł konia i ruszył do walki.

Alfray też znalazł sobie przeciwnika: Jed natarł na niego, próbując przygwoździć włócznią. Ork zbił pchnięcie i cofnął się pod ścianę domu, gdy nagle dwóch innych orków rzuciło się na człowieka: uskakując przed ciosami włóczni, zaczęli go szarpać i popychać, aż stracił równowagę i zakończył żywot na twardej ziemi, z gardłem rozoranym mieczem szeregowca.

Jup powalił Jeda celnie rzuconym nożem. Haskeer ściągnął innego z konia i pięścią pozbawił przytomności. Przewaga liczebna stawała się coraz wyraźniejsza i po paru minutach wszyscy napastnicy byli już martwi albo umierający.

Stryk zwołał oficerów.

– To tylko przygrywka – ostrzegł. – I to raczej przypadkowa. Musimy zorganizować obronę, zanim tamci się przygotują. Dzwony zabrzmiały z nowym zapalem. Do uszu żołnierzy dobiegł odległy tumult.

Jakiś obcy szeregowiec podbiegł z wiadomością:

– Przy zachodniej bramie mają kłopoty! Nie zdążyli jej w porę zamknąć.

– Krenad?! – ryknął Stryk. – Zabieram połowę twoich żołnierzy. Ty zostajesz z resztą tutaj. Pilnujcie bramy.

Większość Mnogów pobiegła już do zachodniej bramy, gdzie hałas narastał z każdą chwilą. Coraz więcej dzwonów biło na alarm.

– Jeśli się nie pospieszymy, może być źle – uprzedził Alfray, dosiadając konia.

Haskeer i Jup również znaleźli sobie wierzchowce. Piesi orkowie falą ruszyli za nimi.

– Biegiem! – zawołał Stryk i spiął konia.

Poprowadził wojsko w sam środek bitwy.

ROZDZIAŁ 13



Nieduża armia orków z głośnym tupotem przemierzała ulice osady, zgarniając po drodze chętnych do walki tubylców. Stryk i oficerowie jechali wierzchem, większość żołnierzy biegła.

Ich pojawienie się spotęgowało ogólny zamęt; wielu mieszkańców nie miało pojęcia, kogo ma przed sobą. Co kilkanaście kroków towarzyszący orkom Mnogowie musieli uspokajać zaskoczonych rodaków.

Kiedy dotarli do zachodniej bramy, zastali ją otwartą na oścież.

Dookoła niej toczyła się zaciekle bitwa, przy czym znacznie więcej nadzorców znajdowało się już w osadzie niż za bramą. Obrońcy w większości walczyli pieszo – tylko nieliczni konni wyróżniali się w morzu ciał. Jednym z nich był kapitan Rellston. Miecz w jego rękach co chwila błyskał nad głowami tłumu.

Wrogów przybywało; ludzie usiłujący zatrzasnąć wrota stanęli przed beznadziejnym zadaniem. Przy zbliżonej liczebności napastników i obrońców ci pierwsi mieli coraz wyraźniejszą przewagę.

– Jakie plany, szefie? – spytał Jup.

– Weź połowę ludzi i zwiąż walką tych Jedów, którzy są w środku. Ja z drugą połową przebijemy się pod bramę.

Stryk wezwał najlepszych orkowych jeźdźców.

– Weźcie nasze konie – polecił. – To, co my musimy zrobić, łatwiej

zrobimy na piechotę. A wy zajmijcie się kawalerią Jedów. Jasne?

Szeregowcy pokiwali głowami.

– Coilla! Haskeer! Idziecie ze mną do bramy. Alfray, ty zostajesz z Jupem. Ustawić szyk!

Jeden z nadzorców siekł Mnogów usiłujących zamknąć skrzydło wrót. Powaliła go wypuszczona nad tłumem strzała. Świadkowie jego śmierci wiwatowali, ale niegłośno.

Przy znacznie większej niż zwykle liczbie orków, w dodatku nienawykłych do nowych dowódców i dyscypliny, ustawienie szyku zajęło mnóstwo czasu, ale koniec końców Jup podzielił swoich sześćdziesięciu żołnierzy na pięć grup. Sam stanął na czele jednej z nich, Alfrayowi przekazał drugą, pozostałe oddał pod komendę co bardziej doświadczonych szeregowców. Przyznał się przy tym Alfrayowi, że niepokoi go perspektywa współpracy z nowymi.

– Przecież to orkowie! – zdziwił się tamten. – Można im zaufać.

– W to nie wątpię. Sęk w tym, że ich nie znam. Co będzie, jeśli niektórzy z nich nienawidzą krasnoludów?

Alfray omal nie parsknął śmiechem.

– Nie martw się. Sanowi i będą ci się chcieli podlizać. Posłuchają cię.

Stryk ustawił swoją sześćdziesiątkę w klin, cały czas wbijając im do głów, że jedynym ich celem jest dopadnięcie do bramy.

– Czekaście na mój rozkaz! – krzyknął, kiedy szyk był gotowy.

Przepchnął się na szpic klina, wyjął miecz i sztylet. Haskeer i Coilla zajęli miejsca u jego boku.

Wydał rozkaz. Rozpoczęła się dwustopniowa operacja wojskowa.

Najpierw Jup i Haskeer musieli rozmiękczyć przeciwnika. Pięć małych oddziałów weszło do walki z pięciu różnych stron. Od razu stało się jasne, że równie wiele energii muszą poświęcić na usuwanie sobie z drogi Mnogów, co na walkę z Jedami. Oddział Alfraya z początku nie napotkał

większego oporu – głównie dlatego, że dłuższą chwilę zajęło im dotarcie do miejsca, gdzie stłoczyli się walczący Jedowie. Wtedy zaś za plecami jeźdźców Alfray dostrzegł wlewających się szerokim strumieniem przez bramę żołnierzy piechoty. Niewiele brakowało, aby nieprzyjaciel umocnił zdobyty przyczółek. Należało mu to uniemożliwić.

Brnący w morzu pieszych koń zbliżył się do Alfraya, a jego jeździec zaczął okładać orka mieczem. Alfrayowi nie pozostało nic innego, jak odbijać ciosy tarczą i wypatrywać luki w zasłonie przeciwnika. Tymczasem do ataku na niego przyłączył się drugi Jed.

Upór i doświadczenie pomogły Alfrayowi przełamać obronę wroga i ciąć go w rękę. To wystarczyło. Sekundę później jeden z orków nadział Jeda na pikę i zrzucił z konia. Drugi jeździec uległ przygniatającej przewadze liczebnej pięciu lub sześciu rozwścieczonych szeregowców.

Więcej jeźdźców nie było widać, za to przed sobą mieli pod dostatkiem pieszych Jedów. Alfray nawet się ucieszył. Przynajmniej mieli równe szanse.

Właśnie zamierzał wybrać sobie jeden z wielu dostępnych celów, kiedy cel sam wybrał jego. Barczysty mężczyzna o wyjątkowo okrutnym wyglądzie wpadł z rykiem w ciżbę, wywijając mieczem w jednej i toporem w drugiej ręce.

Alfray sparował cios topora, odbił cięcie mieczem i sam zaatakował. Reszta jego oddziału też doszła już do zwarcia. Rozgorzała zacięta walka wręcz. Ponad ogólny tumult przebijały się modły i błagania, które Jedowie wznosili do swojego boga.

W pojedynku Alfraya z Jedem nie było za grosz finezji. Liczyło się tylko to, kto okaże się silniejszy i bardziej wytrzymały. Ork miał tarczę, co dawało mu pewną przewagę. Rąbali się i siekli, blokowali ciosy, próbowali się nawzajem zmęczyć. W przypadku Alfraya wiek dość szybko dał znać o sobie, co źle wróżyło na najbliższą przyszłość. Gdy tylko jednak sobie to

uświadomił, myśl ta dodała mu sił. Zaczął uderzać mocniej i z większym rozmachem. Jed musiał się cofnąć. Alfray przyjął na tarczę skośne cięcie, po czym sam zadał cios – i trafił: rozciął człowiekowi bok. Rana nie była głęboka, ale ból zawsze dekoncentruje wojownika.

Jed próbował przejść do kontrataku – i całkiem nieźle mu to wyszło, bo odparł natarcie orka, ale po tym jednym zrywie było już tylko gorzej. Alfray z coraz większą łatwością unikał jego uderzeń i czekał, aż się odsłoni. Wyczuł swoją szansę, gdy człowiek wziął zbyt szeroki i zbyt wysoki zamach. Ork wskoczył w tę lukę i zapał się tarczą o topór Jeda, na chwilę go neutralizując. Pchnął mieczem w serce nadzorcy.

Wszędzie dookoła trwała jatka. Kiedy Alfray odsunął się od trupa, tuż obok padł na ziemię orkowy szeregowiec ze strzaskaną czaszką. Nie należał do Rosomaków.

Ostrze kolejnego napastnika zagroziło Alfrayowi.

Ptak – albo strażnik na wieży – mógłby rozeznaczyć się w sytuacji, dostrzec jakiś porządek we wszechobecnym chaosie. Oddział Alfraya brnął przez ludzkie fale, dwunastka Jupa nie ustępowała mu ani na krok, trzy pozostałe grupy nieco płycej wgrzyzły się w szeregi wroga – ale wszyscy powoli, nieustępliwie posuwali się ku jądro infekcji.

Stryk czekał na dogodny moment.

Oddział Jupa miał równie ciężką przeprawę jak pozostali. Krasnolud musiał patrzeć, jak jego towarzysze padają na ziemię. Płacili krwią za każdy krok do przodu, za każdego zabitego wroga. W tercecie z dwójką podwładnych Jup uskoczył przed włóczęgą konnego Jeda i pomógł zwlec go z siodła. Pozostali dwaj dobili jeźdźca. Krasnolud rzucił się do wodzy, ale koń spłoszył się, tratując i Jedów, i Mnogów. Na widok człowieka, który chciał go dosięść, stanął dęba i kopytami zgruchotał mu pierś. Potem zniknął w gąszczu ciał.

Nie było nawet czasu oceniać strat. Orkowie Jupa musieli stawić czoło

kolejnym jeźdźcom, do których coraz liczniej dołączali piesi.

Fanatycy w czarnych mundurach zaszli krasnoluda z dwóch stron. Nie mogąc liczyć na pomoc zajętych własnymi wrogami towarzyszy, Jup nie czekał, aż znajdzie się w zasięgu mieczy obu ludzi. Z okrzykiem bojowym na ustach rzucił się na bliższego z nich, tnąc na oślep, jak szaleniec. Nadzorca natychmiast przeszedł do obrony. Jego kompan trzymał się poza zasięgiem ostrza Jupa, czekając, aż ten niechcący się odłoni.

I prawie się doczekał, kiedy krasnolud podczas jednego z uników potknął się i omal nie upadł. Drugi Jed skoczył na niego, trzymając w wyprostowanej ręce miecz, którym chciał go przeszyć, ale Jup zbił ostrze na bok i instynktownym cięciem rozchlastał napastnikowi gardło.

Pierwszy nadzorca natychmiast rzucił się na niego, aby pomścić towarzysza. Celował w nogi, próbując podciąć Jupowi ścięgna. Krasnolud odskoczył w bok i cudem uniknął zranienia. Przeszedł do ataku. Zakręcił młynka mieczem i uwolnił krwawą furję. Jed dzielnie stawał, ale nie na wiele mu się to zdało: Jup dał prawdziwy pokaz szermierki, od którego aż go rozboleły ramiona. W końcu ciął przeciwnika na skos przez twarz. Człowiek zaskowyczał z bólu, opuścił głowę i zginął po solidnym ciosie w kark.

Jup ledwie zdążył odetchnąć, kiedy pojawił się przed nim następny wróg.

Stryk uznał, że nadeszła właściwa pora, aby uderzyć. Wydał rozkaz. Orkowie wzniesli tarcze. Mając Haskeera po prawej i Coillę po lewej stronie, poprowadził oddział do walki. Roztrącali i spychali butami Mnogów, którzy weszli im w drogę. Jedów, którzy znaleźli się w zasięgu ich broni, wyrzynali bez litości. Ten klin miał najtrudniejsze zadanie: musiał przebić się do samego środka zamieszania, oczyścić pole i opanować teren przy bramie. Stryk miał wątpliwości, czy sześćdziesięciu żołnierzy mu do tego wystarczy.

Ale parł naprzód jak koń z klapkami na oczach, bez litości tnąc wszystkich ubranych na czarno ludzi, którzy podeszli mu pod miecz. Haskeer i Coilla bili, cięli i dźgali. Niczym kolczasty, niepowstrzymany lewiatan klin wycinał sobie ścieżkę w żywym murze, zostawiając za sobą martwych i poranionych. Stryk skłamałby, twierdząc, że tylko wróg ponosił straty.

Byli mniej więcej w połowie drogi i posuwali się do przodu wolniej niż na początku, kiedy w polu jego widzenia coś się pojawiło.

Kapitan Rellston.

Siedział na koniu, ale ledwie trzymał się w siodle: utknął w samym środku gromady Jedów, którzy lada chwila mogli go zrzucić na ziemię.

Stryk w mgnieniu oka podjął decyzję, która w innej sytuacji byłaby nie do pomyślenia – ale zdawał sobie sprawę, jaką wartość ma dowódca, nawet taki pyszałek. Zmiana planu wymagała zmiany trajektorii klina, którego szpic był do tej pory wycelowany w środek bramy. Stryk wydał krótki rozkaz.

Cieszył się teraz, że ma przy sobie dwoje doświadczonych oficerów i że na kluczowych pozycjach w obrębie formacji rozmieścił jeszcze kilku Rosomaków. Mógł na nich polegać, że sami go posłuchają i przypilnują pozostałych.

Niczym okręt miotany falami oceanu krwi i udęczonych ciał, klin powoli zmienił kurs. Mało brakowało, a dla Rellstona byłoby już za późno: w mrowiu przeciwników nie mógł sensownie się bronić i tylko łutowi szczęścia zawdzięczał, że jeszcze żył.

Formacja orków parła naprzód, roztrącając przyjaciół i wrogów, aż wreszcie znalazła się przy kapitanie i zaczęła pochłaniać jego nieprzyjaciół. W tej samej chwili koń Rellstona padł, trafiony toporem w łeb; kapitan o mało nie utonął w odmętach ludzkiego morza. Stryk, Haskeer i Coilla zdwoili wysiłki, przerąbując się przez Jedów. Reszta orków osłaniała ich

szturm.

Rellston przykucnął w tłumie, osłaniając się tarczą.

Stryk i Coilla szybko powalili niedoszłych zabójców kapitana i zrobili miejsce Haskeerowi, który chwycił kapitana za kark i postawił go na nogi, po czym, na wpół wlokąc, na wpół prowadząc, zaciągnął go w głąb klina, gdzie Rellston mógł się czuć względnie bezpieczny. Był blady i ociekał krwią ale podziękował im skinieniem głowy. Klin ruszył dalej.

Po sześciu mozolnych krokach Coilli przydarzyła się chyba najgorsza rzecz, o jakiej może mówić żołnierz w formacji klina.

Zdekoncentrowała się na ułamek sekundy i zauważyła wymierzone w nią ostrze, kiedy było już prawie za późno za reakcją. Uchyliła się, odpowiedziała ciosem na cios – i straciła równowagę. Świat zawirował. Nagle znalazła się sama w środku bitwy, oddzielona od kompanów. Klin parł naprzód jak maszyna. Poruszał się wprawdzie powoli, ale Coilla nie miała jak wrócić do szyku.

I wtedy opadło ją trzech Jedów.

Nie było czasu na zabawę. Sparowała cios pierwszego i dwoma błyskawicznymi cięciami na krzyż rozorała mu pierś. Dwaj pozostali rzucili się na nią z zabójczą szybkością. Zbiła na bok miecz jednego i zaatakowała drugiego, który przyjął cios na tarczę.

Gorączkowa wymiana uderzeń skończyła się tym, że jeden z Jedów padł, krztusząc się krwią. Pozostały przy życiu nadzorca próbował się zemścić. Odwróciła się do niego i odbiła ostrze, aż zadźwięczała stal. Po następnej wymianie mężczyzna osunął się na kolana z rozdartym brzuchem, podtrzymując wypływające wnętrzności.

Coilla rozejrzała się dookoła. Mijał ją właśnie koniec klina; był blisko, ale dzieliło ich kilka szeregów ludzi. A następni Jedowie już się zbliżali. I było ich wielu.

Wpadła na szalony pomysł, pomyślała: raz kozie śmierć – i spróbowała

wcielić go w czyn. Przebiegła kilka kroków dzielących ją od klęczącego mężczyzny i odbiła się z jego przygiętych barków jak z trampoliny. Krzyknął z bólu, kiedy zostawiła go swojemu losowi. Dzięki wybiciu się z większej wysokości przeleciała nad głowami tłumu i wylądowała w obrębie klina. Cudem uniknęła sterzących mieczy i pik. Odbiła się od czyjejs tarczy, ktoś pomógł jej zsunąć się na ziemię i stanąć na nogi. Bez tchu przepchnęła się na czoło.

– Miło, że wpadłaś – zakpił Stryk.

Chwilę później czoło klina dotarło do miejsca, gdzie zaciekle bój toczył napierający z lewej strony oddział Jupa. Połączyli się i razem zaatakowali ostatnie zgrupowanie Jedów broniące dostępu do bramy. Łucznicy z pobliskiej wieży strażniczej przyszli im w sukurs, ale strzały sypały się także z zewnątrz, spoza palisady – i stanowiły realne niebezpieczeństwo: jeden z szeregowców, trafiony w głowę, padł bez życia.

Stryk wybrał dwudziestu żołnierzy i przydzielił po dziesięciu do każdego skrzydła bramy. Kiedy wspomogli mocujących się z wrotami Mnogów, brama centymetr po centymetrze zaczęła się zamykać. Nadludzkim wysiłkiem udało się wypchnąć poza osadę ostatnich napastników. Szpara między skrzydłami kurczyła się z każdą chwilą aż w końcu drewniana sztaba z łoskotem opadła na żelazne uchwyty i wrota zamknęły się na dobre. Z drugiej strony dał się słyszeć łomot pięści i rękojeści mieczy.

W osadzie została jeszcze garstka Jedów, ale byli osamotnieni i bardzo nieliczni, więc rozprawa z nimi nie trwała długo.

Jup oparł się plecami o bramę. Pot spływał mu po twarzy.

– Mało brakowało... – wysapał. – Za mało.

Jakąś godzinę, może dwie później Stryk i Coilla wdrapali się na gzyms po wewnętrznej stronie palisady. Zastali tam już grono Mnogów, którzy ponad szczytem palisady obserwowali przedpole. Orkowie również

spojrzeli w tę stronę, usiłując oszacować liczebność armii oblężniczej. Wojska Hobrowa rozłożyły się w dolinie, setki ludzi tłoczyły się również na okolicznych wzgórzach – także na tym, z którego jeszcze przed paroma godzinami orkowie obserwowali osadę. Zdaniem Stryka i Coilli musiało ich być od piętnastu do dwudziestu tysięcy, czyli co najmniej tyle samo, ilu mieszkańców liczył Cypel Ruffeta.

W miasteczku odbywała się tymczasem jakaś uroczystość religijna związana z magicznym gejzerem, widocznym między domami i ponad nimi. Zebrane wokół postacie w rozwiewanych wiatrem szatach trzymały się za ręce. Były skąpane w niezwykłej poświacie, która otulała również stojącą nieco dalej świątynię.

– Obrona bramy to jedna wielka fuszerka – stwierdził niezadowolony Stryk. – Straciliśmy siedemnastu orków. Bogowie wiedzą, ilu padło Mnogów. Do tego dochodzą ranni. To nie powinno być tak wyglądać.

– Ci ludzie nie są żołnierzami – zauważyła Coilla. – Wojskowi stanowią pewnie z dziesięć procent mieszkańców, a cywile bardzo się od nas różnią. Nam wojaczka przychodzi naturalnie. Nie możesz mieć do nich pretensji.

– Toteż nie mam. Chodzi mi tylko o to, że do każdej roboty trzeba mieć odpowiednie narzędzia. Nie da się rozsmarować masła maczugą.

– Mają swój sen... – Coilla zawahała się, nie wiedząc, jak taki dobór słów wpłynie na Stryka, ale kapitan nie zareagował. – Nic innego ich nie interesuje.

– Powinni się nauczyć, że snów trzeba bronić. – Stryk spojrzał na wrogi obóz. – Na co już może być za późno.

– Jak wypłaczymy się z tego bałaganu?

– Moglibyśmy po prostu wziąć nogi za pas. I może by się nam udało.

– Bez gwiazdy? Zostawiając tych ludzi samych?

– Czy to naprawdę nasza sprawa?

– Przyjęli nas.

Stryk westchnął.

– No to nie pozostaje nam nic innego, jak związać swój los z ich losem i zadbać o porządną organizację obrony.

– Rozstawmy orków w kilku miejscach palisady, podzielonych na pięć, sześć grup – zasugerowała Coilla.

Stryk skinął głową.

– Będziesz musiał tylko przekonać Rellstona – dodała.

– Może okazać się uparty, ale mam nadzieję, że nie jest głupcem. Jeżeli w jego żyłach płynie choć kropla żołnierskiej krwi, zrozumie, że to konieczne.

– Poza tym uratowaliśmy mu życie, to chyba coś znaczy.

– Być może. Ale to przecież człowiek, prawda?

– Wiesz, że podoba mi się ta Krista? Rzadko mówię coś takiego o ludziach, ale widywaliśmy gorszych od niej. Wystarczy spojrzeć za palisadę.

– Co to się porobiło... Oblężenia nie było w planie.

– A był w ogóle jakiś plan? Zrozum, musimy szukać sojuszników gdzie się da. Przynajmniej jesteśmy zamknięci w osadzie razem z gwiazdą.

– Skąd ta pewność? – Stryk bezwiednie pogładził sakiewkę. – Nie widzieliśmy jej.

– Wierzę Katzowi. Poza tym po coś chyba budują tę świątynię.

– Odkąd Katz tu był, mogli przenieść gwiazdę gdzieś indziej.

– Nie dowiemy się, dopóki nie zadamy sobie trudu, żeby jej poszukać.

– Jak chcesz to zrobić? Wejdiesz do świątyni i zapytasz?

– Pozwól mi pójść tam i się rozejrzeć.

– To ryzykowne.

– Wiem o tym. Ale w ostatnim czasie ryzykiem się specjalnie nie przejmowaliśmy.

– No dobrze – zgodził się z wahaniem Stryk. – Ale musisz poczekać na

dogodny moment. I nie siedź tam za długo. Na razie na pewno nie możemy jej ukraść.

– Naturalnie – przytaknęła z przekąsem. Nie mogła sobie odmówić odrobiny złośliwości po tej niepotrzebnej uwadze z jego strony.

Wrócili do obserwacji wrogiej armii.

W najszerszej części doliny Kimball Hobrow przechadzał się wśród żołnierzy w towarzystwie Litości. Ludzie pozdrawiali ich i polecali Bogu.

– Niepowodzenie pierwszego szturmu to z pewnością spore rozczarowanie – tłumaczył córce. – Ale przynajmniej zadaliśmy poganom straty. Bóg i tak jest dla nas łaskawy. Pozwolił nam uprzedzić Ladacznicę.

– I zamknąć Rosomaki w osadzie. Oddaj ich pod nasz sąd, tato.

– To Jego sąd, córeczko. I to Jego wola sprawi, że to gniazdo szcurków zostanie starte z powierzchni ziemi. Kiedy je podpalimy, stanie się latarnią, która oznajmi całemu światu, że jego prawi mieszkańcy ruszyli do walki. A wtedy na podludzi padnie strach.

Podeksytowana Litość klasnęła lekko w ręce, ciesząc się jak dziecko.

– Jeśli będzie trzeba, zbudujemy sobie maszyny oblężnicze, żeby dostać się za mury.

Stanęli przed grupą nadzorców otaczających pręgierz. Żołnierze rozstąpili się przed nimi. Na drewnianej ramie leżał przywiązany do niej, rozkrzyżowany mężczyzna. Na jego zakrwawionych plecach rysowały się czerwone, nabrzmiące pręgi.

– Jakiej zbrodni dopuścił się ten człowiek? – zapytał Hobrow, zwracając się do nadzorca z biczem.

– Jest tchórzem, panie. Uciekł, kiedy walczyliśmy w osadzie.

– W takim razie ma szczęście, że nie stracił życia. – Hobrow podniósł głos, aby jego słowa nie uszły uwagi zebranych. – Zapamiętajcie! Ten sam los spotka wszystkich, którzy sprzeciwią się woli Pana! Możecie kontynuować wymierzanie kary.

Biczownik wrócił do przerwanej kąpieli.

Litość chciała zostać i popatrzeć. Ojciec nie lubił jej odmawiać.

ROZDZIAŁ 14



Im dłużej Stryk przyglądał się fortyfikacjom osady, tym wyraźniej widział, jak bardzo są liche. Spacerował po ulicach z kapitanem Rellstonem. Maniery dowódcy garnizonu nie uległy jakiejś wyraźnej poprawie, ale przynajmniej był skłonny dogadywać się z orkami pracującymi przy przebudowie umocnień. Stryk zaś przyznawał w duchu, że po trochu go podziwia – na tyle, na ile mógł w ogóle podziwiać jakiegoś człowieka, rzecz jasna. W kwestiach wojskowych byli równorzędnymi partnerami.

Najbardziej jednak wstrząsnęło nim uświadomienie sobie, że szacunki Coilli, zakładające dziesięcioprocentowy udział zbrojnych w społeczności Cypla Ruffeta, były przesadnie optymistyczne. Doświadczonych wojowników było jak na lekarstwo.

Stanęli przed grupą mieszkańców ćwiczących walkę na kije. Było ich około trzydziestu, jeden żołnierz udzielał im wskazówek. Od razu było widać, że w najlepszym razie są niedoświadczeni, w najgorszym zaś – po prostu bezużyteczni.

– Sam widzisz, z kim muszę pracować – poskarżył się Rellston.

– Od razu się zorientowałem. Tylko twoi ludzie się tu do czegoś nadają. Jak to się stało?

– Zawsze tak było. To spuścizna założycieli Cypla. Osada opiera się na

harmonijnym współistnieniu mieszkańców. Z tą zasadą zgadzają się nawet ci z nas, którzy wybrali wojaczkę. Ale czasy się zmieniły. Nigdy nie żyło się nam lekko, lecz ostatnio zrobiło się bardzo niebezpiecznie. A nasz garnizon wcale się nie powiększa. W dodatku budowa świątyni pochłania masę naszych sił i środków. Obawiam się, że teraz przyjdzie nam za to zapłacić.

Tak długiej przemowy w wykonaniu kapitana Stryk jeszcze nie słyszał.

– Rzeczywiście, w Maras–Dantii z dnia na dzień żyje się coraz trudniej – przyznał. – Na razie skupmy się na tym, co możemy zrobić, aby zwiększyć swoje szanse przeżycia w tym kotle. Myślałem o tym, żeby podzielić orków na pięć, sześć mniejszych oddziałów. Łatwiej by się nimi kierowało, a oni mogliby się dzielić swoim doświadczeniem.

– To prawda, ludzie mieliby w nich oparcie... Hm... Dobrze. Daj znać, gdybym mógł w czymś pomóc.

– Mam pytanie.

– O co chodzi?

– Gdzie znajdę najwyższą kapłankę?

– To nie tajemnica. Wróć do świątyni. Naprzeciwko stoją tylko dwa domy mieszkalne. Pierwszy należy do niej.

Stryk podziękował za wskazówki i ruszył w swoją stronę.

Bez trudu znalazł dom Kristy – duży i solidnie zbudowany, co zapewne odzwierciedlało pozycję kapłanki. Nie musiał nawet podchodzić do drzwi – z boku natrafił na obwiedziony niskim murkiem ogródek, w którym Krista akurat pracowała. Jej syn bawił się nieopodal. Zobaczyła Stryka i przywitała go pierwsza.

– Witaj – odparł. – Nie przeszkadzam?

– Nie. – Otrzeptała ręce. – Pielęgnacja tych roślinek ma dla mnie głównie znaczenie duchowe. W takich czasach kontakt z ziemią jest bardzo ważny. Co nowego?

– Niewiele. Jedynie rozbijają obóz. Nie spieszą się ze szturmem.

– Jest szansa, żeby odstąpili?

– Niewielka.

– Czy to przez was tu ściągnęli?

Zaskoczyło go to pytanie.

– Ja... Jeśli tak jest, to przepraszam. Zapewniam cię, że nie taki był nasz plan.

– Wierzę, kapitanie. I o nic was nie oskarżam. Po prostu... – Spojrzała na dziecko. – Nienawidzę wojen. Wiem, wiem o tym, że czasem wojna jest koniecznością. Nie jestem tak naiwna, żeby odmawiać nam prawa do obrony. Ale nie zmienia to faktu, że wojna jest najczęściej głupia, niepotrzebna i bezcelowa. Mam nadzieję, że się nie obrazisz. Źle się wyrażam o twojej profesji.

– Niektórzy nazywają ją nawet sztuką. – Stryk uśmiechnął się kwaśno. – Nie czuję się urażony. My, orkowie, jesteśmy urodzonymi wojownikami. Znosimy cierpienie i niesprawiedliwość, ale nie są one dla nas powodem do dumy. Chociaż mało kto w to wierzy.

– Ja wierzę. Wiesz, że jesteś pierwszym orkiem, z którym rozmawiam? Oddajecie cześć Tetradzie, prawda? Kwadratowi...

– Wielu z nas. Tak.

– Wybacz moją ciekawość, jestem jednak kapłanką Ścieżki Mnogości, więc ten temat ogromnie mnie interesuje. Czy ty również jesteś wyznawcą Kwadratu?

Kolejne pytanie, które odebrało mu mowę.

– No... Chyba tak. Tak mnie wychowano. Tak jak wszystkich. Ostatnio niewiele o tym myślałem.

– Może powinienes. W trudnych chwilach bogowie potrafią nieść pociechę.

– Moi dawno mnie nie pocieszali. – Gorycz w głosie Stryka zaskoczyła

nawet jego samego. Postanowił zmienić temat. – Co się stało z ojcem Aidana?

– A co się miało stać?

– Nigdzie go nie widziałem.

– Nie żyje. Zginął w jednym z niezliczonych konfliktów z Jedami. Poszło o taki drobiazg, że byłoby to zabawne, gdyby nie... – Krista odsunęła wspomnienie od siebie.

– Przykro mi, że sprawiłem ci ból.

– Nic się nie stało. Ja też cię przed chwilą przeproszałam. Powinna już pogodzić się z jego śmiercią.

Stryk przypomniał sobie, co sprowadza go do osady, i poczuł wyrzuty sumienia.

– Straty się nie zapomina – odparł i wbrew sobie zadrzał.

– Zimno ci? – spytała kapłanka.

– Nie, tylko...

– Poczuleś się, jakby ktoś przeszedł po twoim grobie, co?

– Mniej więcej.

– Zdarzyło ci się to już wcześniej, odkąd jesteś w Cyplu Ruffeta?

– Skąd tyle pytań? Po prostu się wzdrygnąłem.

– Ja też tak mam. Dość często. To przez tę uciekającą z ziemi energię. Odczuwam wyciek jako gęsią skórę albo zimny dreszcz.

Te słowa dobrze oddawały to, co przed chwilą poczuł Stryk.

– Ale nie wszyscy tak to odbierają – ciągnęła Krista. – Tylko ci dostrojoni. Czuję, że energia cały czas przeze mnie przepływa. Większość ludzi, podobnie jak większość przedstawicieli starszych ras, nie podziela tego wrażenia.

– Twierdzisz, że ja jestem... dostrojony?

– To chyba niemożliwe. Magia nie ima się orków, prawda? Nie macie żadnych nadnaturalnych zdolności, ponieważ, jak sądzimy, nie chłoniecie

magicznej energii, tak jak to robią inne starsze rasy. Ale...

– Ale co?

– Zdarzają ci się niezwykle przebłyksi intuicji? Jasnowidzenia? Prorocze sny?

Przenikliwość kapłanki zaczynała niepokoić Stryka.

– Mam rację, prawda? – naciskała Krista. – Twoja twarz, choć z pozoru nieprzenikniona, sporo zdradza.

Zmarszczył wydatne brwi.

– Do czego zmierzasz?

– Może jesteś anomalią, jak ja? Jest wiele rodzajów anomalii. W moim wypadku dziwactwo, bo tak ludzie o tym mówią, polega na tym, że reaguję na przepływ magii.

– Nie rozumiem.

– Od czasu do czasu w każdej rasie pojawia się kilku wyjątkowych osobników, którzy w porównaniu z rasową przeciętną są trochę... inni. Zwykle ta inność ma coś wspólnego z energią ziemi, ale zdarzają się też zupełnie niezwykle talenty. Nazywa się ich anomaliami. Wiele mądrych istot starało się rozwikłać tajemnicę anomalii. Niektórzy uważają, że są wynikiem odstępstwa od rasowej normy. Mutantami.

– To znaczy dziwolągami?

– Tylko ignoranci i konformiści tak ich nazywają. Na przykład Jedowie, zwłaszcza ci od Kimballa Hobrowa, dla których anomalie są wynaturzeniami i należy je tępić.

– Dużo wyczytałaś z jednego mojego wzdrygnięcia.

– Miałam też inne wskazówki. – Krista uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Anomalie są ponoć nieprzeciętnie inteligentne. Nie zawsze, rzecz jasna; zdarzają wśród nich także głupcy, ale rzadko.

– Dlaczego uznałaś, że pasuję do tej reguły?

– Widzę, co robisz.

- Jestem tylko zwykłym żołnierzem.
- Stać cię na więcej, kapitanie. Znacznie więcej. Twoja sława sięga daleko. Nawet my o tobie słyszeliśmy. Wielu poszłoby za tobą na kraj świata. Anomalie często zostają przywódcami. Albo mesjaszami.
- Nie jestem ani jednym, ani drugim. I nie chcę mieć rzesz zwolenników.
- Wydaje mi się, że już ich masz. Od niedawna orkowie łączą się w większe oddziały niż zwykle.
- Nie prosiłem ich, żeby za mną szli.
- Może taka była wola bogów? Powinieneś nauczyć się ją szanować, Stryku.
- A co z moją wolą? Czy ja nie mam już nic do powiedzenia?
- Nasza wola jest nie mniej ważna od boskiej, ponieważ to dzięki niej wypełniamy ich polecenia. – Krista zamyśliła się na chwilę. – Czy te niezwykle przebłyśki... – zaczęła, ale widząc niechęć na twarzy Stryka, dodała pospiesznie: – ...których istnieniu zaprzeczasz, od dawna cię dręczą?
- Miałem jeden czy dwa... dziwne sny. – Stryk nie mógł się nadziwić, że to wyznał. – Ale moim zdaniem nie masz racji – dodał czym prędzej. – Jestem żołnierzem, nie mistykiem.
- Jeżeli to rzeczywiście świeża sprawa – ciągnęła Krista, udając, że go nie słyszy – a wcześniej nie miałeś zadatków na anomalię, coś musiało wywołać w tobie przemianę. A właściwie obudzić twoje wrodzone zdolności. – Uśmiechnęła się. – Oczywiście mogę się mylić.
- Czas na mnie – stwierdził Stryk.
- Chyba nie dlatego, że powiedziałam coś nie tak? Bo jeśli nawet mam rację, nie powinieneś postrzegać tego daru jako przekleństwa. Równie dobrze może być błogosławieństwem. Wszystko zależy od ciebie.
- Mój pośpiech nie ma związku z naszą rozmową – zapewnił Kristę Stryk. – Muszę pomóc przy umocnieniach.

– Powinniśmy jeszcze wrócić do tego tematu.

Widząc, że ork nie kwapi się z odpowiedzią kapłanka spytała:

– Po co przyszedłeś?

– Bez powodu. Przechodziłem w pobliżu.

Stryk wyszedł, dręczony kolejnymi wyrzutami sumienia. Ale przynajmniej dał chyba Coilli dość czasu, żeby zwiedziła świątynię pod nieobecność kapłanki.

Coilla powinna już była dawno opuścić świątynię, a tymczasem nie dostała się jeszcze nawet do środka. Strażnicy tkwili na posterunku.

Stryk zgodził się z nią że to doskonała okazja, bo z powodu oblężenia przerwano prace przy budowie i ze świątyni zniknęli robotnicy. Poszedł zająć czymś Kristę Galby, żeby znienacka nie pojawiła się w świątyni. To mogła być jedyna szansa dla Coilli. I byłaby – gdyby nie te przekłete strażce.

Wartowników było czterech. Dwóch stało przy wejściu, dwóch obchodziło teren, po czym pary się zmieniały. Coilla siedziała skulona w krzakach naprzeciwko świątyni przez dobrą godzinę, obserwując strażników i mając baczenie na kręcących się w pobliżu cywilów. Wiedziała, że albo szybko znajdzie jakiś sposób na dostanie się do środka, albo będzie musiała dać sobie spokój.

Ledwie sobie to uświadomiła, gdy nadarzyła się niepowtarzalna okazja: do świątyni przybyło czterech nowych strażników. Stanęli w szeregu u stóp schodów. Wartownicy zeszli się przywitać ze zmiennikami, zostawiając drzwi bez opieki. Jeżeli Coilla będzie działać szybko i dyskretnie, przemknie w cieniu, wdrapie się z boku na podest i wślizgnie do środka. Wystarczyłoby jednak, żeby choć jeden z plotkujących żołnierz odwrócił się i ją zobaczył, a byłoby po sprawie. Ryzyko wydawało się ogromne, ale musiała je podjąć; drugiej szansy mogło nie być.

Zaryzykowała. Pochylona przecięła pędem uliczkę i wbiegła po schodach, sadząc susy po dwa i trzy stopnie naraz. Dopadła do wrót, które

na szczęście były ukryte w plamie cienia. Serce zabiło jej żywiej na myśl, że okażą się zamknięte, ale najwidoczniej w obecności strażników taki środek bezpieczeństwa uznano za zbyt bezpieczny. Okrągła gałka, wielka jak pięść orka, obróciła się bezszelestnie. Coilla uchyliła drzwi, wśliznęła się do świątyni i ostrożnie zamknęła je za sobą.

Zamarła w bezruchu, nasłuchując, na wypadek, gdyby w środku ktoś był. Kiedy niczego nie usłyszała, zaczęła się rozglądać. Nie widziała nigdzie świec ani lamp, światło wpadało przez niewykończony dach, wysokie okna i brakujący jeszcze fragment ściany. Było go niewiele, ale wystarczyło, żeby się rozejrzeć.

W świątyni pojawiły się już pierwsze elementy wyposażenia – rzędy ławek i ołtarz, nad którym prace wciąż trwały. Dostrzegła również kilkanaście kolumn, na których zapewne wspierał się dach; były wyższe i smuklejsze niż te przy wejściu. Obok ołtarza, przy zabitym deskami oknie stała jeszcze jedna kolumna, niższa i pękata, o średnicy koła wozu. Kiedy Coilla podeszła bliżej, zorientowała się, że coś znajduje się na jej szczycie, w miejscu dobrze widocznym dla wiernych, którzy zajęliby miejsca w ławkach. Patrząc z dołu, nie była pewna, co ma przed sobą wdrapała się więc na ołtarz.

Wyglądało na to, że znalazła gwiazdę. Nie widziała dobrze szczegółów, ale instrumentarium było czerwone i miało więcej wypustek niż gwiazdy, które do tej pory znaleźli.

Na razie nic więcej jej nie interesowało. Zeskoczyła na podłogę i na palcach podeszła do drzwi. Uchyliła je – i zamarła. Wartownicy stali plecami do niej niespełna metr od wejścia. Co gorsza, u dołu schodów inni wartownicy rozmawiali właśnie z najwyższą kapłanką i kapitanem Rellstonem. Modląc się, żeby nikt nie zwrócił na nią uwagi, Coilla przymknęła drzwi z powrotem i cofnęła się w głąb świątyni.

Musiała szybko coś wymyślić. Powiodła wzrokiem po wnętrzu. Tylko

jedno wyjście – i to nie najłatwiejsze – przychodziło jej do głowy.

Ponownie wspięła się na ołtarz, ale nawet kiedy stanęła na samej jego krawędzi, nie mogła dosięgnąć pękatej kolumny. Wydawało się jednak prawdopodobne, że z krótkiego rozbiegu udałoby się jej do niej doskoczyć. Musiałaby zaczepić palcami o górną krawędź i liczyć na to, że żłobkowane ściany kolumny zapewnią jej dostateczne oparcie dla nóg. Dwie wielkie niewiadome.

Cofnęła się na przeciwległy skraj ołtarza, wzięła głęboki wdech i pobiegła. Dopiero po wybiciu, w locie, przyszło jej do głowy, że jeśli kolumna nie jest przytwierdzona do podłoża, może runąć od impetu jej uderzenia. A to z pewnością sprowadzi do świątyni wszystkich strażników z Cypla.

Miała szczęście. Boleśnie uderzyła dłońmi o płaski szczyt kolumny, ale nie spadła. Butami zaparła się o żłobkowany bok. Kolumna, wbrew jej obawom, nie przewróciła się. Pozostało więc tylko wspiąć się na nią i stanąć na wąskim szczycie obok gwiazdy – bo teraz Coilla nie miała już wątpliwości, że faktycznie ma przed sobą gwiazdę, czerwoną i opatrzoną co najmniej dziewięcioma promieniami.

Kusiło ją, żeby od razu zabrać cenny przedmiot – ale rozsądek zwyciężył.

Na razie miała inne zmartwienia. Następny etap ucieczki miał polegać na dostaniu się do zabitego okna, które, na szczęście, miało od tej strony obszerny parapet. Zapowiadał się skok równie długi jak ten przed chwilą, lecz tym razem – co rozumiała – bez rozbiegu.

Nie było czasu do stracenia. Napięła wszystkie mięśnie i rzuciła się naprzód. Ledwie, ledwie sięgnęła parapetu i przez ułamek sekundy bała się, że spadnie. Musiała z całej siły zacisnąć palce. Podciągnęła się na parapet.

Wyjęła nóż i zaczęła wydlubować gwoździe przytrzymujące jedną z desek – dziękowała bogom, że powbijano je od środka. Trwało to całą

wieczność. Spodziewała się, że w każdej chwili do świątyni mogą wejść strażnicy albo nawet sama kapłanka. Wreszcie udało jej się wyjąć deskę. Z ulgą stwierdziła, że na zewnątrz stoi rusztowanie. Zaczęła przeciskać się przez otwór, co wcale nie było takie łatwe.

Przykucnęła na rusztowaniu, żeby nikt z dołu jej nie zobaczył, i wsunęła deskę na miejsce, żeby komuś nie przyszło do głowy wzniecić alarm z powodu włamania. W końcu mogła spojrzeć na ulicę, a jeśli będzie pusto, zsunąć się w dół po rusztowaniu.

Odetchnęła z ulgą i wtopiła się w cień. W duchu obiecała sobie, że nigdy nie zostanie zawodową złodziejką.

Jadąc rydwanem, Jennesta rzucała kawałeczki mięsa stada harpii. Było ich co najmniej z tuzin: szybowały i pikowały z jazgotem, chwytając okrawki w locie i łykając je w całości.

– Czyż nie są prześliczne? – zachwyciła się.

Mersadion zerknął na harpie i mruknął coś niezobowiązująco. Czarna, połyskliwa skóra potworków, pomarszczone błoniaste skrzydła i paszcze z ostrymi jak brzytwa zębami wcale mu się nie podobały. Ale nie wypadało sprzeciwić się pani.

Zdjął już bandażę, ale świadomość odrażającej rany na twarzy nadal go przygnębiała. Paskudne pęcherze szpeciły mu cały prawy policzek, który przypominał nadtopioną świeczkę.

Jennesta była dumna z uzyskanego efektu i nalegała, aby generał jechał przy jej rydwanie, po lewej stronie, gdzie mogła podziwiać swoje dzieło.

– Muszę ci powiedzieć, że ta niedawna potyczka, przez którą Hobrow i jego Jedowie nas wyprzedzili, rozdrażniła mnie trochę – powiedziała.

Mersadion miał ochotę wybuchnąć śmiechem, słysząc jakich słów użyła na opisanie swojego wcześniejszego wybuchu gniewu – ale zbyt wysoko cenił swoje życie.

– Ale teraz zaczynam widzieć zalety tego stanu rzeczy – dodała

Jennesta.

– Tak, pani?

– Znasz powiedzenie o szczurach schwytanych w pułapkę? Sytuacja, w której główne siły wroga zostały uwięzione w głębi półwyspu, jest dla nas nader korzystna.

– Tym bardziej że Mnogowie z Cypla Ruffeta powinni się z nami sprzymierzyć przeciwko nim.

– Tylko jeśli tego zechcę. Nie mam teraz ochoty wysłuchiwać bzdur, obojętne kto je głosi.

Mersadion zadał sobie w duchu pytanie, czy kiedykolwiek miała na to ochotę.

– Dodatkową nagrodą będzie zapowiadane przez ciebie spotkanie z dezertarami z mojej armii. Wkrótce skrócimy o głowę więcej niż jednego węża, Mersadionie. Jaki jest stosunek sił?

– Nad Jedami mamy przewagę pani, ale nawet gdyby przyszło nam walczyć także przeciw Mnogom z Cypla, powinniśmy dać sobie radę – odparł generał, modląc się w duchu, by nie było takiej potrzeby.

Jennesta milczała przez chwilę, napawając się perspektywą rzezi, może nawet ostatecznej bitwy, która raz na zawsze utwierdzi jej władzę. Ale najbardziej cieszyła ją perspektywa spotkania z Rosomakami.

Okrawki się skończyły. Harpie jazgotliwie domagały się dokładki.

– Znudzili mi się – stwierdziła Jennesta. – Wezwij łuczników.

Coilla spotkała się ze Strykiem w jednej z chat, które Rellston przydzielił orkom na koszary. Towarzyszyli im Jup, Alfray i Haskeer. Stryk chciał się podzielić wieściami od Kristy, ale nie w tak szerokim gronie, więc na razie musiał z tym poczekać.

Coilla od razu przeszła do rzeczy.

– Mieliście rację: gwiazda jest w świątyni. Chociaż sprawdzenie tego kosztowało mnie sporo zachodu.

– Później do tego wrócimy. Jak wygląda?
– Jest czerwona i ma dziewięć promieni.
– Łatwo ją będzie zabrać? – zapytał Alfray.
– Jak już się dostaniemy do środka, to tak. Leży na szczycie kolumny. Ale świątynia jest obstawiona. Poza tym, jeśli chodzi o wyniesienie jej poza osadę...

– Co robimy, Stryku? – przerwał Coilli Haskeer.
– Nie wiem. Trzeba się zastanowić.
– Na mój gust obrońcy nie będą się długo opierać Jedom. Proponuję zabrać gwiazdę i wiać.
– Żeby mieć przeciwko sobie całą osadę, a potem armię w dolinie? Mówisz od rzeczy.

– Poza tym tubylcy nie zasługują na taki numer – dodała Coilla. – Nic nam nie zrobili.

Haskeer spojrział na nią spode łba, ale nic już nie powiedział.

– Na razie trzeba jakoś przetrwać oblężenie – przypomniał Stryk. – I musimy w tym celu pomóc ludziom. Jeżeli będzie okazja zgarnąć gwiazdę, zrobimy to.

– Brzmi nieźle – zgodził się Alfray.

– Coś jeszcze, szefie? – spytał Jup. – Bo jak nas dłużej nie będzie, zaczną coś podejrzewać.

– Jedna sprawa.

Na twarzy kapitana malowała się ciekawa mieszanka emocji – był tam i lęk, i coś, co można by uznać za podniecenie. Orkowie przyglądali mu się zaintrygowani. Wyjął z sakiewki gwiazdy i położył je na stole. Na końcu wyjął dwie, które udało mu się szepić.

– Co to ma być, do licha? – zdziwił się krasnolud. Zważył połączone gwiazdy w dłoni.

Orkowie go otoczyli i zaczęli oglądać instrumentaria. Zapanowała

ogólna konsternacja.

– Coilla już to widziała – dodał Stryk. – Czekałem tylko na odpowiedni moment, żeby pokazać reszcie.

– Jak ty to zrobiłeś? – zdziwił się Alfray.

– Trudno to wyjaśnić słowami. Patrzcie.

Stryk do jednej ręki wziął dwie połączone gwiazdy, a do drugiej trzecią, szarą, z Drogan. Zaczął nimi w skupieniu manipulować.

– Co on wyczynia? – mruknął Haskeer.

– Ćśśś – syknęła Coilla.

Przez dobrą minutę śledzili zmagania kapitana.

– No i proszę.

Podniósł do góry trzy gwiazdy, szczepione w nierozzerwalną, zdawałoby się, całość. Puścił je w koło.

– Nie rozumiem – przyznał Jup. – Nie widać łączenia, a...

– Tak, to dziwne – przyznał Stryk.

– Jak ty to zrobiłeś? – powtórzył Alfray.

– Na początku po prostu się nimi bawiłem, aż w pewnej chwili... zrozumiałem, jak należy je połączyć. Pewnie każdy mógłby to zrobić, gdyby trochę nimi pomanipulował.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparł medyk, obracając gwiazdy w rękach. – Ja z pewnością nie umiem tej sztuczki.

– To nie sztuczka. Twórca gwiazd musiał przewidzieć taką możliwość.

– Ale po co? – Haskeer obrzucił instrumentaria podejrzliwym spojrzeniem.

– Możemy tylko zgadywać.

– Ale można chyba założyć, że wszystkie dadzą się połączyć, co? – zasugerował Jup. – Próbowalesz?

– Tak, w wolnych chwilach, ale udało mi się tylko z tymi trzema. Czwarta za nic nie chce się dopasować. Może najpierw potrzebna jest ta

piąta.

– Ale co to wszystko znaczy? Czemu mają służyć po połączeniu?

Być może Stryk miał coś do powiedzenia na ten temat, ale nie dane im było usłyszeć jego opinii. Rozdzwoniły się dzwony bijące na alarm.

– Psiakrew! – zaklął krasnolud. – Znow się zaczyna.

ROZDZIAŁ 15



Ludzie biegali we wszystkie strony, konie galopowały, zaprzęgi śmigły na zakrętach, obrońcy pędzili na stanowiska bojowe, cywile wydawali rozwożoną na wozach broń.

Stryk z oficerami i kilkudziesięcioma orkami przybyli do punktu zbornego pod piramidą. Reszta orków albo już na nich czekała, albo spodziewano się ich w każdej chwili. Przekrzykując zgiełk, Stryk podzielił ich na sześć oddziałów liczących w przybliżeniu po czterdziestu żołnierzy. Sam objął dowództwo nad jednym z nich, pozostałe oddając pod komendę Alfrayowi, Coilli, Haskeerowi, Jupowi i kapralowi Krenadowi.

Za zgodą Rellstona przydzielono im do obrony wybrane odcinki palisady, na których mieli walczyć u boku Mnogów, choć pod niezależnym dowództwem. Orkowie mieli również wspierać obrońców w innych, osłabionych punktach.

– Obserwujcie ludzi na wieżach – polecił Stryk. – Zasygnalizują wam, gdzie jesteście potrzebni. Dzwony też będą dla was sygnałem, nie zapominajcie. – System nie był doskonały, ale nic lepszego nie udało się wymyślić. – Bez rozkazu dowódcy nie wolno wam opuścić swoich pozycji!

Dowódcy oddziałów podniesieniem ręki kolejno dawali znak, że są gotowi.

– Na stanowiska! – zarządził Stryk.

– Powodzenia – wyczytał z ruchu ust Coilli, której oddział przechodził tuż obok.

Rozbiegli się na swoje miejsca. Strykowi przypadł w udziale południowy fragment palisady, z czego był bardzo zadowolony: w tym miejscu powinny przypuścić szturm główne siły nieprzyjaciela.

Po paru minutach byli na miejscu. Natychmiast pognął szeregowców na górę, na pomost, po czym sam wspiął się po drabinie za nimi i zaczął ich rozstawiać wzdłuż palisady. Na pomoście tłoczyły się już setki cywilnych Mnogów; Stryk starał się przemieszczać ich ze swoimi podwładnymi. Wypatrzył młodego oficera.

– Co się dzieje?

– Proszę spojrzeć. Przegrupowują się od paru godzin, a teraz jeszcze to.
– Mężczyzna skinieniem głowy wskazał dolinę.

Na pierwszy rzut oka zajmowała ją teraz nie jedna armia, lecz cztery. Jedynie podzielili się na grupy liczące po kilka tysięcy żołnierzy i maszerowali na osadę. Na tyłach armii jechały kryte wozy. Oddziały na skrzydłach oddalały się od głównych sił – zapewne po to, aby wziąć osadę w kleszcze.

– Uderzą z kilku stron jednocześnie – stwierdził Stryk.

– I mają jeszcze spore siły w odwodzie – zauważył oficer.

W rozbitym w głębi doliny obozie zostały tysiące zbrojnych.

– To rozsądne – przyznał Stryk, wodząc wzrokiem po umocnieniach. –
Mamy pod ręką wozy z wodą?

– Chyba nie.

– Trzeba je ściągnąć. Ogień będzie dla nas największym zagrożeniem.

Oficer pobiegł zająć się tą sprawą.

Miniaturowe – z tej odległości – armie były coraz bliżej. W dwóch trzecich składały się z piechoty, resztę stanowiła jazda. Piesi dyktowali tempo marszu, więc wojsko z konieczności poruszało się powoli, ale w ich

nieustępliwym, dudniącym kroku było coś złowrogiego.

Stryk przeszedł się po pomoście, sprawdzając pozycje zajmowane przez jego podwładnych. Znalazł dwóch Rosomaków; ucieszył się na ich widok.

– Noskaa, Finje... Witam.

Odwzajemnili pozdrowienie.

– Jak pan myśli, co im po głowie chodzi, kapitanie? – zagadnął go Finje.

– Jeśli nie liczyć wczorajszego wypadu, szykuje się pierwszy poważny szturm. Podejrzewam, że załatwią to zgodnie z zasadami sztuki: mocne uderzenie na bramę i drabiny na palisadę.

– Proszę nie zapominać, że to fanatycy, kapitanie. Nigdy do końca nie wiadomo, co zrobią.

– Macie rację, żołnierzu. Zawsze należy się spodziewać niespodziewanego. Ale podczas oblężenia jedna i druga strona ma niewielkie pole manewru. My jesteśmy tutaj, oni tam i tak ma pozostać.

– Tak jest! – odparli chórem szeregowcy.

– Miejcie oko na wieże. I pomagajcie Mnogom, dopóki nie będzie to kolidowało z moimi rozkazami.

Pokiwali głowami.

Stryk dokończył przegląd, po czym nie pozostało mu nic innego, jak tylko wraz z tysiącami obrońców śledzić pochód nieprzyjaciela.

Następne dwie godziny wlokły się niemiłosiernie. Cztery dywizje Jedów zajęły wreszcie pozycje do ataku, otaczając Cypel Ruffeta z czterech stron świata. Stryk i reszta obrońców mieli przed sobą morze wojska. Oblegający i oblegani zaczęli się przerzucać wyzwiskami.

Stryk spacerował po pomoście, poklepując obrońców po plecach i dodając im animuszu:

– Spokojnie, chłopcy... Nie strzelać... Spokojnie... Osłaniajcie się nawzajem...

Nagle zrobiło się bardzo cicho.

Od strony nacierających dobiegły wysokie, piskliwe nuty piszczałek.

– To sygnał do natarcia! – ostrzegł Stryk. – Przygotować się! Jedowie z ogłuszającym rykiem runęli naprzód. Obrońcy odpowiedzieli wrzaskiem, rozpoczęło się oblężenie.

Przede wszystkim należało uniemożliwić napastnikom dotarcie do palisady. Zadanie to wzięli na siebie łucznicy Mnogów, sypiąc setki strzał na głowy szarżującej piechoty. Jedowie osłaniali się podniesionymi tarczami, od których pociski się odbijały, ale wiele z nich dosięgło celu. Żołnierze padali ze strzałami w oczach, gardłach, piersiach. Nieszczęśnicy z pierwszych szeregów, trafieni więcej niż jedną strzałą, przewracali się i ginęli tratowani przez biegnących za nimi. Konie też się przewracały, zrzucając jeźdźców, którzy byli już bezradni wobec deszczu pocisków.

Liczące setki ludzi oddziały łucznicze Jedów odpowiedziały ogniem: ze wzniesionych wysoko łuków pofrunął rój strzał.

– Lecą! – ryknął Stryk.

Kto tylko mógł, próbował się schronić przed strzałami, których dziesiątki spadły na pomost, raniąc i zabijając obrońców. Większość jednak przeleciała górą i spadła na teren osady, gdzie dosięgła rezerwistów i cywilów. Mężczyźni, kobiety i zwierzęta padali jak muchy. Część ludzi z krzykiem rzuciła się do kryjówek. Zespoły medyków polowych zaczęły opatrywać pierwszych rannych.

Przekłete dzwony dźwięczały bezustannie. Stryk zerknął na najbliższą z wież, ale strażnicy niczego nie sygnalizowali – pewnie mieli własne problemy, zwłaszcza że dziesiątki wrogich łuczników brały ich na cel. Postanowił nie ruszać się z miejsca.

Tuż obok przykucnął młody, wystraszony oficer.

– Pierwszy raz, co?

Błady jak ściana człowiek pokiwał głową. Strach odebrał mu mowę.

– Nie wiem, czy ci to pomoże, ale oni boją się nie mniej od nas. A ty

pamiętaj, że od ciebie zależy życie twoich ludzi.

Mężczyzna ponownie skinął głową, tym razem – zdaniem Stryka – z większą determinacją.

– Przez chwilę poza ostrzałem nic się nie będzie działo – ciągnął ork. – Próbują nas przytrzymać za palisadą, żeby mogli postawić drabiny.

Łucznicy Mnogów doskonale zdawali sobie z tego sprawę: co chwila któryś z nich wychylał się, strzelał i znów kucał, żeby wyjąć następną strzałę.

– Nie moglibyśmy ich zatrzymać? – spytał oficer.

– Nie. Do tego potrzebny byłby nieskończony zapas strzał, i to po obu stronach. Ale ich dowódcy niedługo wydadzą rozkaz szturm.

Stryk obejrzał się przez ramię. Pod ich stanowiska podjechała właśnie zaprzężona w woły cysterna – czyli olbrzymia beczka na kołach, obwieszona po bokach kołyszącymi się w czasie jazdy kubłami. Strzały z klekotem odbijały się od klepek. Dwie trafiły w woły, które teraz porykiwały żałośnie.

Z blanków, ze wszystkich stron jednocześnie, dobiegły głośne okrzyki.

– Drabiny! – wrzasnął ktoś. – Ustawiają drabiny!

Stryk, wystawiając się na ostrzał, wyjrzał ponad blankami na zewnątrz. Setki ludzi z drabinami biegło parami w stronę palisady. Na jego oczach co najmniej trzech z nich padło jak ściętych, ale zarówno ich liczba, jak i osłona ze strony łuczników zapewniały, że całkiem sporo Jedów dotrze pod mury.

Odwrócił się do oficera i spojrzał mu w oczy.

– Możemy tylko postarać się, żeby jak najmniej z nich dopadło do palisady. Bo nawet jeśli będzie ich niezbyt wielu, rozpęta się piekło. – Przerwał mu mrozący krew w żyłach okrzyk bojowy Jedów. – A trzeba im przyznać, że są zdeterminowani jak mało kto.

Nad blankami pojawiły się czubki pierwszych drabin. Chwiały się, gdy

podtrzymujący je ludzie próbowali oprzeć je o palisadę. Łucznicy i włócznicy z Cypla wzięli ich na cel i kładli pokotem.

Mimo to połowa drabin oparła się bezpiecznie o blanki. Obrońcy rzucili się do nich i zaczęli je spychać. Jedna z nich stanęła tuż obok miejsca, w którym przykucnęli Stryk i młody oficer.

– Bierzemy ją! – zakomenderował ork.

Doskoczyli, złapali drabinę za pionowe belki i z całej siły odepchnęli od palisady. Nikt się po niej jeszcze nie wspinał. Przewróciła się na stłoczonych w dole żołnierzy.

Po innych już wbiegali pierwsi Jedowie z mieczami i tarczami w dłoniach. Stryk z oficerem pobiegli spychać następne drabiny. Na pierwszej, do której dotarli, znajdowało się trzech lub czterech żołnierzy, z których pierwszy pokonał już ponad połowę wysokości. Z pomocą jeszcze dwóch szeregowców udało się odepchnąć drabinę w tył. Odchyliła się do pionu, zachybotała i runęła w dół z całym swoim rozwrzeszczanym obciążeniem.

Obrońcy nie mieli chwili wytchnienia. Drabiny gęsto czepiały się palisady i ci, którzy nie ostrzeliwali Jedów, biegali od jednej do drugiej. Stryk zdawał sobie sprawę, że podobnie wygląda sytuacja w całej osadzie. Modlił się tylko, żeby napastnicy nie znaleźli słabego punktu, w którym udałoby się im zdecydowanie przełamać obronę.

Pierwszy z Jedów wgramolił się na szczyt palisady i zaczął przełazić na pomost. Stryk dopadł go jednym skokiem i rozorał mu twarz. Żołnierz zawył z bólu i spadł do tyłu, przy okazji zrzucając z drabiny wspinających się za nim kompanów.

W innym miejscu pojawił się następny Jed, za nim kolejny i dalsi. W kilka sekund kilkudziesięciu napastników dostało się na blanki. Należało się z nimi jak najszybciej rozprawić. Stryk zaatakował pierwszego z brzegu, zablokował jego krzyżowe cięcie i przebił mu brzuch. Trup spadł do

wnętrza osady.

Nad głową Stryka świsnął miecz. Odwrócił się, powalił przeciwnika jednym uderzeniem i nogą zepchnął zwłoki z pomostu. Tuż obok niego młody oficer dziarsko radził sobie w walce: właśnie pozbył się jednego wroga i ruszył na spotkanie kolejnego. Stryk znalazł sobie własnego nieprzyjaciela.

Na całym pomoście rozgorzała regularna bitwa. Jedowie, Mnogowie i orkowie z wrzaskiem spadali na dół. Na niepilnowanym kawałku blanków o palisadę oparła się następna drabina. Młody Mnóg, ledwie wyrosły z wieku dziecięcego, rzucił się na człowieka, który pojawił się na jej szczycie, ale nie miał wielkich szans. Oficer skoczył mu na pomoc. Wymiana ciosów z napastnikiem dowiodła, że i on wiele nie wskóra. Po trzecim lub czwartym wypadzie Jed pchnął go mieczem w pierś. Oficer upadł, a napastnik ponownie odwrócił się do chłopca.

Stryk podbiegł i zaczął bez litości okładać go mieczem. Pół minuty zajęło mu przebicie się przez zasłonę człowieka i pozbycie się go na dobre. Uklęknął przy oficerze i natychmiast zdał sobie sprawę, że mężczyzna nie żyje.

– Niech to szlag! – wysyczał.

Chłopiec rzucił się w wir walki. Stryk zerknął znacząco na swojego szeregowca, który skinął porozumiewawczo głową i ruszył osłaniać dzieciaka.

Stryk zamachnął się i odciął następną głowę.

Coilla znajdowała się po przeciwnej stronie osady, gdzie broniła przydzielonego jej odcinka umocnień. Jej sytuacja niewiele różniła się od sytuacji Stryka. Drabiny uderzyły o palisadę, kotwiczki zahaczyły o blanki i pierwszych dziesięciu Jedów trzeba było związać walką na pomoście.

Pozbyła się jednego przeciwnika, tnąc go z całej siły w szyję, i doskoczyła do następnego, bezlitośnie młócąc go po tarczy. Walka dobiegła

końca, gdy orkowy szeregowiec zaszedł go od tyłu i pchnął w plecy.

Ledwie zdążyła się cofnąć, gliniany gar przeleciał nad palisadą i roztrzaskał się na pomoście. Oliwa, którą był napełniony, rozbryznęła się po deskach i zajęła ogniem. Drugi dzban spadł za plecami Coilli.

– Na zęby piekieł! – zaklęła. – Wody! Dajcie wody!

Mimo pożaru walka na blankach trwała. Część ludzi i orków próbowała ugasić płomienie kocami, nie dając się przy tym ustrzelić łucznikom. Wreszcie na miejsce dotarli strażacy i ustawili się w łańcuszek; kubły wody przechodziły z rąk do rąk. Na pomoście opróżniano je i puste odrzucano na dół.

Coilla zostawiła tę robotę strażakom, wyminęła największe płomienie i rzuciła się w wir walki z Jedami. Pierwszego strąciła w dół, ledwie zdążył pojawić się na czubku drabiny. Następny stawiał opór, ale nie dorównywał jej ani szybkością, ani zapałem bitewnym i skończył z mieczem w sercu. Trzeci zaskomlał i runął na ziemię z wbitym w pierś sztyletem.

Nie wiedziała, jak długo uda im się bronić.

Przy zachodniej bramie, gdzie poprzedniego dnia Jedowie przypuścili pierwszy atak, Haskeer znalazł się w oku cyklonu. Wszędzie na blankach trwały walki, do jego uszu dobiegał bitewny zgiełk z innych rejonów osady, ale tutaj nic się nie działo. Jedyłą oznaką wrogich zamiarów Jedów było łomotanie do wrót, których przyszło mu strzec, ale i ono przypominało raczej pojedyncze uderzenia pięści i toporów niż grzmoty tarana.

Jednym okiem zerkał na wieże strażnicze, wyczekując sygnału, który kazałby mu ruszać do boju. Na razie czekał na próżno.

– Taki już mój fart, Liffin – mruknął. – Nic się nie dzieje.

– Bez przesady, sierżancie.

– Co z tymi cholernymi Jedami? Nie mogą nawet rozwalić jednej bramy?

– Nie ma pan racji.

Jakiś przedmiot przeleciał nad palisadą i teraz spadał w ich kierunku. Z daleka poznali pojemnik z oliwą zatkany tłącym się lontem.

– No, wreszcie coś się dzieje! – rozpromienił się Haskeer.

Odprowadzili glinianą butlę wzrokiem. W miejscu, gdzie miała spaść, ludzie rozbiegli się na boki. Spadła pięć metrów od Haskeera, ale glina wytrzymała. Oliwa się nie zapaliła.

– Na bycze jaja... – jęknął Haskeer.

– Może następnym razem będziemy mieli więcej szczęścia – pocieszył go Liffin.

Zadźwięczał dzwon na wieży: strażnicy dali sygnał.

– Nareszcie! – odetchnął z ulgą Haskeer. – Weź połowę ludzi, Liffin, i zostań z nimi tutaj. Ja jestem potrzebny gdzie indziej.

– Tak jest, sierżancie – odparł niepocieszony Liffin.

Alfray znajdował się w jeszcze innym rejonie Cypla, ale poza tym jego doświadczenia ze szturm niczym nie różniły się od tego, co przeżywali Stryk i Coilla. Jedynie wdzierali się na blanki, a podwładni Alfraya starali się ich wybić do nogi.

W tej chwili jego uwaga koncentrowała się na wąsatym brutalu, który próbował oddzielić mu głowę od reszty ciała. Zamierzał użyć do tego oburęcznego topora, ale ork miał własne plany na tę walkę. A oprócz planów także poręczniejszą broń. Uchylił się przed zamaszystym uderzeniem i ciął mieczem nisko, raz, a zaraz potem drugi. Jed zachwiał się i upadł. Jakiś szeregowiec podniósł jego topór i użył go przeciw innemu przeciwnikowi.

Alfray zaczynał odczuwać zmęczenie i ból ramion. Starając o tym nie myśleć, wdarł się prosto w następną grupę nadzorców. Mając u boku dwóch wiernych szeregowców, przyparł wrogów do palisady. Jeden spadł, dwaj pozostali zginęli tam, gdzie stali.

Odwrócił się i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Tam gdzie walczyła

Coilla, znad blanków bił w niebo słup czarnego dymu.

Jup został wezwany do pomocy obrońcom walczącym od strony oceanu.

Znajdowała się tu mała brama, której obrona przypadła w udziale Krenadowi, ale sytuacja wymknęła mu się spod kontroli. Jedynie staranowali ją podpalonym wozem. Na wpół otwarte wrota płonęły, a przez lukę sączył się do środka strumień napastników.

Na korzyść obrońców przemawiał fakt, że przejście było wyjątkowo wąskie i wrogowie nie mogli utworzyć w tym miejscu dogodnego przyczółka, dopóki znajdowali się pod ciągłym ostrzałem. Stosy trupów, głównie Jedów, piętrzyły się przy bramie. Jednak napór oblegających był tak silny, że coraz trudniej przychodziło go odpierać.

Przybycie Jupa z połowajego oddziału znacznie zwiększyło szanse na załatanie luki w obronie. Ustawił trzydziestu orków w klin i posłał ich pod bramę, żeby powstrzymali napływ przeciwników. Druga trzydziestka miała uprzątnąć z drogi wóz i zatrasnąć wrota. Reszta podwładnych Krenada i Jupa zajęła się gaszeniem ognia i dobijaniem Jedów, którzy zdołali wdrzeć się do osady.

Przez chwilę los Cypla wisiał na włosku, ale w końcu udało się opanować sytuację.

Jup z chęcią by chwilę odpoczął, ale nie było mu to dane. Zagrzmiął dzwon na pobliskiej wieżyczce, skąd strażnicy gorączkowymi gestami wskazywali mu już następny punkt zapalny.

Stryk również odpowiedział na wezwanie o pomoc.

Nagły wypadek, do którego wezwano go na północny odcinek palisady, nie przysporzył mu szczególnych problemów. Złościł się w duchu, że każe mu się walczyć z cieniem, ale cieszył się, że wziął ze sobą tylko dziesięciu żołnierzy. Więcej i tak nie odważyłby się zdjąć z pomostu.

Teraz wracali pędem na swoje pozycje. Przy Stryku biegł Talag, jeden z Rosomaków, pozostali trzymali się tuż za nimi. Wypadli z za skupiska

domów i znaleźli się na ulicy prowadzącej pod ich odcinek palisady, gdy ich uwagę zwróciło małe zamieszanie.

Samotny Jed na koniu galopował prosto na nich. Za nim kłębił się wściekły tłum mieszkańców. Żołnierz musiał dostać się do osady przez wyłamaną bramę i jakimś cudem uniknąć spotkania z komitetem powitalnym. Teraz gnał na złamanie karku, okładając konia luźnym końcem lejców.

Mniej więcej w pół drogi między nim a Strykiem ktoś próbował właśnie przebiec przez ulicę. Małe dziecko.

Stryk rozpoznał Aidana Galby'ego.

Orkowie zaczęli krzyczeć na chłopca, ludzie również, jeździec zaś nie zamierzał zbroczyć z kursu.

Najechał na chłopca i odtrącił go w bok jak szmacianą lalkę. Aidan przetoczył się po ziemi i znieruchomiał na brzuchu przed jednym z domów.

Impet uderzenia spowolnił Jeda, ale poza tym nie przeszkodził mu w jeździe. Kiedy znów popędził konia, orkowie rzucili się na niego całą gromadą. Talag dopadł go pierwszy, razem z dwójką innych szeregowych chwycił konia za wodze – i drogo za to zapłacił. Jed powalił go wściekłym cięciem w szyję.

Stryk złapał uciekiniera za powiewający płaszcz, ściągnął z konia i przeszył mieczem na wylot. Trafił prosto w serce. Puścił bez władne ciało i zerknął na Talaga. Jedno spojrzenie wyjaśniło wszystko.

Podbiegł do chłopca. Było oczywiste, że Aidan jest poważnie poturbowany: stracił przytomność i bardzo płytko oddychał. Stryk wiedział, że nie należy ruszać rannego, który jest nieprzytomny, ale musiał zanieść malca gdzieś, gdzie zajmie się nim uzdrowiciel. Ostrożnie podniósł go z ziemi.

Na parapecie nad jego głową pojawił się Noskaa. Zapytał, co się dzieje.

– Przejmujesz dowodzenie do mojego powrotu! – odkrzyknął Stryk i

ruszył biegiem.

ROZDZIAŁ 16



W osadzie panował chaos. Stryk biegł, przyciskając do piersi rannego chłopca. Zewsząd dało się słyszeć odgłosy oblężenia, ciała spadały z blanków, czarny dym pożarów zasnuwał niebo. Mając za plecami pierścień palisady, kierował się ku środkowi osiedla. Kluczył wąskimi uliczkami, czasem schodził z drogi pędzącym na oślep ludziom, kiedy indziej spychał ich na bok.

W końcu stanął przed domem Kristy, który chwilowo pełnił rolę szpitala polowego. Ludzie z noszami czekali w kolejce, a przy wejściu tłoczyli się lżej ranni, ci, którzy mogli chodzić o własnych siłach. Jednak na widok Stryka z chłopcem na rękach rozstąpili się bez szemrania.

Wpadł do budynku, w którym dosłownie roiło się od rannych. Dziesiątki prowizorycznych prycz stały w pokojach i na korytarzach; lżej ranni siedzieli lub stali, czekając na opatrunek. Opiekowały się nimi kobiety z zakonu Mnogów.

– Gdzie jest najwyższa kapłanka?! – spytał bez ceregieli Stryk. – Gdzie ją znajdę?

Zaskoczone nowicjuszki wskazały mu zastawiony pryczami pokój. Wbiegł do środka. Krista stała w głębi, zajęta opatrywaniem jakiegoś żołnierza. Słyszając kroki Stryka, podniosła wzrok. Oczy jej się rozszerzyły, na twarzy odmalował się szok i przerażenie. Podbiegła do niego.

– Co się stało?!

Stryk pospiesznie wyjaśnił.

]0 – Orkowi e 145

Krista położyła chłopca ostrożnie na wolnym materacu.

– Aidanie – jęknęła. – Aidanie! – Spojrzała na Stryka. Bładła w oczach.
– Powinien być tutaj, przy mnie. Nie rozumiem, jak to się...

– Podejrzewam, że zgubił się w zamieszaniu i wracał do domu, kiedy to się stało. Źle z nim?

– Nie mam dość wiedzy, aby to ocenić. Ale nie wygląda dobrze.

Zjawili się zwabieni zamieszanym lekarze – uzdrowiciele Mnogów z kadzielnicami i kataplazmami w rękach. Stłoczyli się wokół chłopca i zaczęli go obmacywać, wydając uczone sądy. Byli raczej zasmuceni – a zdaniem Stryka także niezbyt kompetentni. Zachował jednak tę opinię dla siebie.

Zerknął na Kristę, która coraz bardziej poddawała się cichej rozpaczce.

Wymknął się niepostrzeżenie, przecisnął przez tłum przy wejściu i znów puścił się biegiem. Skierował się pod odcinek umocnień powierzony pieczy Alfraya. Ogień wprawdzie udało się ugasić, jednak palisada dymiła jeszcze, a zamieszanie nie słabło. Ale przynajmniej liczba włączających po drabinach napastników wyraźnie się zmniejszyła. Strykowi przyszło do głowy, że impet uderzenia Jedów słabnie. Przeciskając się przez ciżbę obrońców, znalazł w końcu kaprała przy skraju pomostu, gdy ocierał krew z miecza. Ubranie też miał zakrwawione – podobnie zresztą jak Stryk, który wcześniej nie zwrócił na to uwagi.

– Co się stało? – zdziwił się Alfray.

– Syn Kristy jest ranny.

– Jak to?

– Koń go stratował. Po osadzie szalał samotny Jed na koniu. Z dzieciakiem jest źle.

- Jakże ma obrażenia?
- Jest nieprzytomny. Wydaje mi się, że koń uderzył go w bok i pierś.
- Krwawi? Ma jakieś rany? Zdartą skórę?
- Nie, tego jestem pewien. Krwi nie widziałem. Ale z trudem oddychał.
- Hm... Jak go chcą leczyć?
- Nie wiem. Kiedy wychodziłem, zeszła się cała banda uzdrowicieli. Znasz ich: śpiewy i kadzidło.
- Będzie potrzebował czegoś więcej.
- Może coś jeszcze zrobią, ale na pewno nie wzbudzili mojego zaufania
- przyznał Stryk. – Miałeś do czynienia z takimi obrażeniami, prawda?
- Wielokrotnie. Są skutkiem upadku z konia albo po prostu walki. Mniej więcej co drugi przypadek jest śmiertelny. Oczywiście nie mogę powiedzieć nic pewnego, dopóki nie zobaczę chłopca.
- Przydałby im się w szpitalu jakiś porządny medyk. Z doświadczeniem na polu bitwy.
- Ale dzieciak chyba jest otoczony najlepszą opieką, co? To przecież syn kapłanki.
- Może by tak było, ale w tym chaosie... Wątpię. Mógłbyś pójść ze mną i go obejrzeć?
- A nie będą mieli nic przeciwko temu, że jakiś obcy, w dodatku ork, wtyka nos w ich sprawę?
- Krista ucieszy się z każdej pomocy. Przypuszczam, że masz tu największe doświadczenie w leczeniu prawdziwych ran. Z pewnością zauważyłeś, że ranni mogą tu liczyć tylko na bardzo podstawową opiekę.
- Alfray długą chwilę przetrawiał słowa kapitana.
- To nie ma nic wspólnego z gwiazdą, prawda?
- Co masz na myśli?
- Może pomyślałeś sobie, że jeśli pomożemy jej synowi, kapłanka z wdzięczności... Nie, widzę, że nawet ci to do głowy nie przyszło.

Przepraszam. To było podłe z mojej strony.

– Naprawdę o tym nie myślałem. Aidan to jeszcze pisklę. Nikomu nie zawinił w tej wojnie, tak jak nie zawiniły orkowe pisklęta ani młode innych ras, które też ucierpiały.

– Najczęściej z ręki ludzi – przypomniał cynicznie Alfray.

– Ale nie tych. Pójdiesz ze mną?

– Tak. Tu się trochę uspokoiło. Chyba na razie obejdą się beze mnie.

Alfray przekazał dowodzenie jednemu z bardziej zaradnych szeregowców, po czym obaj ze Strykiem znaleźli sobie konie.

Tłok przed domem Kristy wcale nie zrzędł; przeciwnie, rannych z każdą chwilą przybywało. Orkowie przepchnęli się do środka, nie zwracając uwagi na protesty, których wcześniej, gdy Stryk przyniósł chłopca, nie było. Przeszli od razu do pokoju w głębi domu, przestępując nad pryczami i usuwając się z drogi tragarzom zwłok.

Zgromadzenie uzdrowicieli i świętych mężów przy łóżku Aidana urosło do czterech mężczyzn, którzy mamrotali pod nosem zaklęcia i palili wonne zioła. Zrozpaczona Krista klęczała obok syna z głową ukrytą w dłoniach, ale ona także podniosła oczy na orków. Wszyscy powiedli wzrokiem po ich zakrwawionych mundurach i twarzach.

Stryk i Alfray podeszli prosto do łóżka.

– Co z nim? – spytał kapitan.

– Bez zmian – odparła kapłanka.

– To jeden z moich kaprali, Alfray. Znasz go już, pani. Jest naszym medykiem. Ma spore doświadczenie w leczeniu takich urazów. Mógłby zadać kilka pytań?

– Naturalnie. – W oczach Kristy szklily się łzy. – Chętnie odpowiemy.

Uzdrowiciele nie byli zachwyceni, ale nie odważyli się sprzeciwić najwyższej kapłance.

– Jakie jest wasze zdanie? – zapytał Alfray.

Lekarze spojrzeli po sobie znacząco i przez chwilę żaden nie kwapił się z odpowiedzią. Dopiero najstarszy z nich, z największym wąsem, przemówił w imieniu wszystkich:

– Chłopiec jest poraniony w środku – powiedział, jakby tłumaczył coś niedorozwiniętemu dziecku. – Ma zmiążdżone wnętrzności.

– Jak go leczycie?

Wiekowy uzdrowiciel poczuł się chyba urażony, że ktoś zadaje mu takie pytania.

– Okładami i dymem z pewnych ziół, aby wraz z nim wdychał ich dobroczynny wpływ – odparł wyniośle. – No i oczywiście zanosimy prośby do bogów.

– Zioła i modlitwy, tak? Nie zaszkodzą ale potrzeba tu czegoś bardziej konkretnego.

– Jesteś uzdrowicielem? Studiowałeś sztukę leczenia?

– Owszem. Na polu bitwy. Ale jeśli pytasz, czy czytałem księgi, przesiadując u stóp starców, to odpowiedź brzmi: nie.

Medyk cały się napuszył.

– Mądrość przychodzi z wiekiem.

– Z całym szacunkiem... – zaczął Alfray, choć Stryk nie miał wątpliwości, że o szacunku mowy być nie może. – Wiek przynosi również usztywnienie poglądów. Wiem, co mówię. Wedle orkowej miary nie jestem już młodzieniaszkiem. Jak i ty.

Uzdrowiciele nie posiadali się z oburzenia. Najstarszy zwrócił się do Kristy, najwyraźniej szukając w niej oparcia:

– Doprawdy, pani, tego już za wiele. Jak mamy...

– Pozwól Alfrayowi obejrzeć chłopca, pani – przerwał medykowi Stryk.

– Co masz do stracenia?

– Ale, pani... – nie ustępował starzec.

– Mówimy o moim synu – uciszyła go Krista. – Jeżeli kapral Alfray

może mu pomóc, wysłucham go. Jeżeli nic nie wskóra, wróćcie do swoich zabiegów. A na razie odsuńcie się.

Nie szczczędząc orkom spojrzeń spode łba i mamrotanych pod nosem komentarzy, uzdrowiciele zrobili Alfrayowi miejsce. Stanęli w kącie i pograżyli się w prowadzonej złowrogim półgłosem rozmowie.

– Muszę go zbadać – stwierdził kapral.

Kapłanka skinęła przyzwalająco głową.

Alfray przyklęknął obok chłopca i ściągnął okrywający go koc. Aidan nadal miał na sobie koszulę. Ork dobył noża.

Krista jęknęła i zasłoniła dłonią usta.

Alfray uśmiechnął się uspokajająco.

– Chcę tylko odsłonić miejsce uderzenia. Nie martw się, pani. Prawdę mówiąc, myślałem, że już to zrobiono. – Spojrzał z przyganą na skulonych w rogu medyków.

Rozciął Aidanowi koszulę. Schował nóż do pochwy i delikatnie obmacał pierś i bok chłopca. Wskazał ciemne placki tworzących się siniaków.

– Sińce to dobry znak. Nie widzę żadnych ran. To też dobrze. – Dotknął żeber chłopca. – Tu może być pęknięcie. Oddycha płytko, ale regularnie. Puls też ma miarowy, chociaż słaby. – Zajrzał chłopcu pod powieki. – Oczy wiele mówią o stanie ciała.

– A co ci powiedziały oczy Aidana?

– Że jest poważnie ranny. Poważnie, ale raczej nie śmiertelnie.

– Pomożesz mu?

– Jeżeli pozwolisz, pani, to spróbuję.

– Pozwolę. Co zamierzasz?

– Trzeba go porządnie opatrzyć, żeby ulżyć organizmowi, który przeżył wstrząs. Ale wcześniej należy obmyć obite miejsca, żeby nie wdała się infekcja. Mam również maści, które powinny pomóc. Tylko trzeba je delikatnie nałożyć.

– Zajmę się tym.

– To dobrze. Kiedy oprzytomnieje, chciałbym, żeby wypił napar ziołowy. Jeden z tych, które zalecam w celach praktycznych. – To był kolejny przytyk pod adresem obrażonych konowałów. – Poza tym zalecam odpoczynek.

Swoją fachowością Alfray zaimponował kapłance.

– Z wdzięcznością przyjmę twoje rady. Zacznijmy od razu.

– Przydam się do czegoś? – wtrącił Stryk.

Alfray zbył go machnięciem ręki.

– Zostaw nas.

Jednoznacznie wyproszony Stryk wysliznął się ze szpitala na ulicę i odetchnął głęboko świeżym powietrzem, żeby oczyścić głowę z oparów śmierci i cierpienia. Mijający go ludzie przynosili wieść, że szturm słabnie i dobiega końca.

– Wycofują się! – zawołał młody chłopak. – Wycofują!

Na razie, pomyślał Stryk.

Przez kilka następnych godzin natarcie się nie powtórzyło. Pod wieczór wyczerpani obrońcy popadli w coś na kształt nerwowej apatii. Armia Jedów przegrupowywała się i nie zanosiło się na to, żeby w najbliższym czasie ruszyła do ataku.

Stryk, Alfray, Jup, Coilla i Haskeer stali na parapecie – wraz z tysiącami mieszkańców Cypla obserwowali poczynania wroga.

Haskeer był akurat w połowie typowej dla niego przemowy.

– No bo to przecież nie jest tak naprawdę nasza walka, prawda? – Ruchem kciuka wskazał rozciągającą się w dole osadę. – Cokolwiek by powiedzieć, to jednak ludzie. Co im zawdzięczamy? Tylko straciliśmy Talaga.

Wszystkich gnębił żal po stracie towarzysza.

– Należał do najstarszych stażem w oddziale – przypomniał Alfray.

- Mamy szczęście, że tylko on poległ – mruknął Haskeer.
- Wiele dla nas zrobili – zaprotestowała Coilla. – Naprawdę żałuję, że postrzegasz inne rasy tak samo, jak one nas.
- A cóż to za nowa śpiewka? – zripostował Haskeer. – Kiedy ostatnio rozmawialiśmy o ludziach, jakoś za nimi nie przepadałaś.
- To nieprawda, i dobrze o tym wiesz. W każdym razie zaczyna do mnie docierać, że życie jest bardziej złożone, niż myślałam. Być może sprowadza się do konfliktu dobra ze złem, w którym rasa po prostu nie ma znaczenia.
- W pewnym sensie masz rację – zgodził się Alfray. – Ale nie wolno nam odrzucać naszej tożsamości. Jest zbyt ważna.
- Niektórzy nie mają nic przeciwko zmianom tożsamości. – Haskeer spojrzał wymownie na Jupa, czyniąc niedwuznaczną aluzję do krasnoludów i ich podstępnej natury.
- Nie zaczynaj znowu! – jęknął Jup. – Przestałbyś mnie wreszcie obwiniać o wszystko, co robią krasnoludy. Czepiasz się, jakby to była moja sprawa.
- Słusznie, Haskeer, daj mu spokój – poparł krasnoluda Stryk. – I bez tego mamy dość zmartwień. Nie potrzeba nam tu jeszcze bójki.
- Ja tam wiem jedno: drugiego takiego szturmu nie uda się nam odeprzeć – burknął Haskeer. – Nie z takimi obrońcami.
- Mają wielkiego ducha – zauważyła Coilla. – To już coś.
- Przydałby się im duch, ale do walki.
- Jesteś dla nich zbyt surowy.
- Przecież to tylko ludzie.

Rozmowę przerwało pojawienie się kobiecej sylwetki na szczycie drabiny od strony osiedla. Krista Galby weszła na pomost, podtrzymując rąbek sukni, żeby się w niej nie zaplątać. Orkowie przywitali się z nią uprzejmie, choć Haskeer uczynił to bez specjalnego entuzjazmu. Była wyraźnie podniesiona na duchu.

– Chciałam wam powiedzieć, że Aidan ma się lepiej. Jest przytomny, poznaje mnie. Oddech też ma głębszy. – Ujęła szorstkie dłonie Alfraya w swoje ręce. – Muszę ci podziękować. Nie wiem, jak się wam odwdzięczę.

– Nie musisz tego robić. Cieszę się, że chłopak dochodzi do siebie, ale przez tydzień, dwa będzie jeszcze wymagał opieki. Zajrzę do niego później.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Krista. – Bogowie okazali swoją łaskę i jemu, i wam.

– Największe podziękowania z pewnością należą się Alfrayowi – odparł oschle Stryk.

– Nie kpij z bogów – przestrzegł go kapral. – To nierozsądne. Gdyby nie ich przyzwolenie, moje wysiłki na nic by się zdały.

Stryk ruchem głowy wskazał armię oblężniczą.

– Ciekawe, czy oni teraz przeklinają swojego boga?

– Jesteś aż takim sceptykiem, kapitanie? – spytała kapłanka.

– Prawdę mówiąc, ostatnio sam już nie wiem, kim jestem. Tyle się dzieje, że orkowi może się zakręcić w głowie.

Nikt nie wiedział, co powiedzieć.

– Powiedziałam, że nie wiem, jak się wam odwdzięczę, ale jeżeli jest coś, co mogłabym wam ofiarować, powiedzcie.

– Może by tak gwiazdę? – wypalił Haskeer.

Orkowie posłali mu mordercze spojrzenia.

– Gwiazdę? – Krista zmarszczyła brwi. Dopiero sekundę później odezwała się jej intuicja. – Masz na myśli instrumentarium?

– Instru... co? – spytał Jup z miną niewiniątka.

– Instrumentarium. To święta relikwia, która trochę przypomina stylizowaną gwiazdę. O to ci chodziło?

Nie bardzo mogli zaprzeczyć. Coilla przejęła inicjatywę.

– Haskeer pytał, czy moglibyśmy ją zobaczyć.

– Skąd wiecie, że mamy instrumentarium? Nie jest to żaden sekret, ale

też nie rozpowiadamy o tym na prawo i lewo.

– Opowiedział nam o nim spotkany po drodze kupiec. Skrzat. Miał na imię Katz.

– Ach tak... Pamiętam go.

– Bardzo interesująco o nim mówił – ciągnęła Coilla, mając nadzieję, że nie pograża się z każdym słowem coraz bardziej. – Pomyśleliśmy, że jeśli kiedyś trafimy do Cypla Ruffeta, koniecznie musimy zobaczyć tę gwiazdę.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, Katz specjalnie się nianie interesował. Za to nadużył naszej gościnności, bo wszedł bez pozwolenia do świątyni. Musieliśmy go wyprosić.

– Nie wiedzieliśmy o tym.

– Instrumentarium jest dla nas bardzo ważne; wiele znaczy zarówno dla moich ludzi, jak i dla bogów. Ale chętnie wam je pokażę, kiedy tylko zechcecie. Chociaż... Bez urazy, ale nie przyszłoby mi do głowy, że relikwia tak zainteresuje żołnierzy.

– To wcale nie jest tak, że jesteśmy tylko od rąbania mieczem – wyjaśnił Jup. – Kultura też nas interesuje. Powinnaś kiedyś, pani, posłuchać wierszy Haskeera.

– Naprawdę? Widzę, że drzemią w was ukryte prawdziwe talenty. Chętnie posłucham.

Haskeer rozdziawił usta.

– Że co?

Przez jedną krótką, przerażającą chwilę orkowie pomyśleli, że Kri sta zechce usłyszeć wiersze od razu.

– Instrumentarium i poezja... – ciągnęła tymczasem kapłanka. – Na to warto poczekać.

– Istotnie. To bardzo... miła perspektywa – przytaknął bez przekonania Stryk.

– A na razie mam mnóstwo zajęć. Czas na mnie. Jeszcze raz dziękuję.

Tobie, Alfrayu, i wam wszystkim.

Odprowadzili ją wzrokiem, gdy zeszła po drabinie i zniknęła w labiryncie uliczek.

– Haskeer, ty durniu! – warknęła Coilla.

– O co chodzi? Nie poprosisz, nie dostaniesz.

– Ty chyba naprawdę jesteś kompletny palant – wtrącił swoje trzy grosze Jup.

– Goń się. Po co jej powiedziałaś, że piszę wiersze, wypierdku jeden?

– Weź już lepiej zamknij dziób.

– No, przynajmniej wiemy, jak Krista zapatruje się na rozstanie z gwiazdą – stwierdził Alfray.

– To prawda – zgodziła się Coilla i pokazała na Haskeera. – Ale dzięki naszemu geniuszowi omal się nie sypnęliśmy.

– A Katz mógł nam, dureń jeden, powiedzieć, że go stąd wyrzucili – zauważył Jup. – Co teraz?

– Kto ma odrobinę oleju w głowie, idzie spać – podsumował Stryk. – Ja na pewno. I wam też to radzę.

– Wyśpijcie się dobrze – doradził kąśliwie Jup. – Może to wasz ostatni raz.

ROZDZIAŁ 17



Czuł, że stoi obok niego. Razem patrzyli na ocean. Figlarny wiaterek tarmosił ich ubrania i owiewał twarze. Słońce stało wysoko na niebie, dzień był gorący. Nad widocznymi w oddali wyspami krążyły stada śnieżnobiałych ptaków. Ptaki zbierały się zresztą również na południu, nad czubkiem półwyspu.

Nie musiał nic mówić; ona również. Czekali, aż rozległa, spokojna toń wody oczyści i ukoi ich ducha.

Po dłuższej chwili odwrócili się plecami do oceanu, chociaż mogliby bez końca wpatrywać się w tę cichą taflę wody. Zeszli z punktu widokowego na białych jak kreda klifach i ruszyli w stronę łagodnie pofalowanych łąk. Trawa sięgała im kostek, a jej intensywnie szmaragdową zieleń tu i ówdzie znaczyły kępki żółtych kwiatów, przywodzące na myśl porzucone złote samородki.

- Czyż tu nie jest pięknie? – spytała samica.
- Nie znam piękniejszego miejsca – przyznał. – A wiele podróżowałem.
- W takim razie z pewnością bywałeś w okolicach, które dorównują mu urodą. W naszej krainie nie brakuje cudów natury.
- Tam, skąd pochodzę, jest inaczej.
- Już kiedyś to mówiłeś. Przyznam, że gubię się w domysłach, gdzie leży twoja ojczyzna.

– W takich chwilach jak teraz, ja również zaczynam się zastanawiać.
– Zagadkowy jak zawsze – zakpiła samica. Wyraz rozbawienia przemknął po jej wyrazistych rysach.

– To niechcący.

– Wierzę ci. Ale możesz przecież oderwać się od sekretu, który cię prześladowuje.

– Jak?

– Zostań tu. Zaczynaj nowe życie.

Podobnie jak za pierwszym razem, kiedy podsunęła mu ten pomysł, teraz również poczuł dreszcz podniecenia i tęsknoty, wywołany po części urodą kraju, a po części obecnością samicy i jej domniemaną rolą w jego nowym życiu.

– To bardzo kusząca perspektywa.

– Co cię powstrzymuje?

– Dwie sprawy, o których nie potrafię zapomnieć.

– Jakie to sprawy?

– Zadanie, które musiałbym zostawić niedokończone w mojej... ojczyźnie.

– To jedna sprawa. A druga?

– To chyba największa przeszkoda. Nie rozumiem, w jaki sposób się tu zjawiam i jak stąd odchodzę. Nie kontroluję tego.

– Rozwiąż pierwszy problem, a drugi sam zniknie. Masz siłę. Twoja wola zatriumfuje. Uwolnij ją.

– Nie umiem.

– Ale nie wątpię, że się starasz. Kiedy wrócisz do siebie, pamiętaj o oceanie. Czy gdybyś nabrał wody w dłoń i zamyślił się nad nią reszta oceanu by zniknęła? Czasem nie widzimy lasu, bo drzewa nam go zasłaniają.

– Twoje słowa znowu dotykają czegoś w moim sercu, ale nie potrafię

uchwycić ich znaczenia.

– Nauczysz się. Wypełnij swoje obowiązki, jak na orka przystało, a otworzysz sobie drogę do tej krainy. Uwierz mi.

– Wierzę. – Roześmiał się. – Nie wiem czemu, ale ci ufam.

Zawtórowała mu śmiechem.

– Czy to źle?

– Nie. Wcale nie.

Umilkli.

Znaleźli się na stromym stoku i zorientował się, że schodzą w dolinę okoloną łagodnymi wzgórzami. Tylko jedno zbocze opadało w dół pod wyraźnie większym kątem.

W samym sercu soczystej zieleni mieściła się nieduża osada, złożona może z tuzina okrągłych, krytych strzechą chat, pięciu lub sześciu długich drewnianych domów i zagród dla zwierząt. Nigdzie nie dostrzegł wałów, murów, rowów przeciwpożarowych ani innych umocnień. W osadzie krzątali się orkowie, widać było konie i zwierzęta gospodarskie.

Nie przypominał sobie, żeby widział wcześniej to osiedle, ale jego widok poruszył jakąś strunę w jego pamięci.

– Czy tu był kiedyś mur obronny? – zapytał, gdy podeszli bliżej.

– Nie – odparła lekko rozbawiona samica. – Nie mieliśmy takiej potrzeby. Czemu pytasz?

– Wydawało mi się... nie wiem. Czy ta osada ma jakąś nazwę?

– Tak. Przylądek Galletona.

– Jesteś pewna? Nie nazywała się kiedyś inaczej?

– Oczywiście, że jestem pewna! Jak miałyby się nazywać?

– Nie mogę sobie przypomnieć.

Rozmyślenia o nazwach pozwoliły mu na chwilę zapomnieć o dręczącej go tajemnicy.

– Tym razem muszę się czegoś dowiedzieć – stwierdził stanowczo.

– Cóż by to miało być?

– Jak się nazywasz? Ty znasz moje imię, ale ja twojego nie.

– Jak mogliśmy do tego dopuścić? – Uśmiechnęła się. – Moje imię brzmi Thirzarr.

Powtórzył je półgłosem kilka razy i powiedział:

– Podoba mi się. Ma moc. I pasuje do ciebie.

– Twoje do ciebie też, Stryku. Dziękuję za komplement.

Miał wrażenie, że odniósł wreszcie jakieś zwycięstwo, choćby nawet mało znaczące, i przez chwilę rozkoszował się jego smakiem. Wystarczyło jednak, że spojrział w głąb doliny, w stronę osady, by ten widok znów coś poruszył w odmętach jego pamięci. Ale nadal nie potrafił się na tym wspomnieniu skoncentrować.

Znaleźli się na płaskim terenie. Szli prosto do osiedla. Dręczące go nienazwane uczucie narastało. W końcu weszli na teren osady, ale prawie nikt nie zwrócił na nich uwagi; zaledwie dwóch lub trzech orków pomachało na powitanie jego towarzysze. Pomachało Thirzarr, poprawił się w duchu.

Przeszli przez całą osadę, wymijając chałupy i zagrody, aż na drugim jej końcu, na południu, Thirzarr zatrzymała się i wyciągnęła przed siebie rękę. Wskazywała na idealnie okrągłą sadzawkę wypełnioną mieniącą się wodą. Podeszła bliżej.

Razem usiedli na skraju sadzawki. Zanurzyła rękę w wodzie, czerpiąc przyjemność jak ze zmysłowej pieśczozy. On jednak z marsem na czole cały czas próbował uchwycić ulotne wspomnienie.

– Ta sadzawka...

– Śliczna, prawda? To ze względu na nią powstała tu osada.

– Wydaje mi się dziwnie znajoma. Podobnie jak cała okolica.

– Gdybyś się tu osiedlił, stałaby się jeszcze bardziej znajoma. Gdybyś zechciał tu zamieszkać ze mną...

To powinna być cudowna chwila, ale coś ją psuło. Pierwszy raz czuł się niezręcznie w towarzystwie Thirzarr. Wszystkie elementy układanki, które mu pokazała, przewalały mu się bez ładu i składu przez głowę. Ocean. Półwysep. Dolina wśród wzgórz. Sadzawka. Stromy stok, na którym brakowało wyrytych w kredowym podłożu rysunków.

Rozpoznanie uderzyło go jak grom z jasnego nieba.

Zerwał się na równe nogi.

– Znam to miejsce! – zawołał.

Przebudził się gwałtownie. Usiadł.

Potrzebował dłuższej chwili, żeby otrząsnąć się z resztek snu. Z wolna uświadomił sobie, że siedzi w chacie na Cyplu Ruffeta, sam, i czeka na kolejny szturm oblegającej osadę armii.

Odetchnął głęboko kilka razy. Sen odpłynął, pozostała rzeczywistość.

Nie mógł jednak zapomnieć o miejscu, które przed chwilą odwiedził – jeśli „odwiedziny” były w tym wypadku dobrym określeniem.

To było tutaj.

Słońce z mozołem wspinało się ponad widnokrąg. Nie przywitał go śpiew ptaków.

Wzgórz na wschodzie rzucały długie cienie w bladym, zimnym świetle poranka – ale cień nie ukrywał ogromnego obozowiska Hobrowa. Znad namiotów i posterunków niósł się pracowity gwar. Lekarze opatrywali jeszcze rannych z poprzedniego dnia, ale żołnierze, ponaglani przez ubranych na czarno nadzorców, przygotowywali się już do kolejnego szturm. Piesi i konni posłusznie ustawiali się w szyku; nadzorców nie obchodziło, że wielu z nich nosiło przesiąknięte krwią bandażę, a połowa nie zdążyła od wczoraj nic zjeść.

Hobrow nie czuł głodu. Stał na rzadko zalesionym zboczu, daleko poza zasięgiem strzału pogan z Cypla. Lekki wiatr niósł znad obozowych ognisk cudowne aromaty potraw, ale Hobrow pragnął tylko jednego: chciał

wypełnić wolę Pana.

Klęcząca obok Litość wyszeptała z zapalem:

– Amen!

Hobrow również skończył się modlić i poklepał ją po ramieniu.

– Widzisz, kochanie? Widzisz, jak słabe mają umocnienia? Jak nędzną obronę? Dzisiaj Pan rzuci ich w nasze ręce i będą padać pod naszymi mieczami jak zboże pod ostrzem kosy.

Przez chwilę stali tak obok siebie, nieświadomi zamieszania powodowanego przez tysiące żołnierzy. Z tej wysokości osada Mnogów wyglądała jak zabawka. Domy przypominały drewniane pudełka. Dym z kominów kreślił szarobure smugi na lazurowym porannym niebie.

– Na pewno zdają sobie sprawę, że są zgubieni, ojczyzna – odezwała się Litość. – Jakim cudem mieliby się oprzeć naszej potędze?

– Zło ich zaślepia. Widzisz ten tryskający w powietrze ściek, który rozsiewa ohydne wyziewy po całej okolicy?

Trudno go było nie widzieć. Pośrodku osady na wpół gotowa kopuła świątyni wyzierała spod rusztowań, ale Litość nie zwracała na nią uwagi. Tuż obok magiczny gejzer, tryskający z ziemi wysoko nad dachy domów, mienił się wszystkimi wyobraźnymi kolorami.

– Twarz zła wydaje się niekiedy cudowna – stwierdziła odważnie. – Prawie mogłabym uwierzyć, że takie piękno musi pochodzić od Pana.

– Zapewne Pana Kłamstw. Nie daj się zwieść, moje dziecko. Mnogowie to zniewaga dla Boga i ludzi. I dziś Bóg ześle ich do piekła, na które zasługują.

Mieszkańcy osady z najwyższym trudem opanowali bitewny chaos.

Pożary prawie ugaszono, ale w powietrzu wciąż unosił się odór spalenizny, a sadza gęsto osiadała na twarzach zmordowanych strażaków. Przez całą noc walczyli z ogniem w dziesiątkach miejsc w całej osadzie; Jedynie bez przerwy obrzucali Cypel dzbanami z oliwą. Sadzawka z wodą

na placu przy północnej bramie znacznie się skurczyła. Dopiero teraz powoli odzyskiwała dawny poziom; dogasający ogień odbijał się w jej tafli szkarłatno–czarnymi plamami. Z kilku punktów palisady dobiegało gorączkowe stukanie młotów: robotnicy zastępowali wyłamane bale nowymi. Kowale również nie próżnowali – we wszystkich kuźniach przekuwano uszkodzoną broń. Dzieci biegały tam i z powrotem, przenosząc naręcza strzał na pomost przy palisadzie.

Stryk, wciąż pochłonięty wspomnieniem sennego objawienia, znużonym krokiem przemierzył plac, udając się na spotkanie z Rellstonem. Jakaś rodzina trzymała się za ręce przy płonącym stosie pogrzebowym. Najmłodsza dziewczynka zanosila się od płaczu – na jej poparzonej buzi wyskoczyły bolesne bąble – a najstarszy, najwyżej dziesięcioletni chłopak patrzył w ogień z zaciśniętymi w zawziętym grymasie wargami. Efekt psuły tylko łzy płynące mu po twarzy i żłobiące ślady na umorusanych sadzą policzkach. Towarzysząca wdowie stara kobieta kaszlała bez przerwy. Dym snuł się po placu.

Stryk zobaczył Rellstona, który – równie zmęczony jak on – uskoczył właśnie przed wyjeżdżającym z za rogu wozem wyładowanym kolejnymi ciałami przeznaczonymi do spalenia. Potem zamienił dwa słowa z mężczyzną z zakrwawionym opatrunkiem na ręce i ruszył w stronę orka.

– Napijesz się ze mną? – zaproponował w niezwykłym przypiływie braterskich uczuć. Nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie.

Stryk zrównał się z nim.

– Dokąd idziemy?

– Pod palisadę od strony oceanu. Chcę zobaczyć, jak idzie naprawa.

Szli przez zatłoczone ulice, przepychając się przez ciżbę. Rellston co chwila zerkał ukradkiem na orka, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

Stryk nie zamierzał mu ułatwiać zadania.

– Wiele wam zawdzięczamy – wykrztusił w końcu Rellston. – Tobie i

reszcie orków. Nie nawykliśmy do wojny w takiej skali. Gdyby nie wy, nie przetrwalibyśmy tak długo. Dziękuję.

Stryk skinął głową.

– I tylko wciąż się zastanawiacie, czy Jedowie by uderzyli, gdyby nas tu nie było.

– Kiedy na nich patrzę, nie mam wątpliwości, że prędzej czy później na pewno by zaatakowali. Ten Hobrow to fanatyk.

Złowroga pomarańczowa kula słońca wzniosła się na szerokość palca nad horyzont. Dowódca garnizonu zmrużył oczy i spojrzał na nią przez kłęby dymu.

– Jak myślisz, kiedy znów ruszą?

– Gdy tylko skończą się modlić. Jaki masz plan?

Znaleźli się przy palisadzie. Rellston schylił się, odgarnął na bok koc zasłaniający wejście do budynku i wszedł do środka. Drzwi zmieniły się w kupę popiołu chrzęszczącego pod butami.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Będziemy robić to, co do tej pory. My też się modlimy.

– Wszystko to bardzo pięknie – przytaknął w zadumie Stryk. – Ale nie wystarczy. Na dłuższą metę oblegający zawsze mają przewagę nad obleganymi.

Rellston przestąpił nad kilkoma śpiącymi na podłodze żołnierzami i wyjął butelkę z kredensu. Nawet nie szukał kieliszków, pociągnął prosto z butelki łyk ognistego napoju i podał ją orkowi.

– Mamy studnie. Dopóki nas od nich nie odetną, damy sobie radę.

– Nie macie chyba nieskończonych zapasów jedzenia. – Stryk usiadł ciężko na krześle i skinieniem głowy wskazał widoczną za oknem palisadę.
– A oni tak.

Dowódca garnizonu nie krył rozpaczy.

– Nie możemy codziennie ponosić takich strat jak wczoraj! Hobrow ma

wystarczająco dużo ludzi, żeby co noc nękać nas nowym szturmem. Co mamy robić?

– Jeszcze nie wiem. Ktoś będzie musiał ustąpić. Ale na razie mam pewną propozycję.

– Słucham, ale nie muszę się z nią zgodzić.

– Przygotowałeś strażaków do następnego ataku?

– Oczywiście.

– Wyznacz paru, żeby zebrali olej, smar do wozów, wszystko, co się będzie paliło. Niech przeleją tłuszcz do jakiegoś gara i włożą szmatę zamiast lontu. Odgryziemy się im.

Rellston uśmiechnął się szeroko. Białe zęby błysnęły w poczerniałej od sadzy brodzie.

– Pięknym za nadobne, co?

– No właśnie. Po tym, co zrobili z waszą osadą tej nocy, twoi ludzie nie powinni chyba mieć moralnych oporów. Kiedy armia Hobrowa podejdzie pod palisadą, obrzucimy ich bombami zapalającymi.

– Nie zmieni to faktu, że ich jest więcej. – Rellston już się nie uśmiechał.

– Nie mają też dzieci i kobiet, które trzeba wykarmić. – Wstał ciężko. – Wracajmy na stanowiska. Niedługo znów się zaczniesz.

Stryk wszedł na pomost naprzeciwko głównej części obozu Hobrowa. Jedowie klęczeli. Hobrow stał z podniesionymi rękami na szczycie niewielkiego pagórka. Lekki, pachnący solą i żelazem unosił jego słowa i Stryk nie był w stanie ich zrozumieć, ale z pewnością nie wróżyły Mnogom i orkom niczego dobrego.

Uwagę Stryka zwróciła sprzeczka wśród jego własnych oficerów: Haskeer gestykułował gwałtownie, Coilla próbowała go uspokoić, a na widok Stryka wszyscy ruszyli w jego stronę. Większość Mnogów schodziła im z drogi.

Zszedł po drabinie. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Cicho! Tylko tego brakuje, żebyście się pożarli między sobą. – Wskazał zrujnowaną chatę. – Chodźcie. Musimy pogadać.

Przykucnęli w półmroku, wśród pajęczyn. Alfray stanął na straży przy uchylonych drzwiach.

– Pierwsza sprawa: ta miejscina nie ma szans – zaczął Stryk. – To oczywiste. Połowa tubylców nie umie walczyć, a Hobrow ma ze sobą bandę fanatyków. Co proponujecie?

Rosomaki spojrzały po sobie.

– Będziemy walczyć – odparła Coilla. – Masz inny pomysł?

– No właśnie. To ja pytam, czy macie inne pomysły.

– O co ci chodzi? – spytał podejrzliwie Jup.

– Moglibyśmy się wymknąć. Ludzie walczyliby między sobą. Nie mieliby głowy do tego, żeby nas ścigać.

– Chcesz się stąd wyśliznąć, korzystając z zamieszania? – podchwycił Haskeer. – Jestem za.

– Chyba żartujesz! – wysyczała Coilla. – Gdyby nie ci ludzie, Hobrow zjadłby nas na śniadanie! Nie możemy ich tak zostawić.

– Zastanów się – powiedział Stryk. – Wiem, że Mnogowie chwilowo są naszymi sojusznikami... w pewnym sensie. Ale jak myślisz, co się stanie, kiedy ostatnia gwiazda wpadnie w ręce Hobrowa?

– A kogo to obchodzi?! – Jup zerwał się na równe nogi. – Mamy cztery gwiazdy, prawda? Mało ci jeszcze? Koniecznie chcesz, żebyśmy oddali życie za piątą?

Stryk spiorunował go wzrokiem.

– Siadaj i stul dziób. Nie rozumiecie, że ta gwiazda ma moc? Moc związaną z magią tej ziemi. Jeżeli Hobrow ją dorwie, zawładnie tą mocą.

– Albo zniszczy gwiazdą – zasugerował Alfray. – Ale my na pewno będziemy mieli mniejsze szanse w otwartym polu niż tutaj. Poza tym nigdy nie przepadałem za zdradzaniem tych, z którymi walczyłem ramię w ramię.

Pochmurny Jup przykucnął z powrotem. Haskeer przejął pałeczkę:

– Przecież to tylko ludzie! Wiem, przyjęli nas, ugościli, nakarmili, dali dach nad głową. Ale w tej chwili bardziej potrzebujanas niż my ich. Gdyby było odwrotnie, wzięliby bez pytania to, co im potrzebne. Dobrze wiecie, że mam rację. Taką już mają naturę.

Coilla rozważała wcześniejsze słowa Stryka.

– Chcesz powiedzieć, że podjąłeś decyzję? Zabieramy gwiazdę i dajemy nogę?

Stryk pokiwał głową.

– Na razie siedzimy tu i walczymy, ale przy pierwszej okazji bierzemy gwiazdę i wmykamy się pod osłoną zmroku.

Oficerowie się z nim zgodzili – jedni z mniejszym, inni z większym zapalem. Alfray był najbardziej nieszczęśliwy, ale nawet on musiał przyznać, że Cypel Ruffeta nie przetrwa tej konfrontacji.

Stryk zdławił własne wyrzuty sumienia.

– Byłaś w świątyni, Coillo. Myślisz, że udałoby ci się wykraść gwiazdę?

– Jeśli będę musiała... To nie powinno być trudne. Chyba nie będą cały czas pilnować świątyni, jeśli mają na głowie obłączenie, nie uważasz?

– Posłuchaj. – Alfray cofnął się od drzwi i spojrzał z bliska na Stryka. W jego oczach zapłonęły groźne ogniki. – Chcesz stąd uciec po kryjomu? A co z resztą orków? Chyba ich tak nie zostawisz? Bo jeśli tak, to nie poznaję dawnego Stryka.

– Nie zostawię ich. Jestem orkiem i los moich braci leży mi na sercu. Zawiadomimy ich. Nie musisz się martwić.

– Nie martwię się – zapewnił stary kapral. – Po prostu nie zamierzam nikogo porzucić.

– Ja też nie, Alfrayu. Ja też. Zmierzałem do...

Rozdzwoniły się dzwony. Od strony palisady dobiegły krzyki ludzi.

Orkowie zerwali się na równe nogi i rzucili do drzwi. Na dach chaty

spadł dzban oliwy. Wybuchł pożar. W dół posypały się płonące odłamki drewna i pęki słomy. Powietrze w chacie zgęstniało od dymu.

Stryk skoczył naprzód i odepchnął Coillę. Na miejsce, gdzie przed chwilą stała, runęła nadpalona belka stropowa.

– Wynośmy się stąd!

Ognisty deszcz trwał. Rozstawieni przez Rellstona łucznicy próbowali go ograniczyć, a strażacy uwijali się przy gaszeniu pożarów. Orkowie pognali na stanowiska, przy każdej okazji kryjąc się pod okapami dachów. Mieli się właśnie rozdzielić, kiedy jeden z wartowników na wieży zawołał:

– Wycofują się! Wycofują się!

– Muszą uważać, żeby nie trafić swoich – stwierdził Stryk. Przebiegł go gwałtowny dreszcz.

Coilla niczego nie zauważyła.

– Patrzcie! – powiedziała.

Lada chwila mogła rozgorzeć nowa bitwa, a kapłanka spokojnie prowadziła modły przy magicznym gejzerze. Ubrana w tę samą co zwykle błękitną szatę – teraz już ubrudzoną krwią – powolnym krokiem obchodziła fontannę tęczowego światła. Trzymający się za ręce Mnogowie tworzyli krąg, który obracał się powoli wokół źródła magii. Przyglądały im się stojące w pobliżu kobiety, młode i stare, w podniszczonych ubraniach. Czerwony, zielony i żółty blask kładł się na ich twarzach, gdy intonowały nieziemski śpiew.

– Co one robią? – zdziwił się Jup.

– Próbują zwrócić magię przeciw Jedom – odparł Stryk bez namysłu i dopiero po chwili zadał sobie pytanie, skąd to wie.

– Każda pomoc się przyda – mruknął krasnolud.

Stryk próbował otrząsnąć się z dręczących go niezwykłych wrażeń.

– Nie mam nic przeciwko wzywaniu bogów na pomoc – odparł ze śladem zwykłego cynizmu w głosie. – Ale czasem dobry miecz jest

najlepszym przewodnikiem.

Coilla złapała go za ramię.

– Może powinniśmy im powiedzieć, że mamy inne gwiazdy?

– Po co? – zdziwił się Stryk.

Wzruszyła ramionami, sprawiając – o ile to możliwe – wrażenie zakłopotanej.

– Jeżeli są takie potężne, jak się o nich mówi, może by pomogły.

– Sądysz, że ktoś z tubylców wie, jak je wykorzystać?

Jup się skrzywił.

– My też nie wiemy.

Stryk z trudem zapanował nad nerwami. Przepływające przez niego wibrujące fale nie dawały mu się skupić. Orkowie patrzyli na niego wyczekująco, a Krista z kapłankami śpiewały hymny Trójcy. Nagle zrobiło mu się żal, że nie zdążył powiedzieć Coilli o rozmowie z kapłanką i jej podejrzeniach, że jest – podobnie jak Krista – anomalią.

Wypiął pierś, odetchnął głęboko, żeby wrócić do rzeczywistości, i odparł:

– Mimo wszystko wydaje mi się, że przy nas będą bezpieczniejsze.

– Niby dlaczego? – Gwałtowne słowa Coilli zabrzmiały trochę zbyt głośno. – Na razie mamy przez nie same kłopoty – dodała ciszej.

– Nie chcę ryzykować, że wpadną w ręce Jedów.

– A może po prostu nie chcesz się z nimi rozstać, co? – Coilla spojrzała na niego podejrzliwie. – Na mój gust zrobiłeś się strasznie o nie zazdrosny.

– No właśnie! – dorzucił Haskeer. – Nawet nie pozwalasz mi ich dotknąć!

– Na pewno nie po tym, jak ci się we łbie pomieszało – prychnął Jup.

– Zamknij ryj i nie wracaj do tego, dobrze? Wszystko przez ludzi i tę ich przeklętą zarazę.

Zanim ktoś jeszcze zdążył się odezwać, pieśń Kristy wzniosła się tak

wysoko, że osiągnęła granicę słyszalności. Dźwięk zdawał się przesywać Stryka na wylot. Kapłanki kołysały się miarowo w przód i w tył. Ekstaza rozświetlała ich twarze.

– Jak one znoszą ten pisk? – poskarżył się szeptem Jup.

Słowa Alfraya wytrąciły Stryka z transu. Stary kapral wyciągniętą ręką wskazał tęczowy gejzer.

– Myślisz, że to coś da?

– Mam nadzieję – odparł Jup. – Miło czasem się pobić, ale niedobrze mi się robi na myśl o tym, że wszyscy mieliby nas znów ścigać.

Na chwilę ogarnął ich dziwny optymizm.

Znów zagrały dzwony.

– Tam jest druga armia! – zawołał któryś ze strażników.

– Jasna cholera!

W ciszy, która zapadła po okrzyku wartownika, słowa Jupa zabrzmiały o wiele głośniejszy, niżby sobie tego życzył.

ROZDZIAŁ 18



Opadli do drabin i wdrapali się na pomost. Jak okiem sięgnąć, po dolinie maszerowali żołnierze, jechały konie, powiewały proporce. Dym z dogasających pożarów i dobrych pięciuset ognisk w obozie Jedów ograniczał widoczność do paru metrów, ale nie przeszkodziło to orkom stwierdzić, że armia oblężnicza ponad dwukrotnie zwiększyła swoją liczebność.

Rosomaki musiały zmrużyć oczy i przewiązać twarze szmatami, żeby nie dławić się gryzącym dymem, ale z uwagą śledziły czarną falę ludzi i koni, przewalającą się po okolicznych wzgórzach. Awangarda nowej armii dotarła już pod sam obóz Jedów, a straży tylnej nadal nie było widać. Czerń okryła całą dolinę, jak okiem sięgnąć.

Załamany Stryk zamknął oczy.

Haskeer pierwszy odzyskał głos.

– Dopiero teraz gównu wpadnie w wiatrak – powiedział.

Z obozu Jedów dobiegły pierwsze wrzaski.

– Nie witają ich zbyt gościnnie – zauważyła Coilla.

– To Mnogowie! – Jup zaczął podskakiwać w miejscu, dając się ponieść niezwykłemu jak na niego wybuchowi radości. – Mnogowie! Widzicie? Są wśród nich orkowie, całe setki! Mnogowie przyszli nam z odsieczą!

– Rzeczywiście! – przyznała mu rację Coilla. – Uderzyli na Jedów od

tyłu!

– I krasnoludy! – Jup z dumą wskazał dawno niewidzianych pobratymców. – Całe mnóstwo krasnoludów!

– I co z tego? – prychnął Haskeer. – I tak nic nie zrobią dopóki się im nie zapłaci.

Jup złapał go za gardło.

– Tak sądzisz, kozi smarku?

Haskeer nie zdążył odpowiedzieć, bo Stryk ich rozdzielił.

– Nie ma na to czasu. Czy ktoś rozpoznaje tę armię?

Oganiając się od niesionych wiatrem iskier, Rosomaki próbowały przebić wzrokiem rozedrgany z gorąca dym.

– Nie widzę... – stwierdziła w końcu Coilla. – Zresztą nic mnie to nie obchodzi. Grunt, że jest ich więcej niż Jedów.

Stryk oparł się o palisadę.

– To dar od bogów. Musimy im pomóc.

W Cyplu Ruffeta zawrzało. Rellston wydawał rozkazy, gońcy roznosili je po całej osadzie i wkrótce żołnierze zaczęli się zbierać. Piechota zajęła stanowiska w pobliżu północnej bramy. Jeźdźcy przez ten czas siodłali konie i wyprowadzali je ze stajni, zbierając się na placu przy sadzawce.

Mężczyźni stanęli na blankach, kobiety zaś zajęły się gaszeniem pożarów w uboższych częściach miasta, gdzie większość domów budowano z drewna.

Przeciskając się przez tłum, Stryk pożałował, że kazał orkom także przybyć w okolice sadzawki. Zgiełk był tu ogłuszający. Uskoczył przed spłoszonym koniem i znalazł się na skraju mętnej wody.

Nie zdziwił się specjalnie, widząc, że mimo ścisłu ludzie nie podchodzili blisko kaprala Krenada. Każdy czuł respekt na widok dwustu orkowych wojowników.

– Gotowi do ataku, kapralu?

Uśmiech rozjaśnił twarz Krenada.

– Lepsze to niż krycie się w tych przeklętych ścianach. Jeśli planujesz wycieczkę, kapitanie, jesteśmy do dyspozycji.

Musieli podnieść głos, żeby przekrzyczeć hałas. Nagle jednak zrobiło się dziwnie cicho.

Dopiero kiedy wspiął się na konia, którego przyprowadził mu Krenad, Stryk zorientował się, o co chodzi. Przez plac szła Krista Galby. Mimo niewiarygodnego ścisku mieszkańcy cudem znajdowali miejsce, żeby zrobić jej przejście.

Kapłanka spokojnie zamieniła dwa zdania z kapitanem Rellstonem i skierowała się ku Rosomakom. Stryk ścisnął konia kolanami i wyjechał jej na spotkanie.

Dotknęła jego strzemienia i spojrzała mu w oczy.

– Jeżeli raz poczujesz w sobie moc ziemi, będzie w tobie coraz silniejsza – wyszeptała. – Prędzej czy później ta kraina upomni się o swoje prawa.

Nagle surowa powaga ulotniła się z jej twarzy. Krista wyprostowała się i z błyskiem w oku zaczęła mówić. Nie musiała podnosić głosu. Wszyscy na placu doskonale ją słyszeli.

– Pamiętajcie, że walczyacie w imieniu tej ziemi. Ona doda wam sił. Sięgnijcie po jej moc i poczujcie ją w sercach. Otwórzcie się na nią. Wiatr jest oddechem ziemi. Walczycie o jej dobro, a ona upomni się o swoje prawa. Nazbyt długo już oplakuje straty zadane jej przez niszczycieli. Teraz jej moc unosi się ponad waszymi głowami...

W tej samej chwili – trudno powiedzieć, czy przez przypadek, czy celowo – świetlisty pióropusz niby–ognia trysnął z gejzeru.

– Odnowi waszego ducha, w tym lub w przyszłym życiu. Błogosławieństwa Ścieżki Mnogości będą was poprzedzać i chronić, będą was strzec ze wszystkich stron i prowadzić jako obrońców ziemi.

Krista uniosła ręce we wdzięcznym geście błogosławieństwa. Chwilę

później wchłonął ją tłum.

– Otworzyć bramę! – zagrział w ciszy rozkaz Rellstona. – Biegiem!

Stryk musiał z całej siły powstrzymać rwącego się do biegu konia. Obok niego czekali Coilla, Jup, Alfray i Haskeer. Na placu znów zapanował zgiełk. Korzystając z niego, Coilla powiedziała do Stryka:

– Jeżeli coś ci się stanie, wszystkie gwiazdy przepadną. Rozdziel je między nas.

– Nie ma mowy.

Odruchowa odmowa Stryka nie spodobała się orczycy.

– Nie należy ich rozdzielać – dodał pojednawczo. – Nie mam pojęcia, dlaczego, ale wiem, że nie należy.

Pierwsza kolumna biegnących truchtem pieszych znalazła się przy bramie.

– Może masz rację – zgodziła się Coilla. – A może po prostu jesteś o nie tak zazdrosny, że nie chcesz ich wypuścić z rąk?

Jennesta, bezpieczna w otoczeniu żołnierzy, śledziła wydarzenia ze stojącego na wzgórzu rydwanu. Przed odrażającą płonąca osadą toczyła się wściekła bitwa. Jedynie Hobrowa, ściśnięci w stromej dolinie i wtłoczeni między jej wojska a ludzkich i orkowych renegatów, stawiali zaciekły opór.

Parsknęła śmiechem.

– Żałośni są nie uważasz, Mersadionie?

– Owszem, pani. – Generał odruchowo pogładził się po okaleczonym policzku. – Ale jest ich dwadzieścia tysięcy.

Oczy Jennesty zabłyśły złowrogo.

– Do czego pijesz?

– Że... To będzie wspaniałe zwycięstwo, pani.

– Lubię zwyciężać. Ty też powinieneś to polubić, generale. Bo jeśli ja przegram, ty umrzesz. Czy wyrażam się jasno?

Mersadion skłonił się, aby ukryć wzbierającą w nim nienawiść.

– Niezwykle jasno, pani.

– Dobrze. Przygotuj szturm w trzech miejscach jednocześnie. Ludzie mają być gotowi do natarcia w środku szyku. Czyżbyś chciał podważyć moje rozkazy?

– Nie, pani. Skądże znowu.

– Doskonale. Nie należy się zapominać, prawda? Orkowie na wzgórzu mają zaatakować spod osłony drzew. Krasnoludy niech zajmą to wzgórze po lewej. Kiedy moi ludzie uderzą w środku, aby zwieść przeciwnika, durni Jedowie nie będą mogli rozwinąć skrzydeł i ich otoczyć. Część jednak z pewnością rzuci się do ataku. A wtedy spadną na nich orkowie i krasnoludy z flank. Proste, prawda?

– To genialny plan, pani.

– Naturalnie. – Jennesta uśmiechnęła na widok morza błyszczących grotów i mieczy. – Przy okazji, Mersadionie... Chciałabym, żeby harpie były gotowe do ataku, gdy nasi ludzie zwiążą walką tę jedowską hałastę.

Niedobitki harpii, poprawił ją w myślach Mersadion i poszedł wydać rozkazy. Nie rozumiał, dlaczego poprzedniego wieczoru królowa dla zabawy napuściła harpie na siebie nawzajem. Nie wykluczał zresztą że postradała zmysły.

Najważniejsze, że była zadowolona i podekscytowana. Okazywała wręcz dzieciinną radość na myśl o szykującej się jatce. Szarpnęła lekko wodze i zaopatrzone w ostrza na kołach rydwan potoczył się ku pierwszym szeregom armii. Kiedy zajęła dogodną pozycję, kazała Mersadionowi dać sygnał do ataku.

Konie krok po kroku zaczęły nabierać szybkości. Świadoma swojego doskonałego wyglądu, lśniąca w promieniach słońca Jennesta runęła na wrogów, otulona ze wszystkich stron armiajak wysadzaną klejnotami peleryną.

Zapowiadała się łatwa przeprawa.

Kimball Hobrow nie wierzył własnym oczom. Jeszcze przed chwilą dowodził armią obłączniczą znacznie liczniejszą niż te pogańskie ścierwa, kulące się w grajdole na środku doliny. Nie mógł przegrać. Zrobiło mu się nawet żal głupich Mnogów, wystawionych na jego uderzenia niczym kręgle, których rozbicie miało być dowodem działania boskiej mocy.

A teraz miał przeciwko sobie nie jedną, lecz dwie armie, przy których jego wojsko przypominało uczestników wycieczki na przykościelny piknik.

– Co robimy? – zapytał zlany potem nadzorca.

– Wypełniamy wolę Pana – odparł Hobrow. Nie okazywał niepokoju, choć w sercu czuł już pierwsze ukłucia paniki.

– Czy to próba, ojcze? – spytała Litość, zwracając ku niemu niewinną twarzyczkę.

– Tak, córeczko. – Posłał trzęsącemu się ze strachu nadzorcy miażdżące spojrzenie. Ziemia zadrżała od tętentu kopyt nacierającej kawalerii Jennesty. – Czego się boisz? Myślisz, że Pan nas opuścił? Czy nasza wiara jest aż tak słaba?

– Nnn... nie, panie.

– No właśnie. Zabijemy niewiernych i będziemy wiecznie słać imię Pana. On jest z nami. Jak moglibyśmy przegrać?

Nadzorca nie wiedział, co powiedzieć. Pokręcił głową. Hobrow nakreślił znak błogosławieństwa w dusznym, gęstym od kurzu powietrzu.

– Wracaj na posterunek! Czyń wolę Pana! – Hobrow natychmiast zapomniał o żołnierzu i skinął na dwóch swoich najbliższych doradców. – Mam dla was złe wieści. Wiem, że marzycie o tym, by wziąć udział w świętej rzezi, ale Pan przeznaczył wam inne zadanie.

Doradcy szczerze się zmartwili.

– Słuchamy, mistrzu – odpowiedzieli chórem.

– Macie strzec mojej córki, choćby za cenę własnego życia. Albowiem czyż Pan nie kazał nam bronić niewinnych?

Zgodnie pokiwali głowami, oszołomieni złożoną na ich barki odpowiedzialnością.

– Zabierzcie ją w bezpieczne miejsce.

Hobrow pochylił się i ucałował Litość w czoło. Z wyglądu przypominał jakiegoś dziwnego ptaka. Córka pokłoniła się z szacunku dla jego autorytetu, ale on już odszedł.

Jednym spojrzeniem ocenił, że zbieranina z Cypla Ruffeta liczy najwyżej kilkuset zbrojnych. Widział też Ladacznice, która pędziła mu na spotkanie w powodzi złota i stali. Pierwszy szereg jej konnicy zderzył się z jego pikinierami. Od impetu uderzenia zadrżała ziemia. Przez chwilę widział jeszcze, jak królowa krzyczy z wściekłości, gdy jeden z jej koni nadział się na zabójcze drzewce.

Uśmiechnął się pod nosem, dosiadł konia i pogalopował do boju. Jak ona mogła być tak głupia? Kto to słyszał, żeby szarża kawalerii przełamała zwarty szyk pikinierów? Pan naprawdę był po jego stronie.

Zapowiadała się łatwa przeprawa.

Kiedy ciemna fala żołnierzy Jennesty zderzyła się z awangardą armii Hobrowa, Stryk i jego konni orkowie uderzyli na Jedów od tyłu.

Szarżowali wprawdzie pod górę, co dla jazdy nie było najszcześniejszą taktyką, ale za to przeciwnik był zdeorganizowany. Ludzie Hobrowa oddali nierówną salwę z łuków; większość strzał nie doleciała do celu – spadając w dół stoku, nie potrafili należycie ocenić odległości.

– Najlepszych łuczników Hobrow trzyma pewnie z przodu – wydyszała Coilla, przytulona do końskiego karku.

– I bardzo dobrze – odparł Haskeer.

Rosomaki nabierały rozpędu. Dym rzedł w miarę, jak oddalały się od Cypla, ale walczące armie wzniewały takie tumany kurzu, że orkowie poruszali się jak we mgle. Trawa była szara od pyłu, a słońce stało się bladą kulą zawieszoną w połowie nieba. Kurz nie tłumiał jednak odgłosów bitwy.

Ziemia drżała pod kopytami koni.

Stryk spojrział w prawo. Zgodnie z umową jazda Rellstona miała spaść z łagodnego zbocza i uderzyć na flankę Hobrowa. Konnica Jedów znajdowała się gdzieś z przodu, zasłonięta falującą masą walczących. Stryk zorientował się, że Hobrow wolał zatrzymać konie na głównym froncie niespodziewanego starcia z armią Mnogów.

Piechota Rellstona nieco wcześniej opuściła osadę i teraz formowała szyk na skrzydłach kawalerii. Żołnierze stojący z przodu mieli miecze, ich towarzysze z dalszych szeregów – długie lance, ci, którzy znajdowali się jeszcze dalej, miotali oszczepy, które sypały się gęstym deszczem na flanki armii Jedów. Niektóre zatrzymywały się na tarczach, ale wiele sięgało celu. Chrapliwe okrzyki bólu wywołały złowieszcze uśmiechy na twarzach Stryka i Coilli.

Zostało pięćdziesiąt metrów do zderzenia z szeregami Jedów. Dwadzieścia... Dziesięć...

Z góry dobiegł przeraźliwy, nieludzki chichot. Rosomaki odruchowo zadarły głowy – i z odrazą skuliły się w siodłach.

Z tumanów kurzu wypadło kilkanaście skrzydlatych istot. Pikowały wprost na oszołomionych Jedów. Łucznicy Hobrowa nawet się nie zorientowali, co ich zaatakowało. Harpie spadły na nich z tyłu. Porywały miotających się żołnierzy z ziemi, unosiły ich w powietrze i zrzucały kompanom na głowy. Ohydny krwawy deszcz spadł na ludzi i zbryzgał ziemię dookoła.

Zaledwie garstka strzelców zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zaskoczeni strzelili kilka razy w powietrze, ale ich pociski w większości spadły z powrotem na ziemię, czyniąc więcej szkody Jedom niż harpiom, które z jazgotliwym śmiechem skryły się w chmurze pyłu.

Orkowie nie mieli już szans, aby zatrzymać się w wariackim pędzie. Stryk staranował chłopaka, który tylko rozdziawił ze zdumienia usta i

wpadł pod kopyta. Jego krzyk urwał się nagle jak ucięty nożem. A potem się zaczęło: cięcie i unik; cios i zasłona.

Orkowie zrobili wyrwę w szykach obronnych Jedów, a teraz wbiegali przez nią piesi żołnierze Rellstona. Ludzie Hobrowa zbili się w ciasne grupki i bronili zaciekle. Od czasu do czasu jedna z harpii nurkowała z nieba, porywała wybraną ofiarę i zrzucała jej wyrwane członki na głowy przerażonych towarzyszy.

Wynik starcia mógł być tylko jeden.

– To jak dźganie rybek w beczce! – zachwycił się Haskeer. Jego miecz przypominał wirujące, szkarłatne skrzydła wiatraka.

– Mowa! – odkrzyknął Jup, znacząc krwią swój szlak. – Prawie jak morderstwo!

Jennesta była wściekła. Znalazła się na pierwszej linii frontu, w najwyższej części doliny. Owszem, jej straż przyboczna rzuciła się na pikinierów i impet jej szarzy zepchnął ich do defensywy, ale Jennesta została sama z przewróconym rydwanem i martwym koniem w zaprzęgu.

– Zrób coś! – krzyknęła na Mersadiona i z wysiłkiem dźwignęła się na nogi.

– Tak jest, pani.

Klnąc pod nosem, generał pobiegł za innym rydwanem.

Gdy tylko woźnica zwolnił, aby wysłuchać rozkazu dowódcy, Mersadion wskoczył do pojazdu i zepchnął mężczyznę na zdeptaną trawę. Jego śladem pędził już następny rydwan; generał bez mrugnięcia okiem wydał woźnicę na pastwę wirujących ostrzy. Wiedział, że Jennesta to samo zrobiłaby z nim.

Wsiadła do rydwanu i zacięła konie. Pojazd zaczął się oddalać, podskakując na nierównościach gruntu. Zapach krwi drażnił jej nozdrza, rezonował w ciele, budził głód. Skierowała się prosto do miejsca, w którym udało się przełamać szyk pikinierów, i rzuciła się w wir walki. Niedobitki

straży przybocznej z trudem dotrzymywały jej kroku.

Jennesta zwolniła gwałtownie. Nie powinna wyrywać się za bardzo przed swoich ludzi. Zatrzymała rydwan – i wybałuszyła oczy ze zdziwienia.

Przypadkowy podmuch wiatru rozwiął na chwilę chmurę kurzu. Widziała teraz jak na dłoni oddział, który zrobił wycieczkę z oblężonej osady i zaatakował Jedów od tyłu.

Oddział orków.

Mogło to nic nie znaczyć. Sama przecież zatrudniała orków, których zresztą w Maras–Dantii było jak mrówek. Ale z drugiej strony... Czyżby to oznaczało, że nareszcie dopadła tych zdradzieckich łajdaków i złodziei?

Delikatna łuska błysnęła w słońcu. Jennesta uśmiechnęła się przelotnie.

W starciu, jakie rozgorzało pod północną bramą Cypla, Jedowie walczyli do końca, gotowi zabrać ze sobą do grobu tylu Mnogów, ilu zdołają. Na dnie doliny zostało ich najwyżej dwa, trzy tysiące, ale drogo sprzedawali swoją skórę.

Potwornie zmęczony Stryk wycofał się na chwilę ze zwarcia. Mimo nienaturalnie chłodnego powietrza w wirze walki było krwawo i gorąco. Dobrze przynajmniej, że harpie gdzieś zniknęły – albo zestrzelili je łucznicy, albo po prostu wróciły tam, skąd przyleciały. Ich pojawienie się bardzo go zaniepokoiło. Widział, że nie atakowały obrońców Cypla, ale jak odróżniały ich od Jedów? Zresztą samo nieoczekiwane pojawienie się drugiej armii Mnogów było nie mniej zagadkowe.

Powtarzając sobie, że fanatyzm Hobrowa wymagał zdecydowanej reakcji, sięgnął po manierkę – i zaklął, widząc, że stracił ją w ogniu walki. Dobrze, że gwiazdom nic się nie stało.

Coilla podjechała do niego i ściągnęła wodze.

– Na bogów! Wiele bym dała za łyk zimnego piwa! – wysapała, ocierając krew i pot z czoła.

– Może będziesz miała szczęście. Założę się, że mają w obozie piwo.

Warto byłoby je przejąć, zanim dorwą się do niego nasi bogobojni sojusznicy.

Spięty ostrogami koń Stryka ruszył tak gwałtownie, że ork omal nie wypadł z siodła. Coilla obejrzała się na niego i dołączyła do szarży.

Mignął im Krenad: wisiał z konia głową w dół, z jedną nogą zahaczoną w strzemieniu. Spłoszony wierzchowiec włókł go po ziemi, tańcząc między poszczerbionymi szeregami żołnierzy.

Stryk zabił przeciwnika Krenada jednym zamaszystym cięciem, a Coilla pomknęła za kapralem. Zdołała wyprzedzić przerażonego konia i zmusić go do zatrzymania się. Pomogła Krenadowi wypłatać się ze strzemienia i z ulgą stwierdziła, że nie stracił rezonu. Był trochę roztrzęsiony, ale uśmiechnął się do niej w podzięcie.

Okrzyk Rellstona ściągnął ich jak magnes. Kilkuset Jedów znalazło kryjówkę w ocienionym zagajniku zagłębieniu terenu i teraz urządzali z niego krótkie wypady, za każdym razem kryjąc się pospiesznie pod osłonę ciemnych zarośli.

Krenad dosiadł konia i puścił w obieg butelkę jakiegoś nieznanego Strykowi alkoholu. Napój miał wstrętny smak, ale tchnął w oficerów nowego ducha. Stryk rozejrzał się i dostrzegł wynurzającego się z kłębow kurzu Alfraya.

Zmierzający w jego stronę stary kapral zatrzymał się nagle jak wryty, jakby ktoś nagle stanął mu na drodze – nie wróg, lecz przyjaciel. Stryk wyraźnie widział malujące się na jego twarzy zdumienie. Podążył wzrokiem za spojrzeniem Alfraya i przez ułamek sekundy mignęła mu plama bieli... Biały rumak, na którego grzbiecie siedział chudy mężczyzna o kasztanowej czuprynie.

Serafim?

Tłum walczących przesłonił mu widok.

– No to dobrze – stwierdził, nieudolnie maskując przesądny dreszcz. – A

teraz napiłbym się czegoś porządnego. Sprawdźmy, co Jedowie trzymają w obozie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Ocaleli z rzezi żołnierze Hobrowa zostali zmuszeni do odwrotu.

Jakiś dureń przed kilkoma godzinami podłożył ogień w zagajniku. Wykurzył wprawdzie kryjących się w nim Jedów, ale przy okazji uniemożliwił spokojne ominięcie zarośli. Wiatr unosił tłące się liście, które wywoływały niewielkie pożary w najmniej oczekiwanych miejscach. Chwilami dym gęstniał tak bardzo, że smok by się w nim udusił. Bitwa ciągnęła się przez cały dzień. Jedowie, choć skazani na przegraną, nie oddawali łatwo pola.

Rosomaki i dezercerzy Krenada walczyli ramię w ramię, najczęściej pieszo, umazani krwią – cudzą, jeśli dopisało im szczęście; własną, jeśli szczęścia nie mieli.

Zapadał zmierzch. Zerwał się silniejszy wiatr, gwizdząc wśród wzgórz i drzew po drodze do morza. Rozdarł zasłonę dymu i orkowie wreszcie mogli się przekonać, komu zawdzięczają niespodziewaną odsiecz.

Zobaczyli Jennestę.

– Na bogów! – wykrzyknął Haskeer w tej samej chwili, kiedy Stryk wypowiedział jej imię.

Ironia losu nie uszła ich uwagi. Jennesta również ją doceniła. Wpatrywała się w nich nienawistnym wzrokiem ze stojącego w oddali rydwanu.

Znajdowała się daleko, ale nie mieli cienia wątpliwości, że zżera ją nienawiść. Wzięła zamach, jakby zamierzała cisnąć niewidzialną włócznię.

Stryk i Rosomaki rozproszyli się; dość się napatrzyli na magię Jennesty, żeby wiedzieć, że potrafi miotać kulami ognistej energii.

Ale niepotrzebnie się przerazili: następny nieprzewidziany podmuch znów zasnuł pole bitwy dymem.

– Bez obawy – zadrwiła Coilla. – Nie zaryzykuje swojego cennego życia w bezpośrednim starciu. Poszukajmy lepiej tego bandyckiego wodza Jedów i zmywajmy się stąd.

ROZDZIAŁ 19



Kimball Hobrow przez cały dzień towarzyszył swoim ludziom; był dosłownie wszędzie i zachęcał ich do walki coraz bardziej rozpaczliwymi modlitwami. Nie odstępował ich na krok, kiedy cofając się, walczyli o każdą piędź ziemi. Nawet teraz, ukryty za przewróconym wozem, nie szczędził im chrapliwych słów otuchy.

Nagle okazało się, że nie ma już komu kibicować: ostatni nadzorca z ciężkim sapnięciem osunął się na ziemię, jak dziecko, które zasypia. Wyzionął ducha i zmarł w tej samej chwili, gdy słońce zaczęło chować się za wzgórze.

Obóz rozbito z boku doliny, w okolonym drzewami zagłębieniu. Powinien być bezpiecznym schronieniem, spokojnym azylem dla ojca i córki. Ale Hobrow od wielu godzin nie widział córki na oczy. Bóg jeden raczy wiedzieć, co się z nią stało.

Pierwszy raz w życiu ogarnęły go wątpliwości, czy Boga w ogóle obchodzi jej los.

Skulił się jeszcze bardziej. Nie zauważył nawet, że drzazgi z desek wozu wchodzą mu w dłoń. Dawno już stracił miecz – porzucił go w panice, kiedy banda dzikusów rzuciła się na jego piękny oddział. Nie miał się nawet czym bronić.

Dostrzegł dwójkę podludzi, skradających się przez jego obozowisko.

Mieli na sobie mundury wojsk Ladacznicy. Wyprostował się, ściągnął z wozu podarty koc i znów przykucnął, naciągając go na głowę. Może jeśli się schowa i będzie siedział nieruchomo, nie zauważą go.

Wstrzymał oddech. Serce dudniło mu w uszach jak kopyta galopującego konia. Na pewno tamci też je słyszeli. Rozumiał już, że znieważył Pana i Pan go opuścił. A przecież wypełniał Jego wolę. Czyżby nie dość gorliwie czynił Jego dzieło?

Najwidoczniej.

Dwa stwory doskoczyły do niego, zdarły koc i chwyciły go za ramiona. Zamrugał, oślepiiony resztkami dziennego światła.

– Panie, poraż swym gniewem niewiernych, którzy poważyli się sprofanować Twoje narzę...

Jeden z orków uderzył go od niechcienia w głowę.

Hobrow padł bez tchu. Na sekundę stracił przytomność, a kiedy ją odzyskał, usłyszał, jak grubszy ork mówi:

– Myślisz, że ma coś, co warto mu zabrać?

Ten wysoki przegrzebał stertę rzeczy, które spadły z wozu razem z kocem. Cisnął świętą księgę na drugi koniec polany i wytarł rękę w kurtkę.

– Nieee... Same śmieci.

Hobrow dźwignął się na łokciu.

– Nie wolno ci tak mówić! – wykrzyknął oburzony.

Grubas zdzielił go otwartą dłonią w twarz, rozcinając mu wargę.

– Ale właśnie tak powiedział, tępaku. To ty za dużo gadasz.

– Chodź, wytniemy mu język. Zabawimy się trochę.

Hobrow zaczął się cofać na czworakach, rozpaczliwie przebierając nogami. Zanim orkowie się zorientowali, wczołgał się głęboko pod strzaskany wóz.

Wyższy ork przeskoczył przez połamane dyszle i wyciągnął po niego rękę. Hobrow zwinął się w kłębek, usiłując nie dać się złapać. Niewiele mu

to pomogło. Grubas pacnął go płazem topora w kolano.

– Nie baw się z nami w chowanego, śmierdzielu.

Hobrow zakwiczał.

– Puśćcie mnie! Jestem sługą Pana! Nie możecie mnie skrzywdzić! – Jego głos przeszedł w żalosne skomlenie. – Nie róbcie mi krzywdy, proszę...

Grubas chwycił go garścią za zmierzwione włosy i wywlókł na zewnątrz. Postawił krzywiącego się z bólu Jeda na nogi, potrząsając nim jak szmacianą kukłą.

– Ty, patrz – powiedział, kiedy na spodniach Hobrowa rozlała się parująca plama. – Złał się.

Hobrow zamknął oczy. Świadecko ostatecznego upodlenia zaczynało stygnąć i lekko przywierać mu do ud. Ork popchnął go i Hobrow zatoczył się na koło wozu.

– Myślisz, że warto brać go do jej wysokości, Hrackash?

Wysoki obrzucił sługę Pańskiego pogardliwym spojrzeniem.

– Nie. To pewnie nikt ważny. Jest miękki jak galareta. Zawstydzony Kimball Hobrow nawet nie poczuł, jak nóż przeszył mu serce.

O zmierzchu wojska Jennesty wróciły do obozowiska, ale nad ciemniejącym polem bitwy długo jeszcze dało się słyszeć nieziemski skowyt. Ruszające się cienie świadczyły o tym, że niedobitki Jedów pod osłoną nocy wymykają się na okoliczne wzgórza. Stryk nie miał pojęcia, że jest wśród nich Litość Hobrow – ale też inne sprawy zaprzętały jego uwagę.

– Musimy zabrać gwiazdę i wynosić się stąd – stwierdził. – Widzieliście Jennestę. Rano wolałbym być jak najdalej od niej.

– Dlaczego nam pomogła? – zdziwił się Jup.

– Wcale nam nie pomogła, tylko po prostu pozbyła się Jedów. Bo tak naprawdę chodzi jej o nas. Coillo, możemy na ciebie liczyć?

– Oczywiście... – Skrzywiła się, bo Alfray opatrywał jej powierzchowną

ranę na ramieniu. – Tylko... No wiesz, nie wypada okradać sprzymierzeńców. Przecież i tak przyjaciół mamy jak na lekarstwo.

– Mają u nas dług – zauważył Haskeer. – Powiedzmy, że gwiazda będzie nagrodą.

– Urocza perspektywa – przyznała z przekąsem Coilla. – Muszę tylko obrabować świątynią sojuszników.

Mijali ich znużeni żołnierze. Ciężko powłócząc nogami, wracali na noc do miasta.

– Spójrz – powiedział Stryk. – Ci tutaj nie mają szans. Czy kiedy rano zjawi się tu Jennesta, chcesz jej oddać potencjalne źródło wielkiej mocy?

To przeważało szalę.

Ruszyli z powrotem do Cypla Ruffeta – niektórzy kulejąc, wszyscy potwornie zmęczeni. Alfray złapał Stryka za rękaw.

– Widziałeś... w czasie bitwy... Czy widziałeś tego człowieka? Serafima?

– Nie jestem pewien... – Stryk się zawahał. – Tak mi się wydawało, ale...

– Ale wiesz, że bredzisz – wtrącił się Haskeer. – Po co jakiś gaduła miałby się plątać po polu bitwy? Wracajmy do osady. Zobaczymy, jak bardzo są nam wdzięczni.

Za bramą powitały ich ogłuszające wiwaty. Jedni ludzie wciskali im kufle w dłonie, inni rozdawali chleb i mięso, wszyscy tańczyli, śpiewali, pili albo się modlili – w zależności od nastroju.

Krista Galby stała w kręgu pochodni przy sadzawce. W czystych szatach błyszczała jak płomień świecy. Obok znużony kapitan Rellston, z jedną ręką na temblaku sporządzonym z zielonej szarfy, stał oparty o niski murek. Zanim orkowie zdążyli wejść w rolę prawdziwych zwycięzców, Krista i Rellston zawołali ich do siebie.

– Ponownie składam wam wyrazy wdzięczności, Stryku – powiedziała

kapłanka. – Bez was byśmy ich nie pokonali.

Rellston lekko skłonił głowę.

– Ja również dołączam się do tych podziękowań. Nie widzieliście tego drania Hobrowa?

– Nie.

Stryk chciał coś jeszcze dodać, ale Rellston, zawstydzony swoją uprzednią nieufnością, kazał podać więcej piwa. Pierwszy raz Rosomaki miały ochotę odmówić napitku.

Wymówili się od poczęstunku, gdy tylko uznali, że wypada, i ruszyli w stronę buchającej na pagórku ognistej kolumny. Orkowie Krenada odprowadzali ich wzrokiem, nie szczędząc złośliwych komentarzy o słabych głowach. Nie tylko Haskeer miał ochotę zmasać z ich twarzy ukradkowe uśmieški.

W całym mieście świętowano zwycięstwo, dzięki czemu okolice świątyni świeciły pustkami. Orkowie nawet nie próbowali się kryć: podeszli niespiesznie pod drzwi budowli i bez ostrzeżenia rzucili się do ataku. Zaskoczeni strażnicy nie zdążyli zareagować. Padli bez walki.

– Związać ich – rozkazał dręczony wyrzutami sumienia Stryk. Ale te wyrzuty sumienia nie przeszkodziły mu wedrzeć się do środka.

Zatrzymali się na progu. Umieszczona na kolumnie gwiazda pławiła się w blasku wotywniej lampki. Coilla z westchnieniem zaczęła się szykować do powtórki z wczorajszych ćwiczeń gimnastycznych.

– Pieprzyć to – burknął Haskeer i staranował kolumnę barkiem. Runęła na klepisko z głuchym łoskotem, który poniósł się echem po całej świątyni, ale poza Rosomakami i tak nikt go nie usłyszał. Stryk patrzył, jak gwiazda toczy się po ziemi, koziółkując jak w jego śnie. Jeśli to był sen.

Złapał ją i schował do sakiewki razem z innymi.

– Mam ją – powiedział. – A teraz wynośmy się stąd.

Dotarli do stajni, zanim Coilla o czymś sobie przypomniała.

– Nie powiesz Krenadowi i pozostałym?

Stryk zarzucił siodło na koński grzbiet z większym impetem, niż było to konieczne. Uderzony wierzchowiec zrobił dwa kroki w bok.

– Sami kształtują swoje przeznaczenie, tak jak my. Chcieli wolności, to ją mają. A co z nią zrobią, to już ich sprawa.

Mocnym szarpnięciem dociągnął popręg.

– Nie. Jeżeli rano ma się tu zjawić Jennesta, to nie jest to tylko ich sprawa – zaprotestował Alfray. – Obedrze ich żywcem ze skóry.

– No to co mam zrobić?! Ukryć gdzieś całą armię orków? Posłuchaj, mnie też się to nie podoba, ale nie mamy wielkiego wyboru.

– Powinniśmy przynajmniej ich ostrzec.

Jup poparł Alfraya.

– Wciąż się boisz, że przyciągniesz zwolenników? – wypaliła bez ogródek Coilla.

– A jeśli tak? – Stryk spojrział na nią ze złością. – Nigdy nie mówiłem, że chcę się bić z Jennesta! W ogóle z nikim nie chciałem walczyć! Zależy mi tylko na tym, żeby wydostać się stąd w jednym kawałku. Niech ktoś inny trzyma sztandar.

– I dlatego zamierzasz zostawić Krenada na łaską Jennesty? – Alfray był wyraźnie zniesmaczony. – Myliłem się co do ciebie.

Stryk spojrział mu z bliska w oczy.

– Wcale nie. Jestem, kim jestem: dowódcą oddziału. Nikim więcej. To wy próbujecie mnie przerobić na swoją modłę. Coillo, idź po Krenada... Albo nie. Sam to zrobię. Bogowie raczą wiedzieć, jakiego bałaganu byście narobili.

Znalazł dowódcę dezertersów w gospodzie, zajętego śpiewaniem sprośnych piosenek.

– Chodź tutaj – rzucił krótko.

Krenad – pijany i uszczęśliwiony – nie zamierzał schodzić z beczki, na

której usadowił się okrakiem.

– Aleossochodzi? – wymamrotał tylko.

Stryk wywlókł go na dwór i wsadził mu głowę do kadzi z deszczówką.

– No, tak lepiej – stwierdził, kiedy kapral zdołał wreszcie skupić na nim wzrok. – Posłuchaj mnie, Krenadzie. Nie wiem, czy zwróciłeś na to uwagę, ale dowódcą drugiej armii jest Jennesta.

– Niemożliwe. To był jakiś frajer w skórzanej czapeczce.

Tym razem Stryk przytrzymał Krenada pod wodą, aż ten zaczął się krztusić.

– Nie o nim mówię, durniu! Chodzi o armię Mnogów, tę na wzgórzu. Z harpiami. Pamiętasz już?

– Tak jest. – Krenad gwałtownie otrzeźwiał. – Kiedy się wycofujemy, kapitanie?

– My teraz. A wy... kiedy chcecie.

– Czyli rozdzielimy się i spotkamy później, tak?

– Nie. Nie myśl sobie, kapralu, że nie doceniamy waszego wkładu w bitwę, ale pozwól, że coś ci przypomnę: nie prowadzimy werbunku. Nigdy nie prowadziliśmy. I jutro, kiedy już znajdziemy się daleko od tej suki, nadal nie będziemy prowadzić. Teraz każdy musi radzić sobie sam. Zrozumiano?

Była noc, gwiazdy bledły w nasilającym się brzasku, gdy Stryk przemierzał wzgórza daleko od Cypla. Spojrzenie, jakie posłał mu Krenad, wciąż nie dawało mu spokoju.

Słońce wspięło się pomalutku nad wschodni skraj palisady. Krista Galby weszła do świątyni – i zaniemówiła.

Jeden ze strażników, trzymając się za obolałą głowę, mówił właśnie:

– ...nic nie mogliśmy zrobić.

Kapłanka długo milczała, wpatrując się w przewróconą kolumnę. Westchnęła ciężko.

– Wątpię, żeby ktoś widział, jak wymykają się podczas uroczystości, ale trzeba przynajmniej popytać – stwierdziła. Z trudem przybrała spokojniejszy wyraz twarzy i powiedziała półgłosem, bardziej do siebie niż do obecnych przy niej ludzi: – Musimy znaleźć i odzyskać instrumentarium. Zbudowaliśmy dla niego świątynię. Było najważniejszą rzeczą w moim życiu, tak jak wcześniej w życiu mojej matki i wszystkich kapłanek od czasów założenia Cypla Ruffeta. Gdyby Ruffet nie znalazł gwiazdy w sadzawce, z pewnością by się tu nie osiedlił.

Zapadła cisza. Poruszony nienaturalnym spokojem kapłanki obolały strażnik zapytał:

– Mam powiedzieć kapitanowi, żeby zebrał oddział pościgowy?

– Nie. Nie chcemy karać Stryka i jego orków. Nie po tym, jak uratowali życie Aidanowi... – Krista zebrała się w sobie i mocniejszym głosem ciągnęła: – Zbierz wszystkich strażników świątynnych, którzy są w stanie dosiąść konia. Osiodłajcie moją klacz.

Strażnik nie krył przerażenia.

– Nie możesz odejść, kapłanko! Po tym, jak straciliśmy gwiazdę, jesteś nam potrzebna jak nigdy przedtem!

– Tylko ja potrafię stwierdzić, po co jestem nam potrzebna, nie rozumiesz? Muszę jechać.

Niespełna pół godziny później Krista znalazła się na placu przy północnej bramie. Okazało się, że jedna z niedawno owdowiałych kobiet opłakiwała męża, siedząc przy oknie, i widziała, że długo po tym, jak zabawa się skończyła, około trzydziestu orków wyjechało z osady, a ich konie miały kopyta owinięte szmatami. Strażnik przy bramie nie przypominał sobie takiej sceny. Pamiętał tylko, że ktoś poczęstował go czymś do picia, a potem uderzył go w głowę.

Kapłanka przytuliła syna. Aidan nie mógł jeszcze zbyt długo chodzić o własnych siłach, ale opiekunka z domu chorych poprosiła jednego z

budowniczych świątyni, żeby zaniósł chłopca matce.

– Bądź grzeczny, Aidanie, i słuchaj Merrilis. Chcesz przecież odzyskać siły, prawda?

Chłopczyk ścisnął jej rękę.

– Nie jedź, mamó. Zostań ze mną. Tam się mogą dziać złe rzeczy.

– Oprócz złych znajdą się tam również dobre rzeczy. A poza tym mam dzielnych strażników, którzy będą mnie pilnować. Nie martw się, skarbie. Wrócę, zanim się zorientujesz, że mnie nie było. – Krista przeniosła wzrok na starą kobietę i barczystego cieślę. – Zaopiekujcie się nim. A ty, Aidanie, możesz zostać tu i przywitać królową, kiedy wjedzie do osady. Nie cieszysz się?

Dowódca straży świątynnej podał jej wodze pięknej gniadej klaczy. Krista Galby przesłała synowi całusa.

W otoczeniu strażników wyjechała przez bramę w takim pędzie, jakby ścigała ich fala przypływu.

Rydwan Jennesty był przybrany kwiatami.

Kazała zdjąć ostrza z piast; nie wypadało denerwować potencjalnych poddanych obcinaniem im nóg. Skinieniami głowy i królewskimi uśmiechami pozdrawiała mieszkańców nędznej mieściny, którzy zebrali się przy drodze do bramy. Jak się ta dziura nazywała? Ach tak, Cypel Ruffeta. Albo jakoś podobnie, romantycznie i bzdurnie. Ale co mogło być romantycznego w zlepku brudnych chałup, tak odległym od stolicy – tego Jennesta nie potrafiła zrozumieć.

Za nią jechała mała część jej armii, żeby służyć jako przypomnienie, kto tu rządzi.

Ludzie wiwatowali, dziewczynki rzucały jej pod nogi późne, letnie kwiaty, konie wdeptywały brązowe i czerwone płatki w błoto. Zerknęła z ukosa na Mersadiona, który siedział sztywno w siodle, jadąc obok niej. Do twarzy mu było z tymi bliznami. Przynajmniej przekonał się na własne

oczy, że wieśniacy wiedzą, jak wita się królową.

Promień słońca przebił się przez chmury i magiczny gejzer zapłonął wszystkimi kolorami tęczy, przyciągając uwagę Jennesty. W jej oczach pojawił się chytry błysk. Wypuściła wodze z rąk, konie zwolniły i poszły stępa.

Dopiero ich parskanie przywróciło ją do rzeczywistości. Dojeżdżała już do bramy, gdy oddział jeźdźców odważył się przeciąć jej drogę. Bez słowa wyjaśnienia ruszyli galopem, ledwie racząc ją zauważyć.

Za to z głębi osady podniosła się wrzawa, gdy ludzie dostrzegli nadjeżdżającą władczynię. Jennesta zmusiła się do uśmiechu i przejechała przez bramę, przywołując całą godność, na jaką mogła się w tej chwili zdobyć.

Na środku placyku znajdowała się błotnista sadzawka, obwiedziona niskim murkiem. Przed nią siedział na koniu mężczyzna. Sierść wierzchowca wyszczotkowano do połysku. W przeciwieństwie do rozradowanych tłumów, ten człowiek spoglądał na Jennestę z ponurą miną.

Rellston otrząsnął się z zadumy i uklonił nisko. Jennesta zdała sobie sprawę, że jego uśmiech jest równie fałszywy jak jej własny. Ale też Rellston lepiej od innych wiedział, jaką królowa cieszy się reputacją.

– Witaj – powiedział bez przekonania. – Dziękujemy za odsiecz. Przybyliście w samą porę.

Mersadion ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazał królową. Rellston natychmiast się zorientował, o co chodzi.

– Wasza Wysokość – dodał.

– Nie dziękuj – odparła Jennesta głosem jak zatruty miód. – Nie ma tu przypadkiem oddziału orków? Chciałabym... osobiście im podziękować.

– Był, wasza wysokość. Ale wyjechał.

– Cóż za rozczarowanie... – zasyczała królowa. – Powiedzieli może, dokąd się wybierają?

– Nie, wasza wysokość. Wyjechali w nocy.

Mersadion odsunął się na koniu, oczekując niepohamowanego wybuchu gniewu ze strony Jennesty. Ale wybuch nie nastąpił. Królowa wielkim wysiłkiem woli opanowała złość.

– A gdzie wasza najwyższa kapłanka? – spytała, cedząc słowa. – Dlaczego mnie nie wita?

Rellston wyprężył pierś.

– Kazała mi przekazać wyrazy wdzięczności, Wasza Wysokość. Sama jednak musiała... wyjechać. W ważnej sprawie.

Królowa powiodła dookoła mściwym wzrokiem. Z tłumu wynurzył się barczysty mężczyzna z małym chłopcem na ramionach. W przeciwieństwie do reszty idiotów, którzy gapili się na nią z nabożnym lękiem, chłopiec wcale się jej nie bał. Był śliczny, pełen wdzięku i tak pewny siebie, że musiał być dzieckiem jakiejś ogólnie szanowanej osobistości.

– Co to za urwis, którego ten człowiek niesie na barana? – spytała jadowitym tonem.

– Syn najwyższej kapłanki – odparł niechętnie Rellston. – Wasza Wysokość.

– Tak? Naprawdę?

Kapitanowi nie podobało się nagle, dziwnie lubieżne zainteresowanie królowej chłopcem. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy ujrzał, jak Jennesta posyła Aidanowi uśmiech godny kurtyzany.

W zagajniku u wylotu doliny siedział na koniu wysoki, żylasty mężczyzna. Mijali go przemykający tchórzliwie wśród drzew Jedowie, ale żaden go nie widział. Tak jak nie widzieli go nieliczni leniwi zwiadowcy, których Mersadion rozesłał po okolicy z zadaniem wyłapania niedobitków wrogiej armii.

Kasztanowe włosy mężczyzny lśniły w kapryśnych promieniach słońca, kiedy w zadumie obserwował triumfalne przybycie Jennesty do Cypla

Ruffeta.

Zawrócił śnieżnobiałego konia i zagłębił się w las.

ROZDZIAŁ 20



Bellston z obrzydzeniem patrzył, jak Jennesta ślini się na widok Aidana. Z obowiązku zaproponował jej gościnę w najmniej zniszczonej gospodzie przy placu, ale rozmowa się nie kleiła, a królowa nawet nie tknęła podanego przez gospodarza pucharu z miodem. Za to Aidan nie posiadał się ze szczęścia, że jest oczkiem w głowie królowej. Po jakimś czasie młody ozdrowieniec zmęczył się i zaczął ziewać. Jennesta spojrzała na niego lodowato.

– Nudzę cię?

– Nie, Wasza Wysokość. Jesteś piękna, pani.

Jennesta się rozpromieniła.

Aidan znów ziewnął.

– Proszę mu wybaczyć, Wasza Wysokość – wtrącił pojednawczo Rellston. – Dwa dni temu został ranny i nie odzyskał jeszcze sił. To były poważne obrażenia. Baliśmy się, że może nie przeżyć.

Zbyła go pogardliwym machnięciem ręki. Nie zniżyła się nawet do tego, żeby zapytać, jakim cudem chłopiec tak szybko wrócił do zdrowia. Właściwie, zdał sobie sprawę Rellston, przestała się interesować malcem, gdy tylko on przestał się na nią bocyć.

– Twój żołnierz chyba bezskutecznie poszukują przedmiotów, o których mówiłaś, pani – zauważył rozdrażniony. – Może zechcesz przyłączyć się do

naszej skromnej kolacji?

Jennesta spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby wyczołgał się z latryny.

– Nie sądzę – odparła wyniośle. Wstała od stołu tak gwałtownie, że odtrącone przez nią krzesło potoczyło się po podłodze. – Wrócę do mojej armii, jak na dobrego dowódcę przystało.

Rellston skłonił się kpiąco, ale uszło to jej uwagi. Gdy tylko jej rydwan zniknął mu z oczu, dał upust dręczącej go frustracji. Jeżeli będzie musiał, wymknie się potajemnie z Cypla. Zrobi wszystko, co będzie konieczne, ale nie zostawi najwyższej kapłanki pod opieką zaledwie garstki strażników.

Pod wieczór oddział około trzydziestu obszarpanych jeźdźców zwolnił. Mieli przed sobą łagodne podejście, na którym zmęczone konie nie były w stanie przyspieszyć.

Stryk spojrzał na leniwe, ołowiane wody ciągnącej się po prawej stronie Zatoki Calyparr. Poczuł w nozdrzach słoną bryzę. Niespełna kilometr dalej zaczynał się ocean Norantellia, ale w tej chwili zasłaniał go porośnięty krzewami pagórek. To zaś oznaczało, że od Drogan dzieliło ich jeszcze kilka godzin jazdy. Zaklął i zeskoczył z siodła, żeby dać odpocząć koniowi. Chwycił wodze i poprowadził zwierzę, kuląc się pod zimnym, zacinającym deszczem.

– Co to? – spytała szeptem Coilla, wskazując szybko poruszające się sylwetki przed nimi.

– Pewnie Jedowie – odparł Haskeer. – Co za pieprzona pogoda! Nic nie widać!

– Nie mają koni – zauważył Jup.

– I dobrze! Tak powinno być: dranie idą pieszo i mokną w deszczu, który sami ściągnęli nam na głowy. Gdybym mógł, wybiłbym ich do nogi.

– Nie mamy na to czasu – przypomniał znużonym tonem Stryk. Wspiął się na grzbiet wzgórza i znów dosiedli koni. Stępa zaczęli objeżdżać

wychodzącą na trakt skalną ostrogę.

Stryk gwałtownie ściągnął wodze. Drogą wlokło się ze dwudziestu żołnierzy Hobrowa, którzy jednak nie mieli najmniejszej ochoty walczyć. Z obnażonymi mieczami usunęli się w cień, w ociekające wodą zarośla. Orkowie zmusili konie do galopu.

Otoczone przez wrogów Rosomaki starały się nie zwalniać tempa. Im dalej się zapuszczały, tym częściej napotykały zdesperowanych nadzorców. Raz i drugi Jup, jadący przodem w roli zwiadowcy, kazał im się schować przed przemierzającymi trakt oddziałami orków; trudno było powiedzieć, czy są to podwładni Jennesty, czy kolejni dezercerzy.

Dogorywający dzień przeszedł w smutny, szary zmierzch, kiedy Stryk zatrzymał konia. Wszystko wskazywało na to, że uszli pogoni, a na północnym horyzoncie ciemną krechę rysował się las Drogan. Wodnisty księżyc wyjrzał nieśmiało zza chmur.

Woląc nie ryzykować rozpalania ognia – tym bardziej że znalezienie opału graniczyłoby z cudem – orkowie pokładli się spać w oczekiwaniu na środek nocy. Wkrótce w ciemnościach rozległo się donośne chrapanie. Od czasu do czasu dało się słyszeć głośnie plaśnięcie, kiedy któryś ze śpiących oganiał się od natrętnego insekta, ale poza owadami żadne zwierzęta nie niepokoili strażników.

Stryk nie mógł spać. Zszedł nad zatokę i usiadł w kucki, ciskając kamieniami do wody. Chlupotanie zagłuszyło kroki Coilli, toteż zorientował się, że jest przy nim, dopiero kiedy przykucnęła tuż obok, obejmując kolana ramionami.

– Co dalej? – zapytała. – Pojedziemy do Drogan i znów poprosimy Keppatawna o gościnę?

– Może... Nie wiem.

– Nie mamy wielkiego wyboru, skoro Jennesta zajmuje cały dół półwyspu.

– Ale też właśnie w Drogan najprędzej zacznijcie nas szukać. Na bogów!
Nie mam pojęcia, co powinniśmy zrobić.

Rzucony przez Coillę kamień plusnął w wodach zatoki.

– Co jest dla ciebie najważniejsze?

– Chcę przeżyć.

– A gwiazdy? Nie mają już dla ciebie znaczenia?

– Kto to może wiedzieć? Żałuję, że w ogóle zacząłem je zbierać. Stryk oparł się o omszały głaz. Dwa kamyczki równocześnie wpadły do wody. Po chwili Coilla odwróciła się do niego.

– O czym rozmawialiście z Kristą, kiedy ja buszowałam w świątyni?

– O niczym.

– Przez pół godziny? Nie wierzę.

– Powiedziała, że mogę być anomalią – przyznał niechętnie Stryk.

– Czym?

– W moim wypadku chodzi o orka, który wyczuwa przepływ magii.

Wyjął gwiazdy z sakiewki i zaczął je obracać w rękach.

– To wbrew naturze... Nie, przepraszam, zapomnij, że to powiedziałam.
Mówiłeś jej o snach?

– Nie musiałem. Wiedziała, że są jednym z... objawów? Cholera wie
czym.

– A nie przyszło ci do głowy, że masz je po krystalinie?

– Po kryształach? Myślałem o tym. Nawet przez jakiś czas w to wierzyłem.

Ale teraz wiem, że to nieprawda.

Coilla wróciła do poprzedniego tematu.

– Co robimy? – zapytała.

– Nie wiem.

Stryk dalej bawił się gwiazdami: trzy były sczepione w całość, dwie luźne. W końcu znudził się nimi i rozrzucił na trawie. Przez jakiś czas wpatrywali się w nie przy blasku księżyca. Nadal nie rozumieli, jak udało

sieje szczepić. Promienie trzymały się bez śladu łączenia, w sposób, który zdawał się sprzeczny z naturą. Całość sprawiała dziwaczne wrażenie, tak jakby jej obraz częściowo ginął w nieskończoności.

Stryk wziął gwiazdy do ręki i zaczął je do siebie dopasowywać. Prawie od razu coś szczęknięło głucho i instrumentarium z Cypla Ruffeta połączyło się z pozostałymi.

– Jak to zrobiłeś? – spytała z podziwem Coilla.

– Nie mam pojęcia – odparł. Wziął do ręki zieloną gwiazdę, zdobytą w Trójcy, i przymierzył ją do reszty.

– Pokaż, ja spróbuję – powiedziała po chwili Coilla i wyjęła mu je z dłoni. Ale też nie miała do nich szczęścia.

Wreszcie Stryk dał sobie spokój i schował instrumentaria do sakiewki.

– Wracajmy. Będą się o nas niepokoić.

Nie uszli nawet dziesięciu kroków, gdy dwie postacie zagroziły im drogę.

Micah Lekmann i Greever Aulay.

– To wam zaczyna wchodzić w nawyk – zauważyła Coilla.

– Pięknie... – stwierdził Lekmann, grożąc jej obnażonym mieczem. – Para zakochanych przyłapana na schadzce.

– Zamknij się, Micah – przerwał mu Aulay. – Po co tyle gadać, jeśli możemy zabić?

On też już miał broń w rękach. Czubek ostrza zataczał w powietrzu małe kółeczka.

Orkowie dobyli mieczy.

Na brzegu Zatoki Calyparr rozgorzały dwa pojedynki.

Lekmann zrobił zwód i ciął nisko, poniżej zasłony Stryka. Ork przeskoczył nad jego ostrzem i z półobrotu kopnął mężczyznę w kolano. Lekmann zachwiał się i omal nie stracił równowagi. Stryk ciął go w wygięte w łuk plecy, ale człowiek zdążył się zasłonić. Ostrza przeszorowały

po sobie, krzesząc fontannę iskier.

Coilla odskoczyła, widząc, że Aulay wyciąga coś spod płaszcza, a potem patrzyła zadziwiona, jak zdejmuje zaślepkę z kikuta i wstawia w to miejsce złowieszczo wyglądający nóż. Doskoczyła do niego, ale zdążył sparować jej cios długim sztyletem, który zniemacka pojawił się w jego ręce.

– Zabiję cię, suko.

– Przed czy po tym, jak stracisz drugie oko?

Czubek miecza Coilli o włos chybił policzka mężczyzny. Aulay skrzywił się z gniewu i zaatakował, ale potknął się na nierównym gruncie i upadł. Broń zahaczyła o kamień i złamała się u nasady. Coilla cięła prosto w wyciągniętą rękę. Bryznęła krew; nawet gruby materiał płaszcza nie był w stanie powstrzymać krwawienia.

Ryknął rozwścieczony, wstał i cofnął się. Wyjął z kikuta nóż i osadził w jego miejscu paskudnie wyglądający podwójny hak – w sam raz nadający się do rzeźni, żeby powiesić na nim zwierzęcą tuszę.

– Za Blaana! – krzyknął, wymachując hakiem.

Coilla uskoczyła i złapała go za rękę poniżej łokcia. Zaskoczony Aulay nie zareagował, kiedy odwróciła hak i wbiła mu go w brzuch.

– A to dla ciebie, śmieciu.

Obróciła hak w ranie. Na twarzy Aulaya malowało się niedowierzanie, kiedy życie powoli z niego wyciekało.

Stryk przez cały czas próbował zepchnąć Lekmanna nad wodę. Nierówne podłoże bardziej mu w tym przeszkadzało, niż pomagało, tym bardziej że był zbyt zmęczony, żeby pozwolić sobie na taneczne uniki. Ale kiedy stanęli na twardszym gruncie, poszedł na całość. Kiedy natarł na Lekmanna, jego miecz, zwielokrotniona smuga lodowatego blasku, rozbił gardę przeciwnika w drobny mak.

Lekmann odskoczył, żeby złapać oddech, ale Stryk miał dosyć tej zabawy. Skoczył naprzód, wolną ręką uderzając się w udo. Ten dźwięk

zdekoncentrował człowieka tylko na ułamek sekundy – ale to wystarczyło: miecz orka gładko wszedł między jego żebra.

Stryk zaparł się stopą o pierś mężczyzny i szarpnął broń. Ostrze wysunęło się z rany. Człowiek z pluskiem wpadł do wody. Włosy rozsypały się i otoczyły mu głowę jak korona. Zniknął Strykowi z oczu, unosząc się na wodzie twarzą w dół, niesiony prądem. Czarna plama sącząca się z jego ciała rosła w oczach.

Objęci w pół orkowie wrócili do swoich towarzyszy.

– Mam dość takich cichych spotkań – mruknęła Coilla.

Zbliżali się do zimnego, pogrążonego w ciemnościach obozowiska, gdy Stryk nagle pociągnął Coillę w zarośla. Zerwał się wiatr, który tłumił odgłosy lasu, ale Coilla nauczyła się ufać instynktowi dowódcy.

Chwilę później zaspani orkowie zostali otoczeni przez jeźdźców; wartownicy byli bezradni. Stryk uświadomił sobie, że dyscyplina uległa rozluźnieniu, ale chwilowo nie było to najważniejsze.

Obserwowali z ukrycia, jak Krista Galby stoi nad Rosomakami.

– Gdzie ono jest? – zapytała bez ogródek.

– Co gdzie jest? – burknął Haskeer.

– Tylko bez żartów! – warknął dowódca straży przybocznej kapłanki. Zsiadł z konia, cały czas trzymając miecz wymierzony w gardło orkowego sierżanta.

– Jarno... – powstrzymała go Krista. – Byli naszymi sojusznikami. Walczyliśmy z nimi ramię w ramię. A ten starzec uratował życie mojemu dziecku. – Załamała ręce. – Nie chcemy was skrzywdzić, ale zabraliście coś, co należy do nas. Coś, bez czego nasza wiara nie może istnieć.

Nikt jej nie odpowiedział. Nienaturalnie zimny wiatr owiewał polanę. Coilla i Stryk na osobności zmagali się z wyrzutami sumienia.

– Instrumentarium jest nam potrzebne.

Niezręczne milczenie przeciągało się.

Rellston nie wytrzymał. Kilka godzin wcześniej dogonił kapłankę ze swoimi ludźmi i teraz setka żołnierzy wyczekiwała jego rozkazu. Napięcie sięgało zenitu. Kapitan zsiadł z konia i stanął nad Jupem i Haskeerem.

– Wiedziałem, że nie powinniśmy się zatrzymywać – szepnął Stryk, ukryty w brunatnych od mrozu zaroślach.

Coilla ruchem głowy wskazała rozgrywającą się przed nimi scenę.

– Dlaczego twoja luba nie trzyma Rellstona na krótszej smyczy?

– Może krócej już się nie da. Chodź. Gdyby chcieli ich pozabijać, już by zaczęli. Porozmawiajmy z nimi, zanim Rellston pęknie.

Wyszli z gąszczu.

– Wyświadczyliście mi dwie przysługi – stwierdziła chłodno Krista na ich widok. – Ja teraz wyświadczę wam jedną. Oddajcie mi instrumentarium, a żołnierze odstąpią od wymierzenia wam kary za jego kradzież.

– A jeśli ja też ich potrzebuję? – zapytał Stryk i natychmiast tego pożałował.

– Ich? – powtórzyła Krista. – Macie więcej niż jedno?

Stryk próbował wyczytać coś z jej twarzy.

– Właśnie dlatego potrzebne nam było wasze, rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem – odezwał się Rellston. Podszedł bliżej i spojrzał Strykowi w oczy. – Jeżeli macie inne, nasze nie jest wam potrzebne. Oddajcie je natychmiast. – Czubek jego miecza dotknął tchawicy orka. – Wiedziałem, że nie można wam zaufać, orkowe ścierwa.

– Uspokój się! – upomniała go Krista. Ostrożnie odepchnęła jego miecz. – Jestem pewna, że dojdziemy do porozumienia.

– A ja nie – mruknął Rellston, z najwyższym trudem trzymając nerwy na wodzy.

Zewsząd dobiegały niepokojące odgłosy ludzi zsiadających z koni i dźwięk mieczy wysuwanych z pochew. Rosomaki, otoczone przez wrogich żołnierzy, również ostrożnie sięgnęły po broń.

– Nie bądź większym głupcem niż to konieczne, Stryku – ostrzegł Rellston. – Nie wygracie. Mamy przewagę liczebną. Oddaj nam instrumentarium albo cię do tego zmuszę.

– Czyżby? – prychnął Haskeer. – A masz jakąś armię?

– A żebyś wiedział, półgłówku! – odpowiedział ktoś za jego plecami.

Jeden z szeregowców, popchnięty przez żołnierza, krzyknął i odpowiedział kuksańcem. W całym obozie zaczęły się przepychanki.

– Przestańcie! – zawołała Krista. – Przestańcie!

– Spokój! – ryknął Stryk, ale szczęk broni prawie zagłuszył jego słowa. Podniósł głos: – Znacnie nas! Walczyliśmy u waszego boku! Naprawdę myślicie, że dacie nam radę?

Rellston zaklął, czym zasłużył sobie na karcące spojrzenie kapłanki.

– Spokojnie, chłopcy – powiedział. – Opuśćcie im na razie.

– Rosomaki, wycofać się! – zakomenderował Stryk.

Przez chwilę odsłaniał odwrót swoich żołnierzy. Miecz trzymał w luźno opuszczonej ręce, gotów zaatakować w każdej chwili.

Większość orków rozplynęła się w mrokach nocy, zanim jeden z ludzi zawołał:

– Uciekną nam! Na nich!

Zapanował chaos.

– Nie zabijajcie bez potrzeby! – krzyknął Stryk.

Orkowie byli odcięci od koni.

– Wynosimy się stąd! – zawołał jeszcze i zanurkował w zarośla, które miał za plecami.

Uchyłał się przed zwieszającymi się nisko gałęziami i ze wszystkich sił starał się nie nastąpić na żaden suchy patyk. Pomogło mu trochę to, że grunt był nasiąknięty wodą; gruba warstwa błota skutecznie tłumiała kroki. Wyteżył wszystkie zmysły i kierując się intuicją ruszył śladem swoich podwładnych.

Przerażało go to trochę – ale działało. Wkrótce wynurzył się pomiędzy drzew i stanął na skraju łąki. W słabym brzasku dostrzegł na posrebrzonej deszczem trawie ciemne ślady stóp. Przyspieszył kroku, wbiegł na niewielkie wzgórze i zobaczył następny zagajnik, w którym właśnie znikwały ostatnie Rosomaki.

Wpadł między drzewa.

– Tu przez jakiś czas będziemy bezpieczni – wydyszał.

– Taaak? – mruknął z powątpiewaniem Haskeer, ukryty w cętkowanym cieniu dosłownie na wyciągnięcie ręki od niego. – No to sobie popatrz.

Po drugiej stronie zagajnika chlupotały fale Zatoki Calyparr, ciemnoszare w sączącym się przez gęste chmury świetle przedświt. Stryk rozejrzał się dookoła. Woda opływała zagajnik z trzech stron. Tymczasem Mnogowie już brnęli przez łąkę w ich kierunku. Rellston prowadził.

– I co teraz zrobimy? – spytał zdesperowany Haskeer. – Popłyniemy?

– Może jak otworzysz szerzej jadaczkę, to dasz radę wypić Calyparr – zakpił Jup.

Niepomni deptającej im po piętach armii z Cypla, krasnolud i ork spojrzeli na siebie spode łba.

Cierpliwość Coilli się wyczerpała.

– Wszystko przez ciebie i te twoje zakichane gwiazdy! – wrzasnęła i cięciem noża rozcięła sakiewkę wiszącą u pasa Stryka.

Sakiewka się otworzyła. Stryk patrzył, jak opatrzone pięcioma promieniami instrumentarium koziołkuje w powietrzu, jakby w zwolnionym tempie. Jedną rękę poniewczasie zacisnął na wylocie sakiewki i rzucił się na ziemię – ale było już za późno: cztery połączone gwiazdy też zdążyły wypaść. Musnął je czubkami palców i patrzył, jak toczą się wąską ścieżką wśród drzew.

Mnogowie wpadli do zagajnika. Zielona gwiazda podskoczyła do góry na jakimś kamienistym występie gruntu.

Żaden z orków nie zwrócił uwagi na postać w przemoczonym ubraniu, która na obrzeżu zagajnika wyczołgała się z wody.

Stryk wyciągnął ręce po zieloną gwiazdę, ale zamiast ją złapać, potrącił ją tylko i pchnął na kupkę z pozostałymi. Zgarnął cały swój skarb i przycisnął go do piersi.

Bardziej poczuł, niż usłyszał, jak instrumentaria się połączyły. Układanka była gotowa.

Rzeczywistość zrobiła krok w bok.

ROZDZIAŁ 21



Czerń.

Przenikliwie zimno. Żołądek Stryka zacisnął się, jak przy spadaniu z dużej wysokości. W uszach dzwoniło mu ogłuszająco. Wyciągnął ręce, żeby powstrzymać upadek, ale nie było się czego chwycić.

Pod stopami też miał pustkę.

Nicość.

Nagle wylądował.

Przeturlał się i zanurzył ręce w czymś zimnym. Wstrząs go otrzeźwił.

Śnieg.

Śnieg, a nad głową pokrywa chmur tak jasnych, że prawie nie do odróżnienia od bieli pod stopami. Chwilę wcześniej był środek nocy, teraz – środek dnia. Nisko nad północnym horyzontem wisiał blady dysk, który musiał być tarczą słońca.

Poczuł pierwsze ukłucie paniki.

Krzyknął, ale nie usłyszał swojego głosu. Na chwilę przeraził się, że ogłuchł, ale nagle słuch mu wrócił. Lodowaty wiatr skowyczał i szarpał go za ubranie. Musiał zmrużyć oczy, żeby dostrzec inne skulone postacie. Inne Rosomaki.

Niepewnie wstał i zachwiał się na nogach, gdy huragan uderzył w niego z pełną mocą. Zgarnął bezcenne gwiazdy, które zdążyły znów wysliznąć mu

się z rąk, i brnąc w śniegu, podszedł do Jupa i Coilli, którzy właśnie próbowali pozbiierać się z ziemi. Objęli się we troje i zaczęli mówić jedno przez drugie. „Gdzie jesteśmy? Co z resztą?” – tak brzmiały najczęściej powtarzające się pytania.

Wkrótce zaczęli się schodzić pozostali członkowie oddziału. Zebrali się w pobliskim zagłębieniu terenu, które dawało minimalną ochronę przed wiatrem. Tumany śniegu przewalały im się nad głowami. Musieli krzyczeć, żeby się porozumieć.

– Co się dzieje, do nagłej cholery? – ryknął Haskeer.

– Chyba jesteśmy na lodowcu – odparł Stryk, szcękając zębami.

– Że co?! Jak to?

– Darujcie sobie tę filozoficzną dyskusję – powiedziała Coilla, zacierając ręce z zimna. – I zastanówcie się, co zrobić, żeby nie zamarznąć.

Uciekając przed Jedami, niektórzy orkowie zdążyli zabrać derki i plecaki. Jednak większość, tak jak Stryk i Coilla, musieli przede wszystkim odpierać ataki ludzi. Koców i ciepłych ubrań nie mogło starczyć dla wszystkich.

– Jup? – wykrztusił Stryk. Wargi drętwiały mu z zimna. – Dasz radę znaleźć jakiś punkt obserwacyjny? Mógłbyś się trochę rozejrzeć.

– Już się robi, szefie.

Zataczając się pod naporem wiatru, krasnolud zniknął w zadymce.

Tuląc się do siebie dla zachowania każdej odrobiny ciepła, orkowie próbowali zrozumieć, co się właściwie stało.

– Wszystko przez te przekłete gwiazdy – mruknęła Coilla.

– Jeśli tak, to ocaliły nas przed pocięciem na plasterki – zauważył Alfray.

– Tylko po to, żebyśmy mogli sobie tutaj zamarznąć. – Haskeer nie dał się łatwo przekonać. – Gdziekolwiek to „tutaj” jest.

– To musi być ten lodowiec na dalekiej północy – odparł Stryk. – Słońce

jest prawie dokładnie na południe stąd. Chociaż trudno powiedzieć, czy mamy ranek, czy wieczór.

Zsiniąłymi palcami obmacał sakiewkę – i przypomniał sobie, że Coilla mu ją rozcięła. Schował gwiazdy za pazuchę, modląc się, żeby nie przewrócić się na nie, jeśli się potknie. Na szczęście znalazł też zatknięte za pas rękawice.

– Niedługo się przekonamy – stwierdził Alfray. – O ile dożyjemy. – Przyszła mu do głowy niewesoła myśl. – A może to zemsta Jennesty? Taka sztuczka byłaby całkiem w jej stylu...

– Nie. – Zdecydowany ton głosu Coilli źle się komponował z wstrząsającymi nią dreszczami. – Gdyby potrafiła zrobić coś takiego, mogłaby nas po prostu przenieść do swojego obozu i dorwać w swoje ręce. Nas i gwiazdy.

– Nie ma sensu strzepić języka – zakończył dyskusję Stryk. Otulił się futrzaną kurtką, co w tych warunkach stanowiło żalostną pociechę. – I tak nic nie wiemy. Ile mamy zapasów?

Krótkie przeszukanie plecaków pozwoliło odkryć kilka pasków suszonego mięsa, pokruszone suchary i dwie butelki alkoholu – niezbyt wiele dla dwudziestu czworga wygłodniałych żołnierzy.

Starając się nie dać poznać po sobie zawodu, Stryk wybrał jednego z szeregowców.

– Calthmonie, weź koc i idź zobacz, co z Jupem.

Szeregowy niechętnie posłuchał rozkazu i pobrnął przez zasy.

Kiedy przeszedł przez skraj zagłębienia, omal się nie przewrócił pod naporem wichury, ale wkrótce wrócił, i to razem z Jupem. Krasnolud przykucnął, roztarł dłonie i wcisnął je pod pachy.

– Wszędzie jest masa szczelin – wybełkotał, szcękając zębami. – Są na nich mostki śnieżne, ale niektóre na pewno nie udźwigną orka. Za to wydaje mi się, że widziałem coś w rodzaju drogi. Tam. – Zdaniem Stryka,

Jup wskazał kierunek w przybliżeniu południowo-wschodni. – Poza tym jesteśmy dość wysoko.

Para z oddechu Jupa skraplała się natychmiast i zamarzała mu na brodzie.

– Coś jeszcze?

– Nic więcej nie widziałem. Ani dymu, ani śladu domów. Wydawało mi się, że coś się porusza, ale bardzo daleko.

– Jeśli ma choć resztki mózgu, to na twój widok i tak by uciekło – powiedział Haskeer.

Jup nie podjął wyzwania, co dobitnie świadczyło o tym, jak bardzo ziąb dał mu się we znaki.

– W porządku – stwierdził Stryk. – Przede wszystkim musimy zejść z tego cholernego lodowca i znaleźć jakieś schronienie.

Ruszyli dwójkami i trójkami. Jup przecierał szlak.

Po niedługim czasie wszechobecna, oślepiająca biel sprawiła, że przed oczami zaczęły im latać plamy, ale potykając się i przekopując przez zaspy, w których schowałyby się dorosły ork, posuwali się na południowy wschód. Trwało to wieki, ale w końcu stanęli na skraju urwiska, z którego roztaczał się jaki taki widok.

Z tyłu, na północy, wznosił się lodowiec, masywny i złowróźbny. Ciągnął się od horyzontu po horyzont, niczym gigantyczny pomnik głupoty ludzi, którzy zabili magię Maras-Dantii. Mimo znacznej odległości zdawał się piętrzyć nad nimi złowrogo, gotów w każdej chwili ich zmiażdżyć. Na ich oczach olbrzymia bryła lodu odłamała się i runęła w dół z odgłosem przypominającym grzmot. Pod niebo buchnęły tumany śniegu. Najcięższe odłamki toczyły się i koziółkowały przez dobre pół kilometra po upadku.

Orkowie zaczęli w pośpiechu schodzić po południowym urwisku lodowca. Ściana nie była bynajmniej litą połącią zmrożonego śniegu – w jednym miejscu w lodzie utkwiał ogromnych rozmiarów granitowy głaz.

Można było na nim stanąć, ale jego powierzchnia okazała się śliska od szronu. Orkowie zsunęli się po nim na lodowy miniplaskowyż, zawieszony najwyżej pięćdziesiąt metrów nad zmrożoną tundrą.

Tam przystanęli dla złapania oddechu, osłonięci od przenikliwego wiatru z północy. Głaz zasłaniał także widok na spiętrzone masy lodu, za co również byli mu wdzięczni.

W dole, w zagłębieniu między dwoma napierającymi na niziny jezorami lodowca ziemia była płaska, jakby wyrównana przez masy lodu, które się po niej przewaliły. Podłoże, o szarej barwie porostów, było poprzecinane ciemnymi warkoczami rozgałęzionych strumieni, które z tej odległości wydawały się cienkie jak niteczki. Na widnokregu czarną krechą rysował się najprawdopodobniej las; słońce świeciło oślepiająco, więc trudno było mieć pewność.

– Jeżeli uda nam się tam zejść, może znajdziemy jakąś kryjówkę. – Stryk zaklaskał, żeby ożywić krążenie w przemarzniętych dłoniach. – I opał. Albo coś innego.

– „Jeżeli” to bardzo dobre słowo – burknął Haskeer. – Jestem orkiem, a nie jakąś zawszoną kozicą.

Zejście z urwiska wcale nie było łatwe: co chwila natrafiali na ślepy zaułek – przepaść nie do pokonania.

– Czy to tylko mnie się tak wydaje? – spytała Coilla, kiedy stanęli nad kolejną otchłanią. – Czy też naprawdę ktoś nas śledzi?

– Też mam takie wrażenie – przyznał Jup, drapiąc się po karku.

Stryk również przytaknął.

– Może to jeden z tych wstrętnych śniegoludów – spróbowała zażartować Coilla.

– Śniegoludy to legenda – stwierdził krótko Alfray. – Co innego śnieżne pantery, tych lepiej się wystrzegać. Mają zęby jak sztylety.

– Dzięki. To właśnie chciałam usłyszeć.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Widzę, że talenty zwiadowcze Jupa jak zwykle nie zawodzą – poskarżył się Haskeer, kiedy wycofywali się znad następnego żlebu.

Znajdowali się na wąskiej ścieżce, w dodatku kilku orków jednocześnie próbowało zmienić kierunek marszu, ale Jup zdołał przycisnąć się do skalnej ściany i przepuścić paru z nich, aż Haskeer go dogonił. Wtedy krasnolud złapał go za gardło.

– Może sam spróbujesz, śmieciu?

Haskeer strząsnął jego rękę.

– Ślepiec na ochwaconym koniu lepiej by sobie poradził.

– No to pokaż, co potrafisz.

Haskeer przejął prowadzenie i ruszyli dalej. Zejście na jałową równinę przeciągało się w nieskończoność. W pewnej chwili jeden z szeregowców pośliznął się, a od upadku uratował go towarzysz, który w porę złapał orka za ubranie. Od tej pory szli uczepieni nawzajem swoich kurtek.

Słońce toczyło się nisko po niebie, zamiast wznosić się lub opadać z zenitu. Nie miało znaczenia, czy marsz pochłonał im pół dnia, czy cały. Jedno było pewne: zbliżała się noc, a wraz z nią nadciągały chmury. Przesłoniły słońce i pędząc po niebie, skróciły zmierzch. Sypnęło z nich drobnym, kłującym śniegiem.

– Tego nam jeszcze brakowało – westchnął Jup.

W końcu zeszli na równinę. Haskeer pokonał ostatnie półtora metra jednym skokiem, wylądował ciężko i stęknął z wysiłku. Niedługo potem wszyscy znaleźli się na ziemi, kuląc się w zagłębieniu lodowca w płonnej nadziei, że osłoni ich od wiatru.

– Widzieliście? – odezwał się Jup. – Tam! Światło!

Wyciągniętą ręką wskazywał na południe, w stronę końca lodowcowego jezora.

– Nic nie widzę – odparł Haskeer. – Pewnie ci się zdawało.

– Nic mi się nie zdawało – nadął się krasnolud. – Widziałem światło.
Stryk rozdzielił ich, zanim doszło do bójki.

– Może to był jakiś odbłask? Zresztą nie zaszkodzi sprawdzić. Nie podoba mi się nocleg w takiej okolicy pod gołym niebem. Poświęćmy na to pół godziny. Chciałbym, żebyśmy przed zmrokiem rozbili obóz.

Lodowiec wydał z siebie potężny jęk i blok lodu wielkości domu mieszkalnego runął prosto na nich. Rozbiegli się po tundrze, ślizgając się i potykając na zmrożonej ziemi. Dopiero znalazłszy się poza zasięgiem odłamków, zatrzymali się zdyszani. Alfray biegł z trudem i wyraźnie został z tyłu.

– No, jesteśmy bezpieczni – odsapnął Haskeer.

– Jeszcze nie – odpowiedział mu Alfray. – Patrzcie.

Podążyli wzrokiem za jego wyciągniętą ręką: w ich stronę pędziła sfora zwierząt wielkości lwa. Miały białe futra, przez co w zapadającym zmierzchu były prawie niewidoczne.

– Ustawić szyk! – rozkazał Stryk i pobiegł na spotkanie Alfraya.

Medyk się odwrócił. Na taki widok każdemu mogły zadrzeć nogi: pięć potworów o kłach jak kościane szable było tuż, tuż.

Stryk wrzasnął głośno i zakreślił młynka mieczem. Pierwsza pantera spłoszyła się i chybiła zdobycz w wyskoku. Przeturlała się, wbiła pazury w grunt i stanęła na nogi.

Nie odrywając od niej wzroku, Stryk zawołał:

– Tędy!

Na więcej nie starczyło mu czasu, ponieważ dwie pantery zaczęły zataczać wokół niego koła, czekając na chwilę dekoncentracji. Pozostałe rozbiegły się, szukając ofiary wśród pozostałych członków oddziału.

Stryk i Alfray nie zdążyli się cofnąć, bo jedno ze zwierząt sprytnie zaszło ich od tyłu. Mniejsza pantera wykonała pozorowany atak, odwracając uwagę orków, a dominujący samiec znów skoczył na ofiarę.

Stryk w ostatniej chwili uniknął ciosu morderczych pazurów i zasłonił się mieczem. Z przedniej łapy pantery trysnęła krew i zwierzę cofnęło się ze wściekłym rykiem. Przez chwilę pantery krążyły tuż poza zasięgiem mieczy.

Coilla spędziła wszystkich orków w jak najciaśniejszą gromadę. Trzy pantery krążyły wokół nich złowrogo. Ustępowały przed zjeżonymi jak kolce klingami, ale też nie pozwalały przebić się do osamotnionych Stryka i Alfraya.

Przywódca stada rzucił się na medyka. Tym razem zahaczył pazurami o rękaw kurtki i przewrócił Alfraya. Na szczęście Stryk zareagował błyskawicznie i czubkiem miecza zranił zwierzę w bok. Krwawa krecha przecięła kremowe futro. Pantera odskoczyła.

Stryk zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię; reszta orków była zbyt daleko, żeby im pomóc.

– Wszystko w porządku, weteranie? – zapytał Alfraya.

– Pewnie. Ale dość mam już odgrywania weterana. Zajmij je na chwilę, dobrze?

Nie było czasu na dyskusje. Pantery co chwila szarpały, doskakiwały, pozorowały ataki, prowadząc śmiertelną grę. Stryk zdawał sobie sprawę, że nie będzie mógł opierać się w nieskończoność, ale bał się zaryzykować i choćby zerknąć na Alfraya.

Tymczasem medyk, klnąc w żywy kamień sztywne z zimna palce, mocował się ze sprzączkami swojej zielarskiej torby. W końcu zdołał wygrzebać z niej okazałą kamienną butlę. Wylał odrobinę jej zawartości na ziemię i w ostatniej chwili odskoczył. Z głośnym puf! ze śniegu buchnął turkusowy płomień. Zdezorientowane koty cofnęły się o parę kroków.

– Co to było? – wysapał Stryk.

Alfray nie odpowiedział. Nadział na miecz zwój bandaży, zanurzył go w wydzielających ostrą woń płomieniami i szybkim ruchem nadgarstka posłał

ognistą kulę w powietrze. Spadła prosto na grzbiet młodszej pantery. Ogień rozlał się po futrze i szybko dosięgnął ciała.

W jednej chwili cała pantera stanęła w płomieniach. Wydała z siebie przerażający skowyt i popędziła na oślep przez ciemniejącą równinę. Niezwykły, błękitny płomień zmniejszył się i zgasł w kałuży u stóp Alfraya.

Drugi kot ostrożnie podkraść się bliżej i skoczył na przykucniętego kaprała. Stryk schylił się, wystawiając miecz do góry, a kiedy zwierzę mijalo go w locie, pchnął z całej siły. Ostre jak brzytwa ostrze wgryzło się w brzuch bestii. Cuchnące wnętrzności spłynęły na orka. Pospiesznie przetarł oczy rękawem i zdążył zobaczyć, jak przywódca sfory pada bezwładnie za jego plecami.

Odetchnął głęboko – i zakrzuszył się smrodem zwierzęcych trzewi.

Alfray stanął po nawietrznej.

– Dzięki – wykrztusił.

– Możesz to powtórzyć?

Alfray potrząsnął butelką. Zachlupało.

– Raz, może dwa. Nie więcej.

– No to do roboty.

Nie mając pojęcia, że wybawienie zbliża się wielkimi krokami, Coilla wyciągnęła rękę i wyrwała szeregowcowi miecz z ręki.

– Daj mi go!

Odsunęła się od zбитych w gromadę orków i rzuciła mieczem w najbliższą panterę. Ostrze przeszło jej kręgosłup. Wielki kot przez chwilę próbował biec na przednich łapach, zanim zdał sobie sprawę, że tylne ma sparaliżowane. Orczyca zaszła go od tyłu i pchnięciem swojej broni przeszła mu kark. Krew trysnęła na śnieg w rytmie zamierającego serca.

Zostały jeszcze dwie. Stryk osłaniał Alfraya, który ponownie zmieszał ognistą miksturę. Udało im się pozbyć jeszcze jednego drapieżnika, ale resztką płynu, która pozostała po tej próbie, nie chciała się już zapalić.

Ostatnia pantera spłoszyła się i odskakując od płonących zwłok swojego towarzysza, wylądowała prawie na piersi Stryka. Nie zdążyła nawet pochylić kościstej głowy, wystawiając gardło na cios.

Nadziała się na miecz, który pod wpływem impetu uderzenia wszedł w jej ciało aż po rękojeść. Monstrualne zęby kłapnęły tuż przed twarzą Stryka i pantera ze zdziwieniem malującym się w zielonych ślepiach osunęła się na ziemię. Spieniona posoka płynęła z jej rozharatanej szyi.

Padając, wyrwała Strykowi miecz z ręki. Ork zaklął i cofnął się, szukając po omacku noża przy pasie, ale wszystkie drapieżniki były już martwe. Usiadł na tym, w którego wbił miecz i powiedział zmęczonym głosem:

– Trzeba oprawić te cholerstwa i wziąć futra. Mogą się nam przydać.

Północny zmierzch przeciągał się w nieskończoność. Zadyмка się skończyła i nad lodowcem zabłyśły gwiazdy. Kiedy wzeszedł księżyc, przy jego blasku orkowie cofnęli się do zagłębienia w czole ładolodu.

Idący przodem Jup zatrzymał się nagle.

– Widzicie?! – wychrypiał. – Mówiłem, że widziałem światło!

Przed nimi wznosił się olbrzymi lodowy pałac.

Zbliżając się do budowli, coraz bardziej zwalniali kroku, oszołomieni jej ogromem.

Pałac był gigantyczny. Jego smukłe iglice lśniły w świetle księżyca, a wobec doskonałej bieli ścian wznoszący się za nim lodowiec wydawał się przybrudzony. Łuki oporowe wdzięcznymi krzywiznami przecinały front budowli. W ciemnych niszach stały posągi, przysypane śniegiem, który uniemożliwiał rozpoznanie ich kształtów.

Można by pomyśleć, że pałac jest tylko widmowym ideałem piękna, gdyby nie migoczące w oknach wież światełka, niewiele różniące się od gwiazd. Odbijały się żółtym, migotliwym blaskiem w łukowato zakończonych szybach.

– Gdybyśmy przyszli tu za dnia, moglibyśmy go nie zauważyć – szepnęła Coilla, wpatrując się w cudowną budowlę.

– A teraz, skoro już go zauważyliśmy, wejdźmy do środka – zaproponował Jup. – Jaja mi zaraz odpadną na tym wietrze.

Orkowie zbliżyli się trochę. Jup ostrożnym zygzakiem podszedł najbliżej, ale nigdzie nie było widać straży. Przez ogromną otwartą bramę orkowie – wyglądali przy niej jak karzełki – zakradli się na dziedziniec.

Na środku stała zamarznięta fontanna. Otaczające ją zasy okazały się przysypanymi śniegiem drzewami, które nie wytrzymały morderczego mrozu i popękały z zimna.

– Przed nadejściem lodowca musiało tu być przepięknie – rozmarzyła się Coilla.

– No... – przytaknął Haskeer. – Zanim ludzie wszystko spieprzyli. Wicie, jak wejść do środka?

Nie wiedzieli. Jup przewodził poszukiwaniom, ale nikomu nie udało się znaleźć wejścia.

– Hej! – zawołał niespodziewanie Haskeer. – Jest tam kto?!

Jego głos odbił się echem od murów, z dachu zsunęła się mała lawinka, ale nikt nie odpowiedział.

Gwałtowny podmuch wiatru sypnął im śniegiem w twarze. Biały całun okrył wszystko dookoła i przesłonił im widok.

Zależli się w samym sercu burzy śnieżnej.

Jennesta zaklęła i odsunęła się od beczki tężejącej krwi. Zakłęcie nie zadziało. Gonitwa myśli nie pozwalała się jej skupić.

Podejrzewała, że najwyższa kapłanka z Cypla Ruffeta ruszyła w pościg za Rosomakami, choć nie rozumiała powodów jej pośpiechu. Ale taki właśnie musiał być powód jej nieobecności na królewskiej audiencji.

Jakie to miało zresztą znaczenie? Niech się kobieta zmęczy gorączkową pogonią. Na razie Jennesta potrzebowała informacji.

Że też ta krew w balii musiała tak szybko się ścieć! Widziała w niej tylko bezkresną biel.

Pstryknęła palcami i kulący się w pobliżu sługus podał jej kielich źródlanej wody. Z westchnieniem wróciła do przerwane go zajęcia.

W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że i ta próba się nie powiodła – ale w tej samej chwili coś usłyszała. Głos. Kobięcy, wysoki, zawodzący monotonnie.

Sanara znów mówiła do siebie.

Jennesta nachyliła się nad beczką. Obraz się poszerzył.

Sanara wstała, częściowo zasłaniając okno, i Jennesta zrozumiała, co było nie tak; szukała zbyt wysoko i z góry widziała tylko lodowe pustkowie. Pustkowie i śnieg. Coś – prawdopodobnie jakieś zaburzenie w eterze – nie pozwalało jej zogniskować obrazu. Teraz przeniosła ostrość niżej i spojrzała na twarz siostry.

Już chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Nagle straciła zainteresowanie Sanarą, spojrzała w okno za jej plecami i w rozciągający się za nim mrok. Coś się w nim poruszało. Coś, co przyciągało ją w niewytłumaczalny sposób.

Wśród tańczących płatów śniegu dostrzegła Rosomaki, skulone w kącie zaśnieżonego dziedzińca. Niektórzy mieli zakrwawione ubrania. Na widok krwi pociekła jej ślinka, ale starała się o tym nie myśleć. Nie mogła sobie teraz pozwolić nawet na moment dekoncentracji.

Wysłała esencję swojej istoty w głąb skłębionej bieli.

Skąd oni się tam wzięli? – zapytała się w duchu. Na pewno...

Otrząsnęła się z zamyślenia. To nie miało znaczenia. Najważniejsze, że wiedziała już, gdzie ich szukać.

Jakiś kilometr od jedwabnego namiotu, w którym Jennesta odprawiała nekromanckie rytuały nad krwią zamordowanych Jedów, Krista Galby w eskorcie zmęczonej straży przybocznej wjeżdżała do Cypla Ruffeta.

Zapadała noc. Światło pochodni rozszczepiało się na kropelkach deszczu, tworząc świetliste kule.

Na widok perłowego gejzeru magii kapłanka poczuła wyrzuty sumienia, ale pocieszyła się, że rano wznowi modły. A na razie chciała zobaczyć Aidana, wykąpać się i położyć spać.

Pożegnała się z Rellstonem i udała do domu. Jarno, dowódca straży, odprowadził ją do samych drzwi. Weszła do ogródka.

Zamarła. Coś ścisnęło ją w żołądku. O tej porze w domu powinno się było palić światło, z komina powinien snuć się dym, a ze środka należało się spodziewać smakowitych woni przyrządzanej przez Merrilis kolacji. Powinna też słyszeć głosik Aidana, śpiewającego lub przekomarzającego się z dobroduszną nianią.

Niczego nie słyszała. W domu było ciemno.

– Kiedy spotkam Merrilis, powiem jej, co o tym myślę – postanowiła. – Jak mogła dopuścić do tego, żeby ogień wygasł?

Przygotowana na najgorsze, stanęła przed drzwiami. Wcale nie czuła się jak kapłanka. Była przede wszystkim przerażoną matką.

Leciutko pchnięte drzwi otworzyły się bezszelestnie. Odkąd dom przestał pełnić funkcję szpitala – pacjenci przenieśli się gdzie indziej albo pomarli – wydawał się podwójnie pusty. Szła od pokoju do pokoju, nawołując:

– Aidan? Merrilis?

Ale odpowiadało jej tylko echo. Palenisko było zimne, a dom pusty.

Co się mogło stać? Przecież gdyby Merri lis wyszła tylko na chwilę, nie zabierałaby ze sobą Aidana. A może to jemu coś się przytrafiło? Może miał nawrót choroby? Może... umarł? Przed oczami stanęło jej ciało dziecka, wystawione w starej, drewnianej świątyni, która po dziś dzień służyła mieszkańcom. Wyobrazila sobie jego woskową skórę, świece, blask płomienia na czarnych włosach chłopca...

Nie myśląc już racjonalnie, wybiegła na ulicę i zaczęła się dobijać do drzwi sąsiadów. Ich dom również był pusty.

Gorące łzy ciekły jej po policzkach, kiedy biegła dalej, wpytując przechodniów:

– Nie widzieliście mojego syna? Nie widzieliście Aidana?

Nikt go nie widział.

ROZDZIAŁ 22



Orkowie skulili się pod stertą koców i pokrytych zakrzepłą krwią lamparcich skór. Przycupnęli w kącie dziedzińca, gdzie wiatr był mniej dokuczliwy. Z obu stron pod ścianami formowały się zaspasy, śnieg wirował w powietrzu, ograniczając widoczność do pół metra.

Kiedy zawieja na chwilę przycichła, Stryk ostrożnie wystawił nos spod koca. Chmury się rozstały i w górze zamigotały gwiazdy.

– Jup? Weź dwóch szeregowców i poszukajcie wejścia. Nie możemy tu siedzieć całą noc, bo zamarzniemy na kość.

– No właśnie – dodał Haskeer. – Pokaż, że jesteś coś wart.

– Brawo, Haskeer: pójdziesz z nimi. A teraz zamknąć ryje i jazda! Zanim znów się rozpada.

Sierzanci wybrali dwóch wysokich szeregowców i zaczęli brnąć przez sięgającą połowy ud biel. Reszta Rosomaków zagrzebała się pod kocami. Ich oddechy mieszały się w mroźnym powietrzu. Orkowie byli wykończeni i mogli już tylko bezradnie łamać sobiegłowy nad tym, kto zbudował takie zamczysko na pustkowiu. Coilla zapewniała, że twórca budowli, której piękno wprost zapiera dech w piersiach, musi mieć łagodną naturę, ale reszta oddziału zgodnie wyśmiała jej przekonanie.

Po jakimś czasie oprócz zawodzenia wiatru usłyszeli wreszcie stłumione przekleństwa. Stryk wyjrzał spod koca.

– No, wrócili. Znaleźliście coś?!

– Tak! – odkrzyknął Haskeer. – Z tyłu są drzwi. Nie znaleźlibyśmy ich, gdyby w środku nie świeciło się światło. Zostawiliśmy szeregowców, żeby je otworzyli. Nie wiem, dokąd prowadzą, ale na pewno będzie tam zaciszniej niż tutaj.

Poszturchując się i depcząc sobie nawzajem po nogach, orkowie dźwignęli się z trudem; ci, którzy mieli więcej szczęścia, owinęli się kocami lub skórami panter i dziwaczna, milcząca procesja ruszyła po odcisniętych w śniegu śladach. Na dziedzińcu panowała nienaturalna cisza.

Trzymając się płaskiego terenu nad stromo opadającym skrajem fosy, dotarli do miejsca, w którym lodowiec napierał na zamek. Kiedy idący przodem Jup skręcił za załom muru, wszyscy dostrzegli szczelinę w lodzie. Z jej środka sączyła się łagodna żółta poświata.

– Myślicie, że tam jest bezpiecznie? – spytał Alfray. Miał świeżo w pamięci paniczną próbę ucieczki przed lawiną.

– Jak w domu – zapewnił go Haskeer. – Ale jeśli masz na oku coś lepszego, to wal śmiało.

Zagłębili się w szczelinę, skąd dobiegały odgłosy kucia i przekleństwa. Za następnym zakrętem natknęli się na Ganta i Liffina, którzy mieczami skuwali lód pokrywający łukowato zwieńczone drzwi. Chwilę później z tuzin orków wziął się do roboty. W zamkniętej przestrzeni hałas był wprost ogłuszający. Z góry posypały się sople i bryły zmrożonego śniegu.

– Stop! – krzyknął Stryk, kiedy jeden z lodowych sztyletów o centymetry chybił jego głowę. – To idiotyzm. Pozabijamy się, zanim wejdziemy do środka. – Przywołał do siebie Alfraya. – Udałoby ci się jeszcze coś podpalić tą twoją miksturą?

– Może i tak. – Medyk sięgnął do torby. – To olejek, który dostałem od uzdrowiciela Keppatawna. Ostrzegał, żeby nie mieszać go z wodą.

– Teraz już wiemy dlaczego. Uwaga! Przygotujcie wszystko, co może

się zapalić i jest w miarę suche.

Rosomaki zaczęły grzebać w plecakach. Stryk wyznaczył dwóch szeregowców do darcia bezcennych bandaży Alfraya i wiekowych koszul. Wkrótce strzępy materiału i zebrane od wszystkich kawałki hubki utworzyły spory stosik przed drzwiami.

Kapral odwrócił do góry nogami butlę z olejkiem, a Stryk stopił trochę śniegu w dłoniach. Kiedy pierwsze krople spadły na stos podpałki, pojawiły się wielobarwne płomyki. Wkrótce ogień ogarnął całą stertę. Buchnęły kłęby gęstego dymu. Stojący najbliżej drzwi orkowie usiłowali się cofnąć, żeby się nie podusić, ci z tyłu zaś zaczęli przeć naprzód, żeby się ogrzać. Wywiązało się małe zamieszanie.

Olbrzymi blok lodu zaczął się niebezpiecznie szybko osuwać wprost na ich głowy. Rosomaki zgodnie czmychnęły za załom szczeliny. Z przeraźliwym trzaskiem i zgrzytem lodowa gruda runęła na ziemię przed drzwiami. Odłamki śmignęły w powietrzu. W końcu hałas ucichł i orkowie ostrożnie podeszli bliżej.

Zamarli.

Olbrzymie, zaokrąglone ku górze skrzydła drzwi wyglądały przepięknie. Wykonano je z materiału przypominającego matowe szkło inkrustowane złotem we wzór wijących się pnączy. Ciepłe światło prześwietlało je łagodnie. Mistrzowska robota sprawiała, że kwiaty i owoce wyglądały jak prawdziwe, trójwymiarowe, chociaż kiedy Stryk ich dotknął, okazały się płaskie jak reszta drzwi.

Gładził jeszcze palcami jedwabistą powierzchnię, gdy drzwi otworzyły się bezszelestnie. Orkowie z nabożnym lękiem ominęli stertę mokrego popiołu i przeszli przez próg.

Rozglądali się z podziwem, nie mogąc dobrać z siebie głosu. Znaleźli się w olbrzymiej sali, której wysklepiony sufit wznosił się tak wysoko, że wzrok ledwie go dosięgał. Ciemne korytarze i kręcone schody z białego jak

śnieg marmuru prowadziły w wielu kierunkach. Każdy centymetr powierzchni ścian był ozdobnie rzeźbiony, ale gęste cienie nie pozwalały się zorientować, co przedstawiają płaskorzeźby. Powietrze miało smutny, jesienny aromat.

Jup ostrożnie ruszył naprzód. Nawet jego ciche kroki niosły się w dal echem i dziwnie zniekształcone wracały do uszu orków.

– Nie podoba mi się tutaj – wyszeptała Coilla.

Jej słowa wzbudziły znacznie głośniejsze echo.

Stryk okręcił się na pięcie, jakby wyczuł, że zagraża im jakieś niebezpieczeństwo – ale niczego nie zobaczył. Kiedy jednak odwrócił się z powrotem, gotów poprowadzić Rosomaki w głąb pałacu, dostrzegł coś na schodach.

Ubraną na białą kobietę.

Długie czarne włosy otulały ją jak płaszcz, kiedy stała niepewnie na podeście w połowie wysokości schodów. Z tej odległości i w tak ogromnej sali wydawała się malutka.

– Kim... – Stryk musiał odchrząknąć. – Kim jesteś?

Nie odpowiedziała mu, lecz czystym, wysokim głosem rozkazała:

– Odejdźcie stąd. Jak najszybciej.

– Przy tej zawiei? Zginęlibyśmy.

– Uwierz mi, że tu grozi wam większe niebezpieczeństwo. Odejdźcie, póki możecie. – Nagle zgarbiła się nad poręczą i podniosła dłoń do ust. Na jej ślicznej twarzy odmalowało się bezgraniczne przerażenie. Obejrzała się przez ramię. – Uciekajcie! Szybko!

– Co się stało? – Stryk podszedł do stóp schodów.

Nie odpowiedziała, zaczął więc wbiegać po stopniach, przesadzając po dwa i trzy naraz.

– Obronimy cię – obiecał, gdy już stanął przy nieznajomej.

Roześmiała się bez przekonania.

– Za późno.

Z przejścia za jej plecami wynurzyła się gromada odrażających istot. Wyglądały wypisz, wymaluj jak demony, okrutne duchy rządzące ponoć Xentagią i władające ognistymi biczami. Nie było wśród nich dwóch takich samych potworów. Poruszały się płynnie na pajęczych odnóżach, jakby ślizgały się po podłożu, a ich ciała co chwila zmieniały kształty. Nawet ich twarze nie miały stałego wyrazu, cały czas rozpływały się i formowały na nowo – to z jednym okiem, to z kłami, to znów z kłapiącym groźnie dziobem. Niektóre miały błoniaste skrzydła, ale jedną cechę miały wspólną: zabójcze szpony. Szara skóra bestii drżała i falowała nieustannie. Stryka na sam ich widok ogarnęły mdłości.

Musiało ich być co najmniej z pięćdziesiąt. Orkowie wpatrywali się w nie z przesadnym lękiem.

– Rzućcie broń! – rozkazała kobieta w bieli.

– My się nie poddajemy! – odparł Haskeer.

– To wasza jedyna szansa! Sluaghy nie zabiją was, jeśli ich nie zaatakujecie.

Stryk odsunął się od niej, powoli zszedł po schodach i dołączył do oddziału; jeśli miał zginąć, nie chciał umierać sam. Dwa stwory spłynęły za nim po schodach, kłapiąc zębami tuż przy jego piętach.

Kiedy znalazł się wśród Rosomaków, sluaghy stanęły nad nim z rozdziawionymi paszczami.

– Róbcie, co powiedziała! – rozkazał i odrzucił miecz, który zadźwiewał na marmurze jak dzwon. Sluaghy cofnęły się, cały czas wijąc się i prężąc.

Orkowie niechętnie się rozbroili. Potwory czekały, aż ostatnia sztuka broni upadnie na posadzkę.

– Myślałam, że sluaghy występują tylko w bajkach, które opowiada się przy kominku – przyznała szeptem Coilla.

– A ja byłem pewien, że to potwory z piekła rodem – odparł Alfray.

Teraz, mając je przed sobą, orkowie byli skłonni zgodzić się z Alfrayem.

Mroczna aura strachu otaczała je jak trujące wyziewy, sięgała nawet w głąb umysłu Stryka, podsuwając mu niepożądane myśli. Przenosił wzrok z jednego potwora na drugiego, ale nie potrafił powiedzieć, który do niego przemówił.

– Oddajcie nam instrumentaria.

Sądząc po gwałtownym poruszeniu wśród orków, wszyscy usłyszeli ten rozkaz – chociaż „usłyszeli” nie było chyba najwłaściwszym słowem.

– Nie mam ich – odparł głośno Stryk.

Tym razem głosy sluaghów zdawały się dobiegać zza jego pleców:

– Kłamiesz! Czujemy ich moc!

– Wzywają nas!

– Słyszemy je!

– Oddajcie nam instrumentaria, a darujemy wam życie!

Oszołomiony kapitan sięgnął za pazuchę. Wilgotna od potu dłoń ślizgała się na zjeżonej promieniami masie sklejonych gwiazd, ale mimo to udało mu się jedną z nich oddzielić od reszty. Reszta trzymała się mocno, jakby stopiły się w całość. Obmacał tę oderwaną: to była zielona, pięciopromienna gwiazda, którą wykradli z Trójcy. Miał wrażenie, że od tamtej pory upłynęła cała wieczność.

Ostrożnie wyjął spod kurtki zlepek czterech pozostałych instrumentariów.

Wężowa macka wyłuskała mu go z ręki. Dało się słyszeć donośne westchnienie, które poniosło się aż pod sufit.

– Gdzie jeszcze jedno? Gdzie ostatnie instrumentarium?

Stryk z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Nie mamy go.

– W takim razie będziecie cierpieć po wsze czasy!

Ból eksplodował w głowie Stryka, jakby ktoś wpakował mu płonąca

żagiew w sam środek czaszki. Złapał się za skronie i osunął na ziemię. Inni orkowie również cierpieli katusze.

– Zaczekajcie! – wykrztusił Stryk. – Chodziło mi o to, że nie mamy go ze sobą. Ale możemy je zdobyć.

Ból osłabł.

– Kiedy? Kiedy je przyniesiecie?

– Zostało przy reszcie oddziału – skłamał ork, a biały płomień przeszył mu mózg. – Ale oni już tu idą! Już idą... – stęknął.

– Kiedy? – zasyczało wiele głosów.

– Nie wiem. Pogubiliśmy się w śnieżycy. Ale jutro powinni tu być, jeśli śnieżycy zelżeje.

– W takim razie was możemy zabić od razu.

– Jeśli to zrobicie, nie dostaniecie instrumentarium.

– Jeżeli je tu przyniosą, nic nas nie powstrzyma przed zabraniami im go.

– Bez sygnału z naszej strony nie wejdą tutaj. – Stryk zmroził wzrokiem najbliższego potwora. – A tylko ja znam ten sygnał – zablefował. – I prędzej zginę, niż go wam zdradzę.

Na obrzeżach jego percepcji wywiązała się gwałtowna dyskusja, ale nie był w stanie zrozumieć, co mówią slughy. Wreszcie jeden z nich, z pyskiem buldoga, odparł:

– Dobrze. Poczekamy do jutra.

– Do zmierzchu – dodał drugi. – Jeżeli do tego czasu nie dostarczycie nam instrumentarium, nie ujdziecie stąd z życiem.

– I będziecie żałować każdej chwili życia, która wam zostanie.

Slughy pognały orków po schodach na górę. Kiedy mijali kobietę w białej szacie, ta ocknęła się nagle z odrętwienia i dołączyła do Rosomaków, idąc między Strykiem i Coillą.

Długo szli do góry i zanim znaleźli się na szczycie schodów, kobieta słaśniała się z wyczerpania. Najpewniej znaleźli się we wnętrzu jednej z

niebotycznych wież, wznoszących się nad równiną. Powietrze było tu chyba jeszcze zimniejsze niż w sali na dole.

Kiedy pierwszy z potworów wyszedł na maleńki pomost, umieszczone tu drzwi otworzyły się bezgłośnie. Nie miały ani klamki, ani żadnej zapadki. Stryk zanotował sobie ten fakt w pamięci i zajrzał w głąb okrągłego pomieszczenia znajdującego się za drzwiami.

Wypełniało je złociste światło, którego źródła nigdzie nie było widać; możliwe, że samo powietrze emanowało złotą poświatę. Ściany były pokryte płaskorzeźbami przedstawiającymi ohydne gargulce, do złudzenia przypominające zaklęte w kamień slughy.

Z łukowato sklepionego sufitu w przypadkowych miejscach zwisały długie, żółte zasłony.

Demony się rozstąpiły. Stryk wziął głęboki wdech i przeprowadził swoich żołnierzy przez próg komnaty, obok złoconych drzwi. Kobieta w bieli osunęła się na ziemię przy jednej z zasłon.

Kiedy wszyscy orkowie weszli do środka, drzwi zatrzasnęły się z łoskotem. Dręczący ich ból ustąpił. Jup podbiegł do miejsca, w którym przed chwilą było wyjście, ale nawet nie zdążył go dotknąć: ściana światła poraziła go i odrzuciła w tył z taką siłą, że przeleciał przez pół pomieszczenia.

Alfray uklęknął przy nim.

– Jest tylko ogłuszony. Przynajmniej taką mam nadzieję. Serce bije.

Orkowie rozproszyli się po komnacie, zajęci odsuwaniem zasłon i poszukiwaniem innego wyjścia. Nie znaleźli nic: ani klucza, ani klamki, niczego, co pozwoliłoby się im wydostać. Po dłuższej chwili poddali się i przysiedli na ziemi, żeby odpocząć. Kobieta przez ten czas nie poruszyła się ani razu.

Dygocząc z zimna, Stryk zerwał zasłonę i owinął się nią jak szalem. Paru szeregowców poszło za jego przykładem. Kapitan usiadł obok kobiety.

– Wiedziałaś, że stąd nie ma wyjścia, prawda?
– Ale i tak miałam nadzieję, że coś znajdziecie. – Jej głos był wysoki i delikatny. – Chcielibyście się dowiedzieć, kim jestem, prawda?

Coilla przykucnęła tuż obok nich.

– No pewnie – przytaknęła bez zbędnych wstępów.

– Nie rozumiecie, że jestem tu więźniem? Tak jak wy?

– Nie powiedziałaś jeszcze, jak się nazywasz – przypomniał Stryk.

– Sanara.

Nie od razu to do nich dotarło.

– Sanara? Siostra Jennesty?!

– Tak. Ale błagam was, nie oceniajcie mnie po jej czynach. Jestem inna.

– Pewnie! – prychnęła Coilla.

– Jak mam was przekonać?

– Nie dasz rady – odparła orczyca, wstała i odeszła.

– Ty jesteś inny – stwierdziła Sanara, zwracając się do Stryka. – Wyczuwam w tobie moc ziemi. Przepływa przez ciebie jak przez dawnych orków. – Wskazała Coillę. – Ale to dziecko jest jej pozbawione.

– Na twoim miejscu nie nazywałbym jej dzieckiem – odparł krótko Stryk.

Sanara wzruszyła smutno ramionami.

– Jakie to ma znaczenie? Jutro o zachodzie słońca i tak umrze. Nie sądziliście chyba, że slughy was wypuszczą?

– Miałem nadzieję, że może jednak tak.

– Śnij dalej, orku. Karmią się bólem i cierpieniem. Zmieniają wasze życie w wieczny koszmar, aż zaczniecie błagać o śmierć. Ale nawet wtedy będą czerpać siłę z waszego przerażenia.

– Jestem Stryk. Jeżeli mamy razem umrzeć, powinniśmy znać swoje imiona.

W odpowiedzi Sanara skinęła potakująco ręką.

– Królowo Sanaro... – zaczął Stryk. Chciał przebić się przez pancerz jej obojętności i uzyskać informacje, które pomogłyby im uciec z niewoli. – Mam mówić do ciebie „Wasza Wysokość”, czy jakoś tak?

Pokręciła głową. Jej włosy delikatnie pachniały różami.

– Nie. Od dawna już nikt mnie tak nie tytułował. Odkąd ludzie pochłonęli magię mojej krainy.

– Twojej krainy?!

– Tak. Mojego królestwa. – Sanara uśmiechnęła się smutno. – Jennesta władała południem, Adpar królestwem najad, a mnie matka oddała północ. Ale sam widzisz, co z niej zostało: śnieżna pustynia, na której króluje śmierć. Łądolód pochłonął całe miasta. Kiedyś była to kraina żyzna i dobra, pokryta lasami i łąkami. Ale kiedy nadciągnął lód, moi poddani wyginęli lub uciekli. Wszyscy, co do jednego. Zaczęło się to w czasach, kiedy zasiadłam na tronie; lodowiec z każdym dniem podpełzał coraz bliżej. Trudno im się dziwić, że obwiniali o to właśnie mnie. Znasz to uczucie? Wiesz, jak to jest, być winnym zagłady kraju? Możesz sobie wyobrazić, ile smutku sprawia widok przyjaciół i najbliższych, którzy odwracają się od ciebie i po kolei umierają? – Jej oczy zaszyły mgłą. – Próbowałam z tym walczyć, ale mam coraz mniej mocy. Ta forteca to wszystko, co zostało z IUex, mojej stolicy.

– Dlaczego Jennesta ci nie pomogła?

Sanara prychnęła pogardliwie, na sposób zdumiewająco ludzki.

– Znacie moją siostrę, więc wiecie, że pomoc to ona może tylko sobie samej. To dlatego matka ją odesłała z dworu. Przez wiele waszych pokoleń Jennesta trzymała się z dala od mojego królestwa.

– Kim była wasza matka?

– Vermegram.

– Ta czarownica? Legendarna Vermegram?

Sanara z westchnieniem skinęła głową.

– Nie jesteś w takim razie człowiekiem, chociaż tak wyglądasz.

– Nie, nie jestem. Nie bardziej niż moje siostry. Vermegram zmarła wiele zim temu. Obserwowałam cię, kiedy patrzyłeś, jak Adpar ginie z ręki Jennesty.

– Skąd wiedziałaś, że tam będę?

Sanara posłała Strykowi tajemnicze spojrzenie.

– Od dawna mam cię na oku.

Mimo jego nalegań nie powiedziała nic więcej. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. Długą chwilę milczał. W komnacie coraz częściej rozlegało się orkowe chrapanie.

– Jak to się stało, że wpuściłaś slughy do pałacu?

– Dziwne pytanie... A jak miałam ich nie wpuścić?

Stryk skrzywił się, ale musiał przyznać rację Sanarze.

– Skąd przybyły? I co tu robią?

Dawna królowa znowu westchnęła i wyciągnęła się na posadzce, podłożywszy sobie zgiętą rękę pod głowę. Spojrzała na Stryka zielonymi oczami, które trochę mu przypominały oczy Jennesty. Sanara nie miała jednak na twarzy ani śladu łusek – tylko gładką, białą skórę.

– To prastara rasa, pochodząca z okresu, kiedy czas był młody. Są ucieleśnieniem zła. Myślisz pewnie, że Jennesta jest złą kobietą? W porównaniu ze slughami jest zaledwie nędzną amatorką. A są tutaj, ponieważ wiedziały, że prędzej czy później Jennesta usłyszy o instrumentariach. Jestem ich więźniem dłużej, niż ty żyjesz na tym świecie. I nadal będę, kiedy slughy pożrą wasze kości. Spodziewały się, że Jennesta będzie szukać instrumentariów...

– Próbowala – przytaknął Stryk, starając się nie wyobrazić sobie swojej śmierci zbyt plastycznie.

– A wtedy w zamian za nie oddałyby jej mnie.

– Po co chcą je zdobyć? I co w ogóle wiesz o gwiazdach? To znaczy o

instrumentariach?

Sanara spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby był przezroczysty, jak gdyby ujrzała coś, co tylko jej dane jest zobaczyć. Zatopiona w myślach nie zauważyła, że Jup i Coilla podeszli bliżej.

– Chcą wykorzystać – odparła sennym głosem. – To rozumiałe.

– Wykorzystać? Do czego? Jak one działają?

– Po połączeniu istnieją na wskroś wymiarów.

Jup pierwszy domyślił się, o co chodzi. Zapytał:

– I to właśnie robią? Przenoszą się z miejsca na miejsce? To przez nie się tu znaleźliśmy?

Sanara odgarnęła opadające na twarz włosy.

– Nigdzie się nie przenoszą. Jest tak, jak powiedziałam: po połączeniu istnieją we wszystkich wymiarach jednocześnie.

Rosomaki patrzyły na nią, nie rozumiejąc jej słów.

– W przestrzeni i w czasie – dodała.

– I sprowadziły nas tutaj, tak? – Coilla skrzywiła się i spojrzała na Stryka.

– Jeśli nie przyszlście o własnych siłach, to chyba tak.

– A z tym czasem... Czy to dlatego najpierw był dzień, a potem, chwilę później, środek nocy?

Królowa skinęła głową.

– Czy to znaczy, że właśnie do tego służą? – zdziwił się Jup, zanim Coilla zdążyła zadać następne pytanie.

– Nie. – Sanara pokręciła głową. – To tylko... efekt uboczny, nie ich główna funkcja.

– A jaka jest ich główna funkcja?

Królowa chyba nie przepadała za krasnoludem.

– To przerasta zwykłych śmiertelników.

Zanim któreś z Rosomaków zdążyło zareagować, przeciwległa ściana

zafalowała, jakby oddaliła się w nieskończoność, a kiedy wróciła na swoje miejsce, stała przed nią jakaś męska postać. Spowijający ją cień uniemożliwiał rozpoznanie rysów twarzy, ale nie maskował jej wzrostu.

– Wstawać! – zawołał Stryk. – Intruz!

Orkowie nie mieli broni – ale było ich blisko trzydziestu, a przeciwnik jeden.

Poza tym mieli ochotę na porządną walkę.

ROZDZIAŁ 23



Postać wynurzyła się z cienia, unosząc dłoń w pojedynczym geście. Podeszła bliżej. Żłociste światło padło na jej twarz – ludzką twarz. Zalśniło srebrne oblamowanie kurtki. Przy pasie nie było widać pochwy z mieczem.

To był Serafini.

Orkowie cofnęli się, spoglądając po sobie i odruchowo sięgając do pasa, zanim sobie uświadomili, że nie mają broni. Ale ich zdziwienie i tak było niczym w porównaniu z zaskoczeniem, jakim widok Serafima był dla Sanary. Zbladła jeszcze bardziej (o ile to w ogóle możliwe), wytrzeszczyła oczy i osunęła się w ramiona Stryka.

Serafim przejął ją od orka i mocno przytulił. Objęła go w pasie i na chwilę złożyła głowę na jego piersi. Zaraz jednak otrząsnęła się, stanęła o własnych siłach i wyprostowała, jakby usiłowała dochować zasad dawno zapomnianego protokołu.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała.

– To wy się znacie? – zdziwił się Stryk.

Serafim i Sanara spojrzeli po sobie znacząco, chociaż Rosomaki nie miały pojęcia, co się w tym spojrzeniu kryje. Sanara skinęła potakująco głową.

– Jak się tu dostałeś? – spytała podejrzliwie Coilla.

– To teraz nie jest istotne. Mamy na głowie ważniejsze sprawy. Powiem wam tylko tyle, ile mogę. Musicie mi zaufać.

– Jeszcze czego... – mruknął ironicznie Haskeer.

– Mogę być waszą jedyną nadzieją, a wy nie macie nic do stracenia. Wysłuchajcie mnie.

– Jeśli znów będziesz bredził, to szkoda czasu na twoje bajeczki – ostrzegł Jup.

– Owszem, mam dla was opowieść. Ale to nie będzie żadna bajeczka. – Serafim powiódł wzrokiem po twarzach orków. Wpatrywali się w niego wyczekująco. – W porządku? Zacznijmy od tego, że ukradliście świat.

Rosomaki przetrwały jeszcze te słowa, gdy Coilla wybuchnęła:

– Co takiego?! My ukradliśmy?! Masz tupet, jak na człowieka...

– Mówię prawdę.

– Ale brzmi to jak kolejna z twoich bujd – odparł Stryk. – Lepiej się z niej wytłumacz, Serafime, zanim stracimy cierpliwość.

– Muszę wam wiele wyjaśnić, więc słuchajcie uważnie. W przeciwnym razie grozi wam śmierć z rąk slughów.

– Dobrze – ustąpił Stryk. – Byłeś mówił krótko i treściwie. O co chodzi z tą kradzieżą światów?

– Co byście powiedzieli, gdybym oznajmił wam, że Maras–Dantia nie należy do was?

Kilku szeregowców parsknęło śmiechem.

– Powiedziałbym, że do was też nie.

– Nie o to mi chodziło.

– A o co? – Strykowi zaczynały puszczać nerwy. – Dość tych zagadek, Serafime.

– Powiem tak: czy waszym zdaniem slughy to istoty z tego świata?

– Przecież tu są, prawda? – Jup zmarszczył brwi. – Co to za pytanie?

– Są tutaj, to prawda, ale czy widzieliście wcześniej istoty, które by je

przypominały? Czy dopóki ich tu nie spotkaliście, wierzyliście w ich istnienie? Czy może raczej traktowaliście je jak postaci z bajek?

– Lepiej się rozejrzyj po Maras–Dantii – poradził Jup. – Zobaczysz, że zamieszkują ją najdziwniejsze rasy. Pomijając ich wyjątkową szpetotę, co takiego niezwykłego jest w slughach?

– Do tego właśnie zmierzam! Jak według was do tego doszło, że w Maras–Dantii żyje aż tyle różnych stworzeń? Dlaczego życie jest w niej tak bogate i różnorodne? A może zamiast Maras–Dantia powinienem mówić „Centrazja”?

– Tylko spróbuj, a poderżniemy ci gardło! – zagroził jeden z szeregowców. – To nasza ziemia!

Stryk go uciszył i zwrócił się do Serafima:

– Co to za pytanie?

– Chyba najważniejsze pytanie w waszym życiu. – Serafim gestem uciszył protesty. – Proszę o cierpliwość. Będziecie mnie lepiej rozumieli, jeżeli chwilowo pogodzicie się z założeniem, że wszystkie starsze rasy przybyły do Maras–Dantii skądinąd.

– Tak jak ludzie? – upewnił się Alfray. – Z zewnątrz?

– W pewnym sensie. Chociaż... mówiąc „z zewnątrz”, mamy na myśli różne miejsca.

– Mów dalej – wtrącił zaintrygowany Stryk.

– Starsze rasy przybyły tu z innych światów. Naprawdę. Te artefakty, które nazwaliście „gwiazdami”, im w tym pomogły.

– Łeb mi od tego pęka – poskarżył się Haskeer. – Jeśli nie pochodzą... znaczy, nie pochodzimy stąd, to skąd się wzięliśmy?

– Postaram się wyłożyć wam to w taki sposób, żebyście zrozumieli. Wyobraźcie sobie miejsce, w którym żyją tylko gremliny. Tylko chochliki. Tylko najady. Tylko gobliny. Albo tylko orkowie.

– Jedna rasa w całej krainie? – Stryk zmarszczył brwi. – Bez innych ras?

Bez ludzi?

– Właśnie. Gdyby nie instrumentaria, nie byłoby was wszystkich tutaj.

– Ludzi też?

– Nie. My byliśmy tutaj od zawsze.

Odpowiedzią były głośne pomruki niezadowolenia. Stryk musiał ryknąć na orków głosem kaprała prowadzącego musztrę, żeby przywrócić porządek.

– Taka historyjka aż się prosi o dowody. Masz jakieś, Serafimie?

– Jeżeli mój plan się powiedzie, przedstawię wam dowody. Ale na razie nie ma czasu do stracenia. Mogę mówić dalej?

Stryk skinął przyzwalająco głową.

– Rozumiem wasze niedowierzanie – ciągnął Serafini. – Nie znacie innego świata, tak jak nie znali go wasi rodzice. Zapewniam was jednak, że choć traktujecie nas, ludzi, jak intruzów, nie jesteśmy najeźdźcami. Tu, w Illex, można znaleźć potwierdzenie moich słów, ale musimy współpracować. Być może prawda okaże się dla was użyteczna.

– Może parę konkretów? – zasugerowała Coilla. – Bo na razie nas nie przekonałeś.

– Spróbuję. – Serafim zebrał myśli. – Prawda, o której mówię, wiąże się z obfитоścią magicznej energii w świecie, który nazywacie Maras–Dantią. – Wielu orkom nie podobał się taki dobór słów, ale nie odzywali się. – A w każdym razie z jej niegdysiejszą obfитоścią. Jak wiecie, wiele pokoleń temu ludzie zaczęli zapuszczać się na drugą stronę pustyni Scilantiun w poszukiwaniu nowych terenów do zamieszkania. Znajdowali je, osiedlali się i nie wracali do domów, które porzucili na drugim końcu świata. Przybywali pieszo i na koniach, przemierzali pałace piaski, znacząc swój szlak grobami zmarłych po drodze towarzyszy podróży. Tylko najsilniejsi i najbardziej nieugięci docierali do celu. Na zielonym, żyznym kontynencie znaleźli wszystko, czego potrzebowali. Mogli rozmnażać się bez lęku;

gdyby nawet wyjąłowili skrawek ziemi, mogli po prostu przenieść się dalej i zająć następny. No bo kto oprócz nich z tej ziemi korzystał? Poza ludźmi nie było istot, które osiedlałyby się w jednym miejscu, zapuszczały korzenie, poszukiwały kopalin. Ludzie budowali więc, kopali, wypalali lasy, zakładali uprawy. Większość z nich nie miała pojęcia o energii przesycającej ziemię, o magii; nie zdawali sobie sprawy, jaką katastrofę powodują. Dla nich magia to kuglarskie sztuczki, zły urok, może jakieś fajerwerki. Tylko nieliczni, którzy zadali sobie trud poznania starszych ras, wiedzieli, że to nie takie proste. W ten sposób powstał odłam Mnogów.

– A ty jesteś jednym z nich – zawyrokował Alfray.

– Nie jestem Mnogiem. Jedem zresztą też nie, skoro już o tym mowa. Ale można mnie nazwać adeptem sztuki. Jednym z niewielu, których wydała moja rasa.

– Dlaczego nam o tym mówisz? I po co pakujesz się w nasze kłopoty, od których mógłbyś trzymać się z daleka?

– Staram się naprawić zło, które zostało wyrządzone. Nie pora na szczegółowe wyjaśnienia. Sluaghy na razie śpią w lodzie, ale wkrótce się obudzą. Musimy działać.

– Możesz nas stąd wydostać?

– Chyba tak. Ale mój plan nie ogranicza się do próby ucieczki. Poza tym dokąd byście uciekli na tym lodowym pustkowiu?

– Jak wobec tego wygląda twój plan? – zainteresował się Stryk.

– Odzyskać gwiazdy i za ich pomocą umożliwić wam opuszczenie tego miejsca.

– Mówisz o portalu? – wtrąciła Sanara, o której wszyscy chwilowo zapomnieli.

– Tak.

Stryk się nachmurzył.

– A to co znowu?

– Część tajemnicy, którą chcę wam ujawnić. Najpierw jednak przyda się wasza siła. – Serafim powiódł wzrokiem po orkach. – Poprowadzę was. Nawet jeśli nie widzicie sensu tego, co chcę zrobić, co macie do stracenia? W każdej chwili możemy się rozstać. Pójdziecie swoją drogą zmierzycie się z niebezpieczeństwami Illex i spróbujecie dotrzeć do ciepłych krajów.

– Jeśli tak stawiasz sprawę... Jestem gotów pójść z tobą. Ale uważaj – pogroził Stryk. – Jeżeli nas zdradzisz albo jeżeli uznamy, że nie podoba nam się to, w co nas pakujesz, pożegnamy się. A ty zginiesz.

– Uczciwy układ. Dziękuję wam. Na początek musimy się dostać do podziemi.

– Po co?

– Bo tam właśnie znajduje się portal i wasza droga ucieczki.

– Mówi prawdę – zawtórowała Serafimowi Sanara. – To jedyna szansa.

– Niech mu będzie – zgodził się Stryk. – Ale do podziemi droga daleka, tym bardziej że na razie nawet nie wiemy, jak wyjść z tej komnaty.

– Ja się stąd wydostanę, ale sam. Nie mogę nikogo zabrać. Osłabienie magii ograniczyło także moją moc. Nie umiem też otworzyć drzwi: to potrafią tylko slughy. Mógłbym wyczytać w ich umysłach, jak to zrobić, ale nie chcę się do nich zanadto zbliżać. Spróbuję znaleźć jednego i zwabić go tutaj. A wtedy wszystko będzie w waszych rękach.

– To znaczy, że można je zabić?

– Naturalnie. Nie są nieśmiertelne ani niewrażliwe na ciosy, tylko po prostu długowieczne i niewiarygodnie żywotne.

– A co z bólem, który czujemy w głowach? To ich broń?

– Tym zajmiemy się my z Sanarą. Przypuścimy na slughę atak psychiczny, a wy rzucicie się na niego z tym, co będziecie mieli pod ręką. Wiem, że nie macie broni...

– Ale świetnie improwizujemy – zapewnił Jup.

– To dobrze. Tylko go nie zlekceważcie. Musicie zaatakować

zdecydowanie i dużą liczbą.

– O to możesz być spokojny.

– W takim razie przygotujcie się. Zaczynamy.

Serafini rozpląnął się w cieniu.

I nie wynurzył się z niego także po opuszczeniu komnaty. Jego buty nie czyniły najmniejszego hałasu na pokrytej gęstym kurzem posadzce korytarzy. Otwierał kolejne drzwi, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, ale zgodnie z przewidywaniami slughy nie opuściły jeszcze swoich lodowych kolebek.

Kiedy niebo na południowym wschodzie zaczęło się już przejaśniać, poczuł w głowie znajomy niepokój: gdzieś w pobliżu rozmawiały slughy. Rozpląszczył się przy ścianie i wyjrzał za róg korytarza.

Były aż cztery. Ich szare ciała bezustannie zmieniały kształty.

Wycofał się ostrożnie.

Miał nadzieję, że napotka mniejszą grupę, ale nie miał czasu na dalsze poszukiwania. Zebrał się na odwagę, wyszedł zza rogu i przytknął dłoń do czoła w kpiarskim salucie.

Przeszył go ból – ale Serafim spodziewał się tego i natychmiast rzucił się do ucieczki.

Slughy ruszyły za nim. Dwa z nich miały budzące grozę owadzie kończyny, na których rozwijały całkiem sporą szybkość. Trzeci próbował rozłożyć łuskowate skrzydła, które skrzypiąc, młóciły powietrze, ale w korytarzu było za mało miejsca. Wzbił się więc tylko odrobinę i zawisł niezgrabnie nad czwartym, ostatnim stworem, który przypominał ślimaka i zostawiał za sobą śluzowaty, cuchnący ślad.

Serafim był od nich szybszy. Minął szereg otwartych drzwi i wpadł do długiej, pogrążonej w półmroku galerii. Przebiegł przez nią i zdyszany oparł się o ścianę.

Teraz wpadł na kręcone schody. To był koszmar: biegł po niekończących

się schodach pod górę i z każdym krokiem zwalniał. Prześladowcy go doganiali. Zaczynał się bać, że nie da rady.

Wziął głęboki wdech i zmusił się do szybszego biegu. Płuca paliły go żywym ogniem, nogi ciążyły jak kłody. Z najwyższym trudem przestawiał stopy. Chwycił za poręcz i zaczął się po niej podciągać. Kiedy obejrzał się przez ramię, szponiasto zakończone macki wyciągały się w jego stronę. Przerażony Serafim zmusił się do jeszcze jednego nadludzkiego wysiłku. Potykając się, biegł po spirali, wciąż w górę i w górę, w strachu, że nigdy nie znajdzie się na tyle blisko komnaty orków, żeby teleportować się do środka. Sluaghy deptały mu po piętach.

Poraził go ból. Jego psychiczna osłona słabła.

Stryk rozglądał się po komnacie. Orkowie odrzucili koce i plecaki pod ściany, żeby zrobić miejsce do walki, ale nadal byli bezbronni. W pokoju nie było żadnych sprzętów.

– Możemy w nich rzucić Jupem – zasugerował Haskeer.

Coilla pacnęła go ręką w głowę. Stryk wpadł na pewien pomysł.

– Wy dwaj! – Wybrał dwóch szeregowców. – Wdrapcie się na gargulce i ściągnijcie karnisze. Najlepiej razem z zasłonami. I bądźcie czujni.

Czas włókł się niemiłosiernie. Rosomaki zaczynały zerkać spode łba na Sanarę, podejrzewając, że wraz z Serafitem uknuła przeciw nim spisek.

Seraflm pojawił się w komnacie jak materializujący się miraż. Zrobił dwa kroki, zachwiał się i osunął na kolana w powodzi żółtego materiału między Strykiem i Coillą.

– Idą tu – wysapał. – Cztery.

Ułamek sekundy później drzwi otworzyły się gwałtownie i odbiły od ściany. W wąskim przejściu zmieścił się tylko jeden demon, ale Stryk widział pozostałą dwójkę na podeście schodów i trzeciego, skrzydlatego, w powietrzu.

– Teraz! – zawołał.'

Dwaj orkowie rzucili karniszami jak oszczepami, z taką siłą, że przebiły nawet niezwykle grubą skórę slughów. Z piersi rannego popłynęła lepka, czarna posoka. Demon zachwiał się w progu, cały czas blokując przejście, i zmienił się z sześcionogiego wilka w węża. Banda szeregowców dopadła do niego i z zapalem zaczęła go deptać. Ich buty zadymiły, ale nie zrobiło to na nich wielkiego wrażenia. Całą swoją złość i frustrację wylali w ataku na oślizłego gada, który wił się coraz wolniej i wolniej, aż znieruchomiał z utkwionymi w orków maleńkimi ślepkami.

Rosomaki poczuły ukłucia bólu w głowach. Skrzydlaty slugh rzucił się na nie z wyciągniętymi szponami, jak pikujący jastrząb. Coilla i Haskeer skoczyli do przodu, trzymając między sobą rozciągniętą zasłonę. Potwór uderzył w sam jej środek, a wtedy oplatali go materiałem, cisnęli na ziemię i Haskeer z impetem wskoczył mu na głowę. Jakiś szeregowy zaczął okładać slughę żelaznym karniszem. Na żółtej tkaninie pojawiły się ohydne, ciemne plamy.

Przez cały ten czas Serafim nie ruszył się spod drzwi. Dopiero teraz postąpił krok naprzód, a razem z nim przesunęła się Sanara. Spletli dłonie i unieśli je w złowrogim geście. Nie było błysku światła, nie buchnął kolorowy dym, nic się nie wydarzyło.

Stryk zdał sobie sprawę, że o to właśnie chodziło. Dwa martwe slughy leżały w komnacie, ale dwa pozostałe nie weszły do środka.

– Osłaniajcie nas – polecił Serafim.

Orkowie ruszyli naprzód mimo świdrującego pod czaszką otępiającego bólu. Jup wyjrzał na zewnątrz i natychmiast się cofnął.

– Zatrzymały się kilka stopni niżej. Naradzają się. Innych nie widać.

– Co radzicie? – zapytał Stryk, patrząc na ludzi.

– Nic – odparł Serafim. – Powstrzymaliśmy je. Reszta należy do was.

Trzymając żelazny pręt jak pałkę, Stryk poprowadził Rosomaki do natarcia.

Orkowie wybili się z poręczy i pomknęli w dół schodów, jedną ręką przytrzymując się biegnącej środkiem kolumny. Sluaghy rzuciły się do ucieczki. Ślimak pełzł pospiesznie, na przemian kurcząc i rozkurczając ośliżłe cielsko, a jego owadokształtny towarzysz pędził ile sił w pajęczych odnóżach.

Mknęli w dół niekończącą się spiralą białego marmuru. Stryk biegł środkiem schodów, kręcąc karniszem takie młyńce, że przy trafieniu utraciłby łeb smokowi. Sluaghy były jednak zdumiewająco szybkie i trzymały się poza zasięgiem zabójczej broni.

W końcu wylądowały na podeście i odwróciły się do swoich prześladowców. Wściekły ból przeszył głowy orków; większość z nich padła na kolana lub stoczyła się po schodach. Po chwili połowa oddziału leżała unieszkodliwiona, a druga połowa nie bardzo mogła się ruszyć, żeby nie podeptać towarzyszy.

Coilla uderzyła głową o słupek balustrady i straciła hełm, który spadł w przepaść. Dręczona bólem i mdłościami wypuściła z ręki karnisz, który poleciał w dół, objając się o marmur, aż zaklinował się w jakiejś szparze daleko w dole. Sluaghy przeszły do natarcia.

– Użyjcie swojej magii! – zawołał Stryk.

– Już to robimy! – odkrzyknął Serafim. – Dzięki temu poruszają się tak wolno!

– To ma być wolno?!

Na wpół oślepiiony bólem Stryk zmrużył oczy, wziął zamach i z całej siły cisnął żelazny pręt przed siebie. Karnisz zaplątał się w owadzie kończyny sluagha, który stracił równowagę – sześć nóg nie wystarczyło, żeby go podtrzymać – stoczył się z podestu i wylądował w połowie długości schodów na grzbiecie, bezradnie przebierając odnóżami. Stryk słyszał jego wściekły wrzask. .

Ostatni z potworów dźwignął się z podestu i stanął dęba, osiągając

przerazającą wysokość. Jego cielsko wypełniało prawie całe schody. Na oczach orków zmienił postać. Dolna część jego ciała rozdzieliła się, a na potężnych tylnych odnóżach wyrosły pazury. Zjeżona kłami paszczyka otworzyła się w bezgłośnym ryku. Z korpusu znów wyrosły wijące się węzowo macki. Pazury zgrzytnęły o marmur, gdy demon rozpedził się i zaatakował.

Haskeer rzucił się na podłogę, mierząc karniszem prosto w brzuch szarżującej bestii, tak jak zrobił Stryk, broniąc się przed skokiem pantery, ale Sluagh wydłużył tylko kończyny i bez wysiłku przestąpił nad leżącym orkiem. Mackami roztrącił innych wojowników, nie patrząc, gdzie spadną. Depcząc po nieprzytomnych z bólu orkach, pędził wprost na dwójką ludzi.

I to go zgubiło. Zahaczył szponem o kurtkę któregoś z leżących Rosomaków – zaledwie na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby wytrącić go z równowagi. Przewrócił się. Był tak zaskoczony, że nawet nie zdążył zmienić kształtu. Jeden z leżących żołnierzy przetoczył się z jękiem na plecy, trzymając w rękach rozpostartą zasłonę. Dосkoczył do niego drugi i w chwili, gdy demon próbował poderwać się z ziemi, zarzucili mu żółtą tkaninę na głowę. Wtedy on również zaczął się zmieniać w węża, ale przez ten czas większość orków oswoiła się już z bólem i zaczęła okładać potwora. Powietrze zgęstniało od smrodu czarnej posoki.

Kiedy sluagh zginął, dokuczający orkom ból ustąpił. Większość Rosomaków o własnych siłach stanęła na nogi, ci w gorszym stanie wsparli się na zdrowszych kompanach. Dalej poprowadził ich Jup. Krok za krokiem zbliżyli się do leżącego na grzbiecie insekta, który przegradzał im drogę. Krasnolud uderzył potwora karniszem w kark, ale żelazo odbiło się od grubych łusek, nie czyniąc sluaghowi krzywdy. Płynny ogień znów wypełnił głowy Rosomaków, ale gdy tylko Serafim i Sanara zeszli niżej – na tyle blisko demona, na ile się odważyli – ból osłabł.

– Macie czelność rzucać mi wyzwanie? – wrzasnął sluagh. Jego głos

zagrzmiał w ich głowach z taką mocą, że zmaćił im wzrok. Potwór w dalszym ciągu rozpaczliwie przebierał łapami, ale nie potrafił się odwrócić.

– A żebyś wiedział – warknął Jup, młóćąc go na oślep żelaznym prętem.

Jeden z ciosów zakolebał sluaghem, który natychmiast skorzystał z okazji i stanął na nogi. Zanim krasnolud się zorientował, potwór wspiął się po ścianie do góry i smagnął go skorpionim ogonem.

To był błąd. Ciężki ogon przeważył, sluagh odpadł od ściany i ześliznął się wprost na trzymany przez Haskeera pręt. Nadział się na niego z takim impetem, że pręt przebił grubą skorupę i wyszedł górą, w miejscu, gdzie powinna się znajdować czaszka bestii. Trysnęła gęsta, czarna maź. Lepkie krople zbryzgały schody i orków.

Stryk przysiadł ciężko na stopniu i oparł się o balustradę.

– Świetna robota, chłopaki.

Orkowie wiwatowali, poklepywali się po plecach i szczyrzyli zęby w uśmiechu. Najbardziej obolali chwiejnie dźwigali się na nogi. Serafim popsuł radosny nastrój.

– Nie cieszcie się tak. Już prawie świta, a do podziemi jeszcze daleko.

ROZDZIAŁ 24



Starając się nie ubrudzić ohydną krwią sluaghów, orkowie i ludzie wyminęli zagradzające drogę truchło – nie było to łatwe na kręconych schodach, ale w końcu się udało – i wszyscy stanęli na podłodze sali, w której poprzedniego dnia orkowie zostali pojmani.

Stryk przykucnął pod osłoną balustrady i obserwował kilkanaście sluaghów zajętych swoimi sprawami. Pojedynczo i dwójkami niespiesznie rozchodzili się w różnych kierunkach. Gdyby choć jeden z nich ruszył w stronę schodów, byłiby zgubieni, ale los zrządził, że żaden się tu nie skierował. W końcu ostatni potwór zniknął mu z oczu w jednym z ciemnych wyjść.

– Szybko! – wyszeptał Serafim. – Tędy!

Przebiegli przez salę do schodów znajdujących się w jej drugim końcu i zaczęli po nich wbiegać.

– Zaraz. – Stryk się zatrzymał. – Mieliśmy iść do podziemi. Dlaczego biegniemy na górę?

– Nadłożymy drogi, żeby zdobyć broń. – Serafim dał orkom znać, żeby byli cicho. Wyszli na szeroką galerię, z której rozciągał się widok na salę w dole. – Widzicie ten odchodzący w bok korytarz? W połowie długości galerii... Prowadzi do zbrojowni. Ale bądźcie czujni. Sluaghy są blisko.

Rzeczywiście, były. Na dole znów zaroilo się od okrytych szarą skórą

potworów. Kryjąc się w cieniu, Rosomaki na palcach przemierzyły galerię. Droga do zbrojowni prowadziła istnym labiryntem schodów i korytarzy, ale przynajmniej ta część pałacu sprawiała wrażenie kompletnie opuszczonej. Żółte światło nie wszędzie tu docierało, a na podłodze grubą warstwą zalegał kurz, tłumiąc odgłos kroków.

Przed jednym z zakrętów Serafim i Sanara zatrzymali się i mężczyzna skinął na Stryka. Ork wyjrzał za róg.

– Dwóch przy drzwiach – szepnął. – Po jednym z każdej strony.

Wydając rozkazy na migi, podzielił oddział. Jup, Coilla i Haskeer mieli zaatakować stojącego dalej demona, a Stryk i Alfray z drugą połową szeregowych zamierzali rzucić się na gryfogłowego sluagha bliżej zakrętu.

Tym razem bitwa nie trwała długo. Walczyło się znacznie łatwiej, kiedy wszyscy orkowie mogli jednocześnie zaatakować jednego demona – zwłaszcza przypartego do ściany i pozbawionego możliwości ucieczki. Mimo rozsadzającego głowę bólu orkowie szybko rozprawili się ze sluaghami, po których została oślizła miazga.

Stryk przepuścił Serafima przodem, a ten otworzył drzwi jedynej w swoim rodzaju zbrojowni. Ponad połowy przedmiotów orkowie nie potrafili nawet rozpoznać, ale ruszyli prosto w stronę wiszących na ścianie pik i włóczni. Kiedy weszli w głąb pomieszczenia, światło z zarośniętego lodem okna załśniło na porzuconej na podłodze kupie żelastwa.

– Mój topór! – ucieszył się Jup, podnosząc obosieczną broń.

W ten sposób orkowie odzyskali zabrany im przez sluaghy oręż, a w bardziej egzotycznych rejonach zbrojowni Sanara i Serafim znaleźli także coś dla siebie: pękate rury wykonane z przypominającego szkło materiału.

Po zakończeniu zbrojeń Serafim poprowadził Rosomaki na dół inną drogą. Stryk odniósł wrażenie, że idą korytarzami dla służby; schody były tu z szorstkiego granitu, a ścian nie zdobiły płaskorzeźby.

Zimne powietrze stawało się coraz wilgotniejsze, pachniało stęchlizną.

Po kątach pojawiała się poprzerastana szronem pleśń. Kwadratowe okna zamiast dziennego światła przepuszczały błękitną poświatę lodowca, a kiedy ich zabrakło, orkowie zorientowali się, że są już pod ziemią. Nareszcie dotarli do rozległych zamkowych lochów. W labiryncie tuneli musieli uważać, gdzie stawiają stopy, bo kamienne posadzki były pokryte warstewką lodu. Z przodu zamajaczyła znajoma żółta poświata. Zatrzymali się i wysłali Jupa na rekonesans.

– Osiem slughów przy drzwiach – zameldował. – Ale takich drzwi toście jeszcze nie widzieli.

Stryk przydzielił żołnierzom poszczególnych wrogów; uzbrojone w miecze, piki i topory Rosomaki ze znacznie większym animuszem zaatakowały licznego przeciwnika, ale walka była długa i krwawa. Slughy walczyły szponami i piorunami bólu. Serafim i Sanara przemykali przy ścianach, starając się zająć potwory od tyłu, a kiedy dopięli swego, szklane rury zalśniły niezwykłym blaskiem i plunęły kulami światła. Rozległa się ogłuszająca eksplozja, spadł deszcz slughowej krwi i walka się skończyła.

– Pożyteczna broń – przyznała z podziwem Coilla.

Jup miał rację. Wpuszczone głęboko w skałę dwuskrzydłowe drzwi były całkiem okrągłe. Nie miały klamki, za to w ich metalowej powierzchni widniało dziesięć małych zagłębień. Sanara dopasowała do nich palce i pchnęła drzwi.

Otworzyły się. Serafim schylił się pod nadprożem i pierwszy wszedł do środka. Wykuty w litej skale tunel miał dobre trzy metry długości.

To tutaj znajdował się portal.

Platforma z granitowym baldachimem tkwiła pośrodku kręgu monolitów. Na posadzce podwyższenia migotały tworzące spiralny wzór klejnoty. Mieniły się również monolity – wszystkie poza jednym, który zdawał się dziwnie martwy. Największe szlachetne kamienie miały wielkość gołębiego jaja.

Haskeer schylił się i pogłaskał ogromny szafir, ale natychmiast poderwał się na równe nogi. Ze zdumieniem śledził fontannę kolorowego światła, która rozjarzyła zalatujące pleśnią powietrze. Trudno było powiedzieć, jak działa portal, ale Stryk odruchowo się wzdrygnął.

Coilla stanęła jak wryta.

– A cóż to takiego, do licha?

– Coś, co znajduje się tu od bardzo dawna – odparł z roztargnieniem Serafim.

Ostatni ork wszedł do komnaty.

– Zamknąć drzwi – rozkazał Stryk.

Pięciu szeregowych wykonało polecenie. Od grzmotu zatrzasniętych wrót zadrżała posadzka. Jedyнным źródłem światła były teraz tęczowe błyski klejnotów. Stryk spojrział na Serafima, który stał nieruchomo, jedną ręką obejmując Sanarę.

[

– No, Serafimie, czas na wyjaśnienia.

Mężczyzna pokiwał głową i razem z Sanara usiedli na skraju ozdobnej platformy.

– Wyobraźcie sobie, że ten świat jest jednym z wielu światów – zaczął. – I że tych innych jest nieskończenie wiele. Część z nich jest podobna do tego, ale znakomita większość zupełnie go nie przypomina. Wyobraźcie sobie również, że wszystkie te światy istnieją obok siebie, tworząc nieskończony ciąg, tak jakby ktoś porozkładał je na bezkresnej równinie. – Spojrział na orków, żeby się upewnić, czy nadążają za jego słowami. – Dawno temu coś uszkodziło tę równinę i powstała w niej wyrwa. Korytarz, jeśli wolicie. Przejście, z którego niektóre istoty potrafią korzystać, jak myszy buszujące w ścianach domu. Ten portal to wejście do tego korytarza.

– I zrobiły go myszy? – zdziwił się Haskeer.

Co bystrzejsi z towarzyszy wyłuszczyli mu sprawę w bardziej

przystępny sposób. W końcu zrozumiał.

– Nie wiem, kto znalazł portal – ciągnął Serafim. – Nie wiem również, kto go tak ozdobił. Wszystko to wydarzyło się dawno temu. Ale Vermegram, czarodziejka, matka Sanary, Jennesty i Adpar, odkryła go całkiem niedawno. Stwierdziła również, że posługując się magią, może zajrzeć do innych światów. Tak jak przez przypadek udało się to Strykowi.

– Jak to? – spytał Stryk.

– Mam na myśli twoje sny.

– Skąd wiesz o moich snach?

– Powiedzmy, że jestem dostrojony do energii, którą przesycona jest ziemia, dzięki czemu wiem, że i ty się do niej dostroiłeś.

Stryk zaniemówił.

– Najważniejsze jest, że to nie były sny. Widziałeś inny świat. Świat orków.

– Ostatnio miałem też inny sen – przyznał Stryk. – Nie dotyczył tego... orkowego świata. Najpierw byłem w tunelu, a potem wyszedłem z niego na taką niezwykłą równinę. I spotkałem Mobbsa. To taki mędrzec, którego spotkaliśmy – wyjaśnił. – Gremlin.

Jego słowa były dla Rosomaków absolutnym zaskoczeniem. Zdawał sobie sprawę, że będzie się z nich jeszcze gęsto tłumaczył.

– To mógł być sen zainspirowany przez instrumentaria – powiedział Serafim. – Tunel jest symbolem śmierci i powtórnych narodzin.

Stryk nie wiedział, czy to prawda, czy fałsz. Miał tylko nadzieję, że Mobbs znajdzie wreszcie ukojenie.

– Najważniejsze, że ten portal był tu na długo przed nadejściem lodowca – mówił dalej Serafim. – Od czasu zmiany klimatu sluaghów stale ubywa. Bezskutecznie próbowały uruchomić portal i wrócić do swojego świata.

– A ty chcesz im to uniemożliwić? – spytała Coilla.

– Chcę odebrać im portal, bo dzięki niemu będą mogli rozsyłać

niszczycielskie hordy po innych światach. Tak być nie może.

– Dość tego pieprzenia! – prychnął Haskeer. – Miałeś nam coś pokazać.

– Dlatego właśnie przyprowadziłem was tutaj. Nie mając gwiazd, nie mogę uruchomić portalu, ale mogę wam pokazać inne światy.

Serafini podszedł i pomajstrował przy jednym z monolitów; orkowie nie mogli dostrzec, co właściwie zrobił, ale...

Strykowi opadła szczęka. Rozległy się zaskoczone sapnięcia i krzyki.

W powietrzu pojawił się ruchomy obrazek, jakby oglądali przesuwany się za oknem pejzaż. Bez wątpienia przedstawiał świat ze snów Stryka: zielone wzgórza i doliny, potężne lasy, lśniące błękitem morza. Setki orków potykały się w walce, która miała być chrztem bojowym młodych wojowników. Inni orkowie bawili się hucznie przy ogromnych ogniskach.

Stryk myślał przede wszystkim o tym, że jednak nie zwariował. Przez cały ten czas oglądał wizje... domu.

Obraz rozplynął się w powodzi złotego pyłu i zniknął.

– Rozumiecie już? Każda ze starszych ras ma swój świat. – Serafini spojrział Jupowi w oczy. – Krasnoludy też.

Następna scena przedstawiała orkowe pisklęta, które ze śmiechem pojedynkowały się swoimi pierwszymi drewnianymi mieczkami. Stojące na progach domów matki z dumą przyglądały się swoim pociechom.

– Na początku portal był swego rodzaju oknem, przez które Vermegram podglądała inne światy, tak jak my teraz. Ale kiedy natrafiła na świat orków, przyszło jej do głowy, żeby wykorzystać naturalne wojownicze skłonności waszej rasy do swoich celów. I po wielu próbach udało jej się... sprowadzić pewną liczbę orków do tego świata. Musiała w tym celu użyć magii do uruchomienia portalu. Chciała stworzyć armię doskonałych wojowników, którymi mogłaby kierować za pomocą magii. – Serafim na chwilę zawiesił głos. – Ten fragment historii może się wam nie spodobać – ostrzegł. – Coś poszło nie po jej myśli i orkowie, których tu ściągnęła,

przeszli przemianę. Nie stali się mniej wojowniczy, ale stracili swoją naturalną inteligencję. I ten defekt nasilił się w następnych pokoleniach.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy głupi? – zapytał Haskeer prowokacyjnie.

– Nie, jesteście... tacy jak trzeba. Tylko ty, Stryku, jesteś taki jak wasi przodkowie. Jesteś anomalią. Najmniej różnisz się od orków z waszego ojczystego świata.

– Jeżeli orkowie zostali... odmienieni przy przejściu przez portal, skąd pewność, że to się nie powtórzy? – zapytał z powątpiewaniem Alfray. – Czy to bezpieczne?

– Całkowicie. Wypadek, jeśli możemy go tak nazwać, zdarzył się dlatego, że Vermegram nie miała doświadczenia w posługiwaniu się portalem. Instrumentaria zapobiegną powtórzeniu tego wypadku.

Rozległo się głośne walenie do drzwi.

– Nawet demony szybko się przez nie nie przebiją – uspokoił Serafim. – Już kończę. Vermegram chciała tu sprowadzić orków, ale uruchomienie portalu sprawiło, że istoty z innych światów, mające dostęp do własnych portali, również mogły do nas przybyć. Przypuszczam, że większość z nich trafiła tu przypadkowo. Portal w swoim naturalnym stanie jest niewidzialną szczeliną w czasoprzestrzeni, przez co trudno go znaleźć. Ale można wpaść do niego przypadkiem.

– Zaraz, zaraz... – powiedziała Coilla. – Vermegram była najadą, prawda? Skąd się wzięła w tym świecie przed...

– Nie była najadą. Była człowiekiem.

– Ale przecież mówi się, że... – Coilla przeniosła wzrok na Sanarę. – Jej córki są symbiontami, prawda? Skąd domieszka krwi najad w ich żyłach?

– To się stało, kiedy Vermegram nosiła córki w łonie. A wtedy istniała tu już kolonia najad.

– Nie rozumiem.

– Znalazła sposób, żeby wstrzyknąć nasienie najady swojemu nienarodzonemu dziecku.

– Po co miałyby to robić?

– Wiedziała, że najady zawsze rodzą trojaczki. Sama również tego chciała i wydawało jej się, że wydobyła z organizmu najady tę jego cząsteczkę, która za to odpowiada. Niedługo potem jedno dziecko, które miała urodzić, zmieniło się w troje. Vermegram powodowała w równym stopniu ciekawość, jak i chęć posiadania trojga potomstwa.

Serafim posłał Sanarze współczujący uśmiech.

– Już ją lubię – mruknął Jup.

– A po co jej byli orkowi wojownicy? – zainteresował się Stryk. 224

– Chciała pokonać pewnego czarownika, Tentarra Arngrima. On jeden widział, jak moc deprawuje ją coraz bardziej, jak przez magię Vermegram staje się coraz bardziej natrętna i okrutna. Kiedy próbował temu zapobiec, zwróciła się przeciwko niemu. Ironia losu polega na tym, że wcześniej byli kochankami. Doczekali się nawet potomstwa, zanim Vermegram uległa pokusie zła. – Serafim przytulił Sanarę. – Oto ich dziecko. Oto moja córka.

To wywołało ogólne poruszenie.

– Za dużo tego dobrego – poskarżył się Haskeer.

– Sporo nam tego zważyłeś na głowy, Serafimie – zawtórował mu Alfray.

Serafim uciszył orków podniesieniem ręki i mówił dalej:

– Jestem Tentarr Arngrim, czarnoksiężnik, niegdyś potężny, dziś znacznie słabszy. – Siła jego słów uciszyła orków w mgnieniu oka. – To ja sporządziłem instrumentaria. Stworzyłem je dzięki alchemii i zahartowałem magią, kiedy jeszcze władałem pełnią mocy.

– Po co?

– Żeby umożliwić starszym rasom powrót do ich macierzystych światów, gdyby miały na to ochotę. W tym celu musiałem jakoś sterować portalem. Można powiedzieć, że instrumentaria są kluczem do niego.

Przyniosłem je tutaj, ale Vermegram nasłala na mnie swoich żołnierzy, którzy je zabrali i ukryli. To doprowadziło do wojny między nami. Vermegram zginęła, zachowawszy zaledwie cień dawnej mocy, ale i ja zostałem ogromnie osłabiony. Zanim rany się zagoiły, instrumentaria poszły w rozsypkę, a magia prawie zanikła. Gwiazdy przeszły do legendy, a ja już nie mogłem zrobić nowych. Czekałem całe eony, aż ktoś je znajdzie. Bo wiedziałem, że tak się stanie. Wiedziałem, że pojawią się w końcu istoty, które usłyszą gwiazdną muzykę.

Od strony drzwi dobiegło jeszcze głośniejsze łomotanie, ale mało kto zwrócił na nie uwagę.

– Mówiłem, że do mnie śpiewały! – wykrzyknął Haskeer.

– Jeśli je słyszałeś, to musisz mieć mózg... nieco podobny do mózgu kapitana. Masz w sobie coś z anomalii, sierżancie.

Promieniejący dumą Haskeer wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Niewykluczone, że to najbardziej niezwykła z twoich nowin – zauważyła kwaśno Coilla.

– Nie twierdzę, że wasz towarzysz ma równie bystry umysł jak Stryk...

– Bo nie ma – wtrącił Jup. – To ćwok.

Haskeer skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.

– Wolałbym chyba określenie „nieoszlifowany diament” – stwierdził dyplomatycznie Serafim.

Sluaghy znów zaatakowały drzwi. Między dwoma skrzydłami wrót pojawiła się pierwsza szpara.

– Musimy odzyskać pozostałe gwiazdy i uruchomić portal – stwierdził Serafim, a widząc malujące się na twarzach orków powątpiewanie, dodał: – Zastanawiacie się, co wy będziecie z tego mieli? Musicie się pogodzić z tym, że ten świat należy do ludzi, bez względu na to, jakie mają wady i zalety.

– Mamy zostawić ludzi, żeby tarzali się we własnym gównie? – spytała

Coilla. – Po tym, jak doprowadzili świat do ruiny?

– Może nie zawsze tak będzie wyglądał. Może coś zmieni się na lepsze?

– Nie zdziwisz się chyba, jeśli powiem, że trudno nam w to uwierzyć?

Cienkie jak glisty macki zaczęły się przeciskać przez szparę w drzwiach. Sanara wycelowała w nie swoją broń. Szklana rura wypełniła się światłem i wystrzelił z niej promień złocistej energii. W umysłach orków rozległ się wrzask. Z glist zostały dymiące strzępy.

– Ktoś musi tu zostać i pilnować portalu – zapowiedział Serafim. – Reszta pójdzie po gwiazdy.

Haskeerowi bardzo spodobały się jego słowa.

– Nareszcie zaczynasz mówić do rzeczy. Bo już mi łeb pękał od tego twojego głędzenia.

Stryk wybrał szeregowców, którzy mieli zostać przy portalu z Serafimem i Sanarą.

– Ty też, Alfrayu – dodał.

– Znów chcesz wyłączyć staruszka z akcji?

Stryk wziął kaprała na stronę.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego jesteś mi tu potrzebny? Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby portal dostał się w ich łapy. Jest na to zbyt ważny. Chłopakom przyda się ktoś z doświadczeniem. To gorące głowy. Sam widzisz, jacy są podenerwowani.

Alfrayu niechętnie przyznał mu rację.

Podeszła do nich Sanara.

– Posłuchaj, Stryku. Wiem, że nie spodoba ci się ten pomysł, ale zostaw mi tę jedną gwiazdę, którą masz. – Uciszyła go gestem, zanim jeszcze zdążył zaprotestować. – Dzięki niej będę mogła łatwiej czerpać moc z portalu i chronić twoich żołnierzy. Poza tym teraz, kiedy jesteś już dostrojony do śpiewu gwiazd, slughy nie zdołają ich przed tobą ukryć. A ta, którą masz przy sobie, tylko by ci przeszkadzała w ich znalezieniu.

Miała rację. Stryk nie był zachwycony, ale musiał się z nią zgodzić. Wyjął gwiazdę zza pazuchy i oddał ją Sanarze.

Orkowie zaczęli się przygotowywać do wymarszu. Coilla i Serafini znaleźli się na uboczu.

– Mówiłeś, że chcesz odkupić swoje winy... – odezwała się orczyca. – Ale z twoich słów wynika, że to Vermegram jest winna tego bałaganu.

– Nie do końca. Bo widzisz... Hm... Byliście wtedy podwładnymi Jennesty... no i...

– Wykrztuszę wreszcie!

– Wynająłem koboldy, żeby zabrały wam pierwszą gwiazdę.

– Ty podstępny draniu!

– Służyliście Jenneście. Tak mi się przynajmniej wydawało. A ja właśnie postanowiłem odnaleźć i zebrać wszystkie gwiazdy, więc...

– Więc wykorzystanie koboldów wydało ci się dobrym pomysłem. Ale cię oszukały, prawda?

Serafim pokiwał głową.

– Więc to przez ciebie wleźliśmy w to bagno. Przez ciebie i twój brak dyscypliny po najeździe na Domostwo. – Coilla zerknęła na resztę orków. – No, już sobie wyobrażam ich komentarze, jak się o tym dowiedzą. Ale nie pisnę słówka, dopóki nie załatwimy sprawy do końca. O ile w ogóle nam się uda. I bez tego mamy dość zmartwień.

Mężczyzna podziękował jej półgłosem.

Drzwi ustąpiły. Serafim i Sanara natychmiast do nich podbiegli i wycelowali szklaną broń w stłoczone w wejściu sluaghy. Dwa żółte promienie wdarły się w masę ciał. Rozległy się ohydne wrzaski, w powietrzu rozszedł się odór przypalonego mięsa.

– To już koniec. – Serafim odrzucił szklaną rurę. – Wyczerpały się. Od tej pory jesteście zdani na siebie.

– Jeżeli się rozdzielimy, spotykamy się tutaj – przypomniał Stryk. – A

teraz biegiem!

Orkowie ruszyli, brodząc po kolana we wnętrznościach.

Stryk nie zdawał sobie sprawy z delikatnego wołania gwiazdy, dopóki nie stłumiła go dzieląca go od niej odległość – a był wtedy z orkami blisko wyjścia z podziemnego labiryntu.

Ledwie jednak wpadli na następne schody, uświadomił sobie, że niebiańska pieśń dobiega z innego miejsca. Chwilę później znaleźli się w słabo oświetlonym korytarzu, który prowadził do olbrzymiej komnaty.

W komnacie roiło się od demonów.

Stryk stanął na czele szarży, słysząc w głowie coś na kształt triumfalnych akordów.

Sluaghy nie miały pojęcia, co je zaatakowało; były ślepe i głuche na wszystko oprócz zewu szczepionych gwiazd, leżących na stole pośrodku pomieszczenia. Włócznie śmignęły w powietrzu i przeszły ciała demonów zwieszających się z sufitu. Topór Jupa wgrzył się głęboko w kudłaty, szary grzbiet. Coilla we wściekłym ataku obcięła jednemu z potworów łeb.

Dopiero wtedy sluaghy zareagowały. Kilkanaście z nich odwróciło się do napastników, pospiesznie przekształcając kończyny w śmiercionośne narzędzia. Jeden przybrał postać węża, rozdziawił wielką jak u smoka paszczę z ociekającymi śliną kłami i rzucił się do ataku. Drażący ból znów wypełnił głowy orków; kilku szeregowców osunęło się na ziemię, zatykając rękami uszy, ale reszta walczyła zapamiętale.

W końcu upór Rosomaków został nagrodzony i ostatnie sluaghy musiały uznać ich wyższość. Większość demonów leżała na posadzce, krwawiąc obficie. Odcięte kończyny dygotały w pośmiertnych drgawkach. Ostatnie dwa potwory broniły się pod ścianą naprzeciw wejścia. W desperackim huraganie kłów i szponów próbowały jeszcze przebić się do gwiazd, ale od celu oddzielała je połowa oddziału orków. Pokonane, ociekające krwią z tuzina ran, odwróciły się i uciekły, falującym ruchem przemierzając

pobliskie schody.

Wraz z nimi odszedł ból. Rosomaki pozbierały się, zdziwione, że wciąż żyją. Haskeer podszedł do stołu, żeby zgarnąć gwiazdy. Ale gwiazd nie było. Stryka również.

Widział, jak jeden ze sluaghów, korzystając z zamieszania, porwał gwiazdy, wymknął się z nimi na przylegający do komnaty taras i zwinnie zaczął uciekać po zewnętrznej ścianie budowli. Stryk z włócznieą w ręce popędził w górę po schodach w nadziei, że dogoni potwora.

Schody rozdzielały się i na jednej z odnóg Stryk zobaczył sluagha, który właśnie ześlizgiwał się w dół. Dzieliło ich najwyżej sześć metrów. Ork z całej siły rzucił włócznieą. Demon padł jak ścięty.

Jeszcze żył. Wyciągnął łapę, żeby przyciągnąć gwiazdy, które wypuścił przy upadku. Stryk doskoczył do niego i odciął mu kończynę, ale sluagh się nie poddawał: chlasnął na odlew podobną do noża macką i rozciął orkowi rękę powyżej łokcia. Stryk cofnął się, trzymając się za zranione ramię, i odczekał, aż demon umrze. A wtedy porwał gwiazdy z podłogi i zaczął biec.

Niedaleko rozwidlenia usłyszał odgłosy walki. Uskoczył w cień. Minęła go sfera sluaghów, ustępujących przed naporem większego oddziału żołnierzy. Stryk zmrużył oczy. Półmrok utrudniał rozpoznanie walczących, ale w końcu zobaczył ich jak na dłoni.

Ludzie i orkowie.

Mnogowie.

Po ostatnich rewelacjach Serafima niewiele mogło go zaskoczyć, ale ten widok zrobił na nim wrażenie. Pocieszał się tylko tym, że choć nie miał pojęcia, co Mnogowie robią w zamczysku, z pewnością utrudnią życie sluaghom. Byli sojusznikami, choć niekoniecznie przyjaciółmi. Zanosilo się na to, że za chwilę dotrą do rozwidlenia schodów i zablokują mu drogę ucieczki. Schował więc gwiazdy za pazuchę i zaczął się przemykać w

jedynym możliwym kierunku, czyli do góry.

Starając się nie myśleć o ranie – była bolesna, ale zdarzało mu się już odnosić poważniejsze obrażenia – przystanął na najbliższym podeście i wyteżył słuch. Szczęk broni cichł w oddali; slughy i Mnogowie zeszedli zapewne na dół, tą samą drogą którą on też miał nadzieję podążyć. Z mieczem w ręku ruszył do góry, wypatrując drogi, którą mógłby obejść walczących i wrócić do portalu.

Domyślał się, że znajduje się blisko szerokiej ściany frontowej. Zatrzymał się przy oknie, żeby zawiązać na ramieniu opaskę uciskową kiedy jego uwagę zwrócił jakiś ruch na dworze. Wyjrzał przez rozbitą szybę, pod zwieszającymi się z górnej krawędzi framugi soplami.

Na ośnieżonej równinie kłębiła się ogromna armia. Kolumny żołnierzy maszerowały na zamek, inni wojownicy już tłoczyli się przy bramie.

Odgłos chwiejnych kroków wytrącił go z zadumy. Odwrócił się, podnosząc miecz.

Ktoś wyszedł z cienia. Kulał.

Stryk nie wierzył własnym oczom.

– Co trzeba zrobić, żebyś wreszcie zdechł? – zapytał, chociaż adresat pytania był już chyba na wpół martwy.

– To nie takie proste – odparł Micah Lekmann. Płomień szaleństwa rozświetlał jego oczy. – Nie wiem, jak się tu dostałem, nie wiem, skąd ty się tu wzięłeś, i nie mogę uwierzyć, że otrzymałem jeszcze jedną szansę zabicia cię. Może jednak są jacyś bogowie.

Bredził. Stryk pomyślał, jak Lekmann musiał śledzić Rosomaki na lodowcu, w skąnym, podszytym wiatrem ubraniu. Miał zaczerwienione, podkrążone oczy i czarne od odmrożeń palce u lewej ręki.

– To obłąd, Lekmann. Daj spokój.

– Nigdy!

Uderzył mieczem, nisko, niebezpiecznie. Stryk uskoczył, ale Lekmann

napierał z furią szaleńca i przylepionym do twarzy obłąkanym uśmiechem. Stryk sparował i sam zaatakował. Jego uderzenia, choć skuteczne, zdawały się słabe i niepozorne. Lekmann przyjmował je ze spokojem i dalej parł do przodu. Przemieszczali się po korytarzu tam i z powrotem. Stryk rozpaczliwie wypatrywał luki w obronie człowieka i szansy na rozprawienie się z kolejną niepotrzebną przeszkodą. Nie było to łatwe. Lekmann wyzbył się wszelkiego strachu i ostrożności. Walczył jak wściekłe zwierzę.

Błysk światła oślepił Stryka. Oszołomiony cofnął się poza zasięg miecza Lekmanna i zacisnął powieki. Kiedy je otworzył, przed oczami latały mu plamy, jakby za długo wpatrywał się w słońce, ale zaczynał już coś widzieć.

Lekmann stał przed nim nieruchomo. Wypuścił miecz.

W jego piersi ziała olbrzymia dziura, przez tryskającą krew przezierały białe odłamki żeber, osmolone krawędzie rany dymiły. Stryk widział przez nią ścianę za plecami mężczyzny.

Lekmann jakby od niechcienia spuścił głowę i spojrzał w głąb otworu. Nie sprawiał wrażenia cierpiącego, choć ból musiał być straszliwy. Na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia i urażonej dumy. Nagle rzygnął krwią, zachwiał się jak pijany i runął na twarz. Cały czas dymił.

Stryk stał z rozdziawionymi ustami, próbując ogarnąć rozumem całą sytuację, gdy z cienia wynurzyła się kolejna postać.

Na widok Stryka twarz Jennesty wykrzywił paskudny grymas. Wydała wrzask gniewu i triumfu, który przeszył go jak sztylet. Podniosła ręce, zapewne gotując się do zadania mu ostatecznego ciosu.

Nie czekał. Już był w ruchu, ale i tak tylko o włos uniknął oślepiającej błyskawicy, która trafiła w rzeźbioną kolumnę. Odłamki marmuru bryznęły na wszystkie strony.

Potykając się, skoczył na kolejny odcinek schodów. Drugi piorun uderzył nad jego głową. Posypał się tynk. Stryk na wpół stoczył się, na

wpół zeskoczył z szerokich schodów. Na najbliższym podeście i w odchodzącym od niego korytarzu Mnogowie walczyli ze slughami. Wyminął ich i zbiegł po następnym odcinku schodów. Pieśń gwiazd prowadziła go prosto do portalu.

 Nie miał szans do niego dotrzeć.

ROZDZIAŁ 25



– Wyczuwasz coś? – zapytał, nie odwracając się Serafim.

Stał plecami do ozdobnego portalu i rozglądał się po komnacie. Nic się w niej nie poruszało, tylko znad leżących przy wejściu trucheł sluaghów unosił się rzadki opar.

– Tak – odparła Sanara. – Są blisko.

– Kto? – spytał Alfray.

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie jeden z szeregowców przy drzwiach dał znak ręką i chwilę później do środka wpadł cały oddział Rosomaków.

Alfray powiódł wzrokiem po ich twarzach.

– Gdzie Stryk?

– Mieliśmy nadzieję, że tutaj – odparła Coilla i pokrótce wyjaśniła, co się stało.

– To nic pewnego, ale nie wyczułem zakłóceń w pajęczynie życia, które mogłyby oznaczać, że Stryk nie żyje – powiedział Serafim.

– Że co? – zdziwił się Haskeer.

– To kwestia wrażliwości. Nie mam czasu teraz tego tłumaczyć. Co z gwiazdami?

– Nie wiem – przyznała Coilla. – Może Stryk je ma? Zniknęli jednocześnie. Ale coś wam muszę powiedzieć: do zamku wdarła się armia Mnogów. Walczą ze sluagami.

- Potwierdzają się nasze podejrzenia. Jennesta już tu jest.
- Na bogów!
- Musimy znaleźć Stryka i w miarę możliwości posiać zamęt w szeregach Jennesty. Nie możemy dopuścić do tego, żeby zdobyła przewagę.
- Wezmę paru szeregowców i pójdziemy go poszukać zaproponował Jup.
- Sanara pójdzie z wami. Stąd będę mógł przekazywać jej moc. – Serafim spojrzał pytająco na córkę. – Pójdiesz, Sanaro?
- Oczywiście.
- W jaki sposób jej obecność pomoże nam w poszukiwaniach Stryka?
- W żaden. Ale jeżeli uda wam się przemycić ją w bezpieczne miejsce w pobliżu intruzów, może nabruździmy trochę Jenneście. Zaufajcie mi.
- Co ze Strykiem? – upomniała się Coilla.
- Może znajdziecie go, idąc z Sanarą.
- A jeśli nie? Nie możemy zostawić jednego z naszych!
- No to się rozdzielcie. Byle szybko!
- Reafdaw! – krzyknęła Coilla. Wywołany szeregowiec podbiegł do niej. Krew kapłała mu z rozciętego ucha. – Zostaniesz z Alfrayem. Haskeer, my szukamy Stryka. Reszta pójdzie z Jupem.

Rosomaki zaczęły się szykować do wyjścia. Jedni orkowie dopijali resztki wody z manierek, inni opatrywali sobie rany.

W końcu Haskeer – jako najwyższy stopniem – wydał rozkaz i dwie grupy ruszyły w drogę.

Zejście do piwnicy kosztowało Stryka wiele sił i wymagało sporych umiejętności.

Na każdym kroku spotykał ścierających się Mnogów i slughy. Starał się nie mieszać do tych bitew: walczących obchodził bokiem, a przed tymi, którzy szukali zaczepki, wolał się chować. Jego szczęście się skończyło, kiedy skręciwszy za róg korytarza, stanął oko w oko w dwoma orkami.

Przez ułamek sekundy żywił jeszcze nadzieję, że wezmą go za żołnierza z hordy Jennesty, niestety go rozpoznali.

– To Stryk! – zawołał pierwszy.

Ruszyli na niego z bronią wzniesioną do ciosu. Postanowił popробować dyplomacji.

– Hola, chwileczkę! – podniósł ręce w pokojowym geście. – Nie musimy się bić.

– Musimy – odparł jeden z orków. – Jesteś na pierwszym miejscu czarnej listy naszej pani.

– Kiedyś była też moją panią. Z pewnością przekonaliście się, że nie przepada za orkami.

– Karmi nas i daje dach nad głową. Niektórzy nadal wiernie jej służą.

– I myślicie, że ona będzie wobec was równie lojalna?

Stryk odniósł wrażenie, że drugi ork, nie ten, który nazwał go po imieniu, zaczyna się wahać.

– Dostaniemy nagrodę za twoją głowę – odparł pierwszy. – Jeśli darujemy ci życie, nagrody nie będzie.

– Nie powinniśmy walczyć między sobą. Jesteśmy orkami.

– Marzy ci się braterstwo orków? Nie tym razem, stary. Przykro mi. – Ork ruszył naprzód. – Nie traktuj tego osobiście, kapitanie. Ja tylko robię, co do mnie należy.

– Uważaj, Freendo! – ostrzegł go drugi ork. – Zadzieras z Strykiem. Wiesz, co o nim mówią.

– Jest tylko orkiem, prawda? Jak my.

Freendo zaszarżował i zamierzył się do cięcia. Stryk spiął się, czekając na cios. Gdyby miał wybór, wolałby tego przeciwnika unieszkodliwić, niż zabić. Kątem oka zauważył, że drugi szeregowiec nie rwie się do walki.

Miecze szczękęły głośno w zakurzonej korytarzu. Stryk uderzył w klingę napastnika, usiłując go rozbroić, mimo że tamten miał najwyraźniej

mordercze zamiary i dokładał starań, żeby ciąć jak najboleśniej.

Pojedynek się przeciągał. Stryk przeszedł do obrony, ale pomału zaczynał się niepokoić. Nie powinien tracić czasu na takich półgłówków. Jeżeli musi się z nimi rozprawić, trudno; dostali swoją szansę – i jej nie wykorzystali. Natarł mocniej, szukając okazji do zadania śmiertelnego ciosu. Jego przeciwnik był wprawdzie orkiem, ale przy tym niezbyt wybitnym szermierzem. Zaczął się cofać. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

Stryk dostrzegł swoją szansę. Szeregowiec spróbował niskiego, zamaszystego cięcia i całkiem odsłonił korpus i głowę. Stryk uderzył go płazem miecza w twarz. Chrupnęły strzaskane zęby i ork zatoczył się do tyłu, wypuszczając miecz. Niewiele brakowało, żeby się przewrócił. Splunął krwią.

Stryk nogą odtrącił jego broń na bok i podszedł bliżej. Blady jak ściana szeregowiec czekał na kończący cios.

– A teraz won mi stąd! – warknął Stryk. Drugiemu, wahającemu się orkowi posłał złowieszczy uśmiezek.

Przez chwilę patrzyli na niego zdumieni, a potem okręcili się na pięcie i rzucili do ucieczki. Stryk westchnął i ruszył w swoją stronę.

Co za ironia losu, pomyślał. Doszło do tego, że muszą walczyć z orkami i z ludźmi, którzy jeszcze niedawno byli moimi sprzymierzeńcami.

Oddział Jupa, skupiony wokół Sanary, przebił się na szczyt wieży.

Tam znaleźli pustą kamienną komnatę. Kilku orków zostało przy drzwiach, a Jup z Sanarą wyszli na taras.

Armia Jennesty zajmowała większość rozciągającego się w dole lodowego pustkowia. Przy bramie zrobił się ścisk, kiedy wszyscy naraz próbowali wdrzeć się na dziedziniec; nagle ktoś krzyknął i żołnierze zadarli zgodnie głowy. Pod niebem krążyły smoki.

– Tego nam jeszcze brakowało, słowo daję! – zasmucił się krasnolud.

Ale w tej samej chwili smoki zanurkowały i zionęły ogniem na wojsko Jennesty. Z wieży odpowiedziały im nieśmiało wiwaty.

– To pewnie Glozellan – domyślił się Jup. – Pięknie!

Odwrócił się rozpromieniony do Sanary, która zamknęła oczy i podniosła rękę.

Zdumieni orkowie bez słowa śledzili jej ruchy.

Alfray i Reafdaw obserwowali Serafima, który chyba wpadł w trans. Podniósł rękę, oczy mu się zaszklily i całkowicie zapomniał o przyglądających mu się orkach.

Od strony portalu dobiegło dziwne, niskie buczenie. Alfray podszedł bliżej i ostrożnie wyciągnął rękę. Poczował ciepło i miłe mrowienie.

Odsunął się od portalu, spojrzął na Reafdawa i wzruszył ramionami. Nic z tego nie rozumiał.

Przechodząc obok strzaskanego okna, Stryk wyjrzał na zewnątrz. Armia Jennesty zajmowała większość widocznej lodowej przestrzeni, ale to nie ona przyciągnęła jego wzrok.

Spojrzął w niebo.

Najlepsze porównanie, jakie przyszło mu do głowy, to płótno, na którym namalowano obraz – tyle że ten obraz poruszał się i zmieniał na jego oczach. Nagle zdał sobie sprawę, że ogląda podobną wizję jak ta, którą przywołał z portalu Serafim, tyle że rozpiętą na całym olbrzymim obszarze zasnutego ołowianymi chmurami nieba. Przedstawiała tę samą orkową krainę, spokojną, żyzną i wspaniałą.

Z dołu dobiegały coraz głośniejsze krzyki. Nie były to jednak okrzyki bojowe ruszających w bój żołnierzy, lecz głosy zdumienia – i rozgoryczenia.

Stryk docenił plan czarownika. Jak lepiej posiać niezadowolenie w szeregach wroga, niż ukazując żołnierzom fałsz ich dotychczasowej egzystencji? Do tego dochodził lęk przed demonstracją nadprzyrodzonych

mocy. Orkowie – nawet jeśli nie od razu postanowią porzucić Jennestę – z pewnością będą przede wszystkim zaskoczeni, ale to może wystarczyć. Serafim potrzebował tylko trochę czasu.

Usłyszał tupot stóp. Ktoś biegł w jego stronę. Stryk przygotował się na kolejny pojedynek, ale to tylko oddział Coilli i Haskeera przebiegał sąsiednim korytarzem.

– Bogom niech będą dzięki! – ucieszyła się orczyca. – Baliśmy się, że już po tobie.

– Jennesta tu jest!

– Zauważyliśmy – odparła z przekąsem Coilla.

– Wracamy do podziemi!

Pognali na złamanie karku, wycinając w pień napotkanych po drodze wrogów. Przerzynali się przez zamkowy chaos jak nóż przez szyję kurczęcia. Zdyszani i – mimo chłodu – spoceni wpadli do komnaty z portalem.

Serafim trwał w transie, Alfray i Reafdaw nie spuszczały z niego oka. Nad portalem unosiła się pomniejszona kopia obrazu, który rozpościerał się na niebie.

Po krótkiej chwili czarownik oprzytomniał, obraz zamigotał i zgasł.

– Dłużej nie dam rady – wydyszał Serafim. Wyglądał jak człowiek, który ciężko przepracował cały dzień.

– Sprytna sztuczka – pochwalił go Stryk. – Co dalej?

Zanim Serafim zdążył odpowiedzieć, wrócił oddział Jupa. Podekscytowani orkowie cały czas dyskutowali o przedstawieniu, które oglądali na dworze. Byli pokrwawieni, zdyszani – ale cali i zdrowi. Sanara rzuciła się ojcu w ramiona.

– Daj mi instrumentaria – polecił Strykowi Serafim.

Ork podał mu cztery szczipione gwiazdy i odebrał piątą od Sanary. Serafim zręcznie dołączył ją do pozostałych.

– Jednego wam nie zdradziłem – przyznał się.
– Czego? – spytała podejrzliwie Coilla.
– Uruchomienie portalu spowoduje uwolnienie olbrzymiej energii, która najprawdopodobniej zniszczy zamek.
– Teraz nam to mówisz?!
– Gdybym powiedział wcześniej, moglibyście zmienić zdanie.
– Czy to nam może uniemożliwić skorzystanie z portalu? – zapytał Stryk.
– Nie, jeśli szybko przez niego przejdziecie.
Orkowie spojrzeli po sobie z powątpiewaniem. Serafim zwrócił ich uwagę na narastający zgiełk.
– Nie macie wielkiego wyboru: albo portal, albo ogólne zamieszanie.
Stryk skinął głową.
Serafim stanął przed jednym z większych, zdobionych klejnotami monolitów. Położył na nim połączone gwiazdy.
– To wszystko? – zdziwił się Haskeer.
– Zaczekajcie.
W przestrzeni nad podwyższeniem pojawił się cudowny obraz. Przypominał odwrócony wodospad z milionów złotych gwiazd, które nieustannie płynęły i wirowały. Podłoga drżała od pulsującej energii.
Wszyscy wpatrywali się w kaskadę jak urzeczeni. Gwiazdki rzucały delikatne światło na ich twarze, ubrania i otaczające ich ściany.
– Muszę dostroić portal do waszego portu docelowego – wyjaśnił Serafim, podchodząc do podwyższenia.
– Jakie to piękne – szepnęła Coilla.
– Niesamowite... – zgodził się z nią Jup.
– I moje!
Wszyscy się odwrócili.
W drzwiach stała Jennesta, a obok niej oszpecony generał Mersadion.

Serafim pierwszy odzyskał mowę.

– Spóźniłaś się.

– Miło cię widzieć, drogi ojczy – odparła z sarkastycznym uśmiechem Jennesta. – Przyprowadziłam oddział straży królewskiej. Możecie się poddać albo zginąć. Dla mnie to bez różnicy.

– Nie wierzę – wtrąciła Sanara. – Nie przepuściłabyś okazji, żeby zabić tych, którzy w twoim mniemaniu cię oszukali.

– Jak ty mnie dobrze znasz, siostrzyczko... Miło cię znów spotkać osobiście. Nie mogę się doczekać, kiedy zmasakruję to piękne ciało.

– Jeśli myślisz, że poddamy się bez walki, to grubo się mylisz – zapowiedział Stryk. – Nie mamy nic do stracenia.

– Kapitan Stryk... – Z pogardliwą miną Jennesta spojrzała na orków. – I Rosomaki. Nie macie pojęcia, jak się cieszę na wasz widok. Rzucić broń! – rozkazała głosem ostrym jak stal.

Zrobiło się ogólne poruszenie. Alfray skoczył na Jennestę z mieczem w dłoni.

Mersadion zastąpił mu drogę; miecz generała błysnął i zagłębił się w piersi kaprała. Mersadion wyszarpnął broń, a Alfray ciągle stał, patrząc, jak krew spływa mu po rękach.

Zachwiał się i upadł.

Przez chwilę wszyscy stali jak wrośnięci w ziemię.

Nie trwało to długo. Haskeer, Jup, Coilla i Stryk zgodnie rzucili się na Mersadiona, dając upust swojej wściekłości. Gdyby nie panujący w komnacie ścisk, wszyscy szeregowcy poszliby w ich ślady.

Mersadion nawet nie zdążył krzyknąć. Zginął w kilka sekund, posiekany na kawałki.

Orkowie odwrócili się od zmasakrowanego ciała i ruszyli na Jennestę, niesyci zemsty. Czarownica nakreśliła w powietrzu skomplikowany wzór.

– Nie! – krzyknął Serafim.

Między palcami Jennesty rozbłysła mała ognista kula, pomarańczowa jak miniaturowe słońce. Jennesta rzuciła ją przed siebie. Orkowie się rozproszyli, a kula z szybkością błyskawicy przemknęła nad ich głowami i eksplodowała w zderzeniu ze ścianą. Jennesta już formowała następną.

Serafim i Sanara razem stawili jej czoło. Podnieśli ręce i wyrosła przed nimi ściana widmowych płomieni, która niczym tarcza osłoniła ich i orków. Rzucona przez Jennestę kula ognia rozpląnęła się w niej, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Cudowny obraz nad portalem bynajmniej nie zniknął, ale jego niszczycielski charakter stawał się coraz bardziej oczywisty. Basowy grzmot zachwiał fundamentami zamczyska. Nie zwracając na niego uwagi, orkowie stłoczyli się wokół Alfraya.

Coilla i Stryk uklękli przy kapralu. Zdawali sobie sprawę, że rana jest poważna. Coilla wzięła go za rękę. Spojrzała w oczy Stryka.

– Źle z nim, kapitanie.

– Alfrayu – powiedział Stryk. – Alfrayu, słyszysz mnie?

Stary kapral z wysiłkiem otworzył oczy. Widok towarzyszy broni chyba sprawił mu ulgę.

– Więc tak... to się... kończy...

– Wcale nie – zaproponowała Coilla. – Opatrzymy ci ranę i...

– Nie musicie... mnie... okłamywać. Nie teraz. Chcę usłyszeć... prawdę... Chcę... odejść... zgodnością.

– Cholera, Alfray – wyszeptał Stryk zdławionym głosem. – To ja cię w to wpakowałem. Przepraszam.

Alfray uśmiechnął się słabo.

– Razem się... wpakowaliśmy... To była... dobra... misja, prawda, Stryku?

– Oczywiście. Doskonała. A ty byłeś najlepszym kompanem, jakiego ork może sobie wymarzyć, stary druhu.

– Potraktuję to... jako komplement. Przyjmuję go... z dumą.

Usta Alfraya jeszcze się poruszały, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Stryk pochylił się i przytknął ucho do ust kaprała.

– Miecz... – usłyszał.

Wcisnął swój miecz w drżącą dłoń Alfraya i pomógł mu zacisnąć na nim palce.

– Nie zapominajcie... o przeszłości... o tradycjach...

– Nie zapomnimy – zapewnił go Stryk. – Tak jak i o tobie. Nigdy nie zapomnimy.

Ziemia zadrżała od następnego grzmotu. Tynk posypał się z sufitu. Z boku, pod ścianą, Jennesta walczyła z siostrą i ojcem w blasku niezemskiego światła.

Alfray oddychał z coraz większym trudem.

– Wypiję... za was wszystkich... Wzniosę toast... w Vartanii...

I po raz ostatni zamknął oczy.

– Nie – jęknęła Coilla. – Alfrayu, nie! – Potrząsnęła kapralem. – Jesteś nam potrzebny! Nie zostawiaj nas! Potrzebujemy cię! Alfrayu?!

Stryk położył jej ręce na ramionach i spojrzał w oczy.

– On... on już odszedł, Coillo. Nie ma go wśród nas.

Patrzyła na niego tępo, jakby jego słowa w ogóle do niej nie docierały.

Orkowie nie umieli płakać. Płacz był specjalnością ludzi. Ale mgła, którą zaszyły oczy Coilli, przeczyła temu.

Jup skrył twarz w dłoniach. Haskeer spuścił głowę. Otępiali z żalu szeregowcy milczeli.

Stryk delikatnie wyjął miecz z dłoni Alfraya. Spojrzał na czarodziejów toczących magiczną potyczkę i poczuł narastający gniew. Wszyscy go poczuli – ale wraz z gniewem przyszła świadomość bezradności. Nie mogli i nie śmieli przerwać magicznych zmagania.

Niespełna minutę później problem sam się rozwiązał.

Jennesta krzyknęła, jej ognista tarcza zamigotała i zgasła. Stała na chwiejnych nogach, ze spuszczoną głową, wyczerpana. Mokre od potu czarne włosy kleiły się jej do czoła.

Magiczna zaporę chroniąca Serafima i Sanarę również rozplynęła się w powietrzu, zdmuchnięta jak płomyk świecy. Serafim przebiegł kilka kroków dzielących go od Jennesty i złapał ją za nadgarstek. Półżywa Jennesta nie stawiała oporu, kiedy zaczął ją ciągnąć w stronę portalu.

Orkowie zerwali się jak na dany sygnał i rzucili w jej stronę, gotowi posiekać ją na kawałki.

– Nie! – krzyknął Serafim. – To moja córka i ja odpowiadam za wszystko, co zrobiła. Sam się z nią rozprawię!

Jego wybuch osadził orków w miejscu.

Serafim dowlóknął tymczasem Jennestę do skraju portalu. Dopiero teraz otrząsnęła się nieco ze zmęczenia i zorientowała, co się dzieje. Przeniosła wzrok z migotliwego wiru wypełniającego portal na twarz ojca. Wyczytała z niej jego intencje, ale nie okazywała lęku.

– Nie odważysz się – wychrypiała szyderczym tonem.

– Dawniej może bym się nie odważył... zanim jeszcze uświadomiłem sobie ogrom twojego zepsucia. Ale teraz to co innego. – Trzymając dłoń córki w stalowym uścisku, Serafim pchnął ją prosto w kaskadę gwiazd. Jej palce prawie się w niej zanurzyły. – To ja sprowadziłem cię na ten świat i to ja cię z niego wyrzucam. Z pewnością docenisz elegancką symetrię tego wydarzenia.

– Jesteś głupcem – wysyczała Jennesta. – Zawsze nim byłeś. Głupcem i tchórzem. Za mną stoi cała armia. Jeżeli coś mi się stanie, zginiesz śmiercią jakiej sobie nawet nie wyobrażasz. – Zerknęła na Sanarę. – Oboje zginiecie.

– Nic mnie to nie obchodzi – oznajmił Serafim.

– Mnie też nie – dodała Sanara.

– Czasem warto zapłacić każdą cenę, jeżeli w ten sposób uwolni się

świat od zła – wyjaśnił Serafim. Przysunął dłoń Jennesty jeszcze odrobinę bliżej świetlistego wiru.

Jennesta spojrzała mu w oczy – i zrozumiała, że nie żartuje. Straciła rezon, zbladła i zaczęła się wyrywać.

– Przynajmniej umrzyj z godnością – powiedział Serafim. – A może proszę o zbyt wiele?

– Nigdy!

Serafim wepchnął dłoń Jennesty w kaskadę gwiazd, puścił ją i cofnął się o krok.

Wiła się i szarpała, próbując wyrwać rękę, ale fontanna energii trzymała ją jak imadło. Nagle uwięzione ciało zaczęło się zmieniać, pomału rozpadać na tysiące kawałeczków, które dołączyły do gwiazdnego roju. Rozpad postępował coraz szybciej i po chwili dosięgnął przegubu dłoni. Nagle wir wciągnął całą rękę Jennesty, aż po bark, i tak samo rozdrobnił ją na gwiazdki.

Orkowie patrzyli jak zauroczeni, z mieszaniną zgrozy i fascyna^{cji}.

Wir wciągnął właśnie nogę Jennesty. Rozpadała się na ich oczach. Następne poleciało pasmo włosów, jakby zassane przez jakiegoś olbrzyma. Kaskada coraz szybciej wgryzała się w ciało czarownicy.

Dopiero kiedy sięgnęła jej twarzy, Jennesta wreszcie zaczęła krzyczeć – ale krzyk ucichł niemal natychmiast, gdy wir pochłonął ją całą w kilku sporych kęsach. Resztki materii jej ciała wirowały jeszcze przez chwilę w polu energetycznym portalu, a potem rozplynęły się w nicłość.

Serafim wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Sanara podeszła do niego i objęli się ramionami.

Coilla przerwała nabożne milczenie.

– Co się z nią stało?

Serafim otrząsnął się i zebrał siły.

– Weszła w kontakt z portalem, zanim wprowadziłem docelowy punkt

podróży. Albo rozerwały ją szalejące w portalu potworne siły, albo została wyrzucona w inny wymiar. Tak czy inaczej, przepadła na dobre. Raz na zawsze.

Nie tylko Strykowi zrobiło się go żal, chociaż szczerze nienawidził Jennesty.

– Z nami też tak będzie? – zapytał.

Grzmot, który tym razem wstrząsnął posadami zamku, trwał najdłużej ze wszystkich.

– Nie, przyjacielu. Ustawię portal. Wasza przemiana będzie głęboka, ale zupełnie inna. Dla was będzie jak przejście przez otwarte drzwi. – Serafim odsunął się od Sanary. – Chodźcie, nie ma czasu do stracenia.

Stanął przy jednym z monolitów i zaczął manipulować instrumentariumi.

– A co z tobą? – zainteresowała się Coilla.

– Zostanę tutaj, w Maras–Dantii. Dokąd miałbym pójść? Tutaj albo będę świadkiem końca świata, albo może się do czegoś przydam, jeżeli ziemia zacznie się odnawiać.

Wszyscy wiedzieli, że w rzeczywistości Serafim wybrał śmierć.

– Ja też zostanę – stwierdziła Sanara. Łzy płynęły jej po policzkach. – To mój świat, na dobre i na złe.

Ziemia drżała coraz wyraźniej.

– Chodź, Jupie – zaproponował Serafim. – Najpierw ciebie wyślemy do krainy krasnoludów.

– Nie.

– Jak to? – zdziwił się Haskeer.

– Nie znam innego świata, tylko ten. Nie śnił mi się świat krasnoludów. Propozycja brzmi kusząco, ale tam bym nikogo nie znał. Byłbym obcy w obcym kraju.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – spytał Stryk.

– Tak, szefie. Dużo o tym myślałem. Zaryzykuję i zostanę.

– Mówisz poważnie? – upewnił się Haskeer.

– A co, boisz się, że nie będziesz się miał z kim kłócić?

– Do tego zawsze ktoś się znajdzie. – Haskeer zawiesił głos. – Ale to już nie będzie to samo.

Objęli się jak prawdziwi towarzysze broni.

– W takim razie weź ze sobą Sanarę – poprosił Serafim. – Zaopiekuj się nią.

Jup skinął głową, jeszcze raz powiódł wzrokiem po swoich kompanach i razem z Sanarą wyszli z komnaty.

– Musimy się spieszyć – stwierdził Serafim. – Przechodźcie.

Zakłopotani orkowie spojrzeli po sobie.

– Obiecuję, że nie stanie się wam żadna krzywda.

– Biegiem! – zakomenderował Stryk.

Gleadek wystąpił z szeregu.

– Wskakuj – powiedział Stryk i dodał łagodniejszym tonem: – Nie bójcie się, żołnierzu.

Szeregowiec wziął głęboki wdech i wszedł w portal. Zniknął.

– Szybciej! – ponaglał następnych Stryk. – Szybciej!

Jeden po drugim szeregowcy znikali w portalu. Kiedy przyszła kolej na Haskeera, wskoczył w portal z okrzykiem bojowym na ustach.

Coilla spojrzała najpierw na Serafima, potem na Stryka i poszła za Haskeerem.

Stryk i Serafim zostali sami w drżącej komnacie.

– Dziękuję – powiedział ork.

– Drobiazg. Masz. – Serafim wcisnął mu do rąk gwiazdy. – Weź^{je}.

– Nie są mi już potrzebne. Zrobisz z nimi, co zechcesz, ale teraz się ze mną nie kłóć.

Stryk przyjął dar.

– Powodzenia, Stryku z Rosomaków.

– Powodzenia, czarowniku.

Stryk stanął na krawędzi wiru. Zamek zaczynał się rozpadać, ale Serafim nie próbował uciekać. Stryk tego właśnie się po nim spodziewał. Zasalutował krótko i wszedł w portal.

Przez krótką chwilę odczuł chaos przejścia. W niewyjaśniony sposób – być może za sprawą gwiazd – mignęły mu cudowne widoki.

Zobaczył Aidana Galby’ego w sielankowej scenerii. Chłopiec trzymał za rękę Jupa i Sanarę. Zobaczył Litość Hobrow na grzbiecie jednorożca. A potem poczuł, że przyciąga go orkowa ojczyzna.

Zdążył jeszcze pomyśleć, że nie ma nic przeciwko temu, by ludzie mieli swój świat.

Odwrócił się i wszedł w światło.

DORWAJANIE



Ludzie pożerali magię.

Lodowiec był coraz bliżej i jesień nastąpiła już późnym latem. Wszędzie srożyły się wojny. Gwałt na Maras–Dantii postępował w straszliwym tempie.

Ale tego dnia żadna z tych rzeczy się nie liczyła.

Nie dla Stryka. Jedynym jego zmartwieniem było zakrzywione ostrze, które w każdej chwili mogło rozplatać mu czaszkę. Zrobił unik. Klinga przecięła powietrze. Zasłonił się tarczą i przyjął na nią następne uderzenie. Ręka mu zadrżała, kiedy przeciwnik grzmotnął w tarczę jak kowal w kowadło. Stryk przeszedł do natarcia. Wyprowadził dwa błyskawiczne pchnięcia. Metal zadźwięczał o metal i pierwsze zostało sparowane. Drugie przebiło się przez zasłonę i zmusiło przeciwnika do pospiesznego odskoku.

Dyszając ciężko, zataczali wokół siebie koła, obserwując się nawzajem i wyczekując swojej szansy.

Stryk ruszył do przodu. Tarczę trzymał przed sobą, mieczem szukał luki w obronie wroga. Wywiązała się następna wymiana ciosów. Walczyli zażarcie, żaden nie zamierzał ustąpić. Widzowie pokrzykiwali i gwizdali z podziwu.

Zasypując przeciwnika gradem ciosów, Stryk parł naprzód. Seria cięć i pchnięć przełamała obronę tamtego, ale na krótko, bo odpowiadał ciosem

za cios. Większe umiejętności Stryka w końcu jednak zrobiły swoje. Zgrzytnęła stal, kiedy odbił w bok miecz przeciwnika. Potężnym uderzeniem wytrącił mu tarczę, która potoczyła się po pożółkłej trawie. Wróg upadł na kolana. Stryk wzniosł miecz do ciosu. Wiwaty stały się ogłuszające.

Wbił broń w ziemię i odrzucił tarczę. Podał klęczącemu rękę i pomógł mu wstać.

– Nieźle, Kestix, całkiem nieźle. Ale musisz bardziej pilnować gardy.

Szeregowiec uśmiechnął się krzywo.

– Będę pamiętał, szefie.

– Uwaga! – krzyknął ktoś.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku.

– Baa... czność! – zakomenderował Stryk.

Idący w ich stronę samiec musiał liczyć sobie dobre czterdzieści wiosen. Wyprężona sylwetka i ogorzała twarz świadczyłyby o wysokiej randze, nawet gdyby nie miał tatuaży na policzkach. Kaprawymi oczami powiódł po tworzących oddział dwóch tuzinach szeregowców i czterech oficerach.

– Panie generale! – zaszalutował Stryk, przykładając pięść do piersi.

– Spocznij, kapitanie. Reszta też.

Żołnierze odprężyli się, zerkając ciekawie na towarzysza Kysthana, który dosiadał konia i trzymał się dobrego rzutu włóczni za plecami generała.

– Przepraszam, że przeszkadzam wam w zabawie – powiedział generał.
– Zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj.

– Nic się nie stało, generale. O co chodzi?

– Wiem, że brakuje wam kaprała. Znalazłem zastępcę.

Jeździec przyciągnął kolejne zaciekawione spojrzenia.

– Dziękuję, generale. Czy dołączy do nas od razu?

– Tak, kapitanie.

– W Dzień Braetagga?! – wypalił barczysty sierżant, po czym dodał

pokorniejszym tonem: – Za pozwoleniem, panie generale. Przepraszam.

Stryk posłał mu mordercze spojrzenie, ale generał był bardziej wyrozumiały.

– Nie ma za co, sierżancie...

– Haskeer, panie generale.

– ... sierżancie Haskeer. Nastaly trudne czasy. Nawet Dzień Braetagga nie jest wolny od służby. Zależy mi na tym, żeby kapral jak najszybciej przejął obowiązki, a oddział odzyskał pełnię sił.

Haskeer z powagą pokiwał głową jakby rozmawiał z równym sobie. Stryk domyślał się, że bezczelność uszła mu na sucho tylko dlatego, że było święto. Zanotował w pamięci, żeby sierżanta kazać później lekko wychłostać.

Kysthan skinął na jeźdźca.

– Ma dobrą reputację w hordzie – mówił, kiedy konny pomału się zbliżał. – Wysoką skuteczność. Zna się na strategii. Będzie do was pasować.

Jeździec osadził konia w miejscu. Spod kopyt bryznęła darń. Nowy kapral zsunął się z siodła ruchem płynnym jak rtęć.

– Kapral Coilla – przedstawił go Kysthan.

Coilla uśmiechnęła się drapieźnie.

Stryk przyjrzał się jej ciekawie. Była mniej więcej jego rówieśniczką – miała około dwudziestu lat – i prawie dorównywała mu wzrostem. Szorstka, cętkowana skóra opinała miłe dla oka sploty mięśni. Jej oczy zdradzały dumę i niepokornego ducha. Prezentowała się doskonale. I trzeba było przyznać, że jest przystojną orczycą.

Nie spuściła wzroku. Kapitan wyglądał tak, jak tego oczekiwała: zahartowany w boju, twardy żołnierz. Bijący z całej sylwetki autorytet. I ślad czegoś jeszcze, jakichś ukrytych talentów, potencjału wykraczającego daleko poza wojskowe umiejętności. Trzeba było przyznać, że przystojny z

niego ork.

Wyciągnęła rękę na powitanie.

– Witaj.

Chwycił ją po żołniersku, za przedramię, czując przyjemną wilgoć skóry. Odpowiedziała podobnym uściskiem.

– Witaj w Rosomakach.

Coilla powiodła wzrokiem po reszcie orków, na każdym zatrzymując się dosłownie na ułamek sekundy. Nieco dłużej patrzyła na jedyne w oddziale krasnoluda, którego tatuaż zdradzał rangę kaprała. Bez słowa wróciła spojrzeniem do Stryka.

– Rosomaki to prawdziwi twardziele – powiedział generał. – Ale powinnaś dać sobie radę. Historia twojej służby jest najlepszą gwarancją. Tylko pamiętaj: w takim oddziale jeden fałszywy krok może być przyczyną twojej śmierci.

– Tak jest, panie generale.

Kysthan podszedł do swojego konia. Żołnierze wyprężyli się na baczność.

– Powodzenia, kapralu. – Wyjął zza pasa czarne skórzane rękawice. – Kapitanie, proszę mnie na bieżąco informować o jej postępach. – Machnął na pożegnanie rękawicami, jakby oganiał się od much. – Wracajcie do zabawy.

Patrzyli, jak dosiada wierzchowca i odjeżdża galopem przez zatłoczony plac defiladowy. Kierował się prosto do białego jak śnieg pałacu królewskiego w Cairnbarrow. Mury budowli lśniły po porannym deszczu, wysokie wieże dźgały ołowiane chmury.

Coilla i orkowie spojrzeli po sobie.

– Co się stało z kapralem, którego mam zastąpić? – zapytała nieoczekiwanie orczyca.

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem Stryk. – Jest wojna, są ofiary.

Jeśli to ci przeszkadza...

– Nie przeszkadza. Spodziewałam się takiej odpowiedzi. Od kiedy zaczynam służbę?

– Nie kapuję, dlaczego musimy się tym zajmować w Dzień Braetagga – poskarżył się znowu Haskeer.

– Bo to dzień jak każdy inny – odparł ork, który wyglądał na najstarszego w oddziale i, podobnie jak Coilla, miał kaprałski tatuaż. Spojrzał na Stryka. – Może powinniśmy najpierw przedstawić ją chłopakom, szefie – zasugerował.

Stryk skinął przyzwalająco głową.

– Jestem Alfray – ciągnął kaprał. – Haskeera już słyszałaś. To...

– Kretyn – wtrącił krasnolud.

Haskeer spojrzał na niego z żądzą mordy w oczach.

– A to jest Jup – powiedział Alfray.

Krasnolud mrugnął do Coilli, jej zdaniem nieco kpiąco. W brodatej twarzy mignęły białe zęby.

– Spodziewałam się... – wypaliła, ale ugryzła się w język.

– Że będę wyższy?

– Że będziesz mniej... krasnoludzki. Nie wiedziałam, że tylu krasnoludów służy w orkowych oddziałach.

– Nie wy jedni umiecie się bić.

– Chyba w twoich snach – mruknął Haskeer.

– Kiedy spojrzę na twój ryj, mam tylko koszmary.

– Zamknąć się – warknął groźnie Stryk. – Obaj.

Sierzanci popadli w ponure milczenie.

Alfray odchrząknął.

– A to nasi żołnierze. – Mówiąc, wskazywał kolejnych szeregowych. – To jest Kestix. Tam stoją Finje i Zoda. Dalej Hystykk, Bhoose, Slettal, Darig. Kto tam jeszcze... Vobe, Liffin, Noskaa... hm... Calthmon, Wrelbyd,

Prooq. To Meklun, a to Reafdaw i Gant. Jad, Gleadeg, Toche, Breggin. – Zmrużył oczy. – Talag i Seafe. A, i jeszcze Nep, Orbon, Eldo. To ci z tyłu.

Niektórzy szeregowcy witali Coillę skinieniem głowy, inni zachowywali ostrożną rezerwę.

– No dobrze – powiedział Stryk, zadowolony, że formalności mają z głowy. – Tu będziecie mieszkać, kapralu. – Kciukiem wskazał długie drewniane domy, obwieszane tarczami z herbami klanów. – Na dziś nie przewiduję żadnych zajęć. Możemy zobaczyć, jak przebiegają uroczystości.

Odpowiedział mu pomruk aprobaty ze strony szeregowców.

Coilla wzruszyła ramionami.

– Czemu nie?

Poszli na główny plac. Coilla towarzyszyła oficerom, a szeregowcy trzymali się razem, korzystając z chwili łagodności Stryka i błaznując na całego.

Na uroczystość schodziły się tłumy. Najwięcej było orków, co w taki dzień nikogo nie dziwiło, ale wśród nich trafiali się także przedstawiciele innych ras, w tym ludzie z odłamu Mnogów. Rosomaki minęły grupę gremliańskich emisariuszy w surowych szarych szatach; gustownie odziani służący – elfy – załatwiali sprawy swoich panów; dumne i wyniosłe chochliki, jeźdźcy smoków, przeciskały się przez tłum. W górze szwadron smoków zataczał koła, szybując na swoich błoniastych, postrzępionych skrzydłach.

Znad leżącego na wschodzie oceanu i rozciągającego się na północy lądolodu wiał zimny wiatr. Znów zanosilo się na deszcz. Alfray otulił się ciasno kurtką i przerwał milczenie:

– Z roku na rok jest coraz gorzej. Pamiętam czasy, kiedy Dzień Braetagga był letnim świętem. A teraz?

– Ludzie! – Haskeer splunął z pogardą. – Spieprzyli całą magię.

– Tylko Jedowie – zauważył Alfray. – Z tym swoim żalonym jedynym

bogiem.

– Mnogowie, Jedowie... Co za różnica?

– Nie mów tego zbyt głośno, Haskeer – ostrzegł Stryk. – Nie chciałbyś chyba, żeby nasza pani się dowiedziała, co wygadujesz.

– Królowa jest oportunistką – powiedział Alfray. – Wszyscy o tym wiemy. Popiera Mnogów tylko dlatego, że chwilowo jest jej to na rękę.

Stryk rozejrzał się, ciekaw, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

– Dość tej gadki.

– Niewiele wiem o Dniu Braetagga – przyznał Jup. – W ogóle pierwszy raz jestem w Cairnbarrow. Możecie mi powiedzieć coś więcej?

– Czyżbyś się przyznawał do swojej niewiedzy? – zadrwił Haskeer.

– Niewiedzę zostawiam tobie. Masz do niej naturalne skłonności.

– Braetagg był sławnym wodzem orków – wyjaśnił pośpiesznie Alfray. – To na pewno wiesz.

– No jasne. Ale poza tym niewiele.

– Prawdę mówiąc, dla nas również nie wszystko jest takie klarowne. Nie wiemy, skąd pochodził ani kiedy dokładnie żył... poza tym, że około stu lat temu. Za to z całą pewnością poprowadził orków do kilku wspaniałych zwycięstw. Wtedy jeszcze Zjednoczone Klany Orków były prawdziwą potęgą. Dopiero później świat zszedł na psy. Braetagg odtrącił jarzmo, które niektóre ze starszych ras próbowały wcisnąć nam na szyję. Dlatego czcimy go przede wszystkim jako wyzwoliciela.

– Szkoda, że tak już nie zostało – zauważyła oschle Coilla.

Sądząc po minie Stryka, takie słowa też musiały być niebezpieczne. Ale kapitan milczał. W pewnym momencie Coilla zauważyła, że orkowi oficerowie ją wyprzedzili i została sama z Jupem.

– Dać ci dobrą radę? – zapytał krasnolud.

Pokiwała głową.

– Trzymaj język za zębami. Już nie jesteś w hordzie. W takim małym

oddziale różne rzeczy bardziej rzucają się w oczy. I w uszy. – Jup odczekał, aż Coilla przetrawi jego słowa, i dodał: – Co nie znaczy, że się z tobą nie zgadzam.

– W porządku. Mogę o coś zapytać?

– Pewnie.

– Dlaczego tak się żrecie z Haskeerem?

– Ja nic do niego nie mam. Może odrobinę. Chodzi o to, jak się traktuje krasnoludy. Wiele istot ma do nas taki stosunek jak Haskeer.

– Chodzi ci o to, że jesteście jak chorągiewki? Zawsze z wiatrem?

– Oboje wiemy, co mam na myśli. Mamy reputację najemników, którzy służą temu, kto więcej płaci. Nawet Jedom. Niektórzy zarzucają nam zdradę. Ja uważam, że to po prostu... pragmatyzm.

– A co wspólnego z pragmatyzmem ma służba w armii Jennesty? Mógłbyś przecież znaleźć sobie spokojniejsze i lepiej płatne zajęcie.

– Nie odpowiadam za całą moją rasę, chociaż Haskeer chętnie by mnie widział w takiej roli. Może ci się to wydać dziwne, po tym, jak wy, orkowie, zostaliście sprzedani w służbę królowej i tak dalej, ale niektórzy z nas uważają że u Jennesty można walczyć w godnej sprawie. Ktoś musi powstrzymać ludzi, zanim wyprują Maras–Dantii flaki. Przynajmniej tych złych ludzi.

– Sprzedani czy nie, my też tak uważamy. Powiem tak, sierżancie: polityka głównie mnie obchodzi. Liczy się tylko to, czy moi towarzysze znajdują się na swojej robocie i będą w razie potrzeby osłaniać mi tyłek.

– Ja też tak to widzę. I taki właśnie jest Haskeer. To drań, ale dobry żołnierz, a poza tym zawsze można na niego liczyć. I to mi się w orkach podoba. – Krasnolud się uśmiechnął. – Daruj sobie tego „sierżanta”. Jestem Jup.

– Tylko on się tak ciebie czepia?

– Teraz już tak. Ale na początku, kiedy dołączyłem do oddziału,

musiałem się wykazać. Z tobą będzie podobnie.

– Jedyne krasnolud i jedyna samica, co?

– No właśnie. Ale ty i tak masz przewagę: jesteś orkiem.

Znaleźli się na placu obwieszonym kolorową bibułą i miotanymi przez wiatr proporcami. Na stojakach stały dziesiątki klanowych tarcz. Olbrzymie stosy drewna czekały na chwilę, kiedy w kulminacyjnym momencie uroczystości podpalił je nasmołowanymi, płonącymi strzałami.

Wyminąwszy oddzielony linami teren turniejowy, orkowie znaleźli się w cieniu pałacu, gdzie rozbito olbrzymi namiot. Wiatr tarosił jego połę. Po obu stronach wejścia zatknięto w ziemi królewskie chorągwie. Namiotu pilnowało dwóch orków, którzy skrzyżowanymi włóczniami zagradzali drogę do środka, ale na widok Stryka rozstąpili się i przepuścili Rosomaki. Orkowie gęsiego weszli do rozległego wnętrza.

Pochodnie i rozwodnione światło słońca, przefiltrowane przez namiotowe płótno, napełniały wnętrze niezwykłą poświatą. Orkowie stali jak wrośnięci w ziemię, z nabożną czcią wpatrując się w to, co w nim ulokowano.

Alfray oparł dłoń na ramieniu Coilli.

– Pierwszy raz go widzisz?

Skinęła głową. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Na twarzach szeregowców malował się na wpół religijny szacunek, przemieszany z odrobiną przesądne lęku.

– Moim zdaniem to wbrew naturze – stwierdził w końcu Jup. – I takie niehygieniczne...

– Uważaj, kurdupłu – zadudnił basem Haskeer.

Stryk spojrział na nich spode łba. Poruszył bezgłośnie ustami:

– Trochę szacunku!

Na środku namiotu stał ozdobny tron, inkrustowany złotem i srebrem. Oparcie miało kształt feniksa wzbijającego się do lotu spośród pięknie

rzeźbionych płomieni. W oczy ptaka wprawiono płonące czerwienią rubiny. Tron nie dorównywał może królewskim tronom Jennesty, ale z pewnością nadawał się dla wodza orków.

Na tronie siedział Braetag.

Właściwie nie tyle siedział, co tkwił, z jedną ręką wspartą na rękojeści miecza. Pusta pochwa leżała mu na kolanach. Na głowie miał prostą złotą koronę. Kolczuga, w którą był ubrany, lśniła, skórzane spodnie były idealnie czyste, a wypolerowane buty świeciły własnym blaskiem.

Skóra barwy żółknącego pergaminu opinała się ciasno na wyraźnie widocznych kościach. Wargi, po śmierci zaszyte, wykrzywiły się w grymasie, który odsłaniał kilka równie pożółkłych zębów. W miejscu oczu ziały puste oczodoły. Zasuszone ciało miało odcień, który świadczył o tym, że balsamiści użyli swoich ziół i olejków.

– Można by pomyśleć, że zaraz wstanie i coś powie – powiedział z podziwem Haskeer.

– Oby nie – mruknął Jup.

Orkowie odpięli od pasów rogi z piwem i manierki pełne mocnego wina. Puścili je w obieg i zaczęli wznosić toasty ku czci szlachetnego przodka. W odruchu solidarności poczęstowali nawet Jupa. Kiedy przyszła kolej na Coillę, z uznaniem patrzyli, jak bez mrugnięcia okiem przetyka słuszną porcję trunku. Zauważyła, że Haskeer opróżnił swoją manierkę jednym haustem.

Jeszcze chwilę stali przed tronem, a potem Stryk dał sygnał do wyjścia.

Oślepieni słońcem dopiero po chwili zdali sobie sprawę, że cały tłum spogląda wyczekująco w stronę pałacu. Podnieśli wzrok na mury i zawieszony wysoko balkon. Na balkonie stała samotna postać.

Królowa Jennesta miała na sobie białą szatę. Jej długie, czarne jak smoła loki powiewały na wietrze. Nie dało się nic wyczytać z jej rysów – odległość była zbyt duża – ale wszyscy znali tę twarz półkobiety, półnajady

i jej nadnaturalne, symetryczne piękno.

Rosomaki się spóźniły: królowa zaczęła już swoją przemowę, czy może raczej diatrybę. W każdym razie odległość i wiatr uniemożliwiały wychwycenie więcej niż paru przypadkowych słów. Słuchacze wciąż głowili się nad tym, co powiedziała, gdy królowa podniosła ręce i zaczęła kreślić w powietrzu skomplikowane kształty.

Oślepił ich pomarańczowo–zielony błysk. Ognista kula śmignęła z balkonu, ciągnąc za sobą wyraźnie widoczną czerwoną smugę, i z ogłuszającym grzmiotem uderzyła w jeden z przygotowanych stosów, który natychmiast stanął w płomieniach. Tłum odpowiedział triumfalnymi okrzykami.

– Chleba i igrzysk – prychnął Alfray, na którym sztuczka królowej najwyraźniej nie zrobiła wrażenia.

– Dajże spokój – powiedział Jup. – Dzień Braetagga obchodziło się na długo przed tym, jak ona się tu zjawiała.

– I go ukradła.

Z nieco zwarzonym entuzjazmem patrzyli na płonący stos.

Rosomaki wypoczywały na werandzie jednego z budynków koszarowych, kiedy wrócił Reafdaw.

– Masz? – spytał Stryk.

– Pewnie, szefie.

Uśmiechnięty szeregowy wyjął z sakiewki przy pasie mały woreczek i podał go kapitanowi. Wszyscy stanęli nad Strykiem, kiedy go otwierał. Woreczek był pełny drobniutkich kryształków, przezroczystych, zabarwionych lekkim fioletowo–różowym odcieniem.

– Wygląda nieźle – stwierdził Alfray.

– Kryształin? – Coilla zajrzała do woreczka. – Zaraz nam się zrobi piękny dzień.

– Nie ma to jak porcyjka kryształowej błyskawicy – zgodził się z nią

Jup.

– Tylko sobie nie myślcie, że tak będzie zawsze – uprzedził Stryk. – Potraktujcie to jak prezent od Braetagga. Alfrayu, czyn honoru domu.

Kapral wyjął z torby medycznej moździerz z tłuczkiem i zaczął rozcierać kryształki na drobny proszek. Reafdaw przekładał go do fajek.

Wkrótce potem pierwsze fajki zaczęły krążyć wśród orków i powietrze przepełnił charakterystyczny aromat.

Jup wydmuchnął długi pióropusz białego dymu.

– Chyba zaczynam lubić tego Braetagga.

– Będzie żadzunku... – wybełkotał Haskeer. – To jezd... No... Uważaj... A, odwal się.

– Cieprzę pię – odparł jowialnym tonem krasnolud.

Ze zdumienia Haskeer wytrzeszczył szkliste oczy.

Zaczęły się rubaszne żarty, kwitowane bezradnym śmiechem. Szeregowcy jeden po drugim popisywali się typowo orkową sztuką przechwalania się, koloryzując swoje opowieści, aż przekraczały granice absurdu. Chichoty nie milkły ani na chwilę.

Stryk oparł się plecami o ścianę domu, podłożywszy pod głowę splecione dłonie.

– Za godzinę powinna się zacząć prawdziwa uroczystość.

– Tylko czy mamy radę na nią dojść? – zaniepokoił się Alfray.

Jup opowiadał właśnie zawiłą i niezbyt spójną anegdotę, gdy Coilla weszła mu w słowo.

– Kto to jest? – zapytała.

Przekrwione oczy spojrzały we wskazanym przez nią kierunku. Trzech orków na koniach jechało galopem w stronę Rosomaków. Jeden z nich nosił powiewający fioletowy płaszcz.

– Niech to szlag! – zaklął Stryk, gramoląc się na nogi. – Crelim.

– Kto?

– Crelim. Adiutant generała. Wstawać! Wstawać, powiedziałem!

Ponaglani kopniakami kapitana orkowie stanęli chwiejnie na nogach, otrzepując brud ze spodni. Wymienili z gośćmi obowiązkowe saluty i Crelim od razu przeszedł do rzeczy.

– Mam rozkazy od generała Kysthana. Specjalne zadanie. Wszyscy za mną. Natychmiast.

– Ale dzisiaj, panie majorze? – zaprotestował Stryk. – Czy to naprawdę konie...

– Wrogowie nie obchodzą naszych świąt, kapitanie. A ja nie przyjechałem tu po to, żeby z panem dyskutować. – Crelim pokręcił głową, patrząc na otepiałych orków. – Jeśli musicie, wsadźcie najpierw łby do balii z wodą. No, ruszać się!

Dodając sobie animuszu gniewnymi pomrukami, Rosomaki zrobiły, co im kazano.

Cizba zgęstniała, a widzów cały czas przybywało. Crelim z dwójką jeźdźców bez słowa zaprowadzili orków do namiotu, pod którym zebrał się tłum. Tylko silny oddział strażników trzymał wszystkich w ryzach.

– Straż przyboczna Jennesty – szepnął Alfray.

Stryk przytaknął. Wciąż jeszcze miał mętlik w głowie.

Crelim kazał szeregowcom zostać na zewnątrz i wszedł do namiotu w towarzystwie oficerów. W środku zastali dalszych strażników, żywych i martwych. Żołnierze warty honorowej leżeli na ziemi z poderżniętymi gardłami i nożami w plecach. Ściany namiotu były zbryzgane krwią.

Ale najbardziej szokująca była nieobecność samego Braetagga.

– Może miałeś racę, Haskeer – stwierdził Jup, patrząc na pusty tron. – Może wstał i wyszedł.

– Za to ty nie wyjdiesz, jeśli nie przestaniesz kłapać dziobem.

Stryk uciszył ich ostrym gestem i gniewną miną. Crelim wskazał szerokie rozcięcie w tylnej ścianie namiotu.

- Tędy go wynieśli.
 - Ale dlaczego? – zdziwiła się Coilla. – Właściwie po co?
- Major wzruszył ramionami.
- Wiem tylko, że jeśli uroczystości się zaczną bez Braetagga, będzie bałagan.
 - Oględnie mówiąc – dodał Alfray.
 - Nikt nie może się o tym dowiedzieć – ciągnął Crelim. – Dlatego ściągnięto tu was, oddział do zadań specjalnych. Musicie działać dyskretnie. Macie odzyskać szczątki Braetagga i przynieść je tu z powrotem. Jak najszybciej.
 - A jeśli się nie uda? – spytał Stryk.
 - Królowa osobiście dogląda tej sprawy.
 - Czyli bez Braetagga możemy nie wracać.
 - To pańskie słowa, kapitanie.
- Stryk zamknął oczy i ścisnął palcami nasadę nosa. Westchnął ciężko.
- Macie pomysł, panie majorze, kto to mógł zrobić?
 - Nie, ale jest pewien trop. W ostatnich dniach po okolicy kręciła się gromada pirów. Wczoraj po południu smoczy patrol wypatrzył jedną ich grupę niedaleko Hecklowe.
 - To nasz jedyny ślad?
- Crelim skinął głową.
- Liczymy na was – powiedział. – Pospieszcie się.
- I razem ze swoim dwuosobowym orszakiem wyszedł z namiotu.
- Pieprzony Braetagg...
 - Nie mów tak, Haskeer – ostrzegł lodowatym tonem Stryk.
 - Pirowie? Kto to jest? – spytała Coilla.
 - Ludzie. Czyciele ognia czy coś w tym guście.
 - Mnogowie czy Jedowie?
 - Chyba ani jedno, ani drugie.

– To taka magiczna sekta – wyjaśnił Alfray.

– Jak to magiczna? – Coilla nie kryła swojej pogardy. – A od kiedy to ludzie posługują się magią lepiej od orków? Potrafią ją tylko pochłaniać.

– Może nie władają nią, tylko jej poszukują – zasugerował Jup. – Tak jak starszym rasom, marzy im się pewnie zawładnięcie energią ziemi.

– Brzmi idiotycznie – zawyrokował Haskeer.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Przecież mówimy o ludziach, tłumoku.

– Przestańcie! – warknął Stryk. – Nic mnie nie obchodzi, na co pirom trup Braetagga... jeżeli to rzeczywiście oni go zabrali. Najważniejsze, że jeśli go nie odzyskamy, święto skończy się krwawą jatką.

Jup obejrzał podłogę przy tronie.

– Może magia będzie kluczem do tej tajemnicy – stwierdził. – Moja magia. Jasnowidzenie. Chociaż przez tych zasranych ludzi jest teraz bardzo słabiutkie. – Zdjął coś z siedziska tronu: skrawek materiału. – To nie należało do Braetagga. Gruba tkanina. On niczego takiego nie miał na sobie.

– Każdy mógł to zostawić.

– To prawda. Ale mundury wartowników też wyglądają inaczej. – Krasnolud spojrzął na Stryka. – Poza tym to nasza jedyna wskazówka.

– Wystarczy ci do jasnowidzenia? – spytał z powątpiewaniem Alfray.

– Nie wiem. Może. Co ty na to, Stryku?

– Jesteś naszym zwiadowcą. Ruszaj.

Znajdowali się około piętnastu kilometrów na zachód od Cairnbarrow. Z tej odległości było jeszcze widać czubki pałacowych iglic, podobnie jak mur lądolodu – białą krechę na północnym widnokręgu. Mżyło. Deszcz miał żółtawą barwę i nieprzyjemną gnilno-siarkową woń.

Z grzbietów koni patrzyli, jak Jup zanurza dłonie w błocie i zamyka oczy, próbując dostroić się do energii ziemi. W końcu wstał i otrzepał ręce.

– Energia faluje. Ci przekłęci ludzie...
– Ale... – podsunął Stryk.
– Ale wydaje mi się, że zacierają w stronę Taklakameer.
– To dosyć duży obszar, nie? – zauważyła Coilla. – A nas jest tylko trzydziestka.

– To prawda – przyznał Stryk. – Dlatego im szybciej ruszymy w drogę, tym lepiej.

Ruszyli dalej na zachód. Od czasu do czasu Jup, powołując się na swój niepewny talent, potwierdzał, że ich zwierzyna podąża w stronę śródlądowego morza.

Stanęli w końcu na stromym stoku, opadającym do marszczonej wiatrem wody. Rozmiary Taklakameer i zalegająca przy powierzchni mgła uniemożliwiały dostrzeżenie drugiego brzegu. Woda chlapiąca o plażę była brudna i mętna.

– Co teraz? – spytał Alfray.
– Możesz jakoś zawęzić obszar poszukiwać? – spytał Stryk Jupa.
– Bardziej już nie. Woda tłumi mój dar.
– Jak to? – zdziwiła się Coilla.
– Woda zatrzymuje magię. Tak jak leśne polany i odległe doliny. Być może dlatego, że ludziom trudniej się tam wdrzeć z pługiem i kilofem.
– Skoro magia jest tu silniejsza, twój dar też powinien lepiej działać.
– Niezupełnie. Mój talent zostaje wprawdzie wzmocniony, ale wyłapuję coraz więcej śmiecia. Trudno to wyjaśnić, ale jest z tym trochę tak, jak ze światłem, którego nadmiar oślepia.

– Podzielimy się na dwa oddziały – zarządził Stryk. – Jeden ruszy na południe, drugi na północ. Z pierwszym pojedą ja, Alfray i Coilla. Haskeer i Jup wezmą drugą połowę szeregowych. Jeżeli któraś grupa znajdzie coś, z czym nie będzie sobie umiała poradzić, niech pchnie gońca.

Ruszyli.

Jadąc tuż przy brzegu, żołnierze Stryka przez pewien czas widzieli po drugiej stronie oddział Haskeera i Jupa, ale wkrótce zniknął im z oczu. Przejechali jeszcze kawałek w milczeniu, zanim Coilla się odezwała:

– Czy to rozsądne, kapitanie? Przydzielać tych dwóch do jednej ekipy...

– Kogo?

– Jupa i Haskeera. A kogo by innego?

– Nie kochają się, ale jak przychodzi co do czego, obaj pamiętają, że są Rosomakami. Poza tym to nie piskłeta. Zdają sobie sprawę, że jeżeli wysłani z misją będą się zachowywać jak dzieci, wylecą z hukiem.

– Spotkałeś już kiedyś tych pirów?

– Nie. Ale inni orkowie się na nich natknęli.

– Jest ich niezbyt wielu, ale nadrabiają fanatyzmem – wtrącił Alfray. – Co często bywa groźniejsze.

– Jaki mamy plan, jeśli ich spotkamy?

Zdziwiony Stryk spojrział z ukosa na Coillę.

– Zabijemy ich. A co myślałaś?

– Mieście oczy szeroko otwarte.

– Nie gadaj głupot – obruszył się Haskeer. – Myślisz, że co ja cały czas robię?

– Nie wiem. Bawisz się swoim męskim woreczkiem?

– Tylko zsiądź z tego konia, a wsadzę ci twój łeb w dupę.

– Lepsze to, niż patrzeć na twoją gębę.

– Jeśli chcesz, żeby ci przemodelować facjatę, to powiedz.

– Jasne, w samym środku akcji. Bardzo by to było mądre.

– Panowie sierżanci! – zasyczał jeden z szeregowców.

– Co jest? – zapytali zgodnym, zirytowanym chórem.

– Tam. – Szeregowiec wyciągnął rękę.

Z prawej strony, nieco w głębi lądu, wznosiły się niskie wzgórza. U ich podnóży rósł niewielkie zagajnik. Spomiędzy drzew prześwitywał blask

ogniska.

Haskeer i Jup zatrzymali oddział.

– Co o tym myślisz? – spytał ork.

– Rozejrzyjmy się.

– Wszyscy?

– Nie. Nas dwóch wystarczy.

Zostawiwszy szeregowców przy koniach, Haskeer i Jup ruszyli w stronę wzgórz.

Podkradli się pod zagajnik zygzakiem, przygięci do ziemi, a potem zaczęli się czołgać przez zarośla, aż dotarli do skraju polany. Na środku płonęło spore ognisko. Wokół niego zebrało się ze dwadzieścia, może trzydzieści postaci, rzucających groteskowo wydłużone cienie. Wszystkie miały dziwnie uformowane czaszki.

Haskeer wytrzeszczył oczy.

– A co to znowu za rasa?

– Ludzie, bałwanie. Mają na głowach wilcze łby. Ale popatrz tam. – Jup szturchnął orka.

Na granicy światła i cienia, na płaskim kamieniu leżały zwłoki Braetagga. Przy nich stał jeden z wilkogłowych ludzi, wykonując skomplikowane gesty, które, w połączeniu ze śpiewnym zawodzeniem reszty obecnych, pozwalały się domyślać, że trwa jakaś ceremonia.

– Będziemy potrzebowali wszystkich sił – stwierdził Jup. – Chodź, zmywamy się.

– Dobrze. – Haskeer skinął głową.

– Właśnie, że niedobrze.

Nie zdążyli się nawet odwrócić i zobaczyć, kto wypowiedział te słowa. Szorstkie ręce dźwignęły ich z ziemi. Otaczało ich co najmniej pół tuzina ludzi w wilczych przebraniach. Pod groźbą mieczy rozbroili Rosomaki i związali im ręce.

Haskeer spiorunował Jupa wzrokiem.

– Nas dwóch wystarczy – powtórzył kpiąco.

– Nie hałasować! – odezwał się jeden z ludzi. – Przyjdzie na to czas, kiedy nasz mistrz się wami zajmie. – Uśmiechnął się porozumiewawczo do swoich towarzyszy, którzy wybuchnęli głośnym śmiechem.

Kiedy jeńców wprowadzono na polanę, żałobne śpiewy umilkły. Minęli gapiących się na nich ludzi i stanęli przed obliczem mężczyzny, który odprawiał rytuał przy zwłokach Braetagga. Sądząc z jego aroganckiego zachowania i szacunku, jakim otaczali go pozostali, musiał być przywódcą sekty. Obrzucił Jupa i Haskeera wzgardliwym spojrzeniem oczu równie martwych jak u zabitego wilka.

– No proszę. Intruzi. W dodatku podludzie.

– Żadni „podludzie” – odparował krasnolud. – Nie mamy z wami nic wspólnego.

Za tę odzywkę dostał w twarz dłoń w ciężkiej rękawicy. Krew pociekła mu z nosa i z kącika ust.

– Co robicie z Braetagiem? – zainteresował się Haskeer, bezskutecznie napinając więzy.

– Szukamy w nim magii – odparł z naciskiem mistrz. – Czerpiemy ją w taki sam sposób jak wy, tak zwane starsze rasy.

– My, orkowie, niczego nie czerpiemy.

W nagrodę Haskeer zarobił cios w brzuch. Zgiął się wpół.

– Co ma trup do magii?! – krzyknął Jup. – Jesteście porębani!

– Taaak? – spytał mistrz z wyraźną przyganą w głosie.

Odwrócił się, spojrzał na zwłoki Braetagga i złapał je za mały palec u prawej ręki. Palec odłamał się z wyraźnie słyszalnym trzaskiem. Z miejsca, gdzie się znajdował, wzniósł się obłoczek pyłu.

Dalsze ciosy uciszyły protest Haskeera. Przy okazji Jup oberwał po nerkach. Mistrz tymczasem, nie zwracając uwagi na szarpaninę, obejrzał z

bliska palec i cisnął go w ogień.

Płomień zapłonął jaśniej i trysnął rojem wielobarwnych iskier. Zmienił kolor na szmaragdowy, czerwony, złoty i wreszcie turkusowy. Barwy były tak intensywne, że od patrzenia na nie bolały oczy. Aż dziw, że skrawek zaszuszonego ciała wywołał tak widowiskowy efekt. Haskeer i Jup nie posiadali się ze zdumienia.

– Oto przedsmak mocy Braetagga – stwierdził mistrz, kiedy płomienie przygasły. – Po odprawieniu stosownego rytuału i zmieleniu zwłok na proszek uzyskam esencję potężnej magii.

– Popieprzyło cię – mruknął Jup.

– To ty tak twierdzisz. – Krzaczaste brwi mistrza wygięły się łukowato. – Ale nie będzie was tutaj, kiedy to udowodnię. Jak większość rytuałów, także ten udaje się znacznie lepiej, jeśli poprze się go krwawą ofiarą. – Skinął na swoje sługi. – Przygotować ich!

– Ta droga donikąd nie prowadzi – poskarżył się Alfray.

– Masz lepszy pomysł? – spytał Stryk.

– Może powinniśmy się jeszcze bardziej podzielić? Byłoby szybciej.

– Nie. I tak jesteśmy już osłabieni.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Tam! – wykrzyknęła w pewnym momencie Coilla. Spojrzeli we wskazanym przez nią kierunku. Na drugim brzegu migotało ognisko. – To nasi?

– Nawet ci dwaj durnie nie są aż tak głupi, żeby rozpalić ogień – uspokoił ją Stryk.

– No to kto? – spytał Alfray.

– Nie wiem. Ale to nasz jedyny trop.

Stryk wydał rozkaz i cały oddział zawrócił. Ruszyli kłusem, uchylając się przed zwieszającymi się nisko gałęziami i jadąc jak najbliżej brzegu. Nie ujechali nawet strzału z łuku, kiedy zatrzymała ich grupa szeregowych,

którzy w krótkich słowach wyjaśnili nieobecność sierżantów.

– No to pięknie – zdenerwował się Stryk. – Nie dość, że musimy odzyskać trupa, to jeszcze trzeba ratować dwóch błaznów.

– Jak to zrobimy? – spytała Coilla.

– Podzielimy się na trzy grupy. Ty weźmiesz jedną. Calthmon i Darig zostaną przy koniach. Zostanie nas... dwadzieścia sześć sztuk. Ja i Alfray weźmiemy po ośmiu szeregowców, ty dziesięciu.

– Dzięki za zaufanie.

– Nie mam wyboru, kapralu. Ale spróbuj to spieprzyć, to się pożegnamy.

– Jaki masz plan? – wtrącił Alfray.

– Nic specjalnego. Wchodzimy do zagajnika z trzech stron. Najważniejsze to odbić Haskeera i Jupa, całych i zdrowych. Jeśli się uda, wynieść Braetagga. Są pytania?

Nie było. Orkowie podzielili się na trzy oddziały i każdy ruszył w swoją stronę.

Coilla poprowadziła swoich żołnierzy w prawo i wkrótce przekradała się z nimi przez zarośla w stronę polany. Nie natknęli się na żadnych wartowników. Widzieli już ognisko, leżące na głazie zwłoki Braetagga i związanych obu sierżantów. Przytrzymało ich dwóch ludzi, trzeci był zajęty odprawianiem jakiegoś rytuału. Reszta przebranych za wilki pirów stała z boku, zawodząc rytmiczną pieśń.

Coilla odwróciła się do najbliższego szeregowca.

– Ty jesteś... Slettal, prawda? – spytała szeptem.

– Tak jest, pani kapral.

– Ilu mamy dobrych łuczników?

Slettal zmarszczył brwi.

– Jak dobrych?

– Będą mieli jedną szansę, żeby trafić tę dwójkę przy sierżantach.

– Przykro mi, pani kapral. Każdy z nas jakoś tam radzi sobie z łukiem,

ale taki strzał...

– Tak myślałam – westchnęła Coilla. – Nieważne, sama spróbuje Slettal podał jej łuk, ale odepchnęła go na bok i podwinęła obszerny rękaw koszuli. Do przedramienia miała przypiętą pochwę z nożami do rzucania. Wyjęła dwa smukłe ostrza.

– Woleje od strzał – wyjaśniła.

Slettal spojrział na nią, na wartowników, znowu na nią.

– Da pani radę, pani kapral?

– Spróbować nie zawadzi. Jeżeli mi się uda, musicie szybko wpaść na polanę i związać główne siły walką. Jeśli spudłuję, najpierw bierzemy tych dwóch i kapłana. W najgorszym razie pomścimy sierżantów. Wszystko jasne? No to szykujcie się.

Zdawała sobie sprawę, że reszta Rosomaków w każdej chwili może rzucić się do ataku, ryzykując życie Haskeera i Jupa. Nie miała czasu do stracenia. Na pierwszy ogień poszedł trudniejszy cel: człowiek, którego Haskeer prawie całkowicie zasłaniał; drugiego, który trzymał Jupa, było łatwiej trafić. Chociaż, prawdę mówiąc, żaden rzut nie miał być prosty. Trzeci z ludzi, którego wzięła za przywódcę, gestykulował coraz gwałtowniej. Rytuał dobiegał końca.

Stała mocno na nogach, wstrzymała oddech i rzuciła nożem. Jeszcze leciał, kiedy cisnęła następny.

Mężczyzna za Haskeerem dostał w oko i padł jak ścięty. Drugi strażnik przyjął ostrze na pierś, krzyknął chrapliwie i też upadł.

– Teraz! – wrzasnęła Coilla.

Wypadli na polanę. W tej samej chwili zaatakowały grupy Stryka i Alfraya. Coilla podbiegła do Jupa i Haskeera, a jej żołnierze posłusznie ruszyli na ludzi skupionych w grupkę za jej plecami. Wywiązała się chaotyczna walka. Rozległy się krzyki, jęki i szczęk stali.

Biegając ile sił w nogach, Coilla zauważyła, że z ogniskiem dzieje się coś

dziwnego. Płonęło niezwykle jasno, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy. Nie miała jednak czasu go podziwiać. Przywódca pirów wyjął miecz. Na jego twarzy malował się wściekły grymas. Coilla przyspieszyła i minęła go w pełnym pędzie, o włos unikając cięcia mieczem. Dopadła do sierżantów i zaczęła przecinać ich więzy.

– Idą tu! – ostrzegł ją Jup.

Kilku uzbrojonych pirów już biegło w ich stronę. Coilla oddała Jupowi jeden ze swoich mieczy, Haskeer zabrał broń zabitemu strażnikowi i z bojowym okrzykiem rzucili się na ludzi.

Coilli został wódz. Zaszarżował na nią w amoku, bełkocząc coś niezrozumiale i wywijając mieczem, aż powietrze zafurkotało. Zaczęła odbijać jego szalone cięcia, odpowiadając na każde własnym ciosem.

– Intruzi! – ryczał pir. – Niewdzięcznicy! Dzikusy!

– Niezły tekst jak na gościa, który nosi na głowie zwierzęce ścierwo – odparła spokojnie Coilla, co dodatkowo rozwścieczyło mężczyznę.

Zaatakował z furją. Coilla uskoczyła, zrobiła unik, zablokowała pchnięcie i sama natarła.

– Rytuał! – darł się przywódca. – Przerwaliście rytuał! Głupcy!

Nagle jego twarz zmieniła się w nieruchomą maskę. Cofnął się, zapominając o obronie, wybałuszył oczy i wpatrywał się w coś, co znajdowało się za plecami Coilli. Podejrzewając podstęp, orczyca odskoczyła w bok i dopiero wtedy obejrzała się przez ramię.

Szczęka jej opadła.

Trup Braetagga się poruszył.

Usiadł sztywno i przeciągnął się, aż zatrzeszczały suche kości. Powoli spuścił nogi na ziemię. Wstał, zachwiał się, ale po chwili zaczął iść, z początku niemrawo i ostrożnie.

Coilla oderwała od niego wzrok i spojrzała na wodza, który stał jak skamieniały. Jego twarz przybrała barwę popiołu. Inni ludzie na polanie

byli daleko, zajęci walką, i nawet nie zauważyli, że Braetagg wstał.

A trup szedł przed siebie z ponurą determinacją, zostawiając błady ślad pyłu. Coilla spięła się cała, gdy przeszedł obok, zataczając się, ale nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Wydawało jej się, że w jego oczach lśni słabe światelko.

Przywódcą sekty otrząsnął się z pierwszego szoku i – wciąż śmiertelnie przerażony – zasłonił się mieczem. Zrobił to jednak z ociąganiem. Za to trup dopadł go ze zdumiewającą szybkością i bez wysiłku odtrącił ostrze w bok. Żywy i martwy złączyli się w śmiertelnym uścisku.

Coilla nie odrywała od nich wzroku, chociaż oślepiający płomień i gęsty dym utrudniały dostrzeżenie szczegółów. Widziała, że się siłują, ale niewiele poza tym. Nagle rozległ się krzyk – przenikliwy, ohydny, rozpaczliwy. Ludzki.

Z kłębow dymu wynurzyło się kilka postaci. Coilla przyjęła pozycję obronną, ale rozpoznawszy Stryka i jego orków, opuściła gardę. Wycierali krew z mieczy i toporów.

– Świetnie się spisałaś – pochwalił ją Stryk.

Ogień przygasał. Podmuch wiatru rozwiął dym i oczom Coilli ukazał się leżący na ziemi wódz. Śmierć odcisnęła na jego twarzy przerażające piętno, ręce i nogi miał powykrzywiane pod najdziwniejszymi kątami. Spojrzała na głaz: ciało Braetagga leżało na swoim miejscu.

– Co się stało? – zaniepokoił się Stryk.

Zamrugła i pokręciła głową.

– Nic. To przez... kryształ. Mąci mi myśli.

Pędzili na złamanie karku. Zwłoki Braetagga zawinęli w koce i przerzucili przez grzbiet luzaka.

Dotarli do Cairnbarrow w rekordowym czasie i przegalopowali po ulicach, roztrącając pieszych. Na głównym placu zgromadziło się trzykrotnie więcej gapiów niż poprzednio i Rosomaki musiały zwolnić. W

końcu przedarły się do niespokojnych orków, którym królewska straż przyboczna broniła wstępu do namiotu.

Jak spod ziemi wyrósł major Crelim i utorował im przejście. Pięciu oficerów wpuszczono do środka, wraz z nimi weszła para szeregowców dźwigających jakiś pakunek. Położyli go na ziemi i ściągnęli koce.

– Nie wierzyłem, że się wam uda – przyznał Crelim. – Szybko, posadźcie go na tronie. Tylko ostrożnie!

Delikatne ręce dźwignęły trupa. Braetagg zasiadł na swoim miejscu, ktoś nałożył mu zgubioną koronę, ktoś inny oparł rękę na mieczu. Coilla pracowała ze szczególnym zapałem.

– Nie ma palca! – wykrzyknął major.

– No... nie ma – przytaknął Stryk. – To i tak całkiem niezłe, jeśli pomyśleć o tym, co mógł stracić. Można przysłonić dłoń... rękawem. Albo czymś innym.

– No, nie wiem... – mruknął bez przekonania Crelim.

Haskeer podszedł do tronu.

– Kapitan ma rację, panie majorze. Nikt nie zauważył. To tylko mały palec. A Braetagg to niezłomny żołnierz. – Stał obok trupa, ignorując rozpaczliwe sygnały towarzyszy, którzy błagali, żeby się odsunął. – Bez obawy. To prawdziwy twardziel. Mocny jak smocza skóra po miesiącu moczenia w szczynach.

Zamachnął się do przyjaznego kuksańca.

– Nie! – krzyknęli zgodnym chórem orkowie.

Ale było już za późno, żeby zatrzymać pięść Haskeera. Braterskie szturchnięcie z głuchym tąpnięciem trafiło w bark Braetagga. Kurz buchnął w powietrze jak z trzepanego dywanu. Haskeer się zakrztusił. Ręka Braetagga oddzieliła się od barku, zawisała jeszcze na chwilę na zasuszonym ścięgnięciu – i spadła na ziemię z odgłosem, jaki mógłby wydać upuszczony rulon wiekowego pergaminu.

– Ty bałwanie! – ryknął Jup.

– Sierzancie Haskeer! – zagrzmiął siny z wściekłości Crelim.

Wszyscy obecni rzucili się na Haskeera z obelgami i pięściami. Stryk wycofał się z ogólnego zamieszania i stanął obok Coilli.

– Uprzedzę twoje pytanie – powiedziała. – Nie umiem szyć. Stryk wzruszył ramionami i westchnął ciężko.

– Trudno. Szczęśliwego Braetagga.

THE END :)